

SARA  
ANTCZAK

LUDZIE SĄ ZDOLNI DO WSZYSTKIEGO

G

R

A

„Rewelacyjna! Rozgrywka na najwyższym poziomie.”

Marcel Moss

FILIA

SARA  
ANTCZAK



FILIA



*Dla Łukasza, Julii, Pauli, Tomka i Michała.  
Dziękuję, że byliście ze mną w tym lesie.  
Bez Was zgubiłabym drogę*



*Drug opowiedział mu, co zaszło, i otrzymał dobrą radę.  
Niedźwiedź polecił mu upleść bajorek z czerwonych nici  
i zawiesić na starej wierzbie, a wieszając go o zachodzie słońca,  
wznieść prośbę ku Matce Ziemi, by go wspomogła. Drug uczynił,  
co mu poradzono.*

*Księga Tura, **Czesław Białczyński***

*Kto mówi o zwycięstwie?  
Przetrwanie jest wszystkim.  
**Rainer Maria Rilke***



# PROLOG

Czuję, jak czarna, śmierdząca, wilgotna ziemia łąduje na mojej twarzy. Nie mogę się poruszyć, nie mogę zrobić nic, żeby temu zapobiec. Całe ciało jest przysypane ziemią, unieruchomione, jakby ktoś przykrył mnie trzema ciężkimi materacami. Mam związane nogi i ręce. Słyszę tylko swój chrapliwy oddech, czuję, jak serce łomocze jak oszalałe.

Leżę na plecach w prostokątnym, świeżo wykopanym grobie, głębokim na trzy metry. W prostokącie światła nad sobą widzę cztery postacie. Mają twarze osłonięte kominiarkami. W dłoniach trzymają łopaty.

– Czekajcie! – krzyczę, ale wtedy hałda ziemi leci na moją twarz i kilka grudek wpada mi do gardła. Zaczynam się krztusić i rżęzić, a oni sypią mi na głowę kolejne porcje piachu.

W mojej głowie zapętlone jest tylko jedno słowo: nie.

Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie.

Odmawiam umierania na ich warunkach.

Odmawiam umierania na jakichkolwiek warunkach.

Mam jeszcze za dużo do zrobienia.

Ziemia przysypuje mi głowę, więc unoszę związane ręce, osłaniam twarz. Staram się stworzyć przestrzeń do oddychania, miejsce, w którym zatrzymam tlen. Z góry to może wyglądać, jakbym się



poddawała, ale nie jestem na to gotowa. Chcę wytrzymać jak najdłużej, aż ktoś mnie znajdzie.

Leżę pod grubą, ciężką warstwą ziemi. Jestem ukryta, głucha, ślepa i niema. Przypominam sobie, co słyszałam o lawinach. Człowiek jest w stanie wytrzymać piętnaście minut pod śniegiem, a potem dusi się wydychanym dwutlenkiem węgla, zatruwa sam siebie. Ale tutaj, pod ziemią, gdzie nie ma żadnego tlenu, mam najwyżej pięć minut.

Niech ktoś to w końcu to przerwie! Niech ktoś powie: „To taki głupi żart, chcieliśmy cię tylko przestraszyć. Nie bój się, przecież to wszystko tylko zabawa, zaraz cię uwolnimy i pośmiejemy się z tego przy ognisku”. Ale w głębi serca wiem, że to nie nastąpi. To nie jest zabawa i nigdy nie była.

Będę umierać powoli, dusić się w bólu, samotności, potwornym strachu. Pewnie oszaleję, zanim to się stanie.

Chcę stracić przytomność, odlecieć, zasnąć. Niech to się okaże koszmarnym snem, przecież miewałam takie sny, właśnie takie, ktoś bez twarzy zakopywał mnie żywcem. Ale gdyby to był sen, już bym się obudziła.

To właśnie ten moment.

Połamane paznokcie uparcie ryją ziemię.

Moje ciało wciąż walczy, drży, poci się.

Myślę o niej.

Moje zniknięcie zburzy jej świat. Nigdy nie przestanie mnie szukać, wiem o tym, przyjdzie tutaj. Tak bardzo chciałabym ją ostrzec, powiedzieć, żeby nie zbliżała się do tego lasu.

To, kim jestem, zaprowadziło mnie właśnie tu, do grobu. Zaprosiłam Mrok do swojego życia. Zrobiłam to całkiem świadomie. Mrok miał ludzki kształt, wyglądał i pachniał jak człowiek, miał ludzki głos, nawet kilka głosów. A ja wpuściłam go do swojego życia, bo szukałam prawdy.

Nie mogę dłużej wstrzymać oddechu, otwieram usta, a wtedy trochę grudek ziemi wpada mi do gardła. Jeśli kiedyś mnie znajdą, wykryją je w moich płucach i powiedzą: „Żyła, kiedy ją zakopano”.

A potem znajdą jeszcze więcej ciał i wszyscy wpadną w panikę.

Bo przecież moja śmierć nie będzie pierwsza, nie będzie też ostatnia.

Zabiją wszystkich. Co do jednego. Nie mogę już temu zapobiec.

Myślę o słowach „ciało” i „zakopana”, a potem widzę nagłówki na portalach internetowych „Pogrzebana żywcem”. I chyba przez słowo „pogrzebana” nagle dociera do mnie, że to się dzieje naprawdę. Z moich ust wyrywa się przytłumiony wrzask, którego nikt nie może usłyszeć.



# **ROZDZIAŁ I**

## **PARTYZANCI I ZWIADOWCY**

**13 MARCA, ROK 2021 – TERAZ**

### **WIKTORIA**

Posoczyn to nie jest miejsce, w którym chcielibyście się urodzić. I z pewnością nie jest to miejsce, w którym chcielibyście żyć. Ale możecie tutaj umrzeć. Na pierwszy rzut oka to zwykle zapomniane polskie miasteczko owiane złą sławą. Przejeżdżając główną ulicą, widzę stare zniszczone kamienice, opuszczone magazyny, nieczynne fabryki i garaże. Za miastem straszą ruiny domu dziecka, który został podpalony przez dwóch wychowanków. Posoczyn składa się z betonu, blachy falistej, rdzy i przemocy. Co bardzo ważne – bezkarnej. Według policyjnych statystyk odnotowano tu średnio trzydzieści sześć przestępstw na tysiąc mieszkańców. Wykrywalność przestępców jest bardzo niska, wynosi zaledwie trzydzieści siedem procent. To oznacza, że sprawcy wciąż chodzą na wolności, a mieszkańcy nie mogą czuć się bezpiecznie. Ale to niejedyny powód, dla którego większość z nich ucieka z Posoczyna. Miejscowość sąsiaduje z Puszczą Posoczyńską, którą wielu ludzi uznaje za nawiedzoną. Dziesięć lat temu grupa maturzystów świętująca zdanie egzaminu zaginęła tam bez wieści. Pomimo

poszukiwań na szeroką skalę nigdy ich nie znaleziono. Przez lata zaginęło tam kilka innych osób. Przekleństwo? Klątwa? Tego właśnie chcę się dowiedzieć. Puszcza Posoczyńska to miejsce owiane mroczną legendą...

Owiane mroczną legendą? Cholera, brzmi strasznie tabloidowo, a przecież pracuję w poważnej gazecie, nie jakimś szmatławcu. Wyłączam dyktafon, odkładam telefon na siedzenie pasażera i zaciskam obie dłonie na kierownicy. Powinnam się skupić na prowadzeniu, zamiast układać treść tekstu. Inaczej mogę potrącić sarnę albo miejscowego pijaka, który nagle wyskoczy na drogę.

Tak naprawdę nie wierzę w mroczne legendy ani przeklęte miejsca. Nie ma mrocznych lasów ani nawiedzonych domów, nie istnieją siły nadprzyrodzone ani zjawiska paranormalne. Wszystkie złe rzeczy, które zdarzają się ludziom, robią inni ludzie. Wszystko robimy sobie nawzajem. Taką właśnie mamy naturę.

Jadę do Puszczy Posoczyńskiej w bardzo konkretnym celu, chcę zebrać materiał do reportażu. Może wiedząc to wszystko, co już wiem, powinnam zawrócić samochód, uciec w przeciwnym kierunku. Ale moja ciekawość zawsze była silniejsza niż strach.

Wyjeżdżam z miasteczka i widzę już tylko ciemną ścianę lasu. Cisza mnie denerwuje, więc włączam radio. Akurat leci stary, dobry Maanam, *Szare miraż*e. Pogłaśniam muzykę i zaczynam śpiewać z Korą.

– Tylko dlatego, że jesteś nikim, możesz pogadać z drugim człowiekiem. Życie bogate, pełne sekretów, w szarym człowieku, w szarym człowieku. Oszczędne słowa, twarze, uśmiechy, nie mów za dużo, szary człowieku. Choć jesteś nikim, takim pozostań, szare sekrety dla mnie pozostaw.

Gdy tylko wjeżdżam do lasu, widzę drewniany drogowskaz, którego na pewno nie postawił tu nikt z służby leśnej. Dwie pionowe, przekreślone, czerwone strzałki wskazujące dwa przeciwne kierunki. Wszystko zaczęło się od tego znaku i mam przeczucie, że wszystko

się na nim skończy. Mój telefon wibruje. Wiem, że to Raisa. Odbieram i słyszę jej przyspieszony oddech.

- Jesteś już tam?
- Już dojeżdżam.
- Dziękuję, że to dla mnie robisz.
- Nie ma rzeczy, której bym dla ciebie nie zrobiła.
- Wiesz, Wika... całą noc o tym myślałam. Nie wybaczę sobie, jeśli coś ci się stanie. Może powinnaś jednak zawrócić?
- Nie, powiedziałam ci, że chcę to zrobić.
- Uważaj na siebie, proszę.
- Nic mi nie będzie.

Coś odpowiada, ale jej głos się zacina, a potem zanika, nie słyszę słów. Zerkam na telefon, pokazuje brak zasięgu. Raisa rozpaczliwie chciała przyjechać tutaj ze mną, ale jest w tak złym stanie, że nie przeszłaby nawet kilku kilometrów. A sprawność fizyczna może się okazać kluczowa w tej grze. W pewien sposób cieszę się, że Raisa została w mieście, bo nie muszę się o nią martwić. Mogłaby też wszystko zepsuć, ostatnio działa zbyt impulsywnie, chaotycznie, emocjonalnie. Choć pewnie gdybym była na jej miejscu, zachowywałabym się tak samo.

Po kilkunastu kilometrach dojeżdżam do małego placu, na którym stoi kilka samochodów. Parkuję obok wielkiego, czarnego jeepa. Obok widzę mini coopera, srebrną toyotę i czerwoną mazdę. I jeden skromny, samotny rower. Wsiadam z samochodu, wydaję z kieszeni telefon i robię zdjęcia rejestracjom. Nie mam pewności, czy należą do uczestników gry, ale wolę je zachować, mogą przydać się później.

Słońce chowa się za chmurami, niebo wygląda jak ciemna płachta. Powietrze jest chłodne, wilgotne, ciężkie. Niewykluczone, że dziś spadnie deszcz. Mam na sobie ciemnozieloną sportową kurtkę, gruby sweter, wygodne spodnie, górskie buty. Ubranie w sam raz na wyprawę po lesie. Włosy wiążę w kucyk i upycham pod czarną

węlnianą czapkę. Wiem, że miedziane loki są największym atutem mojego wyglądu. Zdarzało mi się je eksponować, aby uzyskać potrzebne informacje od napalonych facetów, ale tym razem nie mam zamiaru uciekać się do tanich sztuczek. Poza tym moje włosy są charakterystyczne, a ja nie chcę ściągać na siebie niczyjej uwagi.

Pod okazałą sosną zauważam kolejny znak, wskazujący drogę do lasu. Znow ten sam czerwony symbol przekreślonych strzałek. W tym obrazku jest coś niezaprzeczalnie magicznego. Duch przygody, niewypowiedziana obietnica.

Wyjmuję z bagażnika plecak. Spakowałam do niego mapę, dwie butelki wody, termos, batoniki energetyczne, zapasową bluzę i spodnie, śpiwór, folię termiczną, apteczkę i notes, bez którego nigdzie się nie ruszam. Telefony bywają zawodne, tracą zasięg i wyładowują się w najmniej odpowiedniej chwili, a papier to papier. Zawsze można na niego liczyć. Oprócz tych zwykłych przedmiotów w plecaku mam też gaz pieprzowy i paralizator. Oczywiście nie zamierzam ich używać, jeśli nie będę musiała. Wolałabym obyć się bez przemocy, ale jestem gotowa na samoobronę. I doskonale przygotowana do dziecięcej zabawy w podchody.

\*\*\*

Wilgotne powietrze pachnie mokrą ziemią. Liście, kawałki szyszek i gałązek chrzęszczą pod moimi stopami. Im dalej idę, tym bardziej otula mnie nienaturalna cisza. Drzewa rosną tu bardzo ciasno, jedno przy drugim. Miałam nadzieję, że na szlaku trafię na turystów i zadam im kilka pytań, ale nikogo nie spotykam. Las świeci pustkami. Miejscowi chyba naprawdę wierzą w legendy i przesady. Cisza sprawia, że czuję się nieswojo. Jestem przyzwyczajona do szumu i gwaru, wielu rozmów toczących się jednocześnie, dzwoniących telefonów, obecności innych ludzi. Uwiera mnie brak zasięgu w telefonie, brak kontaktu ze światem. Zrobiłam sporo

wywiadów z mordercami, wiem, że taka wielka przestrzeń jak las to idealne miejsce na ukrycie zwłok.

Ale wiem też, że już nie mogę zawrócić. Będę iść tak długo, aż znajdę to, co jest tu ukryte. Nie wycofam się, bo jestem drapieżnikiem. Hieną. Hieny mają złą opinię, ale to inteligentne, przebiegłe i niebezpieczne stworzenia. Potrafią zaadaptować się w praktycznie każdym środowisku. Na podstawie usłyszanych dźwięków umieją podjąć decyzję o ucieczce lub walce. Najpierw nasłuchują, potem działają. Tak jak ja.

Po kilkunastu metrach marszu dostrzegam pień sosny owinięty czerwoną wstążką łopoczącą na wietrze. To znak, że idę w dobrym kierunku. A potem widzę czerwone wstążki powiewające na konarach drzew, czerwoną taśmę przyklejoną na kamieniach. Naprawdę postarali się, żeby dobrze oznaczyć drogę.

\*\*\*

Prosta, drewniana wiata wylaniająca się z leśnego gąszczu wygląda jak domek z kart. Nie ulega wątpliwości, że to właśnie miejsce zbiórki dla uczestników gry. Na pobliskim drzewie powiewa czarna flaga, na której czerwonym sprejem namalowano znak przekreślonych strzałek i napis „WITAMY”. Na drewnianych ławkach siedzi już kilka osób, na oko dwudziestolatków. Rozglądam się, kiwam im głową na powitanie. Niektórzy odpowiadają kiwnięciem, inni nie zwracają na mnie uwagi. To dziwna zbieranina ludzi – nikt tutaj do nikogo nie pasuje.

Najpierw zauważam Gwiazdora. W każdej grupie jest jakiś Gwiazdor, tu jest nim on – wysoki, wysportowany, przystojny brunet, który wygląda, jakby przybłąkał się tu z planu amerykańskiego serialu. Gwiazdor ma na sobie sportową kurtkę North Face i spodnie do trekkingu. Uśmiecha się do mnie przyjaźnie. Odwzajemniam uśmiech.



Obok niego siedzi chudy, blady chłopak w modnych okularach i w czapce z daszkiem. Na koszulce wystającej spod rozpiętej granatowej bluzy ma napis „Poznań Game Arena 2019”, więc zaryzykuję śmiałą tezę, że jest Graczem. Jego dłoń co chwila nerwowo sięga do kieszeni, pewnie w poszukiwaniu telefonu, po czym opada bezwładnie, kiedy Gracz przypomina sobie, że w lesie nie ma zasięgu.

Kilka metrów dalej, oparta plecami o ścianę wiaty, stoi szczupła, drobna dziewczyna i pali skręcanego papierosa. Ma fioletowe włosy związane w kucyk, kolczyk w ustach i kilkanaście kolczyków w obu uszach. Jest ubrana w czarną kurtkę z kapturem, sprane czarne dżinsy i trampki. Typ Buntowniczkki, która obserwuje wszystkich obojętnym, choć czujnym wzrokiem.

Pod drzewem, nieco dystansując się od całej reszty, stoi milczący, ponury, mocno zbudowany typ. Czarne dresowe spodnie, sportowe buty i czarna harringtonka z flagą Polski na ramieniu, a także ogolona głowa dopełniają obrazu Patrioty-Fanatyka. Stoi nieruchomo, z rękami założonymi na piersi, pusty wzrok wbija w przestrzeń. Swoją pozą wysyła wyraźny przekaz: nie podchodź.

No i jeszcze ta wystraszona, zdenerwowana piękność. Księżniczka, która rozgląda się po lesie, jakby sama nie wiedziała, co tutaj robi. Ewidentnie szuka kogoś, kto się nią zaopiekuje, szuka bratniej duszy. I już wiem, że to ja nią zostanę. Właśnie kogoś takiego miałam nadzieję spotkać i przez najbliższe kilka godzin będę jej przyjaciółką. Przeistoczę się w kogoś, kogo potrzebuje. Może to wyrachowane, może niemoralne – nieważne. W przeciwieństwie do niej ja jestem tu w bardzo ważnym celu, a ten cel uświęca środki.

– Cześć – witam się, podchodząc do niej. – Też zastanawiasz się, czy stąd nie uciec?

Księżniczka śmieje się nerwowo.

– Nie, ja tylko... nigdy niczego takiego nie robiłam. To trochę dziwne. Nie wiem, czego się spodziewać.

– To chyba część zabawy, nie?

– Racja. Tylko czuję się lepiej, kiedy znam plan.

W jej urodzie jest coś szlachetnego, arystokratycznego. Błada cera, wysokie kości policzkowe, prosty, mały nos, kształtne usta, wielkie, piwne oczy. Długie, brązowe włosy zaplecione w warkocz. Żółta kurtka, czerwona czapka, niebieskie legginsy. Ubrana kolorowo, jak postać z baśni. Księżniczka zagubiona w puszczy, uciekająca przed wilkami.

– Jestem Marika – mówi, wyciągając dłoń.

Ma pomalowane, zadbane paznokcie. Na serdecznym palcu błyszczący zaręczynowy pierścionek.

– Raisa – odpowiadam, zamykając jej dłoń w swojej.

– Raisa? – pyta ze zdziwieniem i przez sekundę czuję się niepewnie, chociaż ona nie może znać mojego prawdziwego imienia. Nikt w tym lesie go nie zna. – Piękne imię – mówi po chwili.

– Nawzajem.

Uśmiechamy się do siebie i atmosfera robi się bardzo miła. Już za chwilę zaczniemy sobie nawzajem zaplatać włosy i gadać o chłopakach. Doskonale.

– Wiesz może, o co chodzi w tej grze? – Marika patrzy niepewnie na czarną flagę. – Próbowałam czegoś szukać w internecie, ale nic nie znalazłam.

Nie ty jedna, myślę. Przez ostatni miesiąc bezskutecznie przeczesywałam wszystkie strony i fora poświęcone grom miejskim i terenowym, rajdom przygodowym i survivalom. Szukałam najmniejszego śladu. Z czasem to stało się moją obsesją. Założyłam fikcyjne konta na Facebooku, Instagramie i TikToku, zaczepiałam ludzi, wysłałam setki wiadomości z pytaniami o grę w podchody w Puszczy Posoczyńskiej. I nic. Brak najmniejszego efektu.

Najwyraźniej organizatorzy gry odrobili lekcję i dobrze po sobie posprząтали. Zeszłoroczna edycja raczej nie potoczyła się zgodnie z planem. Ktoś zniknął. A może właśnie tego chcieli? Ale czemu

znów organizują grę? Dlaczego aż tak ryzykują? Może przez brak konsekwencji nabawili się kompleksu bogów? Może uwierzyli, że nikt ich nie szuka i nic im nie grozi? Jeśli tak, popełnili ogromny błąd.

– Czemu tu przyjechałaś? – pytam.

– Chyba po prostu chciałam się wyrwać z domu. – Księżniczka rzuca to lekko, ale na jej twarzy widzę napięcie.

– Wszyscy mamy już dość siedzenia w domu – stwierdzam. – Pandemia daje w kość.

– Nie masz wrażenia, że ta gra jest dziwnie tania? Pięćdziesiąt złotych? – Marika śmieje się nerwowo. – Zawsze myślałam, że takie gry kosztują cztery razy więcej.

– Może chcieli, żeby było nas na nią stać. Wiesz, jest kryzys, dużo ludzi straciło pracę.

– No tak. – Marika kiwa głową – Jasne, masz rację. Nie pomyślałam o tym.

– Cześć! – słyszę głos za plecami.

Odwracam się przez ramię i widzę Gwiazdora. Stoi blisko, ale nie na tyle, żeby któraś z nas mogła się poczuć niekomfortowo. Wyraźnie czeka na zaproszenie do rozmowy. Dobrze wychowany chłopak. Ciekawe, jaki jest jego mroczny sekret. Bo to, że go ma, nie ulega wątpliwości. Nikt nie jest taki doskonały.

– Nie chciałem was podsłuchiwać, ale ja też jestem tu pierwszy raz. – Chłopak uśmiecha się przeprasząco.

– Witamy – mówię, zapraszając go gestem. – Przyłącz się. Im nas więcej, tym weselej.

Ochoczo ściska moją wyciągniętą dłoń. Opuszczam wzrok, na jego nadgarstku widzę sportowy zegarek Garmina. A więc na biednego nie trafiło, odnotowuję w myślach. Pewnie to do niego należy czerwona mazda.

Mówi głośno swoje imię, Aleksander, dla znajomych Aleks. Widzę, jak Marika rozpromienia się, ściskając mu dłoń. W jej oczach zapalają się małe, ciepłe lampki jakby dostała piękny prezent. Nie

winię jej. Choć dawno temu przestałam wierzyć w miłość, wciąż jeszcze pamiętam, jakie to uczucie – spotkać kogoś, dzięki komu serce zaczyna bić szybciej.

– Nie pracujesz czasem w Mordorze na Legnickiej? – pyta Aleks.

– No tak. – Marika mruga i lekko się czerwieni. – Skąd wiesz?

– Chyba minęliśmy się kiedyś przy windach. Często siedzisz w piątce do osiemnastej. Nie sądziłem, że ktoś jest tak szalony. To znaczy poza mną.

Po prawej słyszę ciche prychnięcie. Ponieważ biurowe harlequiny nieszczerólnie mnie interesują, zaintrygowana rozglądam się za źródłem dźwięku. Buntowniczką z fioletowymi włosami uśmiecha się do mnie kpiąco, wyraźnie szukając porozumienia.

– Poczęstujesz mnie fajką? – Ruszam w jej stronę. – Zostawiłam swoje w samochodzie.

Kłamię, bo rzuciłam palenie, kiedy dowiedziałam się o chorobie Raisy. Ale już widzę, że udało mi się wzbudzić jej sympatię. Niewiele rzeczy łączy ludzi bardziej niż wspólny nałóg. Sojusz palaczy, zawsze i na wieki.

– Mogą być skręcane? – Buntowniczką wyciąga papierośnicę w moją stronę.

– Jasne. Dzięki – mówię, biorąc papierosa. – Ratujesz mi życie.

– Chyba raczej zabieram.

Dziewczyna znów się uśmiecha. Trzaska zapalniczka, pojawia się płomień. Odpalam i zaciągam się głęboko, łapczywie, jakbym nie mogła się doczekać.

– Byłaś już tu kiedyś? – pytam od niechcienia.

– Nie, to mój pierwszy raz.

– Mój też. Jestem Raisa – przedstawiam się.

Nie podaję jej ręki, bo wiem, że ta dziewczyna nie przywiązuje wagi do uprzejmości. Raczej doceni brak spoufalania się.

– Lana – mówi, podnosząc papierosa do ust. Na jej palcach widzę ślady smaru, pewnie to ona przyjechała tu na rowerze. Paznokcie są

krótkie i niepomalowane. Na jej nadgarstku dostrzegam dziwny, czarny symbol. Tatuaż w takim miejscu, gdzie skóra jest cienka jak opłatek, musiał bardzo boleć. Ale skoro wybrała właśnie nadgarstek, to znaczy, że lubi ból.

– Lana to ksywa czy imię? – pytam.

– Imię. Miałam mieć na imię Laura, ale mój ojciec przyszedł pijany do urzędu stanu cywilnego. Nie mógł wymówić poprawnie słowa no i w efekcie mam na imię Lana. Beznadzieja, ale mogło być gorzej. Mogli wpisać Lala.

Uśmiecham się, ale twarz Lany pozostaje nieruchoma.

– Też uważasz, że ta gra jest podejrzanie tania? – pytam.

Lana unosi brwi.

– Ja w ogóle za nią nie płaciłam, bo zapisałam się jako pierwsza uczestniczka. Przynajmniej tak mi napisali. I lepiej, żeby to była prawda, a nie chwyt marketingowy. Bo jeśli będą chcieli, żebym zapłaciła, to stąd spadam.

Słyszę śmiech Mariki. Ładny dźwięk, jak śpiew ptaka. Chyba Aleks powiedział coś zabawnego, pewnie korporacyjny żart, którego nikt poza nimi nie mógłby zrozumieć. Lana przewraca oczami, zniesmaczona.

– Spójrz na nich. Zaraz zaczną się bzykać. Miały być podchody, a jest pieprzony Tinder w terenie.

– Nic dziwnego – stwierdzam. – Knajpy, kina i siłownie zamknięte, koncertów nie ma, trudno kogoś poznać.

– Można też spróbować być samemu – stwierdza Lana, wydychając dym.

– A ty jesteś sama?

– Tak i jest mi całkiem dobrze. Cisza. Spokój.

Twarda sztuka, myślę. Ale gdyby naprawdę lubiła ciszę i samotność, zostałyaby w domu.

– Hej! – Przysuwa się do nas Gracz. – Czy wasze telefony mają zasięg? Bo mój nie.

– Mój też nie ma zasięgu – mówię. – A co, masz jakąś pilną sprawę?

– Nie, tylko żadna gra mi nie działa.

– Pewnie w tym rzecz. – Lana obrzuca go kpiącym spojrzeniem. – Musisz zagrać w ich grę, nie w swoją.

– No, najwyraźniej. – Gracz kiwa głową. – Ale zanim straciłem zasięg, zauważyłem ciekawą rzecz. Strona, na której się logowaliśmy, już nie istnieje.

– Żartujesz? – pyta Lana, marszcząc brwi.

– Nie.

– Może to jakiś błąd – mówię, choć nie wierzę w to nawet przez sekundę.

– A może chcą nas wszystkich zabić i tu pochować – stwierdza Gracz, ale nie wydaje się szczególnie zmartwiony tą perspektywą. Wręcz przeciwnie, uśmiecha się kątem ust.

– To czemu wciąż tu jesteś? – pytam. – Nie boisz się?

– Powiedzmy, że nie mam za wiele do stracenia.

– Ja też. Jestem Raisa – mówię.

– Tymon.

Tymon wyjmuję z kieszeni własną paczkę papierosów i zrywa folię. Przyglądam mu się uważnie. Nie wygląda zdrowo. Ma bladą twarz, przekrwione oczy. Chyba dawno nie widział słońca. Chcę zadać mu więcej pytań, ale wtedy podchodzi do mnie Marika. Aleks ją zostawił, więc przykleiła się do mnie.

Dziewczyna ewidentnie nie umie być sama przez pięć minut. Pewnie to wychuchana jedynaczka, chowana pod kloszem przez nadopiekuńczych rodziców, którzy starali się o nią latami, a potem traktowali jak najdroższy skarb. Przedstawiam ją Tymonowi i Lanie. To nie jest jej miejsce, jej ludzie ani jej bajka. Ale z jakiegoś powodu się tu znalazła.

Jedyną osobą, która do tej pory nie podjęła żadnej interakcji z resztą grupy, jest ten posepny, milczący Fanatyk. Wciąż gapi się

w przestrzeń i chyba na coś czeka. Za to Aleks wyraźnie chce zintegrować ze sobą wszystkich, więc podchodzi do niego niczym wodzirej na weselu.

– Cześć, jestem Aleks – zagaduje. – Mieszkasz może w tej okolicy?

Fanatyk powoli odwraca głowę w jego stronę.

– Co ci do tego? – Jego niski głos epatuje wrogością.

– Ja jestem z Wrocławia, inni chyba też. – Aleks wskazuje na naszą grupę. – Może przyjdiesz do nas?

– Nie szukam przyjaciół.

Odpowiedź jest krótka i mocna jak prawy sierpowy. Aleks nie wydaje się jednak zbity z tropu.

– To tylko gra i może będziemy w jednej drużynie – mówi z naciskiem. – Nie musimy się przyjaźnić, ale powinniśmy się chociaż poznać.

Wyciąga rękę do Fanatyka i patrzy mu prosto w oczy. Czuję do niego nagły przyływ szacunku. Najwyraźniej Aleks należy do tego samego gatunku ludzi co ja. Kiedy czegoś chcemy, nie akceptujemy odmowy.

Fanatyk wygląda na zaskoczonego, wyraźnie nie takiej reakcji się spodziewał. Robi krok w jego stronę. Aleks dorównuje mu wzrostem, ale Fanatyk jest od niego potężniejszy. Mimo to Aleks nie cofa się ani nie spuszcza wzroku. Widocznie rozumie, że niektórzy ludzie szanują tylko siłę. Tymon, Lana i Marika urywają rozmowę i spoglądają na nich z ciekawością. Wreszcie po długiej, pełnej napięcia chwili Fanatyk wyciąga dłoń do Aleksa.

– Daniel – mówi.

I wtedy, jak na sygnał, rozlega się odgłos kroków, chrzęst deptanych liści. W naszą stronę zmierza spora grupa ludzi. Są ubrani w ciemnozielone bluzy, beżowe bojówki i spodnie moro, wojskowe buty, glany. Wszyscy idealnie wtapiają się w tło lasu, niczym kameleony.

Rozglądam się. Daniel robi pół kroku w tył i lekko unosi ręce, jakby szykował się do obrony. Widzę, że to u niego odruchowe, niekontrolowane, czysto pierwotne. Czegoś się boi.

Marika nieznacznie przysuwa się do Aleksa, który emanuje pewnością siebie i poczuciem bezpieczeństwa. Lana i Tymon palą w milczeniu, spokojnie czekając na rozwój sytuacji.

Najpierw widzę jego. Wysokiego, brodatego mężczyznę z długimi, brązowymi włosami. Jego postać jaśnieje, sprawia, że wszyscy skupiają na nim wzrok. Nie potrafię określić jego wieku, wygląda bardzo młodo i bardzo staro jednocześnie. Ma w sobie coś z Jezusa.

– Dobrze was widzieć – wita się. – Mam na imię Ksawier i cieszę się, że razem zagramy w podchody.

Ma głęboki, uspokajający głos. W ciepłych, zielonych oczach błyszczy cała miłość świata. Ale ta miłość nie działa, nie w moim przypadku. Sięgam do kieszeni i dyskretnie włączam dyktafon w telefonie.

Mów, Charyzmatyczny Wybrańcu, myślę. Mów do woli. Jeśli dobrze pójdzie, wkrótce twoje słowa przeczyta cała Polska.

– Zawsze spóźniacie się na własną grę? – pyta cierpko Lana. – Czekamy tu na was już z piętnaście minut.

– To dobry sposób, żeby odsiać niepewnych i rozchwianych graczy – mówi Ksawier, uśmiechając się łagodnie. – Mam nadzieję, że nie macie nam tego za złe. W ramach przeprosin mamy dla was herbatę i ciastka.

Na potwierdzenie jego słów cała reszta ekipy podchodzi do nas z termosami i kartonowymi pudełkami. Do mnie zbliża się niska szatynka w zielonej bluzie z kapturem i wojskowych spodniach. Wyciąga w moją stronę pudełko i nalewa parującej herbaty do zakrętki termosu.

– Smacznego – mówi. – Musisz się wzmocnić przed grą.

Jej słowa w połączeniu z zagadkowym uśmiechem brzmią dziwnie dwuznacznie. Przypominam sobie, że dzisiaj rano ci sami ludzie



zlikwidowali własną stronę internetową. Jak długo chcą nas tu trzymać? Co przygotowali?

Przestań, masz paranoję, upominam samą siebie w myślach. To ty przyszedłeś do lasu z plecakiem wyładowanym bronią. Rozmawiaj z ludźmi, zadawaj pytania, zdobywaj informacje, zapamiętuj wszystko. I najważniejsze – wyłącz emocje.

Wącham herbatę, udaję, że wypijam łyk, choć usta mam zaciśnięte. Otwieram pudełko i sprawdzam zawartość. Maślane ciastko ma kształt sowy, oczy są zrobione z migdałów. Z jakiegoś powodu zaczynam myśleć o Alicji w Krainie Czarów. Jak to szło? „Zjedz mnie, wypij mnie”. Alicja najpierw zmalęła, a potem urosła. Ale to była tylko metafora zaburzenia psychosensorycznego, halucynacji występujących u ludzi z ciężką migreną, na którą cierpiał autor książki. W chwilach bólu właśnie tak postrzegał rzeczywistość.

Pakuje ciastko do plecaka, a moja towarzyszka unosi brwi, wyraźnie zdziwiona.

– Ciastko zostawiam na później – wyjaśniam. – W końcu nie wiem, jak długo tu zostanę.

Przez dłuższą chwilę uparcie patrzę w jej oczy. Dziewczyna tylko kiwa głową. Nie umiem odczytać jej wyrazu twarzy, jest nieprzenikniony. Możliwe, że popełniłam błąd, przyjeżdżając tu. Może to tylko grupa nieszkodliwych świrów, która lubi grać w gry terenowe i karmić uczestników fikuśnymi ciasteczkami.

Przyglądam się im wszystkim. Oprócz mojej ciemnowłosej, troskliwej towarzyszki i Ksawiera kręci się tu jeszcze dwóch chłopaków i dwie dziewczyny. Wszyscy rozdają herbatę uczestnikom gry. Ich twarze emanują dziwnym spokojem, ale w oczach czai się rozbawienie. Wyglądają jak leśne duszki, które przygotowały dla zbłąkanych wędrowców jakąś psotę. Coś ukrywają. I nie mogę się doczekać chwili, kiedy to z nich wyciągnę, ujawnię, oświetlę i ogłoszę całemu światu.

– Zasady gry są bardzo proste – mówi Ksawier. – Najpierw dzielimy się na dwie drużyny – Zwiadowców i Partyzantów. W każdej drużynie będzie po sześć osób. My, organizatorzy, jesteśmy Partyzantami, wy Zwiadowcami. Naszym zadaniem jest ukrycie się przed wami. Waszym celem jest podążanie za naszymi wskazówkami i znakami, wykonywanie zadań i ostatecznie znalezienie nas. Kiedy wam się to uda, gra się skończy.

– Dlaczego nazwaliście się Partyzantami? – odzywa się Daniel. – Partyzanci nie siedzą w ukryciu, tylko prowadzą działania przeciwko wrogowi. Czyli przeciwko nam.

Zerkam na Daniela z uznaniem. Całkiem inteligentne pytanie, chyba jednak go nie doceniłam.

Ksawier uśmiecha się szeroko.

– Kolega z wojska? A może z terytorialsów?

Daniel nie odpowiada, tylko zaciska pięści i nie spuszcza z niego wzroku.

– To tylko nazwy drużyn – mówi spokojnie Ksawier. – Nie traktuj ich tak poważnie.

– Może powinniście zmienić nazwy – mówi Daniel.

– Może. – Ksawier kiwa głową. – Jeśli wygrasz, chętnie wysłuchamy twoich pomysłów. Czy ktoś jeszcze ma uwagi?

Zapada chwila ciszy. Ksawier cierpliwie czeka, aż ktoś z zebranych się odezwie, ale wszyscy milczą.

– Okej, przejdźmy dalej – mówi Ksawier. – Zasada pierwsza. W trakcie gry nie używamy internetu. Pewnie chwilami będzie was kusiło, ale w tym lesie i tak nie ma zasięgu. Zresztą zagadki są przygotowane w taki sposób, że internet raczej wam nie pomoże. Zasada druga. Nie nagrywamy, nie robimy zdjęć, nie zapisujemy niczego, co się tutaj dzieje.

– Chwila – odzywam się. – To w jaki sposób udowodnimy wam, że zrobiliśmy zadania? Że nie oszukujemy?

Ksawier zwraca na mnie swoje niesamowite, jasne, świetliste oczy.

– Będziemy musieli po prostu wam zaufać – mówi cicho. – Nie traktujemy was jak oszustów. Jesteśmy wobec was uczciwi i zakładamy, że wy też będziecie.

Intensywność jego spojrzenia nie daje mi spokoju. Szybko wyjmuję dłoń z kieszeni bluzy, gdzie dyktafon nagrywa każde jego słowo.

– Zasada trzecia – mówi Ksawier. – Po skończonej grze nie upubliczniajcie w internecie niczego, co tu się stało. Wkładamy dużo trudu w przygotowanie zadań, nie ma sensu psuć zabawy kolejnym graczom. I znowu. Nie możemy tego na was wymusić, musimy wam zaufać. Ale wierzymy, że zachowacie się przyzwoicie. Zasada czwarta. W trakcie gry możecie wyrzucić kogoś ze swojej drużyny, ale musicie być w tej kwestii absolutnie zgodni. Pięć osób musi zagłosować za.

– Dlaczego mielibyśmy kogoś wyrzucać? – pyta Aleks. – W ten sposób zmniejszamy swoje szanse na wygraną.

– Czasami ludzie po prostu do siebie nie pasują – mówi Ksawier, wzruszając ramionami.

– Mówiłeś, że w lesie nie ma zasięgu. A co, jeśli komuś z nas się coś stanie? – pyta nerwowo Marika. – Jak wezwiemy pomoc?

– Musicie liczyć na pomoc kolegów. – Ksawier uśmiecha się do niej łagodnie. – Jedna osoba może w każdej chwili wyjść z lasu i kogoś wezwać. Ale nic wam nie grozi. Najgorsze, co może was spotkać, to lekkie kontuzje i pogryzienie przez mrówki.

– Jak długo trwa gra? – pyta Lana.

– Gra trwa, dopóki nas nie znajdziecie. Może wam się to udać w ciągu kilku godzin, może zajmie to nieco więcej czasu. Wszystko zależy od was. Oczywiście w każdej chwili możecie zrezygnować i wrócić do domu. Ale jeśli nas znajdziecie, mamy dla was nagrody.

– Jakie? – Pytanie wrywa się z ust Lany chyba trochę mimowolnie, bo szybko zagryza wargi.

Ksawier uśmiecha się szeroko i robi gest, jakby wykonywał magiczną sztuczkę.

– Tego dowiecie się dopiero po wygranej. Wierzymy, że wyobraźnia jest najlepszą motywacją.

Spoglądam na otaczające mnie twarze, wszyscy wyglądają na zaintrygowanych.

– Skoro nie macie więcej pytań, to zaczynamy – ogłasza Ksawier.

Moja towarzyszka wyciąga z kieszeni czarną przepaskę i podsuwa mi ją.

– Co to? – pytam podejrzliwie.

– Przepaska do przewiązania oczu – tłumaczy dziewczyna. – Żebyście nie widzieli, w którym kierunku uciekamy.

– To konieczne? – pytam, patrząc na Ksawiera. Nie ulega wątpliwości, że on tu rządzi. A ja nie mam najmniejszej ochoty stać przed nim zupełnie bezbronna, z zasłoniętymi oczami.

– Nie – uśmiecha się Ksawier. – Nic tutaj nie jest konieczne i obowiązkowe. Ta przepaska to część gry. Widzę, że twoi koledzy z drużyny Zwiadowców nie mają z tym problemu.

Rozglądam się. Rzeczywiście, Aleks, Tymon, Marika, Lana, nawet Daniel bez sprzeciwu zakładają przepaski na oczy. Ale oni przyszli tu, żeby się zabawić. Jeśli Ksawier liczy na to, że dopadnie mnie instynkt stadny, jest w błędzie.

– Myślałam, że nam ufacie – mówię kpiąco.

Ksawier zbliża się do mnie i nieoczekiwanie kładzie mi rękę na ramieniu. Wzdrygam się. Już dawno żaden obcy facet nie dotknął mnie bez mojej zgody. Ale w tym geście nie ma dominacji ani chęci podrywu. Jest coś zupełnie innego, coś, czego nie potrafię nazwać. On patrzy na mnie tak, jakby znał mnie od zawsze.

– To tylko zabawa – mówi cicho. – Pamiętasz te piękne chwile z dzieciństwa, kiedy wydawało ci się, że wszystko może się zdarzyć? Możesz znowu się tak poczuć.

Ma w sobie coś z ulicznego włóczędzy, który zaczepia cię pod sklepem i zaczyna opowiadać dziwne historie, a ty z jakiegoś powodu nie umiesz mu przerwać.

Nie chcę ulegać Ksawierowi i jego nawiedzanej grupie. Nie przyjechałam tu po to, żeby czuć się jak dziecko, ale nie chcę też, żeby nabrał co do mnie podejrzeń. A tak właśnie się stanie, jeśli zacznę otwarcie kwestionować jego zasady. Zakładam opaskę na oczy, zawiązuję materiał z tyłu głowy. Świat momentalnie ciemnieje.

„Nie bój się”.

Czy on naprawdę wyszeptał te słowa, czy to tylko głos w mojej głowie?

Ksawier odchodzi. Słucham dźwięku oddalających się kroków i jego czar szybko przestaje działać.

Dopadnę cię, zbawicielu dusz, myślę mściwie. Radziłam sobie już z takimi jak ty. W momencie kiedy mój tekst pójdzie w świat, nie będziesz miał się gdzie ukryć.

– Posłuchajcie. – Głos Ksawiera dobiega teraz z lewej strony. – Za dziesięć minut usłyszycie dźwięk dzwoniącego budzika. Od tej chwili możecie rozpocząć poszukiwania. Ale gra zaczyna się już teraz. Nasłuchujcie. Powodzenia, Zwiadowcy.

A potem Partyzanci uciekają. Mam wrażenie, że rozbiegają się w czterech różnych kierunkach. Z lewej strony słyszę dźwięk butów miażdżących liście, z prawej szelest krzaków, przede mną skrzypi drzewo, jakby ktoś się na nie wspinał, z tyłu chrzęszczą deptane szyszki. Czuję, że ktoś muska mnie ramieniem. Zaciskam zęby, zmuszam się, żeby stać bez ruchu. Jeśli chcieli nas zmylić i namieszać nam w głowach, udało im się to pierwszorzędnie.

Po chwili odgłosy ucieczki stopniowo cichną, aż wreszcie zapada zupełna cisza. Nie wiem, ile czasu już minęło. Zastanawiam się, jak teraz wyglądamy. Szóstka ludzi stojąca pod drewnianą wiatą z zawiązanymi oczami. Grupa skazańców, którzy dobrowolnie zgłosili się po przygodę.

– Więc... – słyszę za plecami głos Aleksa. – Czy ktoś jeszcze czuje się dziwnie?

Odpowiada mu nerwowy chichot.

– Ja czuję się zajębiście – odzywa się Tymon. – Wyszedłem z domu pierwszy raz od miesiąca, nie muszę nosić maseczki na pysku. Mogę zostać w tym lesie na zawsze.

Uważaj, czego sobie życzysz, myślę ponuro.

– A właściwie dlaczego tu przyszliście? – pytam.

– Barów nie ma, kina nie ma, sport zakazany, na Netflixie już wszystko obejrzone. Ile można czytać książki? – parska Lana.

– Mnie brakowało wyzwania – mówi Aleks.

– I wybrałeś podchody? Serio? – śmieje się Tymon.

– Ty też tu jesteś, tak?

– Tylko dlatego, że znudziły mi się gry na konsoli.

– A ja chciałam po prostu poczuć, że żyję – odzywa się cicho Marika. – Bo już od dawna tego nie czuję.

Zapada chwila ciszy. Nikt nie komentuje jej słów, ale mam wrażenie, że wszyscy się z nimi utożsamiają. Jediną osobą, która nie odpowiada na moje pytanie, jest Daniel. Nie wiem nawet, czy wciąż tutaj jest.

Oddycham spokojnie, miarowo, odliczam w myślach sekundy. Słucham dźwięków lasu, szumu wiatru, głosu ptaków, które nagle zaczęły śpiewać. To przyjemne, relaksujące uczucie, przypominające medytację. Nie podoba mi się tylko poczucie całkowitej bezbronności. Nie wiem, co wydarzy się za chwilę.

Nagle ciszę przerywa przenikliwe, głośnie terkotanie. Dźwięk budzika. Wzdrygam się i z ulgą zrywam opaskę z oczu. Światło najpierw mnie oślepia, ale obraz szybko się wyostrza. Na jednej z ławek terkocze stary, srebrny budzik.

Jak to mówił królik z *Alicji w Krainie Czarów*? „O rety, o rety, na pewno się spóźnię”.

Wybiła godzina czternasta. Czas zacząć poszukiwania. Daniel wyłącza budzik, Marika zakłada plecak, Tymon się przeciąga, Lana wiąże but. Aleks zatacza wzrokiem dookoła, zatrzymując go na każdym drzewie, roślinie i kamieniu.

– To dokąd idziemy? – pyta Marika.

– Idziemy za czerwonymi znakami – mówi Aleks z uśmiechem i wskazuje na sosnę w głębi lasu, poza wyznaczonym dla turystów szlakiem. Na gałęzi powiewa czerwona wstążka.

Aleks rusza pierwszy, szybkim krokiem, a ja idę za nim. Na chwilę ogarnia mnie dziwne, nostalgiczne poczucie podniecenia, wiary w to, że naprawdę wszystko może się zdarzyć. A potem to dziecinne uczucie mija, zastąpione chłodnym gniewem. Wracam myślami do poprzedniego tygodnia i przypominam sobie, jak tu trafiłam.





# **ROZDZIAŁ II**

## **JAK TU TRAFILIŚMY**

### **6 MARCA, ROK 2021 – TYDZIEŃ PRZED GRĄ**

#### **WIKTORIA**

To już nie jest moje miasto, myślę, naciskając pedał gazu. Przejeżdżam przez skrzyżowanie na czerwonym świetle, lekceważę sygnalizację, bo ulica jest zupełnie pusta. Jeszcze pół roku temu o tej porze na pewno tkwiłabym w korku, denerwowała się, waliła w klakson, przeklinała. Nie doceniałam wtedy w żaden sposób wspaniałej, pięknej normalności.

Pandemia uspiła Wrocław tak jak wszystkie inne miasta w Polsce. To już nie jest miasto, do którego przyjechałam na studia i w którym się zakochałam. Teraz to krajobraz po apokalipsie. Wszystko zamknięte, nieczynne, zatrzymane. To miejsce nie należy już do nikogo. Jego mieszkańcy leżą w szpitalach, ukrywają się w domach, uciekli na wieś. Zniknęli.

Jadąc do szpitala, czuję się, jakbym była ostatnią żywą osobą na tej planecie.

Parkuję na końcu ulicy Kamieńskiego, pod samym szpitalem, i już z daleka widzę długą kolejkę starszych ludzi. Co najmniej sto osób, wszyscy czekają na szczepienie przeciw wirusowi, na razie

dostępne tylko dla najstarszych obywateli. Zakładam na twarz chirurgiczną maseczkę i wychodzę z samochodu. Idąc ulicą, czuję się jak hiena żerująca na cmentarzu, szukająca kąsków, żywiąca się ludzkim nieszczęściem.

I już, jak na zawołanie, pierwsze nieszczęście gotowe. Na słupie powiewa kartka z nadrukowanym zdjęciem pięknej dziewczyny i wielkim, czarnym słowem „ZAGINIONA”. Blond włosy otaczają zjawiskową twarz, lodowato niebieskie oczy patrzą kpiąco i zadziornie. Odruchowo wyciągam rękę i dotykam zdjęcia.

„Zaginęła Julia Płomyk.

Data zaginięcia: 13.03.2020.

Wyszła z domu w sobotę, 13 marca, była ubrana w czerwony płaszcz.

Wiek w dniu zaginięcia: 26 lat.

Wzrost: 170 cm, blond włosy, niebieskie oczy.

Widziałeś ją? Zadzwoń na numer policji 997 lub pod numer 667 852 034”.

Na ogłoszeniu ktoś dopisał markerem: „Nie widziałem, ale ruchałbym ją jak dziką kunę w agreście”.

Wyciągam z kieszeni długopis i skrupulatnie zamalowuję to pogardliwe, żalosne szyderstwo napalonego kretyna. Przypuszczalnie pod zdjęciami Julii na Facebooku znajdują się setki takich komentarzy.

Wbijam wzrok w drzwi szpitala i czekam na kogoś, kogo będę mogła zacytować. I w końcu ją zauważam. Kobieta w niebieskim płaszczu, z twarzą osłoniętą maseczką i szalikiem. Wychodzi ze szpitala, idzie szybkim krokiem, z pochyloną głową, zerkając trwoźnie na tłum. Znam ją, doktor Wilińska, mignęła mi na ostatniej konferencji prasowej, stała z tyłu z przestraszoną miną. Ruszam za nią, przeobrażam się w drapieżnika polującego na chorą zwierzynę. Muszę mieć chociaż jeden cytat lekarza, inaczej naczelny nie puści mi tekstu na główną. A tylko teksty z głównej strony się klikają. Jeśli

odwiedzający stronę naszej gazety nie klikną mojego tekstu, to znaczy, że nie wykonuję dobrze swojej pracy. Przynajmniej zdaniem naczelnego.

– Przepraszam, może mi pani pomóc? – wołam za nią.

To tani i niemoralny chwyt, ale nie da się ukryć – bardzo skuteczny. Żaden lekarz nie odmówi pomocy potrzebującemu. Kobieta przystaje i ogląda się przez ramię. Zsuwam maseczkę, tak żeby mogła zobaczyć moją twarz.

– Dzień dobry, Wiktoria Sadurska, „Dziennik Powszechny”. Piszę artykuł o...

– Proszę porozmawiać z rzecznikiem szpitala – ucina ostro. Przyśpiesza kroku, ale idę za nią, wyciągając dyktafon z kieszeni.

– Pani doktor, może jednak chociaż słowo komentarza? Jak wygląda sytuacja w szpitalu?

Lekarka przystaje. Nie widzę wyrazu jej twarzy, ale oczy, widoczne znad maseczki, wyrażają oburzenie.

– Wie pani co, ja dzisiaj pracowałam dwanaście godzin – syczy. – Zmarła mi na rękach trzydziestoletnia pacjentka, w szpitalu skończyły się respiratory, brakuje wolnych łóżek. Nie mamy jak ludziom pomóc. Proszę dać mi spokój.

Mierzy mnie wzrokiem tak długo, aż opuszczam dyktafon, nieco zawstydzona.

„Za miękka” – cmoknąłby mój naczelny, gdyby tylko mógł to widzieć. I miałby rację, jestem zdecydowanie skuteczniejsza w konfrontacjach z politykami, dla nich nie mam żadnej litości. Ale co mi da dręczenie tej biednej kobiety? Świat idzie na dno jak tonący statek, wszyscy o tym wiedzą i bez moich tekstów.

Czuję, jak ktoś klepie mnie w ramię. Odwracam się, gotowa na ewentualną awanturę. Nasza gazeta, jak każdy opiniotwórczy dziennik, ma wielu przeciwników. Ale zamiast wścieklej twarzy wykrzywionej pogardą widzę moją najlepszą przyjaciółkę, Raisę. Ona też pracuje w tym szpitalu. W normalnych okolicznościach

pewnie opieprzyłaby mnie za to, że nękam jej koleżanki. Ale przecież nie jest normalnie. I może już nigdy nie będzie. Raisa rok temu straciła siostrę i ogłoszenia rozklejone w całym mieście nieustannie jej o tym przypominają. Julia patrzy na nią z każdego słupa i z każdego przystanku.

Raisa podchodzi bliżej, widzę łzy w jej oczach.

– Wika – słyszę, jak łamie jej się głos. – Musisz mi pomóc.

Obejmuję ją i przyciskam mocno do siebie, a ona powtarza to zdanie jeszcze kilka razy, jak zakłęcie.

\*\*\*

Kupuję dwie kawy na stacji benzynowej. Czarne, bez cukru, takie jakie obie lubimy. Raisa siedzi w moim samochodzie na miejscu pasażera. Drży i pali jednego papierosa za drugim. Nie powinna palić, jest chora, poważnie chora – tak o tym myślę, bo słowo „śmiertelnie” jest dla mnie niedopuszczalne. Ona nie może umrzeć, nie może zniknąć z mojego życia. Raisa, moja pierwsza i jedyna przyjaciółka. Dzielna, niezłomna, niezniszczalna dziewczyna. Zawsze wszystkim pomagała, stawiała w obronie słabszych, a zupełnie nieoczekiwanie sama stała się jedną z nich. Dopiero teraz widzę wyraźnie, jak się zmieniła przez ostatnie dwa tygodnie. Schudła, rysy jej twarzy wyraźnie się wyostrzyły, skóra zmatowiała, oczy nabrały dziwnego, gorączkowego wyrazu.

Siadam za kierownicą, podaję jej kubek z kawą.

– Masz już wyniki badań? – pytam.

Marszczy brwi. Jest zła, że o tym wspominam, łamiąc temat tabu. Ale czasem muszę jej przypominać o tym, że jest chora, bo sama nie chce się z tym pogodzić. Twierdzi, że trwa pandemia i wszyscy są chorzy, więc jej sytuacja jest właściwie zupełnie normalna. Próbuję wyczytać z jej twarzy odpowiedź, czy wyniki są dobre, czy złe, ale w zamian dostaję tylko ostrzegawcze spojrzenie.

– Jak mogę ci pomóc? – Niechętnie zmieniam temat.

– Wiesz jak – odpowiada natychmiast.

Myślę, że choroba Raisy ma związek z zaginięciem jej młodszej siostry. Cały ten niewyobrażalny stres, nieustający lęk i niepewność, które tłumiła w sobie przez ostatni rok, musiały mieć wpływ na jej organizm. Kilka miesięcy temu zaczęła czuć się zmęczona, osłabiona, ale bagatelizowała objawy, do czasu aż w końcu zemdląca w pracy. Dopiero wtedy zrobiła badania. Kiedy poznała diagnozę, jej determinacja, aby odnaleźć siostrę, zamieniła się w obsesję. Boi się, że nie starczy jej czasu, wiem o tym.

Raisa zaciąga się ostatni raz i gwałtownie gasi papierosa w popielniczce.

– Policja mnie wyśmiała, nic z tym nie zrobią – wyrzuca z siebie. – Minął już rok, odkąd zniknęła, a wiesz, co to dla nich oznacza. Trup. Nie chce im się szukać ciała. Wolą tłuc ludzi na protestach. A kiedy przynoszę im coś, co mogą wykorzystać...

– Raisa – mówię cicho. – Rozmawialiśmy już o tym. To była tylko jakaś stara ulotka, do której dorobiłaś historię. Nie wiadomo, czy twoja siostra wzięła w tym udział. Nie wiadomo, czy ta cała gra w ogóle istnieje. Wiem, że chcesz w to wierzyć, ale...

– Ja wiem, że ona istnieje.

– Skąd?

Raisa wyjmuję z kieszeni czerwoną kopertę i podaje mi ją. W środku jest mała, czarna ulotka. Najpierw widzę znak, dwie pionowe, przekreślone strzałki wskazujące przeciwne kierunki. I czerwone litery układające się w trzy zdania: „Podchody 2021. Dołącz do gry. Podążaj za czerwonymi znakami”. I adres strony internetowej.

– To znalazłam dzisiaj w mojej skrzynce pocztowej. Nowa ulotka, wygląda tak samo jak poprzednia, zmieniła się tylko data. – Głos Raisy zaczyna drżeć. – To przyszło do mnie równo rok po jej zaginięciu. Nadal uważasz, że wszystko sobie wymyśliłam?

Nie odpowiadam. Raisa stuka palcem w ulotkę.

– Na tej stronie można zgłosić się do gry. Zapisalam się.

– Zwariowałaś? – podnoszę głos. – Przecież ty masz raka! Powinnaś leżeć w domu i odpoczywać, a nie ganiać się z jakimiś świrami. Nie pójdziesz tam, nie ma mowy.

– Więc mi pomóż. Ja wiem, że Julka żyje. I nie mogę jej stracić. Nie mogę.

Patrzę na nią bez słowa. Przed oczami stają mi wszystkie wspólne chwile. Moment, kiedy usiadłyśmy w jednej ławce w liceum i po raz pierwszy podałyśmy sobie dłonie. Wszystkie wspólne radości i smutki, tajemnice i sekrety, nocne, szeptane rozmowy przez telefon, pierwsze zawody miłosne, pełna przygód podróż stopem po Europie i ta piękna chwila tuż po maturach, na koncercie Kultu, gdy skakałyśmy, krzycząc: „Hej, czy nie wiecie, nie macie władzy na świecie”.

Ale teraz już nie jesteśmy nastolatkami z całym życiem rozciągającym się przed nami niczym świetlista droga pełna szans, nadziei i możliwości. Teraz jesteśmy dorosłymi, trzydziestoletnimi kobietami. Żyjemy w złych, mrocznych czasach i możemy liczyć tylko na siebie nawzajem. Obie o tym wiemy.

– Pomożesz mi, Wika? – Raisa nie spuszcza ze mnie oczu. – Mam tylko ciebie. Zrobisz to? Znajdziesz ją?

Jej wzrok jest nieugięty, sprawia mi fizyczny ból. Raisa, moja najlepsza przyjaciółka od czternastu lat. Nikt nigdy nie poznał mnie tak dobrze jak ona i nikomu na tym nie zależało. Inni ludzie pojawiali się i znikali z mojego życia, a ona zawsze trwała przy mnie, niezawodna, lojalna i silna.

– Tak – mówię. – Znajdę ją. Obiecuję.

\*\*\*

– Powtórz mi, bo chyba się, kurwa, przesłyszałem.

Tak właśnie odzywa się do mnie Kajetan Dąbrowski, redaktor naczelny „Dziennika Powszechnego”, kiedyś najpopularniejszej gazety w Polsce, obecnie dziennika, który walczy o przetrwanie.

Twarz naczelnego widoczna na ekranie laptopa jest lekko rozmazana, widmowa. Sądząc po jego zdjęciu profilowym na fejsie, dwadzieścia lat temu był przystojnym facetem, ale wszystkie wypalone przez lata papierosy i wypite drinki zrobiły swoje. Obecnie roztył się, wyliniał, spuchł, stał się cyniczny i wściekły na świat. Czasem mu współczuję, ale tylko czasem.

– Jest środek pandemii – przypomina Kajetan. – Ludzie umierają, w szpitalach brakuje miejsc, na ulicach codziennie jakiś protest. Złoty czas dla dziennikarzy, a ty chcesz jechać do lasu, żeby grać w podchody?

– Tak.

Widzę, jak masuje sobie skronie, jakby dostał ataku migreny. Często wykonuje ten gest podczas rozmów ze mną.

– Wiktoria, masz minutę – mówi. – Przekonaj mnie, dlaczego to dobry pomysł.

Poprawiam się na krześle i prostuję ramiona, gotowa do walki.

– Rok temu siostra mojej przyjaciółki zaginęła. Głośna sprawa, pisałam o niej, mieliśmy nawet jej zdjęcie na okładce, pamiętasz?

– Pamiętam, ładna. Nie znaleźli jej. Szkoda dziewczyny, no ale życie toczy się dalej.

Zagryzam wargi, słysząc lekceważenie w jego głosie. To dość bezwzględna postawa, nawet jak na niego. A z drugiej strony gdyby przejmował się każdą mroczną sprawą, którą opisujemy, już dawno by oszalał. Może to moja wina, źle zaczęłam temat. Dla naszej gazety liczą się tylko nowe sprawy, nie stare. Rok temu Julia była tematem numer jeden w Polsce, dzięki jej urodzie sprawa nabrała błyskawicznego rozgłosu w mediach. Ale potem szalejąca pandemia zepchnęła ją z piedestału. Dziś już nikt o niej nie pamięta.

– Nazywała się Julita, tak? – pyta Kajetan przepraszającym tonem, wyraźnie chcąc zatrzeć wrażenie po swojej pierwszej reakcji.

– Julia – poprawiam go. – Julia Płomyk.

Kiedy wypowiadam jej imię, nagle, niespodziewanie, widzę ją tak wyraźnie, jakby właśnie weszła do pokoju. W moich wspomnieniach Julia migoce i skrzy się jak diament. Zawsze wydawała mi się trochę nierzeczywista z tymi swoimi wielkimi, świetlistymi oczami, twarzą elfa i jasnymi, długimi włosami. Kiedy jej na czymś zależało, zatracala się bez reszty i była skłonna do największych poświęceń. Jeśli coś nie szło po jej myśli, szybko zaczynała nienawidzić. Nigdy nie bywała letnia w emocjach. Czułam, że jej życie będzie niezwykle, i rzeczywiście takie się okazało.

Czuję, jak coś ściska mnie za gardło, i chrząkam, chcąc pozbyć się chwilowej słabości. Nie należę do cikliwych osób, zresztą emocje nie działają na naczelnego, jemu potrzebne są suche fakty.

– Powiedziała siostrze, że jedzie z chłopakiem pod namiot, do Puszczy Posoczyńskiej – mówię. – Zaraz później wyłączyła telefon. Jej siostra się zaniepokoiła i zadzwoniła do jej chłopaka. Okazało się, że on był w tym czasie w domu i nawet nie wiedział, że mają dokądś razem pojechać.

– Daj spokój, Raisa, historia jakich wiele – prycha naczelny. – Pewnie to on ją zabił, ukrył zwłoki w lesie i wrócił do domu.

– Policja też tak uważała, więc go sprawdzili. Przez cały weekend był w pracy.

– Więc załatwił ją jej drugi facet. Ten, z którym tak naprawdę pojechała pod namiot.

– I znowu – policja była tego samego zdania. Więc sprawdzili jej maile i wszystkie inne komunikatory, ale nie znaleźli dowodów romansu. Przeszukali Puszcę Posoczyńską, nie było tam ani jej ciała, ani jej rzeczy. Próbowali namierzyć jej telefon, ale nie udało się. Nie było po niej śladu.



– Może miała dość swojego życia, chciała zacząć od nowa i wyjechała za granicę. Takie rzeczy się zdarzają, nie słyszałaś o syndromie Gaugina?

– Słyszałam. Julia nigdy nie zrobiłaby tego swojej siostrze. Gdyby chciała uciec, powiedziała by jej. Bardzo ją kochała.

– Wzruszyłem się. Zostało ci trzydzieści sekund.

– Miesiąc temu moja przyjaciółka, Raisa, sprzątała pokój po siostrze i znalazła starą ulotkę, zaproszenie do gry w podchody. Zwróciła na nią uwagę, bo gra odbywała się w dniu, w którym Julia zaginęła. A ona zawsze uwielbiała gry terenowe, miejskie, escape roomy i inne takie rzeczy. I myślę, że właśnie po to poszła do tego lasu. Żeby zagrać.

Naczelny unosi brwi.

– Są na to jakieś dowody?

– Żadnych.

– No to odpuść.

Za plecami naczelnego pojawia się jego żona w ręczniku. Zaczyna coś do niego mówić, pyta o balsam. Macham do niej. Kiedy zauważa moją twarz w okienku laptopa, bezgłośnie przeklina i szybko wycofuje się z pokoju.

– Próbowałam znaleźć jakiegokolwiek informacje o tej grze – mówię.

– Jeśli to były zwykłe podchody, dlaczego nie było nawet wydarzenia na Facebooku ani wzmianki na Instagramie czy TikToku? Przeczesałam wszystkie strony, wszystkie fora. Nic. Zero. Ani słowa. Słyszałaś, żeby w tych czasach odbywały się wydarzenia, po których nie zostaje żaden ślad w internecie?

– Naprawdę myślisz, że ktoś ją zabił podczas gry w podchody? – parska naczelny. – Jakie masz inne teorie? Morderstwo podczas gry w zbijaka? Daj spokój, oglądasz za dużo Netfliksa.

– Może zabawa wymknęła im się spod kontroli. A może to był zwykły wypadek. Nie wiem. Ale w tym roku, dokładnie za tydzień, odbywa się nowa gra i chcę wziąć w niej udział. Rozejrzę się,

sprawdzę, o co w tym chodzi. Pewnie to ślepy trop, ale jeśli tam dzieje się coś dziwnego, chciałabym to sprawdzić.

Naczelny milknie i widzę, że się zastanawia. Zapada chwila ciszy. Wykorzystuję ją, biorąc łyk kawy. Niestety czuję w ustach błoto z domieszką pleśni. Sięgając na oślep, trafiłam na kubek, który stał na biurku od tygodnia. Często nie pamiętam o tym, by zanieść brudne naczynia do zmywarki. Odkąd mieszkam sama, towarzyszy mi wieczny bałagan, a moje małe mieszkanie wygląda jak lokum studentki, a nie dorosłej kobiety. Stare, komunistyczne budownictwo. Ciasna sypialnia, mikroskopijna kuchnia i zagracony gabinet. Biurko, wygodne krzesło, książki piętrzące się na regałach bez ładu i składu. Głównie literatura faktu. Reportaże, wywiady rzeki, zbiory felietonów. Trochę kryminałów Chmielarza, Miłoszewskiego, Mroza, Kallentoffta, Larssona, Jo Nesbo. No i *Najemnicy z krwi i ognia*, seria bestsellerowych książek mojego ojca, której nigdy nie przeczytałam, bo nie lubię fantasy. A raczej to sobie wmawiam. Bo tak naprawdę jestem zwyczajnie zazdrosna o sukces ojca. O to, że jego historie są czytane i kochane. Tysiące fanów dyskutują o nich na forach i spędach. A gazety z moimi tekstami trafiają do śmieci. To dlatego, że ludzie nie chcą prawdy. Chcą bajek, fantastycznych historii i zmyślonych opowieści. A ja nie potrafię im tego dać. Potrafię dać im tylko prawdę. Może dlatego mój ojciec jest milionerem, a ja wciąż mieszkam w gównianym mieszkaniu, jeżdżę starym samochodem i nie spłaciłam jeszcze karty kredytowej.

Oprócz książek w mieszkaniu piętrzą się kartonowe pudła wypełnione starymi gazetami, sięgają aż do sufitu. Zastłaniają ścianę pomalowaną jedynie do połowy przez faceta, który miał zostać na dłużej, ale był tylko przez chwilę.

– Pamiętasz, jak ostatnio zrobiłaś wcieleniówkę o sekcje, co udawała fundację? – odzywa się w końcu naczelny. – Pamiętasz, jak to się skończyło?

– Pamiętam, że mój tekst bił rekordy popularności i był nominowany do nagrody.

– Przez trzy miesiące grozili ci śmiercią. I teraz masz z nimi proces.

Wzruszam ramionami i uśmiecham się kątem ust.

– Ryzyko zawodowe.

Po moim tekście do redakcji szybko zaczęły przychodzić anonimowe groźby śmierci od zwolenników i członków sekty. Każdą wiadomość drukowałam i wieszałam na tablicy korkowej przy swoim biurku w redakcji na dowód tego, że wykonuję dobrą robotę. Kajetan uznał, że zwariowałam, i próbował wysłać mnie na terapię. Odmówiłam.

– Ciebie to może bawi, ale ja musiałem zatrudnić ochronę w redakcji – mówi naczelny.

– Ja ci nie kazałam tego robić.

Moja mina wyraźnie go denerwuje, bo przysuwa twarz do ekranu i celuje we mnie palcem.

– Nie, ty tylko ściągnęłaś na nas niebezpieczeństwo. Robisz się zbyt arogancka, Wiktoria.

– Ty mnie tego nauczyłeś.

Zacząłam pracę w „Dzienniku Powszechnym” w wieku dwudziestu lat, na pierwszym roku studiów. Przychodziłam do redakcji po wykładach i ćwiczeniach. Doświadczeni dziennikarze na początku myśleli, że jestem rozpieszczoną córką znanego pisarza i szybko się wykruszę. Ale byłam twarda i uparta. Przeszłam wszystkie etapy, od stażystki robiącej relacje z wypadków drogowych, aż do reporterki z prawdziwego zdarzenia.

– Mówiłeś, że nie chcesz w redakcji grzecznych dziewczynek – stwierdzam.

– Bo nie chcę.

– Więc w czym problem?

– Problem w tym, że narobiłaś sobie wrogów, Wiktoria. Ludzie już cię znają. Wiem, że wydaje ci się, że jesteś nietykalna, ale jeśli nie będziesz bardziej uważała, ktoś w końcu cię dopadnie. A ja tego nie chcę.

– Tamto już się nie powtórzy.

– Nie, nie powtórzy się, bo tym razem nie zgodzę się na twoje pomysły. Masz do napisania reportaży o przeciwnikach segregacji sanitarnej czy jak oni to nazywają. Szykuje się protest w Warszawie. Pojedź tam, będziesz miała emocje jak na wojnie.

Sięgam do kieszeni po ulotkę. Specjalnie zostawiłam ją na sam koniec, jako główny argument. Chcę, żeby ją zobaczył i uwierzył. Na Kajetana obrazy działają dużo lepiej niż teorie.

– A tekst o grze w podchody i ewentualnych powiązaniach z zaginięciem Julii damy najwyżej jakimś stażyscie. Jesteś jedną z najlepszych reporterek w tej gazecie i nie chcę, żebyś traciła swój czas na bzdury. Jeśli masz informacje na ten temat, wyślij je na maila Beacie albo Kamilowi.

Moja dłoń ściskająca pod stołem ulotkę momentalnie zgniata ją w kulkę. Nie oddam nikomu tego tematu. Nie pozwolę na to, żeby obce nazwisko pojawiło się przy moim tekście. Reportaży, który może okazać się przełomem w całym śledztwie. I przy odrobinie szczęścia może zmienić mnie z cmentarnej hieny w laureatkę nagrody Grand Press.

## **TYMON**

Krążę po korytarzach pustego biurowca. Znam drogę na pamięć, mógłbym poruszać się po nim z zamkniętymi oczami. Wiem, jak trafić do wind i kuchni, wiem, gdzie znajdują się biurka pracowników i niebieskie kanapy dla gości. W dłoniach mam karabin, a w sercu złość. Dużo złości. Nagle zza półki z dokumentami wyłania się postać ubrana na niebiesko. Strzelam bez wahania. Postać pada na

ziemię, krew z rany bryzga na ścianę. To dopiero oryginalna dekoracja biura. Dokumenty rozsypane na podłodze i krew na podziurawionych ścianach. Żaden projektant wnętrz nie zrobiłby tego lepiej ode mnie. Przeładowuję broń i ruszam dalej, bo jeszcze nie skończyłem.

W tym biurowcu są nasi zakładnicy. Każdy samozwańczy bohater, każdy zbawiciel, który spróbuje ich odbić, musi umrzeć.

Przechodzę obok wind, mijam kolejne martwe ciała, kieruję się w stronę garaży. Nagle słyszę wybuch i wszystko znika w chmurze dymu. Ktoś rzucił granatem. Cofam się w kierunku kuchni, będę bronił dostępu do zakładników.

To dzieje się w ułamku sekundy, wystarczy chwila nieuwagi. Zza zakrętu wyłania się uzbrojona postać i strzela mi w twarz. To mój koniec. Umieram. Znowu.

Ekran komputera szybko ciemnieje. Oglądam całą akcję jeszcze raz, z punktu widzenia mojego zabójcy, antyterrorysty. Z ust wrywa mi się przekleństwo. Jakim cudem dałem się tak łatwo podejść? Kiedyś byłem nie do pokonania w CS-a, ale te złote czasy już dawno minęły. No cóż, chyba się starzeję. A może po prostu jestem zmęczony po tych wszystkich nadgodzinach w robocie.

W ostatecznym rozrachunku moja śmierć niewiele zmienia. Gra toczy się dalej i obserwuję jej przebieg. Pozostali członkowie drużyny terrorystów wciąż działają i walczą. Nie znam osobiście tych ludzi, poznaliśmy się na forum dla fanów Counter-Strike'a. Większość z nich pochodzi z zagranicy i muszę przyznać, że są całkiem nieźli. Zwłaszcza jeden z nich, Partisan, gra jak pro. Sam wyeliminował trzech z pięciu antyterrorystów, a teraz rzuca krótkimi komendami, ratując skórę innym graczom. Kiwam głową z uznaniem. Szanuję ludzi, którzy są dobrzy w tym, co robią.

Bum, Partisan zabija ostatniego przeciwnika. Na ekranie wyświetlają się napisy. Terrorists: 11, Antiterrorists: 7.

Terroryści górą, moja drużyna wygrała kolejną rundę. Otwieram energetyka i unoszę go w geście toastu. To zwycięstwo było mi potrzebne, szczególnie dzisiaj.

Obudziłem się w dziwnym nastroju. Odkąd otworzyłem oczy, czułem się, jakby ktoś mnie obserwował. Usiadłem do komputera i próbowałem pracować, ale nic z tego nie wychodziło. Gapiłem się bezmyślnie w ekran, linijki kodu rozjeżdżały mi się przed oczami. Chciałem wyluzować, więc odpaliłem YouTube'a i puściłem stand-upy, ale wtedy poczułem się jeszcze gorzej. Wydawało mi się, że komicy na ekranie śmieją się ze mnie. Że każdy ich żart to nabijanie się z Tymona Abramskiego. Największy roast w historii, prawdziwe grillowanie, masakrowanie, niszczenie mnie przy nieustannym, ogłuszającym śmiechu publiczności. Poczułem, że lada chwila na moją chatę wpadną antyterroryści z ABW i wywleką mnie na klatkę schodową w samych gaciach, a ludzie na ulicy będą się śmiali i nagrywali wszystko komórkami. Próbowałem zjeść śniadanie, ale nic nie chciało przejść mi przez gardło. Wczorajsza pizza miała dziwny, chemiczny posmak. Współlokatorzy się na mnie gapili. Wiedziałem, że ten lęk muszę mieć wypisany na twarzy.

Ale teraz jest już noc i gram, żeby poczuć, że w końcu mam nad czymś kontrolę.

Rozpoczyna się nowa rozgrywka. Znów jestem w korytarzu biurowca. Obok mnie stoją zakapturzone, uzbrojone postacie z osłoniętymi twarzami.

– Ej, mordo. Sprawa jest.

W drzwiach pojawia się brodata twarz mojego współlokatora, Falkora. Przewracam oczami.

Poznałem Falkora na wrocławskiej polibudzie, obaj studiowaliśmy informatykę w jednej grupie, a po zajęciach graliśmy razem na konsoli. Mówiłem mu zawsze, że nie dam się pokonać komuś, kto ma ksywę po białym smoku z *Niekończącej się opowieści*. On mówił,

że nie da się pokonać typowi, na którego cześć powstało słowo „incel”.

Krótko mówiąc, nawet się polubiliśmy.

Po magisterce Falkor dostał pracę w studiu RebelCraft i polecił mnie do swojego zespołu. Kilka miesięcy później zaproponował mi, żebym wprowadził się do jego mieszkania, akurat miał wolny pokój. Zgodziłem się, choć z natury jestem introwertykiem, ale zarobki na stanowisku juniora nie zwały z nóg, a chciałem zaoszczędzić kasę. Do tej pory żałuję. Myślałem, że będzie nas tylko dwóch, ale Falkor ściągnął jeszcze jednego gościa ze studia i teraz mieszkamy wszyscy razem i pracujemy razem niczym jakaś autystyczna komuna.

Oczywiście, już dawno mógłbym się wyprowadzić. Przy pieniądzach, które zarabiam obecnie, byłoby mnie stać na kupno własnego mieszkania w centrum, a może nawet domu pod Wrocławiem. Ale brakuje mi energii na szukanie lokum i załatwianie formalności.

Relacje między mną i Falkorem zaogniły się, odkąd zaczęliśmy pracować nad grą *Sellswords of Blood and Fire* na podstawie bestsellerowej serii fantasy Artura Sadurskiego. Gdy nasze studio wykupiło prawa, fora fanów Sadurskiego rozgrzały się do czerwoności. Wszyscy byli nieprawdopodobnie napaleni na tę grę. Pisali, że to może być największa rzecz od czasów *Wiedźmina*. Pisali, że jeśli to spieprzymy, zniszczą nasze studio. Bez presji, koledzy, bez presji.

Teraz, gdy zbliża się termin premiery, ja i Falkor pracujemy zdalnie sześć dni w tygodniu, po dziesięć godzin dziennie. Obaj odpowiadamy za kluczowe funkcjonalności w grze i ciąży na nas największa odpowiedzialność. Może dlatego tak często skaczemy sobie do gardeł.

– Znowu ciśniesz w CS-a? – dziwi się Falkor. – Naprawdę, martwisz mnie, mordo. Grasz tylko w strzelanki, nie wychodzisz

z pokoju od miesiąca. Rośniesz na seryjnego mordercę. Chyba powinienem cię wysłać na jakąś terapię.

Wyciągam w jego stronę środkowy palec i mam nadzieję, że to wystarczy, ale nie. Falkor całkowicie ignoruje mój gest i gada dalej, bo kiedy już zacznie, nic nie jest w stanie mu przeszkodzić.

– Zagrałbyś w coś z klasą, Final Fantasy albo Wieśka 3 – zrzędzi.  
– Coś z fabułą, pobudziłbyś swoją kreatywność. Przydałoby ci się to, bo ostatnio nawet twój kod jest chujowej jakości. A byłeś najlepszy z nas.

– Jestem najlepszy z was – poprawiam go. – Po prostu mam teraz ważniejsze sprawy na głowie.

– Niby co jest ważniejsze od Najemników? – krzywi się Falkor. – I nie mów, że dziewczyna, bo wiem, że jej nie masz. I nie mów, że życie, bo wiem, że też go nie masz.

– Jest pandemia – przypominam. – Nikt nie ma życia.

Falkor uważa się za mojego najlepszego kumpla i myśli, że mnie zna, a tak naprawdę nic o mnie nie wie. I tak musi zostać.

– I weź, stary, ogarnij ten syf, bo zaraz będziemy mieli karaluchy – mówi Falkor, podnosząc z mojego łóżka miskę po zupce chińskiej.

Ma trochę racji. Z popielniczki wysypują się niedopałki, podłoga jest zasłana pudełkami po pizzy, na biurku piętrzą się puste puszki po energetykach. Tylko komputer i trzy monitory są w nienagannym stanie.

– Mój pokój, mój syf – stwierdzam.

– Moje mieszkanie, moje zasady – odpowiada Falkor.

– Ej, weź się już łaskawie odpiardol i daj mi grać.

– Aha – fuka Falkor. – No dobrze. Niegrzecznie, ale szczerze. Rozumiem, nie radzisz sobie z krytyką. Nie płacz mi potem, jak cię wywalą z roboty.

W odpowiedzi tylko parskam śmiechem. Puste pogrożki. Falkor wie, że koduję lepiej od niego. Właśnie to go wkurza, uczeń przerósł mistrza. Zresztą w obecnych czasach obaj jesteśmy na wagę złota.



Nikt nas nie zwolni, bo nasze zdolności są unikalne. Jesteśmy niczym egzotyczne ptaki zagrożone wyginięciem.

Kiedy Falkor wychodzi, zdaję sobie sprawę, że mikrofon na komunikatorze przez cały czas był włączony. Inni gracze musieli słyszeć naszą rozmowę. Mam nadzieję, że nie znają polskiego.

– *Sorry for that* – odzywam się na wszelki wypadek. – *My roommate doesn't know when to shut up.*

Kilka osób po angielsku odpowiada, że nic się nie stało. Tylko jeden z graczy, Partisan, się śmieje.

– Kolega miał rację – mówi. – Strzelanki to nic ciekawego. Nawet jeśli przegrasz, nikt nie może zrobić ci krzywdy. Niczego nie ryzykujesz.

– Jak w każdej grze – stwierdzam.

Przez chwilę biegam po budynku i strzelam do przeciwników. W tej rozgrywce antyterrorystycznej wyraźnie się zmobilizowali i eliminują nas po kolei. W ciągu kilkunastu sekund tracimy trzech członków drużyny. Na placu boju zostajemy tylko ja i Partisan.

– Jest jedna gra, w której możesz naprawdę ucierpieć, jeśli zrobisz coś źle – mówi Partisan.

– Paintball?

Słyszę chłodny śmiech w słuchawce.

– Zgadnij jeszcze raz, Tymon.

Dziwne, nie przypominam sobie, żebym mu się przedstawiał. Może usłyszał, jak Falkor wypowiedział moje imię? Ale czy on w ogóle zwrócił się do mnie po imieniu? Nie pamiętam, nie słuchałem go.

– Miałem na myśli prawdziwą grę – mówi Partisan.

– Jaką grę?

– Chcesz zagrać?

Nie odpowiadam. Gra, w której można ucierpieć naprawdę, w czasach, kiedy wszystko jest fikcją? Brzmi całkiem interesująco.

– To coś nielegalnego? – pytam.

– Zależy, jak na to spojrzeć. To ma dla ciebie znaczenie?

– Nieszczególnie – przyznaję.

– To dobrze. To nie jest gra dla tchórzy. Nie zapraszam do niej byle kogo.

– Jestem zaszczycony.

– Powinieneś być.

Gdy rozgrywka w Counter Strike'a się kończy, sprawdzam dane Partisana na komunikatorze. Jako awatar wstawił animowanego żołnierza. W kolumnie „rola” wpisał: wybawiciel. A w notatce na swój temat wybrał cytata z *Najemników z krwi i ognia* Artura Sadurskiego.

„Miecz w mojej dłoni to broń dająca prawdziwą siłę, nie tylko dla buntu, ale także dla wolności. Oto ja, wyzwolony, idę przez ciemny las w godzinie próby i nie oglądam się za siebie”.

Ten cytat pozbawia mnie ostatnich wątpliwości.

– Jak można się zgłosić do tej twojej gry? – pytam.

W komunikatorze pojawia się link. Najeżdżam na niego myszką i klikam. Zwykła, prosta strona, nic szczególnego. Czarne tło, dziwne czerwone logo ze strzałkami i formularz zgłoszenia. Imię, nazwisko, e-mail. Żadnych informacji o grze, instrukcji, szczegółów.

– To wszystko? – pytam. – Ta gra nie ma zasad?

– Są zasady – mówi Partisan. – Tylko jeszcze ich nie znalazłeś. Wysił się trochę, poszukaj ich. Wiem, że potrafisz. Do zobaczenia po drugiej stronie, Tymon.

– Co? Ej, poczekaj!

Głos w mikrofonie milknie.

Wracam do strony, sprawdzam kod źródłowy. Analizuję go linijka po linijce. Może jest w nim zawarta ukryta informacja, jakieś dane, wskazówki. I po chwili już widzę. Jedna linijka kodu wyraźnie nie pasuje do pozostałych. To nielogiczny ciąg liter, wygląda na zaszyfrowaną wiadomość. Uśmiecham się szeroko. Na studiach uwielbiałem kryptologię. Falkor jednak miał rację, powinienem coś ze sobą zrobić. Czas wyjść z mieszkania, rozprostować kości i spróbować swoich sił w prawdziwej grze.

## MARIKA

Czasami chciałabym po prostu zniknąć.

Rozpłynąć się w powietrzu, rozpaść na milion kawałków.

Czytałam, że gdy na Hiroszimę zrzucono bombę atomową, ludzie w tym mieście po prostu wyparowali. Nie umarli, nie zginęli z gorąca, ale wyparowali, a ich cienie pojawiły się na ścianach budynków. Czasem myślę o tym, że ja też mogłabym wyparować. Zwłaszcza w takich chwilach jak ta.

Siedzę w aucie i łkam jak bezradne dziecko. Gorące łzy ciekną mi twarzy, rozmazują tusz do rzęs, zostawiając czarne smugi na policzkach. I nie mogę przestać. Nie mogę.

To mój codzienny rytuał. Po ośmiu godzinach pracy w biurze wsiadam do samochodu, przyjeżdżam pod mój blok i płaczę, bo nie chcę wejść do mieszkania. Kiedyś naprawdę lubiłam to białe, nowoczesne wnętrze wypełnione designerskimi obrazami i meblami z Ikei. Teraz za żadne skarby nie chcę do niego wracać.

Słyszę dzwonek telefonu. Biorę głęboki, drżący oddech i podnoszę aparat do ucha.

– Gdzie jesteś? – słyszę jego głos.

Kiedyś ukochany, teraz najbardziej znienawidzony głos na świecie.

– Właśnie parkuję, zaraz przyjdę. – Staram się brzmieć spokojnie.

– Nie kłam. Widzę, że od piętnastu minut siedzisz w aucie pod blokiem.

– Słuchałam radia, jest ciekawa audycja...

– Nie chcesz wracać do domu? Tak ci ze mną źle? A chcesz, żeby było jeszcze gorzej?

Spoglądam w okna mieszkania i widzę go. Jasne włosy, niebieskie oczy, aryjska uroda. Przystojny chłopak, prawnik na aplikacji prokuratorskiej, koleżanki w pracy mi go zazdroszczą. Nie mają pojęcia, co się dzieje w naszym domu. Nikt nie wie.

Coraz ciaśniej owijam srebrną bransoletkę wokół nadgarstka, aż dłoń staje się sina. Tracę w niej czucie, a mimo to nie mogę przestać.

– Nie chcę się kłócić – słyszę swój drżący głos.

Wciąż na niego patrzę. Jego twarz nie zdradza żadnych emocji, jak zwykle. Czasem zastanawiam się, czy on wie, jak bardzo go nienawidzę, czy zdaje sobie sprawę z tego, że oprócz strachu i wstydu są we mnie także inne uczucia.

– Wracaj do domu i przestań się nad sobą użalać – mówi. – Codziennie odstawiasz ten cyrk, robisz z siebie pośmiewisko. Sąsiedzi już wiedzą, że coś jest z tobą nie tak. Współczują mi.

Wiem, że kłamię, a mimo to jego słowa boją. Sąsiedzi na pewno wiedzą, że nie jesteśmy normalną parą. Muszą to wiedzieć, skoro tydzień temu Krystian wypchnął mnie na klatkę schodową, gdy byłam w samej bieliźnie, i nie otworzył drzwi, dopóki go nie przeprosiłam. A wszystko tylko dlatego, że nie chciałam pójść z nim do łóżka. Powiedział, że to mój obowiązek, skoro jestem jego przyszłą żoną.

– Zaraz przyjdę – mówię cicho.

Po raz kolejny zadaję sobie pytanie, jak to możliwe, że w ciągu kilku miesięcy moje zwyczajne życie zamieniło się w takie piekło.

W szkole byłam bardzo poukładanym dzieckiem. Rozsądną, grzeczną dziewczynką, zgarniającą same piątki, ulubienicą nauczycieli. Dobrze radziłam sobie na studiach. Zdawałam egzaminy w pierwszym terminie, nie miałam ani jednej poprawki. Panna Idealna – tak o mnie mówili skacowani koledzy, którym pożyczałam notatki. Ale lubili mnie, przez całą edukację byłam lubiana i akceptowana. Myślałam, że tak już będzie. Myślałam, że jeśli traktujesz ludzi dobrze, oni odwdzięczą się tym samym. Duży błąd.

W końcu przyszedł czas na pracę i prawdziwą dorosłość. Najpierw staż w niemieckiej korporacji i juniorskie stanowisko. Potem awans i kolejny. Wszyscy klepali mnie po plecach i mówili, że robię dobrą

robotę. Ale wciąż brakowało mi czegoś w życiu. Czułam się pusta, samotna, niekompletna.

I wtedy poznałam Krystiana. I zaczęłam marzyć, śnić na jawie. Wyobraziłam sobie, że spotkałam bratnią duszę i już nigdy nie będę sama. Szybko, o wiele za szybko zaręczyliśmy się i kupiliśmy mieszkanie. Miłość mnie zaślepiła, odebrała zdrowy rozsądek, sprawiła, że całkowicie ignorowałam drobne, niepokojące znaki. Myliłam kontrolę z opiekuńczością. Zaborczość z troską. Zazdrość z zainteresowaniem.

A potem przyszła pandemia, zamknęli nas w domach i poznałam go tak naprawdę.

Zaczął się poniżanie, popchnięcia, szarpanie za włosy, zrzucanie z łóżka. Małe, codzienne podłości. A kiedy w końcu powiedziałam mu, że mam dość i chcę odejść, zdradził mi swój mały sekret. Od samego początku związku potajemnie nagrywał, jak uprawiamy seks. Zapowiedział, że jeśli spróbuję go zostawić, chętnie wyśle te nagrania do mojej firmy i znajomych z Facebooka oraz anonimowo wrzuci je do internetu. A potem wyjawiał mi swoją linię obrony, którą w razie potrzeby przedstawi w sądzie. Według niej ja ochoczo zgodziłam się na nagrania, a potem ktoś ukradł mu telefon i wrzucił nasze prywatne filmy do sieci bez jego wiedzy. On sam jest ofiarą sytuacji. Z każdym jego zdaniem bladłam coraz bardziej, a on uśmiechał się coraz szerzej.

Tamtego dnia po raz pierwszy rozplakałam się w samochodzie.

Nie wiedziałam, co robić, byłam zdesperowana do granic możliwości.

Gdyby odcięcie sobie serdecznego palca było ceną za uwolnienie się od Krystiana, zrobiłabym to bez wahania.

Czasem wyobrażałam sobie, że wyprowadzam się do innego kraju, zmieniam imię i nazwisko, zaczynam zupełnie nowe życie. Na służbowym komputerze szukałam miejsc, do których mogłabym uciec. Robiłam to w biurze, po godzinach, bo w domu Krystian

kontrolował wszystko, co robię, sprawdzał moje SMS-y i historię przeglądanych stron.

Ale w końcu porzuciłam fantazję o nowym życiu. Nie miałam pojęcia, jak wytłumaczyć swoją ucieczkę rodzinie. Moi rodzice uwielbiali Krystiana i nieustannie powtarzali mi, jakie mam szczęście, że z nim jestem. Wiedziałam, że gdybym wyznała im prawdę, nigdy by mi nie uwierzyli. Wiedziałam, że mogliby mu zdradzić, dokąd uciekłam. A nie byłam w stanie zdobyć się wobec nich na takie okrucieństwo jak zniknięcie bez słowa.

– Powiedziałem, wracaj do domu. – Głos Krystiana w telefonie przywołuje mnie do porządku, po czym milknie.

Sięgam do torebki po waciki i mleczko do demakijażu. On nie zobaczy mnie w takim stanie, nie dam mu tej satysfakcji.

Patrzę w lusterko i powolnymi ruchami zmywam ciemne smugi z twarzy.

Myślę o tym, jak będzie wyglądał nasz wieczór. Na kolację ugotuję mu coś, co lubi, żeby chociaż przez chwilę był zadowolony. Nie, nie dodam do jedzenia trucizny. To miła myśl, ale nadal – tylko myśl. Nie mam tyle odwagi i on doskonale o tym wie.

Zjemy w milczeniu, a potem czeka mnie bezsenna noc na kanapie w salonie. I strach, że on w końcu do mnie przyjdzie. I że tym razem nie będzie przejmował się moim sprzeciwem.

Kątem oka dostrzegam, jak ktoś w ciemnym kapturze podchodzi do mojego auta i wkłada ulotkę za wycieraczkę. To pewnie gość, który skupuje samochody z całego osiedla i sprzedaje je na części.

Wysiadam z samochodu i wyjmuję ulotkę zza wycieraczki. Nie wygląda na reklamę. Jest czarna, a jaskrawoczerwone napisy przyciągają wzrok. Gdy czytam tekst, czuję, jak moje serce gwałtownie przyspiesza. Rozglądam się za chłopakiem w kapturze, ale już go nie ma. Zaciskam dłoń na ulotce. Czerwone litery tańczą mi przed oczami i dają nadzieję. Nadzieję na ratunek, na wyjście z niemożliwej sytuacji.

Może jednak uda mi się zniknąć.

## **ALEKS**

Dziś w nocy znów o niej myślałem. Choć przecież obiecałem sobie, że już nigdy więcej. Po tylu latach to nierozsądne, nieracjonalne, niezdrowe. Nielogiczne. Zupełnie jakbym sabotował swoje nowe życie, które budowałem z takim trudem. Problem w tym, że wbrew temu, co mówią, czas nie leczy ran. Czas tylko je pogłębia.

Najważniejsze to przestać czuć, powtarzam sobie po raz setny.

Potem wszystko stanie się łatwe.

Szybko oddycham, stopy uderzają miarowo o ziemię, deptają małe kamyczki, pracują w tym samym rytmie co ramiona. Przebiegłem już prawie dziewięć kilometrów, w planie mam jeszcze sześć. Czuję tętno pulsujące w skroniach, ogień pełzający w płucach, pot spływający po karku. Cały składam się z ruchu, pędu powietrza i własnego przyspieszonego oddechu.

Dochodzi północ. Zacząłem biegać w nocy przez narastające problemy z bezsennością. Nie chciałem łykać prochów, uznałem, że uporam się z tym sam.

Światło czołówki wyłania z mroku przeciwpowodziowe wały, prześlizguje się po rzece i moście majaczącym w oddali. Szutrowa ścieżka prowadzi do miejskiego lasu, który zaraz wyłoni się zza zakrętu. Zegarek na moim nadgarstku wyświetla trasę biegu, mierzy tempo, dystans i czas. Staram się kontrolować każdy aspekt mojego życia, to daje mi poczucie bezpieczeństwa.

Przed wyjściem na trening wyrzuciłem wszystkie jej zdjęcia. Smutno wyglądały w kontenerze. Szczęśliwa, roześmiana, ciemnowłosa dziewczyna wśród opakowań po chińszczyźnie, gnijących resztek owoców i zużytych kosmetyków. To mi jednak nie pomogło, więc postanowiłem wyrzucić wszystkie przedmioty, które mi się z nią kojarzyły lub o niej przypominały. Finalnie wyrzuciłem

z domu większość rzeczy. Ale nie szkodzi, bo w przeciwieństwie do Starego Aleksa Nowy Aleks lubi minimalizm.

Gdy miałem dwadzieścia pięć lat, moje dotychczasowe życie zostało przerwane nagle, brutalnie i bez ostrzeżenia. W ciągu jednego dnia straciłem jednocześnie wolność i dziewczynę, którą kochałem. Takie rzeczy zdarzają się, gdy zbyt mocno ufasz losowi, gdy jesteś zbyt ogłupiony własnym szczęściem. Ale to było siedem lat temu. Teraz jestem już kimś innym.

Musiałem zbudować się od nowa, zaprojektować samego siebie od zera.

Nowy Aleks mieszka sam w trzypokojowym, przestronnym mieszkaniu, w nowym budownictwie. Ma dobrą pracę, w której jest lubiany i doceniany. Jest uprzejmy wobec współpracowników, każdemu okazuje szacunek. Dobrze zarabia i co miesiąc przekazuje stałe kwoty pieniędzy na organizacje charytatywne. Raz w miesiącu spotyka się z kolegami na piwo w barze i ta namiastka życia towarzyskiego w zupełności mu wystarcza. Nigdy nie przekracza granicy dwóch piw. Wieczorami czyta książki, głównie literaturę faktu, i słucha podcastów. Lubi rozumieć mechanizmy, które kształtują jego rzeczywistość. Nowy Aleks ma zbilansowaną dietę i prowadzi zdrowy tryb życia. Wie, jak zabijać czas. Ma dom pełen medali za uczestnictwo w zawodach strzeleckich, rajdach przygodowych, biegach z przeszkodami, górskich ultramaratonach. Nowy Aleks raz w miesiącu odwiedza rodziców. Podczas wizyt rozmawiają głównie o jego pracy i ich planach na emeryturę. Rodzice nigdy nie pytają go o życie prywatne. To ich niepisana umowa. Nowy Aleks najbardziej czeka na niedzielę. W niedzielę spotyka się z Grupą. Przez kilka godzin spędzonych z Grupą Nowy Aleks może być sobą. Soberem na całego. A potem wraca do swojej bezpiecznej rutyny.

Kiedy wybiegam z zakrętu i widzę przed sobą ścianę lasu, chrząst żwiru wdziera się w moje myśli. Słyszę, że ktoś biegnie za



mną. W pierwszej chwili myślę, że to inny biegacz, więc odruchowo przesuwam się, aby zrobić mu miejsce. Potem uświadamiam sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, nikt poza mną nie trenuje o tej porze. Po drugie, kroki są dziwnie ciężkie i głośnie.

Zatrzymuję się gwałtownie i oglądam przez ramię. Ścieżka za mną jest pusta, a przecież wyraźnie słyszałem...

I wtedy światło czołówki pada na najbliższą sosnę. Widzę ciemnoczerwone, gęste, mokre ślady spływające po korze. Cofam się o krok.

Czerwona farba układa się w dwie pionowe strzałki wskazujące przeciwne kierunki, przekreślone dodatkową linią. W pierwszej chwili myślę, że to oznaczenie drzewa przeznaczonego do wycięcia, ale potem rozpoznaję znak. Widziałem go już wcześniej. Kilka dni temu, wracając z pracy, wziąłem ulotkę od chłopaka, który rozdawał je na skrzyżowaniu. Próbuję sobie przypomnieć, jak wyglądał, ale nie potrafię. Miał twarz zasłoniętą chirurgiczną maseczką, jak wszyscy teraz, a na głowie kaptur. Wziąłem ulotkę odruchowo, nawet jej nie przeczytałem, od razu wsunąłem ją do kieszeni. Ale zapamiętałem ten symbol.

Rozglądam się i moje serce przyśpiesza. Wszystkie drzewa po obu stronach ścieżki są pomalowane czerwoną farbą. Brzozy, sosny, graby, modrzewie, wszystkie zostały oznaczone. Wyglądają jak orszak powitalny na moją cześć.

Nie muszę sprawdzać cyfr na zegarku, żeby wiedzieć, jak bardzo przyśpieszył mój puls. Myśl, że ktoś zniszczył drzewa specjalnie dla mnie, przebija się przez mur racjonalizmu i atakuje jak namolny owad.

Postanawiam zmienić plany na dziś i darować sobie przebieżkę przez las.

Zawracam i wybiegam spomiędzy drzew na otwartą przestrzeń. Chcę jak najszybciej oddalić się od tego miejsca. Moje buty w równym tempie uderzają o szutrową drogę, puls wraca do normy.

Uspokajam się. Ktoś w akcie bezmyślnego, szczeniackiego wandalizmu zniszczył drzewa. To przykre, ale to nie ma nic wspólnego ze mną. To sprawa dla policji i ludzi zajmujących się zielenią miejską.

Mijam wzgórze Maślickie. Zwykle trenuję na nim podbiegi, ale dziś nie mam nastroju. Nie mogę nawet porządnie zebrać myśli. Widzę przed sobą żółtą barierkę i znak drogowy oznaczający zakaz wjazdu dla samochodów. Od parkingu i najbliższych zabudowań dzielą mnie już tylko dwa kilometry, zaledwie kilka minut. Biegnę w kierunku mostu Rędzińskiego, jego światła odbijają się w Odrze, rzucają rozkołysane błyski.

I znów niechciany dźwięk, tuż za moimi plecami. Oglądam się przez ramię. Światło czołówki oświetla pustą ścieżkę. Kolejne złudzenie.

Spoglądam przed siebie i nagle widzę, że ktoś stoi przy barierce. Mrugam. Jak to możliwe, że wcześniej go nie zauważyłem? Przecież nie pojawił się tu znikąd.

Przyśpieszam, jak zawsze na ostatnich kilometrach. Zwykle koniec trasy oznacza przyjemny strzał adrenaliny, ale nie tym razem. Teraz czuję głównie niepokój. Ciemna postać rośnie mi w oczach.

Mężczyzna stoi nieruchomo, z rękami w kieszeniach, oparty o barierkę. Ma na sobie czarną kurtkę, spodnie moro i wojskowe buty. Nie widzę jego twarzy, bo zasłania ją kaptur i długa, gęsta broda. Im bardziej się do niego zbliżam, tym silniej narasta we mnie drażniące uczucie, przypominające uporczywy skurcz łydki.

Zastanawiam się, co tu robi sam w środku nocy. Jego ubranie wskazuje, że nie przyszedł na trening. Wygląda, jakby na kogoś czekał. Może na dilerę. Choć nie wykonuje żadnego gestu w moim kierunku, jest w nim coś dziwnego, utajona groźba.

Wbijam spojrzenie w linię horyzontu, żeby nie nawiązywać z nim kontaktu wzrokowego. Chcę za wszelką cenę uniknąć konfrontacji. Przypadkiem znaleźliśmy się w tym samym miejscu, w tym samym

czasie. To jeszcze nie znaczy, że muszą wyniknąć z tego problemy. Mijam barierkę, do parkingu został mi już tylko jeden zakręt, tylko kilkadziesiąt metrów...

– Cześć, Aleks.

Zatrzymuję się. Albo się przesłyszałem, albo naprawdę wypowiedział moje imię. Podchodzę do niego wolnym krokiem. Nie jestem w stanie go rozpoznać, choć mam naprawdę dobrą pamięć do twarzy. To może być ktoś z Grupy. Ale tam przecież wszyscy jesteśmy anonimowi. Nie używamy prawdziwych imion, a tym bardziej nazwisk, każdy ma pseudonim.

– Znamy się? – pytam.

– Ja cię znam.

Zbliżam się do niego. Zastanawiam się, czy czekał tu specjalnie na mnie, ale uznaję, że to niemożliwe. Nikt nie zna rozkładu mojego dnia, on nie mógł wiedzieć, że tu dzisiaj będę.

Nieznajomy obrzuca mnie nieodgadnionym spojrzeniem.

– Trenujesz do zawodów? – pyta.

– Wszystkie są odwołane – mówię. – Pandemia.

– No tak. – Kiwa głową. – I co? Tak sobie trenujesz bez celu? Musisz być strasznie znudzony.

Nieszczególnie, myślę. Na pewno nie w tej chwili.

– Mogę ci w czymś pomóc? – pytam grzecznie, bo Nowy Aleks jest uprzejmy. Zawsze i bez względu na okoliczności.

– Nie. Ale możesz pomóc sobie.

– Nie potrzebuję trenera – stwierdzam. – Ani przewodnika duchowego.

Nieznajomy parska chrapliwym śmiechem.

– A wyglądam jak pierdolony trener?

Potrafię wyczuć intencje ludzi. Wiem, kiedy czegoś ode mnie chcą, a kiedy zamierzają zrobić mi krzywdę. Wiem, że powinienem teraz pobiec dalej. Ale nie mogę. To dziwne, ale czuję się, jakby

nieznajomy miał nade mną kontrolę, choć nie zrobił nawet kroku w moim kierunku.

– Powiesz mi, o co chodzi? – pytam. – Śpieszę się do domu.

– Czemu? Nikt tam na ciebie nie czeka. Nienawidzisz tego mieszkania. Najchętniej byś je spalił, ale nie robisz tego, bo nie chcesz narażać sąsiadów.

Czuję, że mój zegarek wibruje na nadgarstku. Sygnalizuje, że powinienem zwolnić tempo biegu, choć nie ruszam się z miejsca. A mimo to mój puls przekracza normę. Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło, nawet podczas Biegu Rzeźnika. Przełykam ślinę i zmuszam się do zachowania spokoju. Już raz straciłem nad sobą kontrolę i ta chwila zmieniła bezpowrotnie całe moje życie. Nie pozwolę, żeby to się powtórzyło. Nowy Aleks nigdy nie traci kontroli.

Nieznajomy wzrusza ramionami, uśmiech znika z jego twarzy.

– Widzisz? Mówiłem, że cię znam.

Oprócz nas dwóch nie ma tu zupełnie nikogo. Otaczają nas tylko rzeka i las. Z jakiegoś powodu wiem, że nie mogę stąd odejść, bo w ten sposób się od niego nie uwolnię. On pójdzie za mną. Nie mogę też go uderzyć, powalić na ziemię, bo wstanie i odda mi dwa razy mocniej. Nagle czuję, jak bardzo ograniczone są moje możliwości.

– Znalazłem coś – mówi nieznajomy. – Coś, czego tak bardzo ci brakowało.

Już wiem, skąd się brało to drażniące uczucie. Patrząc na niego, czuję się, jakbym patrzył w lustrze we własną twarz.

## **LANA**

Ukradli mój znak. To pierwsza myśl, która przychodzi mi do głowy, gdy patrzę na ścianę budynku. Myśl kompletnie bezsensowna, głupia i absurdalna, bo przecież ten znak nigdy tak naprawdę nie należał do mnie. Podzieliłam się nim ze światem. Dwie przekreślone

strzałki wskazujące przeciwne kierunki miały symbolizować brak wyjścia. Uwięzienie. Mylenie tropów. Po raz pierwszy namalowałam go w wieku szesnastu lat, ozdobiłam nim mur swojej szkoły. A potem sprejowałam go w wielu innych miejscach w całym Posoczyne. Miałam wielkie marzenia, chciałam zostać anonimową artystką streetartową, jak Banksy. Ale udało mi się tylko anonimowa część.

Bo w moim życiu stało się coś bardzo złego. Coś, co sprawiło, że zapomniałam o wielkich marzeniach i tym znaku. Myślałam, że świat też o nim zapomniał.

A teraz, osiem lat później, widzę go namalowanego na ścianie dziewięciopiętrowego budynku, ponad sto kilometrów od mojej rodzinnej miejscowości i zaledwie kilka metrów od miejsca, w którym obecnie mieszkam.

Ściana budynku jest szara, otaczające ją blokowisko jest szare, chmury na niebie są szare, ulica jest szara i tylko ten znak jaśnieje ostrą, krwistą czerwienią. Przyciąga, zaprasza, ogniskuje wzrok.

„Dołącz do gry” – mówią czerwone litery. A poniżej widzę adres strony internetowej.

Rozglądam się. Zastanawiam się, czy ktoś oprócz mnie widzi ten znak. Kilka smutnych osób stoi na przystanku autobusowym, przytupując z zimna. Do osiedlowego sklepu ustawia się kolejka. Nikt nie patrzy na budynek.

„Dołącz do gry”. Co to znaczy, do cholery?

Zanim zobaczyłam ten znak, myślałam o zwykłych, codziennych sprawach. O koncie w banku, na którym nie zostało już prawie nic. O tym, że mój telefon milczy, choć codziennie wysyłam dziesiątki CV.

Odkąd straciłam pracę w barze, staram się codziennie wychodzić z domu, spaceruję, żeby nie zwariować. Ale może w końcu to mnie spotkało.

Zamykam oczy. Jestem pewna, że gdy znów je otworzę, znak zniknie. To musi być wytwór umysłu. Odkąd pamiętam, moja

wyobraźnia działa jak niezależny, zbuntowany organ, rządzi się swoimi prawami, lubi wprowadzać mnie w błąd.

Ale gdy otwieram oczy, znak wciąż tam jest, wielki, czerwony i niepokojący.

Jak wspomnienie po życiu, które już się skończyło.

Drżącą dłonią wydaję telefon z kieszeni. Robię zdjęcie znaku i adresu strony.

Ściana budynku nieoczekiwanie zaczyna drżeć, wszędzie migają niebieskie i różowe światła. Wiem, że nadchodzi atak, i nie chcę, żeby to stało się na środku ulicy. Muszę wrócić do domu, natychmiast. Szybko pokonuję odległość dzielącą mnie od bramy budynku i wbiegam na szóste piętro. Nigdy nie korzystam z windy. Sama myśl o zamknięciu się w ciasnym pomieszczeniu przyprawia mnie o mdłości.

Drzwi do mieszkania są otwarte, widocznie zapomniałam je zamknąć. Ostatnio zapominam o wielu rzeczach. Wpadam do środka, zamykam drzwi na klucz i opieram się o nie plecami. Oddycham głęboko, staram się uspokoić. Mieszkanie jest puste, ciche, spokojne. Jestem bezpieczna. Nic mi nie grozi. Ale dlaczego drzwi były otwarte? Mogłabym przysiąc, że dziś je zamykałam. A może to było wczoraj? Ostatnio każdy dzień wygląda tak samo.

Czuję, jak o moje nogi ociera się miękkie, futrzane ciało. Demon. Kot adoptowany ze schroniska. Niezbyt urodziwy, bury i ślepy na jedno oko dachowiec, którego nikt inny nie chciał wziąć. Ale ja pokochałam go od pierwszej chwili, odkąd tylko go zobaczyłam.

– Już cię karmię – mówię, pochylając się i drapiąc go za uszami.

Jednocześnie rozglądam się po mieszkaniu, szukając oznak włamania. Stara szafa jest w nienaruszonym stanie, komoda też. Na stole w kuchni wciąż stoją kubek z niedopitą kawą i talerz po owsiance. Na ścianach wiszą moje rysunki, zasłaniające złuszczoną farbę i pleśń. Z radia leci rockowa ballada. Wynajmuję tę kawalerkę zupełnie sama, za niewielkie pieniądze. Przydałby się tu generalny

remont, ale najważniejsze, że nie muszę jej z nikim dzielić, a z okien widać niebo. To było dla mnie bardzo ważne. Przez trzy lata nie miałam żadnej prywatności, a niebo widywałam tylko w określonych godzinach.

Uspokojona, wchodzę do maleńkiej, prowizorycznej kuchni i napełniam kocią miskę karmą z saszetki. Demon rzuca się na jedzenie.

Coś jednak jest nie w porządku. Czuję to. Może chodzi o ten dziwny, słodki zapach perfum unoszący się w powietrzu. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że ktoś tu był i opuścił miejsce w pośpiechu, nie zostawiając po sobie żadnych śladów.

Ale dlaczego ktoś miałby włamywać się do małego mieszkania na blokowisku? Nie mogło chodzić o pieniądze, bogaci ludzie nie mieszkają w starych blokach.

Wyjmuję telefon z kieszeni i wstukuję w wyszukiwarkę adres strony. Wpisuję w puste pola swoje imię i numer telefonu. Tylko w taki sposób mogę nawiązać kontakt z tymi, którzy namalowali znak na budynku. I być może odwiedzili moje mieszkanie.

Siadam przy stole, kładąc przed sobą telefon. Muszę zrobić coś z drżącymi dłońmi, więc zapalam skręcanego papierosa i czekam.

W tej chwili naprawdę żałuję, że nie mam żadnych przyjaciół. Kogoś, kto by mnie uspokoił, powiedział, żebym się nie martwiła. Mam dwadzieścia cztery lata i jestem zupełnie sama. Nie mam z kim porozmawiać, nie mam do kogo zadzwonić. Więc po prostu czekam.

Przez kilka minut nic się nie dzieje. Palę i myślę o swoim życiu.

Nie wszystkie dziewczyny z poprawczaka wychodzą na prostą. Mnie się udało.

Kołchoz był najgorszym zakładem poprawczym w całej Polsce. Był, bo już nie istnieje. Został zamknięty rok temu, po głośnym, szokującym reportażu w „Dzienniku Powszechnym”. Dopiero wtedy nastąpiła tam kontrola, po której stwierdzono liczne „nadużycia” i „przekroczenia uprawnień” przez strażników.

Byłam tam karana za najmniejsze przewinienia, jak źle postane łóżko albo zbyt zadowolona minę. Strażnicy kazali mi szorować podłogę szczoteczką do zębów, bili w twarz, nieustannie poniżali. Pozwalali wyjść na świeże powietrze tylko raz w ciągu dnia, na krótki spacer. Ale najgorszą karą była izolatka. Nawet teraz nie mogę o niej myśleć. Niektóre dziewczyny skazane na Kołchoz płakały, cięły się i dosłownie wariowały. Ja byłam twarda. Musiałam być. Moja mama nigdy mnie tam nie odwiedzała ani nie dzwoniła. Wiedziałam, że po wyjściu na wolność w rodzinnym domu nie mam już czego szukać i mogę liczyć tylko na siebie. Bolało, ale potrafiłam znieść ten ból. W wieku szesnastu lat zrozumiałam, że potrafię znieść praktycznie wszystko.

Po wyjściu z Kołchozu przyjechałam do Wrocławia, znalazłam tu pracę, zaczęłam studia, o których zawsze marzyłam. Wywalczyłam sobie to, wyszarpałam, na przekór wszystkiemu. Chciałam zacząć nowe życie i przez jakiś czas nawet mi się to udawało. Ale potem pandemia zabrała mi pracę i kruche poczucie bezpieczeństwa. A może po prostu taki był cykl mojego życia. Nadzieja i strata.

Demon wskakuje mi na kolana i mruczy, jakby chciał przypomnieć, że nie straciłam wszystkiego. Uśmiecham się do niego i całuję go w łepkę.

– Nie odpiszą – mówię trochę do niego, a trochę do siebie.

Ale w tej samej chwili telefon wibruje na stole. SMS.

„Cześć, Lana. Miło nam cię poznać. Zapraszamy do gry. Wszystkie instrukcje znajdziesz na naszej stronie, dzisiaj o godzinie 20.00. Zapisz je, bo po kilku minutach znikną”.

„Kim jesteście? – odpisuję. – Dlaczego używacie mojego znaku?”

Odpowiedź przychodzi praktycznie natychmiast.

„Spodobał nam się. I teraz jest już nasz”.

„Dlaczego namalowaliście go przed moim domem?”

„Dołącz do gry, dowiesz się”.



Zagryzam zęby i zaciskam telefon w dłoni. Ich wiadomości brzmią jak zwykła prowokacja. W Kołchozie znosiłam takie zaczepki bez przerwy, to dla mnie nic nowego.

„Jednak nie wezmę udziału w waszej grze” – odpisuję.

Przez chwilę chcę dopisać „PS. Pierdolicie się, złodzieje”, ale ostatecznie tego nie robię. Wysyłam wiadomość, chowam telefon do kieszeni i czuję się lepiej. Czuję się silniejsza. Zaskoczyli mnie, to prawda, ale opanowałam sytuację. Odzyskałam kontrolę.

Czuję wibrację na udzie. Tym razem wysłali e-mail z załącznikiem. Wiem, że powinnam skasować tę wiadomość, że w mailu może być wirus, ale ciekawość jest silniejsza.

Wiadomość od organizatorów gry jest bardzo krótka.

„Szkoda. Mogłabyś spotkać starych znajomych”.

Otwieram załącznik i w tej samej chwili moje serce gwałtownie przyspiesza. Widzę zdjęcie trójki młodych ludzi. Dwie dziewczyny i chłopak, objęci i roześmiani. Każda osoba na zdjęciu jest oznaczona strzałką i podpisana imieniem i nazwiskiem.

Upuszczam telefon na podłogę i biegnę do łazienki. Kiedy tylko łapię brzegi umywalki, z moich ust wylatuje spieniona struga wymiotów.

Od tamtych wydarzeń minęło osiem lat, ale uczucia wracają od razu, silniejsze niż kiedykolwiek. Myślę o krzywdzie, niesprawiedliwości i okrucieństwie. Myślę o tym, dlaczego to wszystko się wydarzyło, i nie znajduję odpowiedzi.

Niewybaczalne, to jedyne słowo, które przychodzi mi na myśl. To, co mi zrobili, było niewybaczalne. Prawda jest taka, że wielokrotnie próbowałam ich odnaleźć, ale każda próba spełzała na niczym. Nie mieli kont w social mediach. Podejrzywałam, że zmienili imiona i nazwiska. Ja na ich miejscu na pewno bym tak zrobiła. Nie potrafiłam ich znaleźć, ale organizatorom gry najwyraźniej się to udało.

Czuję pieczenie w żołądku i w gardle, przed oczami migają niebieskie i różowe światła. Ocieram usta chusteczką i wracam do pokoju. Demon krąży niespokojnie po mieszkaniu, wydając z siebie krótkie, zaniepokojone miauknięcia. Głaszczę go machinalnie, bezmyślnie.

Podnoszę telefon z podłogi. Szybka jest rozbita, ekran pokrywa siatka pęknięć. Ale zdjęcie wciąż jest doskonale widoczne. Trójka młodych, roześmianych ludzi siedzących w barze. Wyglądają na szczęśliwych. Jakby mieli wszystko to, czego brakuje mnie. Tamte wydarzenia nie pozostawiły w nich najmniejszego śladu.

Telefon znów wibruje. Kolejny SMS.

„To co, na pewno nie chcesz zagrać?”

## **DANIEL**

Panie wybacz mi, bo zgrzeszyłem.

Zsuwam się z ławki, kolana opadają na drewnianą deskę. Moje drżące dłonie, ściskające różaniec, są brudne od krwi. Wszystkie ławki w kościele są puste. Nikt nie myje kamiennej podłogi, nikt nie stoi przy skromnym, prostym ołtarzu.

Jestem zupełnie sam, zrobiłem coś strasznego i tylko Bóg może mnie teraz uratować.

Zaraz po mnie przyjdą. Nie jestem na to gotowy.

Pędziłem przez las, pamiętam, potykałem się o konary drzew, upadałem na ziemię i znowu biegłem. Teraz myślę, że Ty, Boże, chciałeś mnie powstrzymać przed ucieczką. Bo uciekałem przed karą, uciekałem przed sprawiedliwością, przed tym, co mi się należało. Uciekałem przed sądem, wyrokiem.

Biegłem, aż trafiłem tutaj, do małego, wiejskiego kościoła. Chwyciłem różaniec, który ktoś tu zostawił, chwyciłem go jak ratunkową linę, padłem na kolana.

Boże, ratuj mnie, ja nie chciałem, żeby to się stało.

To słowa tchórza, wciąż mam przed oczami twarz tamtego chłopaka, młodego takiego, dzieciaka, młodszego ode mnie. Wciąż widzę, jak próbuje coś do mnie powiedzieć. Jak jego usta układają się w słowa „Pomóż mi”.

Nie pomogłem. Próbowałem, ale nie pomogłem.

Jezus wisi na drewnianym krzyżu. Patrzy na mnie z wyrzutem. Miałem być taki jak on, a jestem jak ci, którzy go zabili.

Czuję się brudny, mam krew na rękach, rany na kostkach, krew za paznokciami. Chciałbym się teraz umyć. Szorować ciało aż do krwi.

Wiem, że wszyscy będą mnie szukali. Nawet ci, którzy jeszcze niedawno byli po mojej stronie. Zrobiłem coś strasznego, niewybaczalnego. I wiem, że oni mi nie wybaczą.

Boże, chociaż Ty mi wybacz.

Nie chciałem nikogo zabić. Kiedy wychodząc z domu, żegnałem się z braćmi i z matką, nawet nie przeszło mi przez myśl, że to się stanie. Świeciło słońce, było ciepło. Pierwszy ciepły dzień w tym roku.

Dotykam twarzy, jest mokra. W pierwszej chwili myślę, że to woda kapie z sufitu, ale potem rozumiem, że to łzy.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio płakałem. Może za dzieciaka, kiedy ojciec bił matkę, no i nas też, jak brakowało mu na wino. Lał nas pasem albo kablem od żelazka. Nienawidziłem go wtedy, ale i tak nie chciałem, żeby od nas odchodził. Ojciec to ojciec, ojcowie robią czasem takie rzeczy. Wszyscy moi koledzy z podwórka od dziecka dostawali baty w domu i nikt nie pytał, dlaczego tak jest. Po prostu, prawo silniejszego. Potem wychodziliśmy na dwór i biliśmy się z innymi, żeby jakoś odreagować. Przemoc zawsze była częścią mojego życia. Nie była dobra ani zła, po prostu była, tak jak słońce i powietrze.

A potem ojciec zniknął i wszystko się zmieniło. Nie było już nikogo, kto rządziłby w domu, więc koledzy stali się dla mnie rodziną.

Dołączyłem do ekipy, znalazłem nowy sens życia – wyjazdy na mecze. Tam w końcu, po raz pierwszy w życiu, poczułem się kimś.

Kiedy zaprosili mnie na ustawkę, byłem zadowolony, bo nie brali tam frajerów. To miał być mój pierwszy raz, inicjacja. Uczciwa walka, honorowa, z zasadami. Dwudziestu na dwudziestu, sami mężczyźni, bez sprzętu, na gołe pięści. Po wszystkim mieliśmy rozejść się do domów. Ale od początku, odkąd się tam pojawiłem, czułem, że coś jest nie tak. Coś złego wisiało w powietrzu, coś złego czaiło się w naszych twarzach, w naszych głowach, w naszych brzuchach. Coś nas opętało. Ktoś złamał zasady i wszystko potoczyło się źle. Najgorzej, jak mogło.

Muszę się ukryć. Schować gdzieś, dopóki nie znajdę w sobie odwagi, żeby podjąć decyzję, co dalej. Ale dokąd miałbym pójść? Nawet jeśli spróbuję uciec, będą mnie szukali, wszędzie, puszcza za mną psy. I na pewno prędzej czy później mnie znajdą.

Mógłbym sam zgłosić się na komisariat i przyjąć na siebie konsekwencje, jak mężczyzna. Nie wiem, jaki wyrok mi za to dadzą, piętnaście lat, dwadzieścia? Bo przecież nikt nie uwierzy w to, jak było naprawdę. A nawet jeśli uwierzą, pewnie ich to nie obejdzie. Bo brałem w tym udział tak samo jak inni, byłem tam, nie powstrzymałem tego i to jest najważniejsze. Skażą mnie. Będę mieszkał na kilku metrach kwadratowych z trzema innymi facetami, z których każdy będzie gotowy zatłuc mnie za paczkę szlugów. Wiem, jak wygląda życie w więzieniu, słyszałem opowieści, najsilniejszego potrafią tam złamać.

No i jest jeszcze inne wyjście. Tchórzliwe, najgorsze z możliwych. Ale ma jedną dobrą stronę: nie będzie już strachu. W ogóle niczego już nie będzie.

Trzęsę się i łzy płyną mi po twarzy. Klęczę już bardzo długo, tracę czucie w nogach. Czuję, że niskie sklepienie kościoła zbliża się do mnie coraz bardziej i zaraz się na mnie zawali.

Czuję jak ktoś kładzie mi rękę na ramieniu. Nie wiem kto i nie chcę tego wiedzieć. Boję się otworzyć oczy. Boże, pomóż mi, proszę. Powiedz mi co mam zrobić.



# ROZDZIAŁ III

## OFIARA

**13 MARCA, ROK 2021 – TERAZ**

### **MARIKA**

Nie jestem na to gotowa – myślę, naciągając kaptur na głowę i przedzierając się przez mokre zarośla. Wystarczyła lekka mżawka, żeby moje adidas przesiąkły wilgocią. Ta drobna niedogodność całkowicie wytrąca mnie z równowagi. Wyrzucam sobie, że powinnam wybrać lepsze buty. Nie mam doświadczenia w takich wyprawach, do tej pory zawsze trzymałam się utartych, bezpiecznych szlaków, na których nie można było podrzeć kurtki ani zabłocić spodni. Las spowija gęsta, biała mgła, która przysłania wszystko dookoła, przed sobą widzę tylko pnie drzew, czarną kurtkę i fioletowe włosy Lany.

Idziemy już dobre pół godziny, coraz bardziej zagłębiając się w las. Gorączkowo zastanawiam się, czy potrafiłabym teraz odnaleźć drogę powrotną do parkingu. Wyobrażam sobie, jak zawracam i biegnę między drzewami, a potem wsiadam do samochodu, ruszam z piskiem opon i odjeżdżam w nieokreślonym kierunku.

Potrzeba ucieczki narasta do tego stopnia, że wypiera z głowy wszystkie inne myśli. W co ja się właściwie wpakowałam? Jak

mogłam wmówić sobie, że dam radę, że to wszystko wytrzymam? Że zachowam zimną krew i opanowany umysł w zimnym, ciemnym lesie z zupełnie obcymi ludźmi? Prędzej tu zwariuję.

Nie dam rady, muszę zawrócić. Nie dam rady, muszę zawrócić. Nie dam ra...

Przystaję, pozwalam się wyprzedzić Danielowi i Tymonowi. Zaciskam bransoletkę wokół nadgarstka. Robię to z całej siły, odcinam dopływ krwi. Czekam, aż ból zmieni się w mrowienie, a ręka straci czucie. To mój stary sposób z dzieciństwa, próbuję w ten sposób się uspokoić, obniżyć poziom stresu. Psychologowie pewnie nie pochwaliliby tej metody, ale jak zwykle okazuje się skuteczna.

Nie mam dokąd uciec i nie jestem tu przypadkiem. Szukam czegoś w tym lesie. Chcę odnaleźć samą siebie. Nie posłuszną córkę, nie wzorowego pracownika, nie ofiarę narzeczonego – psychopaty. Chcę dowiedzieć się, kim naprawdę jestem. Co ze mnie zostanie, kiedy odrzucę surowe wychowanie, sztywne zasady i lata dyscypliny. Nadszedł najwyższy czas, żeby wyjść z ukrycia i spojrzeć w lustro.

– Marika, nie zostawaj z tyłu, bo się zgubisz w tej mgle! – woła Raisa.

– Już idę! – odkrzykuję.

Aleks i Raisa weszli w rolę liderów wyprawy tak szybko i wprawnie, jakby właśnie po to się urodzili. Oboje mają w sobie coś, co sprawia, że chcemy ich słuchać. Przywódczą siłę, determinację, stanowczość. Szybko podjęli decyzję, której nikt nie kwestionował. Wybrali kierunek marszu, a ja, Lana, Tymon i Daniel tylko biernie się im podporządkowaliśmy.

Moje serce zwalnia, oddycham spokojniej. Myślę o tym, że Krystian nigdy mnie tu nie znajdzie, nie dosięgnie, nie namierzy. W końcu jestem sama. Sama, czyli wolna. Przez chwilę mam ochotę zdjąć pierścioneł zaręczynowy i cisnąć nim jak najdalej, ale coś



mnie przed tym powstrzymuje. Na ten krok jeszcze nie jestem gotowa.

Wybudzam się ze stanu odrętwienia i doganiam resztę. Ścieżka biegnie teraz między potężnymi sosnami i dębami. Pod stopami czuję mech i runo, miękką, wilgotną ściółkę.

– Hej, Aleks, jesteś pewien, że dobrze idziemy? – Głos Raisy przerywa ciszę.

Widzę profil jej twarzy – lekko zadarty nos, hipsterskie okulary. Gęste, kręcone włosy koloru płomieni, związane w kucyk, wymykające się pasmami spod czarnej czapki. Kiedy tylko ją zobaczyłam, od razu zrozumiałam, że to dziewczyna, która nikomu nie pozwoli się skrzywdzić. Od początku coś mnie do niej przyciągnęło. Może myśl, że chciałabym być taka jak ona.

– Tak – odpowiada Aleks. – To musi być dobra droga, cały czas szliśmy za ich znakami.

– Może zostawili ich więcej, żeby nas zmylić? – rzuca Raisa.

Jej sugestia wyprowadza mnie z równowagi do tego stopnia, że potykam się o wystający z ziemi korzeń.

– Nie mogą nam tego zrobić – mówię nerwowo. – Przecież moglibyśmy się tu zgubić. Ta puszcza jest ogromna.

– Na pewno się nie zgubimy – uspokaja Aleks. – Mamy mapę.

– Nie wzięłam śpiwora, więc lepiej, żebyśmy skończyli dzisiaj – odzywa się Lana. – Przecież jest marzec, w nocy tu będzie mróz.

– Nie martwcie się, znajdziemy ich przed zmrokiem – przekonuje Aleks. – W dzieciństwie często grałem w podchody, damy radę.

– Byłeś w harcerstwie? – pyta Raisa.

– Też, ale poza tym startowałem w rajdach przygodowych i biegach na orientację. Jeszcze nigdy się nie zgubiłem.

– Czyli mamy weterana – stwierdza Tymon. – To dobrze, przewaga na starcie.

– Podwójna przewaga, bo Daniel zna ten las. – W głosie Aleksa brzmi spokojna pewność. – Był tu już. Prawda?

Daniel odpowiada nieznacznym mruknięciem.

Przedzieramy się przez gąszcz paproci. Słyszę cichy dźwięk, najpierw nieśmiały chlupot, później narastający szum. Mgła w końcu się przerzedza. Przed naszymi oczami rozciąga się zupełnie nowy krajobraz, a wtedy zaczynam się modlić, żebyśmy jednak pomylili drogę. Nie chcę, żeby to było nasze pierwsze zadanie. Wszystko, tylko nie to.

– O cholera – mówi Lana. – Nieźle się zaczyna.

Na gałęzi rozłożystej, majestatycznej wierzby o grubych konarach widzę jaskrawoczerwoną, łopoczącą na wietrze flagę Partyzantów. Do pnia drzewa przywiązano grubą linę. Lina prowadzi do kolejnego drzewa, okazałego buka o grubym pniu zarośniętym bluszczem. Na jego gałęzi wisi drewniana, pomalowana na czerwono skrzynka, przypominająca karmnik dla ptaków. To w niej Partyzanci ukryli wskazówki.

Zadanie wydaje się proste. Mamy przejść od jednego do drugiego drzewa, trzymając się tylko zawieszanej poziomo liny. Jest tylko jedno utrudnienie – pomiędzy wierzbą, a bukiem płynie rzeka. Zbyt szeroka, aby ją przeskoczyć, zbyt głęboka, aby ją przejść. Podchodzę do granicy brzegu, próbuję dojrzeć dno. Woda w rzece jest mętna, nieprzenikniona i niespokojna.

– Jak myślicie, bardzo tu głęboko? – pytam, udając bez troski ton.

– Nie – mówi Aleks uspokajająco. – Maksymalnie trzy metry.

Trzy metry. Wystarczająco, żebym w całości zniknęła pod powierzchnią. Przełykam ślinę. Od dziecka panicznie boję się wody.

– Czy ktoś z was nie umie pływać? – pyta Raisa.

Odpowiada jej cisza. Mogłabym się odezwać, ale milczę. Nie chcę, żeby od początku traktowali mnie jak najśłabsze ogniwo drużyny.

– No to chyba wszyscy damy radę przejść po tej linie – stwierdza.

Aleks i Daniel bez wahania przytakują, reszta wydaje z siebie niemrawe potwierdzenie. Wyczuwam niepokój, zawieszony

w powietrzu lęk, ale nikt nie chce wyrazić na głos swoich wątpliwości.

– Może jest jakaś inna droga? – pytam. – Może obejdziemy tę rzekę?

– Może być inna droga – mówi Raisa. – Ale na pewno będzie dłuższa. A jeśli nikt z nas nie boi się wody...

Znów spoglądam w ciemną toń i wracam myślami do tamtego dnia.

Kiedy byłam małą dziewczynką, miałam przyjaciółkę. Nie używałam jej prawdziwego imienia, bo lubiła udawać kogoś innego. Zawsze mówiła o sobie: Ali. Poznałyśmy się, kiedy jej rodzina zamieszkała na mojej ulicy. Wprowadzili się do sąsiedniego domu, który wcześniej stał pusty. To był dom z żółtej cegły, ze spadzistym dachem i zarośniętym chwastami trawnikiem. Któregoś dnia pojawiła się przed nim furgonetka, wysiadła z niej dwójka dorosłych ludzi z nastolatką i małą dziewczynką. Rodzice wydali mi się zupełnie bezbarwni, podobnie jak ich starsza córka. Za to młodsza dziewczynka miała w sobie coś magicznego, wyjątkowego. Posłała mi uśmiech i pomachała do mnie ręką. Srebrna bransoletka na jej nadgarstku cicho zadzwoniła.

Poczułam się, jakby rzuciła na mnie czar.

Szybko zrozumiałam, że w domu Ali, tak jak w moim, nie dzieje się dobrze. Pierwszej nocy, której się wprowadzili, słyszałam wrzaski jej rodziców, płacz i dźwięki rozbijanych przedmiotów. Przez hałas nie mogłam zasnąć i podeszłam do okna. Zobaczyłam, że Ali wychodzi przez okno poddasza na dach, przebrana za wróżkę. Miała brokat na skroniach i kolorowe skrzydła przymocowane do ramion. Wspięła się na dach i tańczyła w świetle księżyca tak zapamiętałe, jakby chciała zmienić się w ptaka i odlecieć w ciemne, rozgwieżdżone niebo. W pewnej chwili rzuciła mi spojrzenie i przyłożyła palec do ust. Nasz mały sekret.

Następnego dnia stała w oknie z lusterkiem i poruszała nim tak, żeby ruchoma plamka kolorowego światła dotarła do mojego okna.

Wysyłała mi znaki, chciała się ze mną bawić, a ja odpowiedziałam na wezwanie.

Nie pamiętam, jak to się stało, że zostałyśmy przyjaciółkami. Z jakiegoś powodu moje wspomnienia z dzieciństwa są wybiórcze, zatarte, mgliste. Pamiętam tylko nasze wspólne zabawy. Pamiętam, jak biegałyśmy po lesie, szukając świetlików, pamiętam poszukiwanie skarbów i zimne ognie rozświetlające ciemność. Uwielbiałam Ali. Byłam w stanie zrobić wszystko, o co mnie poprosiła. Lubiłam wyobrażać sobie, że uciekam razem z nią do fikcyjnej krainy, w której zostajemy już na zawsze, tylko we dwie.

Ale ta piękna przyjaźń się skończyła, nagle i brutalnie.

Pewnego dnia wybrałyśmy się nad niestrzeżone jezioro razem ze starszą siostrą Ali. Miała nas pilnować, ale w pewnej chwili, zmożona upałem, zasnęła na kocu.

Ja i Ali bawiłyśmy się lalkami przy brzegu. Ali miała posiniaczony policzek, była wyraźnie rozzłoszczona i nie odpowiadała na moje pytania. W pewnej chwili się pokłóciłyśmy – nie pamiętam o co, ale w naszym dziewczęcym, pastelowym i niewinnym świecie to musiała być jakaś bardzo ważna sprawa. Ali w nagłym ataku wściekłości złapała moją lalkę i z całej siły rzuciła ją w głąb jeziora. Wyraźnie pamiętam uczucie zimnego przerażenia, które mnie ogarnęło. Poczułam się, jakby wrzuciła do wody żywą istotę. Ali wiedziała, jak bardzo kochałam tę lalkę. Co noc tuliłam ją przed snem, przynosiła mi pociechę za każdym razem, kiedy moi rodzice mnie za coś karali. Już wtedy bałam się głębokości i wiedziałam, że nie umiem pływać, ale nie mogłam zostawić lalki w wodzie. Rzuciłam się do jeziora i nagle ze wszystkich stron otoczyła mnie gładka tafla, hamująca każdy mój ruch. Rozgarniałam wodę dłońmi i brnęłam coraz dalej, pod prąd, bo widziałam moją lalkę unoszącą się na powierzchni. Musiałam ją uratować. Pamiętam moment, w którym nagle pod moimi stopami skończył się grunt. Krzyknęłam, a wtedy moje usta wypełniły się wodą. Później była już tylko ciemność. Gdy ocknęłam

się na plaży, mokra i przerażona, w zaciśniętej dłoni trzymałam lalkę. Następnego dnia rodzina Ali wyprowadziła się z miasteczka, a ich dom opustoszał. Potem już nigdy nie miałam takiej przyjaciółki.

– Musimy przerzucić plecaki na drugą stronę. – Głos Aleksa wdziara się w moje myśli. – Są za ciężkie, utrudnią nam przejście po linie. I lepiej zdejmijcie kurtki, bo będą wam ograniczały ruchy.

Aleks rzuca plecakiem tak mocno, że przelatuje nad rzeką i z łomotem ląduje na przeciwległym brzegu. Ja wciąż stoję bez ruchu, przerażona zadaniem, z którym muszę się zmierzyć. Jeszcze przed chwilą martwiłam się mokrymi butami, a teraz mam przejść po linie nad głęboką, lodowatą, rwącą rzeką. Nie sądziłam, że próba nadejdzie tak szybko, myślałam, że mam jeszcze trochę czasu.

Aleks podchodzi do wierzby i chwyta za linę, jednocześnie oplatając ją nogami. Zaczyna posuwać się do przodu na wyprostowanych rękach, przekłada je z wprawą, hacząc o linę piętami. Zwinnie, błyskawicznie, jak nietoperz. Nie mogę oderwać od niego wzroku i nie wiem już, na co patrzę, na jego płynne ruchy czy na mięśnie rysujące się pod sportową, czarną koszulką. Uczucie pożądania uderza we mnie nagle i zniechęca, a powietrze wokół staje się gorące i duszne.

– Aż ślinka cieknie, nie?

Wzdrygam się. To Raisa staje obok i posyła mi znaczący uśmiech. Otwieram usta, żeby się wytłumaczyć, ale wtedy ona zaczyna chichotać.

– Spoko, dziewczyno, nie tobie jednej.

– E tam, przesadzacie. – Lana staje obok nas i sceptycznie przekręca głowę. – Aż taki zajebisty nie jest.

– Może przestańmy się tak na niego gapić – mówię trochę zawstydzona.

Lana i Raisa spoglądają na mnie z zaskoczeniem.

– Niby czemu? – Lana unosi brwi. – Oni ciągle się na nas gapią.

Uśmiecham się. Z każdą chwilą coraz bardziej lubię te dziewczyny. Czuję, że chyba mogę im zaufać. Razem patrzymy, jak Aleks przesuwa się nad granicą rzeki i zeskakuje na brzeg. Podchodzi do skrzynki wiszącej na drzewie i wyjmuje z niej dwa rulony papieru i mały, czerwony przedmiot.

– Aleks, mów, co dla nas zostawili! – woła Raisa.

– Chodźcie tu i pomóżcie mi to rozgryźć! – odpowiada Aleks.

Po Aleksie podchodzi do liny ten milczący, ponury chłopak, Daniel. Jako jedyny w drużynie nie ma ze sobą plecaka ani nawet telefonu, co wydaje mi się dziwne. Ale z przejściem po linie radzi sobie całkiem nieźle, choć brakuje mu zwinności Aleksa. Widać za to, że ma sporo siły w umięśnionych rękach, pewnie spędza dużo czasu na siłowni. Szybko przechodzi na drugi brzeg. Mimo że jest w nim coś niepokojącego, dobrze wiem, że mężczyźni wyglądający niebezpiecznie wcale nie są najgorsi. Oni przynajmniej niczego nie udają. To mili, uprzejmi faceci, tacy jak Krystian, stanowią prawdziwe zagrożenie.

Raisa przed wspinaczką chowa okulary do kieszeni i zdejmuje kurtkę. Potem rzuca swój plecak do Aleksa, który łapie go w powietrzu i wykonuje zachęcający gest dłonią. Raisa w odpowiedzi przeskakuje z nogi na nogę jak bokserka przed walką, wyraźnie się przed nim zgrywa. Aleks wybucha śmiechem.

Czuję ukłucie zazdrości. Też chciałbym umieć go rozśmieszyć.

Raisa kopiuje technikę Aleksa – haczy o linę piętami i przekłada ręce, jedna za drugą. Porusza się dość amatorsko i niezgrabnie, ale skutecznie.

Kiedy zostawia rzekę na za sobą, zeskakuje na ziemię i otrzepuje dłonie, jakby chciała powiedzieć: „drobnostka”. Aleks kiwa głową z uznaniem i przybija jej piątkę. Patrząc na to, znów czuję bolesne szarpnięcie w sercu. Chyba coś pomiędzy nimi zaiskrzyło, gdy ja przeżywałam atak paniki w krzakach. To nie powinno się wydarzyć.

Jak mogłam zmarnować swoją szansę? Wszystko zmierza w bardzo złym kierunku, a przecież zaczęło się tak dobrze.

Rozpamiętuję chwilę, gdy Aleks po raz pierwszy na mnie spojrzał. Zupełnie jakby na świecie nie było nikogo poza nami. To było dobre uczucie. Przez całe życie ludzie patrzyli na mnie, ale tak naprawdę mnie nie dostrzegali. Prześlizgiwali się wzrokiem po mojej twarzy i ciele i gwizdali albo rzucali wulgarnymi tekstami. Tylko Aleks widział mnie naprawdę.

Następna wspina się Lana. Chwytając linę, rzuca mi porozumiewawcze spojrzenie i mruczy pod nosem: „W szkole zawsze nienawidziłam takich rzeczy”.

Posyłam jej pokrzepiający uśmiech. Ja byłam dobrą uczennicą, ale nie znosiłam ćwiczeń sportowych. No i nigdy nie nauczyłam się pływać. Po tamtej przygodzie nad jeziorem nawet baseny budziły we mnie paniczny lęk.

Lana nie potrafi zahaczyć o linę piętami, więc próbuje objąć ją łydkami, ale poruszanie się w tej pozycji sprawia jej ból. Widzę jak się krzywi, przesuwając się do przodu, sznur uciska jej mięśnie. Lana wyrzuca z siebie potok przekleństw. Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby dziewczyna tak swobodnie przeklinała, i podoba mi się to.

Ja nigdy nie potrafiłam bezpośrednio wyrazić swoich emocji. Wolałam tłamsić je w sobie i nie wynikło z tego nic dobrego.

Wreszcie, po kilku minutach bolesnych zmagani, Lana zeskakuje na drugi brzeg. Jest wyraźnie zziajana i zmęczona, ale zadowolona. Udowodniła, że w niczym nie ustępuje facetom i Raisie.

Przy wierzbie zostajemy już tylko ja i Tymon, który pakuje czapkę, okulary i kurtkę do plecaka i przerzuca go przez rzekę. Po chwili wahania robię to samo. Mój plecak łapie Raisa i uśmiecha się do mnie. W tej samej chwili przychodzi mi do głowy dziwna, nieprzyjemna myśl: „A co, gdyby oni teraz uciekli z naszymi rzeczami i zostawili nas tu?”. Ale szybko się z niej otrząsam.

Przecież to nasi koledzy z drużyny. Nie mają powodu, żeby nas tu zostawiać.

– Chcesz iść pierwsza? – pyta Tymon.

– Nieszczególnie. – Kręcę głową. – Nie jestem dobra w takich rzeczach.

– Wolisz rozwiązywać zagadki?

– Tak.

– Czyli jesteś tą mądrą?

– Tą mądrą?

– W drużynie każdy odgrywa jakąś rolę.

– Ja nie odgrywam żadnej.

– Skoro tak twierdzisz. – Tymon uśmiecha się pod nosem.

Przejście po linie nie przychodzi mu łatwo, ale z drugiego brzegu kibicuje mu prawie cała drużyna Zwiadowców. Prawie, bo Daniel nie zwraca na niego najmniejszej uwagi. Jednak Raisa, Lana i Aleks dopingują Tymona, jakby byli na meczu, nieźle się przy tym bawiąc.

Tymon z jakiegoś powodu nie chce oprzeć się na doświadczeniu pozostałych. Zaplata nogi na linie i przesuwając się na rękach, próbuje ciągnąć nogi za sobą. Ale już po chwili krzywi się z bólu.

– Przekładaj nogi! – woła Aleks. – Bo zedrzesz sobie całą skórę!

Tymon jeszcze przez chwilę siłuje się z liną, a potem daje za wygraną i zaczyna stosować się do jego rad. Gdy dociera na drugą stronę brzegu, wyrzuca triumfalnie ręce w górę w ironicznym geście zwycięstwa. Zostaje pod wierzbą, sama, zupełnie sama ze swoim strachem i wątpliwościami. Znów patrzę w ciemną, niespokojną wodę.

\*\*\*

„Głupia, bezużyteczna suka”.

Słyszę te słowa, gdy tylko chwytam linę. Wybrzmiewają tak głośno, że na chwilę zamieram w bezruchu, choć przecież dobrze wiem, że



nie wypowiedział ich nikt z drużyny Zwiadowców. Oni tylko klaszczą w dłonie i skandują moje imię, próbując zagrzać mnie do walki.

„Bezużyteczna suka”.

Przeklęty głos Krystiana. Odpędzam go od siebie i skupiam się na zadaniu, które muszę wykonać. Cholera, jakie to trudne! Utrzymanie ciężaru swojego ciała siłą rąk i nóg wydaje się po prostu niemożliwe. Lina jest szorstka, a każdy ruch dłoni wybucha w głowie czystym cierpieniem.

Moje palce wciąż są sztywne po tym, jak Krystian przytrzasnął mi dłoń drzwiami do samochodu. Udał, że to był przypadek, ale widziałam błysk satysfakcji w jego oczach. Chciał ukarać mnie za to, że wbrew jego woli poszłam do restauracji na służbową kolację. Uznał, że to świetna okazja do zdrady. Zapytałam, czy wie o tym z własnego doświadczenia, i właśnie wtedy drzwi do samochodu uderzyły w moją dłoń.

Krystian nigdy mnie nie bił. Nie zostawiał najmniejszych śladów na moim ciele, był na to o wiele za sprytny. Skończył studia prawnicze, był w trakcie aplikacji prokuratorskiej, doskonale wiedział, na co może sobie pozwolić, a na co nie. Podbite oko, złamany nos czy siniaki to byłby pretekst do obdukcji, dowód świadczący na moją korzyść w sądzie. Ale palce strzaskane drzwiami od samochodu? To był nieszczęśliwy wypadek, wysoki sędzie.

Wiedziałam, że przemoc z jego strony będzie się nasilać, wiedziałam, że nie będzie miała końca. Właśnie dlatego zrobiłam to, co zrobiłam. Każde zaszczute zwierzę zaczyna gryźć, żeby przeżyć. Ale czy ktokolwiek mógłby to zrozumieć?...

– Marika, dawaj, dobrze ci idzie! – woła Raisa.

Czuję, jak wewnątrz dłoni płonie od szorstkiego splotu liny. Słyszę nawoływania Zwiadowców.

– Ej, no dawaj! Nie zatrzymuj się!

Posłusznie ruszam do przodu, krzywiąc się z bólu. No właśnie, posłuszeństwo. To cholerne posłuszeństwo, do którego byłam

trenowana już w dzieciństwie. W moim rodzinnym domu panowała surowa dyscyplina. Rodzice nigdy nie mieli oporów przed klapsami albo szarpaniem mnie, kiedy nie wykonywałam ich poleceń. Nigdy nie robili mi większej krzywdy, ale i tak za każdym razem czułam wstyd i strach. I chyba właśnie to najbardziej zapamiętałam z dzieciństwa – strach, że ich nie zadowolę, a wtedy stanie się coś strasznego. Nieustannie czułam, że jestem dla nich niewystarczająco dobra, niewystarczająco ładna, niewystarczająco mądra. Po prostu zwyczajnie niegodna ich miłości.

Może dlatego na początku nie widziałam nic złego w zachowaniu Krystiana. Robił mi tylko to, do czego byłam przyzwyczajona. Tresował mnie jak nieposłusznego psa. Dyscyplinował. Ustawiał. Karał. W głębi duszy wierzyłam, że na to zasługuję.

Głos Krystiana w mojej głowie jest coraz głośniejszy.

„Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię! Myślisz, że jesteś wyjątkowa? Wiesz, ile miałem takich jak ty? Zakompleksionych, głupich cip ze wsi, które jak skończą studia, to wydaje im się, że są kimś?”

Pamiętam dzień, w którym to wykrzykiwał, a ja leżałam na łóżku z głową przykrytą poduszką, próbując go nie słuchać. A teraz nie mogę już znieść bólu dłoni i skurczu w łydkach ani tego, że jestem...

– Marika! Uważaj!

...Głupią, słabą, bezużyteczną szmatą i niczego nie potrafię zrobić dobrze, nawet najprostszej rzeczy jak przejście po linii. Krystian to wiedział, a teraz moi nowi koledzy też się tego dowiedzą.

Puszczam linę i lecę w dół. Wpadam pod wodę i przez tę jedną, cudowną chwilę jestem wolna, bo nie słyszę i nie czuję już absolutnie nic.

\*\*\*

Znów mam sześć lat, znikam pod powierzchnią wody, a moje usta otwierają się do krzyku i chwilę później są pełne czegoś, może tajemnicy. Czarna tajemnica wlewa się przez usta, nos i gardło i płynie dalej, do płuc i krwi, aż całkowicie wypełnia moje ciało, spowalnia bicie serca. Otula mnie ze wszystkich stron, uspokaja. Jestem wodną istotą pełną sekretów. Moje włosy zamieniają się w wodorosty.

Czy w to się bawiłyśmy, Ali? W wodne istoty? Dlatego wtedy weszliśmy razem do jeziora? Jesteś tu teraz ze mną?

Nie, zaraz, przecież to było dwadzieścia lat temu. Teraz mam już dwadzieścia sześć lat i wpadłam do rzeki.

Nogi młóć wodę w poszukiwaniu oparcia.

Mam sześć lat i jestem dzieckiem bawiącym się w lesie.

Mam dwadzieścia sześć lat i jestem dzieckiem bawiącym się w lesie. Bawimy się w podchody, w Zwiadowców i Partyzantów.

Ali, jesteś tu? Ukryłaś się wśród zarośli? Czasem, gdy idę przez las, wydaje mi się, że słyszę twój głos i widzę, jak biegniesz między drzewami. Wciąż za tobą tęsknię.

Moje ciało jest bezwładne i lekkie. Zapadam się coraz niżej. Znikam.

A potem czuję, jak coś ciągnie mnie ku górze. W stronę światła, w stronę życia. Jakaś potężna siła uparcie holuje mnie na powierzchnię.

\*\*\*

Czuję nagły ucisk w klatce piersiowej. Krztuszę się, przewracam na bok i strumień spienionej wody tryska z moich ust prosto na leśne poszycie. Właśnie w ten sposób wracam do życia. Kaszląc i rzygając wodą.

– Oddychaj, Marika – słyszę głos blisko mnie. – Po prostu oddychaj.

Ufam temu głosowi, więc robię to, co mi każe – oddycham. I z każdą chwilą wraca ostrość widzenia. Widzę Aleksa, pochyla się nade mną, trzyma mnie w ramionach. Jego twarz jaśnieje, mieni się w słońcu błyszczącymi drobinkami wody. Chcę wyciągnąć dłoń, żeby dotknąć jego policzka, ale nie jestem w stanie, nie mam siły.

– Ale nas wystraszyłaś, dziewczyno! – słyszę głos Raisy. – Już myślałam, że jest po tobie.

Podnoszę się na łokciach, w głowie mi szumi. Widzę nad sobą zaniepokojone twarze. Lana, Raisa i Tymon. Mała postać Daniela majaczy gdzieś z tyłu, odwrócona plecami. A gdzie zniknął Aleks? Przed chwilą tu był.

– Co się stało? – pytam.

– Spadłaś do rzeki, nałykałaś się wody i odleciałaś nam na chwilę – mówi Raisa, dotykając mojego ramienia. – Nie wstawaj jeszcze.

– Nie umiesz pływać, Marika? – W głosie Lany brzmi wyrzut. – Czemu nie mówiłaś? Mogłaś się zabić.

Podnoszę się do pozycji siedzącej. Dygoczę. Dopiero teraz czuję przejmujące zimno, słońce pojawiło się na chwilę i już zniknęło za chmurami.

– Nie wiem, jak to się stało – mamroczę zawstydzona. – Po prostu myślałam o czymś innym i lina wyslizgnęła mi się z rąk...

– Zjadłaś ciastko od Partyzantów? – pyta nagle Raisa.

– Co? Nie... nie wiem...

Nagle coś mnie otula. Coś ciepłego i miękkiego. Kurtka Aleksa. Kuca przy mnie i zarzuca mi ją na ramiona. Czuję na sobie jego zapach. Boże, gdyby sprzedawali gdzieś perfumy o tym zapachu, kupiłabym całą zgrzewkę i wdychała go przed snem, we wszystkie zimne, pozbawione sensu dni.

– Dziękuję – mówię, szcękając zębami. – Chyba uratowałeś mi życie.

– Nie byłem sam. – Aleks macha ręką. – Wszyscy się rzucili, ja po prostu byłem najbliżej.

– Więc trafiłam do dobrej drużyny – stwierdzam.

– Żebyś wiedziała. – Raisa kiwa głową. – Nie damy ci zginać.

Lana podaje mi zakrętkę od termosu pełną parującej herbaty. Biorę łyk płynu, herbata jest słodka i gorąca.

– Może chcesz się przebrać w coś suchego? – proponuje Raisa.

– Nie wzięłam ubrań na zmianę.

– To pech – stwierdza Raisa – ale my coś mamy.

Podaje mi niebieskie sportowe spodnie i pomarańczową bluzę. Lana wyciąga w moją stronę parę tramppek. Czuję, że oczy mnie pieką. Nie zasługuję na takie gesty dobroci. Gdyby oni wiedzieli, kim naprawdę jestem i co zrobiłam. Gdyby tylko wiedzieli...

– Bardzo wam dziękuję.

Aleks uśmiecha się do mnie lekko. Nie mogę oderwać od niego wzroku. Obserwuję, jak strużka wody ścieka po jego skroni.

– Będiesz przeze mnie chory – mówię, patrząc mu w oczy, ale on tylko kręci głową.

– Przezorny zawsze ubezpieczony. – Sięga do plecaka i wyjmuje z niego suche ubrania. – W takich grach zawsze prędzej czy później trzeba przeprowić się przez rzekę. Partyzanci niczym mnie nie zaskoczą.

\*\*\*

Mam na sobie spodnie i bluzę należące do Raisy, trampki Lany, własną kurtkę i czapkę, a dodatkowo owinęłam się folią termiczną. Obok mnie siedzi Aleks i za każdym razem, kiedy nasze ramiona się stykają, czuję przyjemny dreszcz. Piję herbatę, słucham śpiewu szpaków kołujących na niebie. Jest mi ciepło i dobrze. Więcej niż dobrze. Czuję się wspaniale. Chcę się odwdzińczyć moim nowym przyjaciółom za to, co dla mnie zrobili.

– No dobra, drużyno, mamy zagadkę do rozwiązania. – Raisa stoi na środku polanki, tak żeby wszyscy ją widzieli. – Dostaliśmy od

Partyzantów pustą kartkę, zapalniczkę i dyplom dla najlepszego pracownika miesiąca. Czy ktoś ma pomysł, o co tu chodzi?

Odpowiada jej milczenie. Marszczę brwi. Na widok pustej kartki i zapalniczki coś we mnie ożywa, jakieś zapomniane wspomnienie. Ale zanim zdążę je zatrzymać, gaśnie.

– Twój narzeczony nie martwi się, że ryzykujesz życie dla jakiejś głupiej gry? – pyta cicho Aleks, wskazując na moją dłoń.

Podążam za jego wzrokiem. Miałam nadzieję, że pierścionek zsunął się z mojego palca, gdy wpadłam do wody. Chciałam, żeby na zawsze spoczął na dnie rzeki, zakopany w piasku i kamieniach, zapomniany na tysiące lat, jak pierścień z *Władcy Pierścieni*. Ale nie, on wciąż błyszczy na palcu, ohydna błyskotka, paskudny symbol mojego zniewolenia. Dopóki go noszę, wciąż jestem zakładniczką Krystiana. Jego własnością. Powiedział, że jeśli kiedykolwiek go zdejmę, skrzywdzi mnie tak, że zapamiętam to do końca życia i żaden psychiatra mi nie pomoże. Uwierzyłam mu.

– Nie jesteśmy już razem – mówię, patrząc w oczy Aleksa. – Noszę ten pierścionek z przyzwyczajenia.

– No to może powinnaś się go pozbyć.

– Pomyślałam o tym samym.

Uśmiecham się, a Aleks odpowiada uśmiechem. Miałam rację, on naprawdę rozumie mnie lepiej niż ktokolwiek inny. W tej samej chwili ktoś trąca mnie łokciem. Lana podaje mi pustą kartkę i zapalniczkę. I znów to uczucie. Déjàvu.

– Kto chce wziąć dyplom dla najlepszego pracownika? – pyta Raisa.

– Ja ostatnio codziennie zgarniam w pracy opierdół, więc dyplom dla najlepszego pracownika raczej mi się nie należy – odzywa się Tymon. Siedzi na zwalonym pniu drzewa i unosi rękę z telefonem, próbując złapać zasięg.

– A co robisz? – pyta Raisa z zainteresowaniem.

– Jestem programistą w RebelCraft.

– Aha. To pewnie zarabiasz miesięcznie tyle co my wszyscy razem wzięci.

Tymon uśmiecha się kątem ust, wyraźnie zadowolony.

– Zabawne, że o tym wspominasz, ale pewnie tak.

– A ty, Lana? – pyta Raisa. – Dostałaś kiedyś taki dyplom?

– W barach nie dają dyplomów, tylko napiwki – mówi ponuro Lana.

– I to niezbyt wysokie.

– W którym barze pracujesz? – pyta Tymon, nagle zainteresowany.

– W Pojutrze, na rynku. Ale już tam nie pracuję, zwolnili mnie.

– Czemu? – pyta Aleks.

– Przez pandemię.

– Może po prostu byłaś słabym pracownikiem – rzuca lekko Tymon. – Tacy zawsze pierwsi idą do odstrzału.

– Ej – odzywa się ostro Raisa. – Tymon, co ty?

Lana mruga, wyraźnie zaskoczona tym niespodziewanym atakiem.

– Zamknęli cały bar – mówili chłodno.

– Kiepska branża, ale sama ją wybrałaś. – Tymon wzrusza ramionami.

– Nie wszyscy możemy pracować w IT, bogaty chłopaczku – warczy Lana. – Ktoś musi robić ci drinki.

– Nie wiń mnie za swoje przegrane życie.

Z twarzy Lany znikają ostatnie resztki opanowania. Robi krok w kierunku drzewa, na którym siedzi Tymon. Widzę, jak drżą mięśnie jej twarzy, widzę nagromadzoną frustrację, która potrzebuje tylko iskry do wybuchu.

– Ja przegrałam w życie? – syczy. – A co ty o mnie wiesz?

– Nikt ci nie kazał pracować w barze na śmieciówce i za najniższą krajową – mówi Tymon. – Nie musiałaś żyć z napiwków. Mogłaś zrobić studia.

– Poszłam na studia. Nie skończyłam ich, bo stypendium nie wystarczyło na czynsz, więc musiałam pracować po dwanaście

godzin na dobę, żeby się utrzymać. Nie miałam starych, którzy by mnie utrzymywali. Może twoi za wszystko płacili...

– Moi rodzice nie żyją – przerywa jej Tymon.

Nagle zapada cisza. Przez chwilę słychać tylko skrobanie scyzoryka po drewnie. To Daniel struga kawałek patyka. Tymon i Lana patrzą na siebie w milczeniu i trudno stwierdzić, która z twarzy wyraża większą wrogość. Odczuwam rozpaczliwą chęć rozładowania napięcia, mam wrażenie, że zaraz stanie się coś złego. Zrywam się z ziemi i mówię na głos pierwszą rzecz, która przychodzi mi do głowy.

– Hej, ja kiedyś dostałam taki dyplom!

– Za co? – pyta Aleks, który najwyraźniej też chce zrobić wszystko, żeby opanować sytuację, zanim wymknie się ona spod kontroli.

– Rozwiązałam problem w projekcie, z którym nikt nie mógł sobie poradzić.

– To się świetnie składa – odzywa się Raisa – bo teraz też mamy problem. No to wymyśl rozwiązanie zagadki, nasz pracownik miesiąca.

\*\*\*

Pusta kartka, dyplom, zapalniczka. Trzy przedmioty leżą przede mną na ziemi, ułożone w równym rzędzie. Siedzę po turecku na trawie, mam czysty, chłodny umysł i zagadkę do rozwiązania.

Wszyscy już oglądali dyplom, szukając na nim znaków, zaszyfrowanych wskazówek albo ukrytych haseł. Ale ja wiem, że wskazówka kryje się w tej czystej kartce.

Minęło kilkanaście minut od konfrontacji Lany i Tymona, ale swobodna atmosfera już nie wróciła. Daniel krąży dookoła obozowiska z kijem w ręku, wypatrując nieistniejących wrogów. Lana pali skręconego papierosa i widzę, jak drżą jej dłonie. Szkoda mi jej. Tymon zdecydowanie szybciej uporał się z emocjami po kłótni albo



przynajmniej lepiej udaje. Leży na plecach z głową opartą o plecak i czapką naciągniętą na twarz. Raisa rozmawia cicho z Alekssem.

– Może to fałszywe wskazówki – słyszę jej głos. – Może po prostu chcą, żebyśmy zostali tu jak najdłużej.

– Czemu myślisz, że chcą nas sabotować? – pytam.

– Bo nazwali się Partyzantami – stwierdza Raisa. – Mogli wybrać każdą inną nazwę, na przykład Zbiegowie albo Uciekinierzy. Wierzysz, że to przypadek?

W tej samej chwili chmara drozdów zrywa się z drzewa i wzbija do lotu. Ich piskliwy śpiew brzmi jak śmiech. Śmieją się, bo nie możemy dostrzec czegoś, co dla nich jest oczywiste.

– Ta zagadka ma sens – mówię, nie odrywając wzroku od przedmiotów. – Coś mi to przypomina, dajcie mi chwilę.

– W porządku – mruczy Tymon spod czapki. – Najwyżej zostaniemy tu na noc.

– A może pomógłbyś jej z tą zagadką – warczy Lana. – Jesteś programistą, więc chyba powinieneś logicznie myśleć. Bo wszyscy już wiemy, że nie umiesz wspinać się po linie.

– Napiłbym się drinka. – Tymon unosi daszek czapki i posyła jej znaczące spojrzenie. – Najlepiej wódki z colą.

– Spoko, akurat mam w plecaku wódkę, tylko nie zdziw się, jak ci napluję do kubka – prycha Lana.

– Masz wódkę w plecaku? Serio? – ożywia się Tymon.

– No tak, wzięłam połówkę na wieczór, błędnie zakładając, że będziemy się dobrze bawić.

Tymon uśmiecha się kątem ust i podnosi się do pozycji siedzącej.

– No może źle cię oceniłem, jednak masz swoje zalety.

Lana posyła mu spojrzenie, w którym jest cała pogarda świata, i gasi papierosa w blaszanym pudełku pełniącym funkcję przenośnej popielniczki.

– Żeby była jasność, mam wyjebane na to, co o mnie myślisz, Tymon.

– Szkoda, że nie mamy mleka i likieru kokosowego Malibu. To mój ulubiony drink – rzuca Raisa.

– Mleko – mówię nagle i wszyscy spoglądają na mnie ze zdziwieniem.

Chwytam zapalniczkę, pstrykam nią, a kiedy pojawia się płomień, zacznę delikatnie przesuwając ją pod czystą kartką.

– Ej, co ty robisz?! – protestuje Raisa, zrywając się z ziemi. – Spalisz wskazówkę.

– I co z tego, przecież nic na niej nie ma – ziewa Tymon.

– Pewni jesteście? – pytam cicho.

Na kartce zaczynają pojawiać się znaki. Delikatne ślady koloru kawy, które powoli układają się w kształt mapy. Wszyscy wstają i podchodzą, żeby zobaczyć je z bliska.

– Skąd wiedziałaś? – pyta Aleks, patrząc, jak kolejne brązowe linie pojawiają się na kartce.

– Kiedy byłam dzieckiem, razem z przyjaciółką bawiłyśmy się w malowanie mlekiem. Moczyłyśmy patyczki do uszu w mleku, a potem rysowałyśmy nimi po kartce. Rysunek nie był widoczny, dopóki nie podgrzało się kartki zapalniczką. No wiecie, taka sekretna mapa. Ale Raisa miała rację z fałszywym tropem. Wszyscy skoncentrowali się na dyplomie i szukali tam znaków, a powinniśmy się skupić na kartce i zapalniczce. Dyplom to był tylko dodatek, sztuczka, żeby odciągnąć naszą uwagę. A Partyzanci dzięki temu zyskali więcej czasu na ucieczkę.

– Dobra robota – mówi Raisa. – Masz łeb, dziewczyno.

Nagle zrywa się wiatr i rozwiewa mi włosy. Czuję, że coś się zbliża. Coś, czego nie potrafię określić ani nazwać, ale czuję to wyraźnie. Wiem, że nadchodzi wielka zmiana w moim życiu, po której już nic nie będzie takie samo. Zmiana wymagała ofiary, więc się poświęciłam.

Krystian mylił się od samego początku. Nie jestem bezużyteczną, głupią suką. Nigdy nie byłam. Na mapie wyraźnie zaznaczono jeden

z punktów znakiem X. Chcę się odezwać, ale wtedy ktoś rzuca na mapę cień i po raz pierwszy od dłuższego czasu słyszę niski głos Daniela. Już nie epatuje wrogością, brzmi, jakby gra nagle go zainteresowała.

– To kapliczka – mówi. – Wiem, dokąd powinniśmy iść. Chodźcie za mną, zaprowadzę was.



# **ROZDZIAŁ IV**

## **TEN DOBRY I TEN ZŁY**

### **DANIEL**

Prowadzę drużynę w głąb lasu. Dobrze znam drogę, bo niedawno nią szedłem. Mała polanka zasypana pniami drzew zwalonymi przez burzę. Wąski strumyk i wielki głąz przypominający nieforemną, smutną twarz pozbawioną oczu. A potem dwie pochylone sosny wyglądające, jakby składały ukłon. Kiedy szedłem tą drogą po raz pierwszy, razem z kumplami, czułem się silny i myślałem, że to mnie się tak kłaniają. Teraz widzę, w jakim byłem błędzie. Te drzewa raczej płakały nad moim losem.

Słyszę za plecami głosy drużyny, gadają nieustannie, jak stado papug. Czuję się dość obco w tej dziwnej grupie ludzi. Oni wszyscy należą do innego świata niż ja. Tak naprawdę nie wiem, co tu z nimi robię. Ale ksiądz powiedział, że powinienem wrócić do puszczy i zmierzyć się z tym, co zrobiłem. Postanowiłem mu zaufać. Zdaję sobie sprawę z tego, że sama spowiedź nie wystarczy, żal za grzechy też. Trzeba odkupić swoje winy. Jeszcze nie wiem, jak to zrobię, ale wkrótce się dowiem. Dostanę odpowiedź. Muszę tylko być cierpliwy.

Zaskoczyło mnie, że trafiłem na grę w podchody, spodziewałem się czegoś zupełnie innego. Nie znałem zasad tej gry, nigdy nie grałem

w nią w dzieciństwie. Ale prawda jest taka, że moje dzieciństwo nie było beztróskim czasem. Wygląda na to, że to będzie pierwsza i ostatnia zabawa w moim życiu, zanim...

Nie myśl o tym teraz. Nie myśl o tym, co zrobiłeś, nie myśl o tym, co cię czeka. Wyobraź sobie, że jesteś normalnym człowiekiem, inaczej oni zauważą, że coś jest z tobą nie tak.

Dogania mnie ten typ, Aleks, który koniecznie chciał wiedzieć, czy dobrze znam las. Co chwila zagaduje, jakby chciał zostać moim kumplem, ale odpowiadam mu półsłówkami. Drażni mnie w nim wszystko. Od drogich, markowych ubrań i butów po sportowy zegarek Garmina. Jest wart co najmniej dwa tysiące złotych, tyle, ile ja zarabiałem, pracując przez miesiąc na taśmie w fabryce. Często widywałem takich typów na meczach. Przyjeżdżali pod stadion drogimi furami z pięknymi dziewczynami, siadali zawsze w bezpiecznej trybunie dla normalsów i patrzyli na nas, prawdziwych kibiców, jak na zwierzęta. Dla nas te mecze to było życie, a dla nich tylko niedzielna rozrywka.

Oglądam się przez ramię.

Za nami idzie ten pyskaty gość od komputerów, Tymon. Wygląda trochę dziwnie, blady jak upiór i wychudzony jak kot. Zero mięśni, słaby taki, chuchro, ledwo poradził sobie z przejściem po linie. Widać, że nie zna prawdziwego życia. Ja nie chodziłem na siłownię dla przyjemności, tylko po to, żeby przetrwać we własnym domu. No, ale on pewnie nigdy nie musiał o nic walczyć, nawet o samego siebie. Na mojej dzielnicy takich jak on nazywało się frajerami. Nie przetrwałby tam jednego dnia. A gdyby przypadkiem się tam przybłąkał, zostałby skrojony z całego tego hajsu, którym tak się przechwala, i uciekałby z podkulonym ogonem.

Za Tymonem idzie dziewczyna z fioletowymi włosami i kolczykami na twarzy. Ma dziwne, niepolskie imię. Mana czy Tana. Ona na pewno wie coś o walce, jest bardzo wojownicza, szkoda tylko, że stoi po przeciwnej stronie barykady niż ja. W prawdziwym świecie

bylibyśmy wrogami, oboje o tym wiemy. Ale w tym lesie gramy w jednej drużynie. A ludzi ze swojej drużyny się nie tyka. Zresztą ja i tak nigdy nie uderzyłbym kobiety. Nawet lewicowej feministki. Mam swoje zasady.

Mana czy Tana rozmawia z tą rudą laską o rusko brzmiącym imieniu. Raisa. Zwróciła moją uwagę, bo ciągle wypytuje wszystkich o wszystko. Dziwne, że oni tak chętnie jej odpowiadają, nie myślą w ogóle o tym, po co jej te informacje. Ale ze mnie na pewno nic nie wyciągnie. Może nie skończyłem studiów jak oni, ale mam swój rozum. Wiem, że kiedy obcy ludzie tak bardzo się tobą interesują, to zawsze mają w tym jakiś interes. Ona nie przyszła tu, żeby się z kimś zaprzyjaźnić. Po prostu węszy.

Na samym końcu idzie ta, która wpadła do rzeki. Dziewczyna o twarzy anioła, Marika. Na pierwszy rzut oka wygląda jak ideał kobiety, ale chyba spotkało ją coś złego. Takie piękne laski zwykle są zadowolone i pewne siebie. A ona jest jakaś wycofana, przestraszona. Staram się zbyt często na nią nie patrzeć. I tak nigdy nie miałbym szansy u takiej eleganckiej dziewczyny z dobrego domu. A teraz mogę już całkiem zapomnieć o tych sprawach. Żadna normalna dziewczyna nie zwiąże się z kimś, kto...

...Nie myśl o tym ciągle, bo zaraz zwariujesz.

Oni wszyscy wciąż mówią, a ja słucham, bo chcę wiedzieć, co się dzieje w prawdziwym świecie, poza tą puszcza. Od tygodnia nie słyszałem radia, nie włączyłem telewizora, telefon już dawno wyrzuciłem. Czekam, aż ktoś zacznie mówić o tym, co się stało w tym lesie tydzień temu, ale nikt tego nie robi. Może nie wiedzą. A nawet gdyby o tym usłyszeli, to pewnie szybko wyrzuciliby to z głowy. Ich życie nie ma z tym nic wspólnego. Oni przyjechali tu, żeby się zabawić, odpocząć od siedzenia w swoich ciepłych domach i wygodnych biurach.

Mimo wszystko dobrze znów znaleźć się wśród ludzi, zobaczyć twarze, usłyszeć głosy. Ostatni tydzień spędziłem na plebanii, nie

odzywając się do nikogo oprócz księdza. Zajmowałem się drobnymi naprawami, sprzątaniami, myciem podłogi w kościele. Ale przecież nie mogłem tam zostać na zawsze. On powiedział, że muszę odejść, odpokutować swoje winy.

Dlatego teraz jestem tutaj. Oddycham świeżym powietrzem, dotykam kory drzew, patrzę na kształty chmur. Cieszę się ostatnimi chwilami na wolności.

Wyobrażam sobie siebie samego stojącego na sali sądowej, wypraną z emocji twarz sędziego, zapłakaną matkę. Daniel Chojnowski skazany za współudział w zabójstwie, wyrok: piętnaście lat więzienia.

I nagle las zaczyna drżeć, ziemia ucieka mi spod nóg, niebo zamyka się nade mną z trzaskiem, zamienia w sufit celi. I nie ma już nic, ani słońca, ani chmur, ani lasu. Tylko ból i strach. I tak już do końca życia.

Nie myśl o tym. Nie myśl o tym. Nie myśl o tym.

\*\*\*

Murowana, pomarańczowa kapliczka wygląda na starą i zapomnianą. Tynk zaczyna się sypać, blaszany dach zardzewiał, drewniane łukowate drzwi zmurszały i zarosły bluszczem. Krzyż na dachu ledwo się trzyma.

Zatrzymuję się i rozglądam dookoła. Szukam skrzynki ze wskazówkami. Myślałem, że Partyzanci zostawią ją w pobliżu kapliczki, ale nigdzie jej nie widzę. To znaczy, że schowali ją w środku. Nie podoba mi się, że wykorzystali świątynię w grze, nie powinni tego robić. Pewne rzeczy są nietykalne, choć chyba nie dla nich. Najpierw śmieją się z wojska, nazywając się Partyzantami, a teraz z Kościoła.

Słyszę, jak reszta drużyny wyłania się z lasu, wszyscy ruszają w kierunku kapliczki.



– W escape roomach wskazówki czasem są ukryte pod podłogą – mówi Tymon. – Może trzeba będzie tam sprawdzić.

– Albo w figurach i obrazach – odzywa się ta z fioletowymi włosami.

– Mogli też schować je pod ołtarzem. Trzeba sprawdzić wszystko – dodaje Aleks, a ja zatrzymuję się w pół kroku.

Czuję, jak gotuje się we mnie krew.

– Chwila, wy chcecie zdemolować kaplicę? – pytam.

– Chcemy tylko znaleźć wskazówki.

– Nie wpuszczę was tam.

Zapada chwila nieprzyjemnej ciszy, wszyscy spoglądają na mnie zaskoczeni. Widzę w ich oczach, że nic nie rozumieją.

– Wyluzuj, człowieku – mówi w końcu Tymon. – To tylko gra.

– Ktoś z was wierzy w Boga?

– Żartujesz? – parska ta dziewczyna z fioletowymi włosami. Wreszcie przypomniałem sobie jej imię. Lana. Byłaby nawet ładna, gdyby nie tatuaże i to żelastwo na twarzy.

– Lubię fantasy, ale tylko w grach – mówi Tymon.

– Ja jestem po apostazji. – Raisa wzrusza ramionami. – A ty, Aleks?

– Jestem buddystą.

Do tej pory nie znałem takich ludzi jak oni, którzy za nic mają swoją tożsamość i narodową tradycję. Moi kumple wierzyli w to co ja – w Boga, rodzinę, ojczyznę.

Spoglądam wyzywająco na tę piękną dziewczynę, Marikę.

– A ty? – pytam. – Wierzysz?

Marika zaciska wokół nadgarstka srebrną bransoletkę. Zauważyłem, że robi to zawsze, kiedy się denerwuje.

– Wychowałam się w wierzącej rodzinie – odpowiada wymijająco.

– Pytałem o ciebie.

– Przez długi czas chodziłam do kościoła. Ale teraz... nie wiem.

– Czego nie wiesz?

– Nie wiem, czy wierzę w Boga – mówi cicho.

– Czyli ty też masz wyprany mózg, jak wszyscy tutaj. Szkoda.

Wydaje mi się, że tylko myślę te słowa, ale nieoczekiwanie dla siebie samego wypowiadam je na głos. Może po prostu zbyt długo nie odzywałem się do nikogo i w końcu zacząłem mylić myśli ze słowami. I niepotrzebnie pozwoliłem, żeby znów ogarnął mnie gniew.

Zapada cisza. Wszyscy patrzą na mnie ze złością, w milczeniu. Robię krok w stronę kapliczki, ale wtedy wyrasta przede mną Aleks. Patrzy na mnie już inaczej niż wcześniej. Jego oczy są zimne. Gdzieś zniknął ten sympatyczny, uśmiechnięty gość. Teraz wygląda jak drapieżnik broniący swojego stada.

– Daniel, nikt cię nie zmusza, żebyś z nami grał. Poradzimy sobie bez ciebie. Wracaj do domu, droga wolna. – Wskazuje dłonią leśną ścieżkę.

Patrzę w zamyśleniu na ciemną ścianę drzew, która wygląda jak labirynt. Perspektywa przeżycia ostatnich dni na wolności samemu, z dala od nich, wydaje mi się w tej chwili bardzo kusząca.

– Nie mogę zrezygnować – mówię.

– Bo? – Aleks unosi brwi.

– Ten, kto rezygnuje pierwszy, zawsze jest naj słabszy.

To nie jest prawdziwy powód. Wiedziałem, że będę wystawiany na próbę, spodziewałem się tego. Ksiądz powiedział, że muszę grać do samego końca, nieważne, co się stanie. Dopiero wtedy wszystko się wyjaśni.

– No to może ty pójdziesz do kaplicy po wskazówkę, poprawny chłopaku. – W oczach Lany błyszczą dwie błyskawice. – My chyba nie jesteśmy godni.

– Masz rację. – Kiwam głową. – Nie jesteście.

Ale ja też nie jestem, dodaję, tym razem tylko w myślach.

\*\*\*

Kapliczka pachnie wilgocią i starym drewnem. Znajomy zapach natychmiast napawa mnie spokojem i poczuciem bezpieczeństwa. Na ścianie wisi drewniana tablica z cytatem po łacinie. W środku jest mały ołtarz i wyblakły obraz Pana Jezusa w złotej ramie, co oznacza, że dawniej odprawiano tu msze. Klękam na jedno kolano i robię znak krzyża. Dotykam czoła, klatki piersiowej i obu ramion.

Składam ręce i od razu spływa na mnie spokój. Gdy byłem młodszy, wiara była dla mnie ważna, chciałem zostać księdzem. Ale potem jakoś o tym zapomniałem. Może zbyt często dostawałem wpierdol od ojca, broniąc przed nim matki i młodszych braci. Miłość szybko zaczęła zamieniać się w gniew. I ten gniew rósł we mnie latami, jak złośliwy guz. Musiałem gdzieś wyładować emocje, więc zacząłem szukać kłopotów, okazji do rozróby, wdawałem się w przypadkowe bójkę w szkole i na podwórku. A później zaczęły się wyjazdy na mecze. Gdybym wybrał inaczej, to wszystko pewnie by się nie wydarzyło. Gdybym poszedł do seminarium, miałbym teraz życie.

Na kamiennej podłodze kapliczki leży czerwona, drewniana skrzynka, podobna do tej, która wisiała wcześniej na drzewie. Otwieram ją i zaglądam do środka.

W jednej sekundzie tracę kontakt z rzeczywistością. Krew odplywa mi z twarzy, serce zaczyna walić w klatkę piersiową. To niemożliwe. To jakieś zwidy. Przecież nikt nie wie, że tu jestem. Nikt...

Kastet leży w pudełku, czysty i błyszczący. Metalowa broń do walki wręcz, prosty przedmiot do sprawiania bólu. Cztery dziury na palce, klamra. Podnoszę go, zakładam na dłoń.

Znów wracają do mnie wspomnienia tego, co się wydarzyło; pięść uzbrojona w kastet uderzająca o ciało. I krew, wszędzie krew. Opryskała pień drzewa, trawę, kamienie, moją twarz. I jego twarz. Nawet nie znałem jego imienia.

Czuję, jak kastet parzy moją dłoń. Zupełnie jakbym żywcem przypalał sobie palce. Upuszczam go na kamienną podłogę, upada

z brzękiem.

Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina.

Kilka dni temu podobny kastet uderzał w twarz tego chłopaka. Byłem tam, a potem biegłem przez las. Biegłem na oślep, byle dalej od zmasakrowanego ciała leżącego na ziemi. A potem klęczałem w małym, wiejskim kościele i ścisnąłem w zakrwawionych dłoniach różaniec. Modliłem się do Boga i czekałem na jego odpowiedź. Ale nie było żadnej odpowiedzi.

Wtedy podszedł do mnie ten ksiądz, młody, niewiele starszy ode mnie. Zapytał, czy chcę się wyświadczyć. Nie był ślepy, musiał zobaczyć, że ręce mam całe we krwi.

Poszedłem z nim do konfesjonału i powiedziałem mu wszystko. Nie obchodziło mnie, co z tym zrobi. Czy da mi rozgrzeszenie, czy zadzwoni po policję. Musiałem powiedzieć komuś, co tam się stało, chociaż raz w życiu.

Ksiądz milczał tak długo, że aż zacząłem się bać. Pomyślałem, że jeśli nie zasługuję na rozgrzeszenie, to naprawdę mój koniec. Ale w końcu przemówił. Powiedział, że mogę zostać na plebanii tak długo, jak tego potrzebuję. A potem zaczął szeptać mi swoje prawdy. A ja klęczałem i słuchałem go. Słuchałem.

– Ej, Daniel, co ty tam robisz? Modlisz się za nasze dusze? Bo jeśli tak, to tracisz czas!

Kpiący głos Tymona wdziera się w moje myśli. Panika powoduje, że słowa więzną mi w gardle. Dlaczego Partyzanci zostawili tu ten kastet? Taki sam jak ten, od którego zginął ten chłopak? Czy chcą mi coś przekazać? Nie. Niemożliwe. Ci ludzie przecież mnie nie znają. Nie wiedzą, kim jestem ani co zrobiłem. Nikt poza księdzem tego nie wie. A jego obowiązuje tajemnica spowiedzi. To musi być przypadkowy element gry. Pewnie kupili kastet przez internet, to przecież nic trudnego.

Kapliczka nagle przestaje wydawać się bezpiecznym miejscem. Czuję chłód. Spoglądam na malowidło. Mam dziwne wrażenie, że

postać na obrazie wodzi za mną oczami.

Dopiero teraz zauważam, że w skrzynce są jeszcze dwa przedmioty – zwinięta w rulon kartka i stara, ciężka latarka. Rozwijam kartkę drżącymi rękami, kieruję na nią światło latarki i zaczynam czytać. Po kilku sekundach moje serce zwalnia, oddech się uspokaja. Ten tekst nie ma nic wspólnego ze mną, to tylko zwykły wiersz. Nie rozumiem jego znaczenia, ale wiem, że nie ma w nim nic o śmierci, winie, zabójstwie, karze. To zwykła zagadka, wskazówka dla Zwiadowców mówiąca, dokąd powinniśmy iść.

Chowam kastet do kieszeni. Wiem, że muszę go ukryć. Zakopać go gdzieś, tak żeby nikt go nie znalazł. Żeby już nikt nigdy go nie użył.

– Daniel?

Skrzypienie drzwi. Wzdrygam się mimowolnie, zrywam z klęczek i obracam przez ramię. W otwartych drzwiach kaplicy stoi Aleks. Jego postać na tle prostokąta światła jest zupełnie ciemna, nie widzę jego twarzy.

– Długo cię nie było. Przyszedłem sprawdzić, czy wszystko jest w porządku – mówi, robiąc krok w moją stronę.

– Modliłem się, straciłem poczucie czasu – odpowiadam chłodno.

– Wiesz, Daniel... mam wrażenie, że kłamiesz.

Nawet jego głos brzmi inaczej. Aleks stojący w tej kaplicy i Aleks z lasu to dwie różne osoby. Aleks z kaplicy ma w sobie coś zimnego i bezlitosnego. I zaczynam rozumieć, że on potrafi doskonale udawać emocje, zakładać różne maski, dopasowywać się do danej sytuacji. Ale teraz, w tej kapliczce, jest naprawdę sobą.

– Uważaj z tymi oskarżeniami – warczę.

Aleks zamyka za sobą drzwi i robi kolejny krok w moją stronę. Czuję, że moje mięśnie się napinają, jak zawsze w sytuacji zagrożenia.

Przez kilka lat amatorsko trenowałem boks. Przed sparingiem zawsze był pojedynek na spojrzenia. Taka próba sił, próba

zdominowania przeciwnika przed walką. Ale żaden z nich nie patrzył na mnie tak jak Aleks w tej chwili.

– Wiesz, to bardzo ważne, żeby ludzie w drużynie sobie ufali – mówi powoli Aleks.

– Weź sobie te wskazówki.

Odwracam się do niego plecami i idę w kierunku drzwi kaplicy.

– Daniel – zatrzymuje mnie jego głos. – Jeśli jesteś z Partyzantami, a większość z nas tak uważa, to już tu nie wracaj.

– Czyli właśnie zagłosowaliście za wyrzuceniem mnie z drużyny – mówię, kładąc dłoń na klamce. – Za moimi plecami. To niezbyt honorowe.

Ku swojemu zdziwieniu czuję rozbawienie. Oczywiście, że chcieli się mnie pozbyć. Uraziłem ich dumę, więc moja obecność zaczęła im przeszkadzać.

– Ale coś wam nie wyszło – ciągnę. – Żeby kogoś wykluczyć, potrzebowaliście pięciu głosów. Ktoś był przeciwko wam. Ktoś nie chciał mnie wyrzucić z drużyny.

– Nie dowiesz się kto.

– Trudno.

Aleks wskazuje na drewnianą tabliczkę wiszącą na ścianie.

– Wiesz, Daniel, ja też kiedyś byłem katolikiem. Czytałem Biblię, tak jak ty. Podoba ci się ten cytat?

– Nie znam łaciny. – Wzruszam ramionami.

– W takim razie ci to przetłumaczę. Stary Testament, Księga Wyjścia 21, Prawo karne. Dwanaście: „Jeśli kto tak uderzy kogoś, że uderzony umrze, winien sam być śmiercią ukarany. W tym jednak wypadku, gdy nie czyhał na niego, a tylko Bóg dopuścił, że sam wpadł w ręce, wyznaczę ci miejsce, do którego będzie mógł uciekać zabójca”.

Czuję się, jakby ktoś zacisnął sznur na moim gardle. Nie mogę oddychać. Aleks nie spuszcza ze mnie uważnego wzroku.

– No i co? – pytam po chwili. – Co to ma wspólnego ze mną?

– Myślę, że wszystko. Powiedz, Daniel, myślisz, że Bóg jest tu teraz z nami?

– Bóg jest wszędzie.

Aleks wyjmuje z kieszeni scyzoryk i otwiera ostrze.

– Myślisz, że teraz ci pomoże?

Milczę. Patrzę na otwarty scyzoryk w jego dłoni, a potem powoli przenoszę wzrok na jego twarz. Najwyraźniej w końcu zaczęła się prawdziwa gra. Aleks uśmiecha się chłodno.

– Jeszcze raz wejdiesz mi w drogę i bardzo tego pożałujesz – mówi.

– Kim jesteś? – pytam.

– A ty?

Przez chwilę stoimy tak blisko siebie, że prawie stykamy się nosami. Żaden z nas nie mruga ani nie opuszcza wzroku.

– Jeśli nie jesteś z Partyzantami, to na twoim miejscu bym na siebie uważał – mówi cicho Aleks i wychodzi z kaplicy.





# ROZDZIAŁ V

## WIEDŹMA

### LANA

Mogłabym zostać w tej puszczy, myślę, podnosząc głowę i patrząc w niebo. Na twarz spada mi coś zimnego i mokrego. Pojedyncza kropla deszczu.

Niebo zasnuwają stalowoszare chmury. Powietrze z chwili na chwilę staje się coraz bardziej duszne, zatrute, naelektryzowane. Burza wisi w powietrzu.

Odkąd Daniel wszedł do kaplicy, reszta drużyny zaciekle o czymś dyskutuje. Być może mówią ważne rzeczy, ale przestaję ich słuchać, bo obraz przed moimi oczami zaczyna się zmieniać. Las nagle staje się czarny, drzewa tracą liście, kwiaty i rośliny usychają. Zwierzęta umierają w ciszy w swoich norkach, ptaki spadają na ziemię. To dzieje się wyłącznie w mojej wyobraźni, ale widzę to bardzo wyraźnie.

Dziś rano podjęłam decyzję. Myślałam o tym przez całą noc, obudziłam się o świcie i już wiedziałam, co muszę zrobić. Wsiadłam na rower i pedałowałam tak długo, aż dotarłam do Posoczyna, miasta, w którym się wychowałam i do którego już nigdy nie zamierzałam wracać. Nie zatrzymałam się, aby zobaczyć kamienicę, w której mieszkałam, jechałam dalej, aż do Puszczy Posoczyńskiej.

Kiedy byłam dzieckiem, w tej puszczy zaginęła bez wieści grupa maturzystów. To była sprawa na całą Polskę, w akcji poszukiwawczej brała udział policja z psami tropiącymi, nad lasem latały helikoptery. Zaginionych maturzystów szukały także grupy ochotników z całej Polski. Ale nigdy ich nie znaleźli. Nie został po nich nawet ślad. Wszystkie dzieci w miasteczku miały obsesję na punkcie puszczy. Powtarzały legendę o wiedźmie, która wiele lat wcześniej została spalona żywcem na stosie wraz ze swoimi córkami, a teraz wróciła i mści się na mieszkańcach, zabijając ich dzieci. Kiedyś naprawdę w nią wierzyłam. I choć ta historia mnie przerażała, najbardziej współczułam wiedźmie. W końcu to nie ona zaczęła tę wojnę. Ona ją tylko skończyła.

Zastanawiam się, która może być godzina. Piętnasta? Szesnasta? Od ilu godzin już tu jesteśmy? Zupełnie straciłam poczucie czasu.

– Lana? – Głos Raisy jest przytłumiony, brzmi jak ze źle nastrojonego radia. – Zgadzasz się z nami?

Mrugam. Las wraca do normy. Znów jest zielony, żywy, pachnący, wypełniony śpiewem skowronków. Sny na jawie to moja dziwna przypadłość. Jedna z wielu.

– Tak – mówię, chociaż nie mam pojęcia, o co chodzi.

– Mówię wam, Daniel jest z nimi – oznajmia Aleks. – Pewnie Partyzanci wstawili nam go do drużyny, żeby sprawdzał, czy nie oszukujemy i czy wykonujemy wszystkie zadania.

Aleks się myli. Czuję, że Daniel nie ma nic wspólnego z Partyzantami, że przyszedł do lasu w zupełnie innym celu. Widzę to w jego oczach. Jest jak nieodbezpieczony granat. Coś z niego emanuje i cokolwiek to jest, nie chcę tego w pobliżu. Mam dość własnych demonów.

– Zauważyliście, że dobrze zna ten las? – pyta Aleks. – I jak nas prowokuje?

– No to go wyrzucimy z drużyny – mówi Tymon. – To zgodne z zasadami gry. Po co nam szpieg?

– Może powinniśmy go wyrzucić, a potem go śledzić – proponuje Raisa. – Jeśli jest Partyzantem, na pewno nas do nich doprowadzi.

– Dobry pomysł. – Aleks kiwa głową. – Marika, co o tym myślisz?

Spojrzenia wszystkich ogniskują się na Marice. Wygląda ładnie w bluzie Raisy, ale wyraźnie nie radzi sobie z presją grupy. Nerwowo zagryza wargi, zaciska srebrną bransoletkę wokół nadgarstka.

– Może powinniśmy najpierw pogadać z Danielem? – pyta nieśmiało.

– Po co, żeby urządził nam krucjatę? – prychnął Tymon. – Przecież dla niego jesteśmy tylko poganami. Mamy wyprane mózgi, pamiętasz?

Przyglądam się Tymonowi. Jego oczy są przeszkłone i zaczerwienione, pewnie od ślepienia w ekran komputera. Bluza z kapturem wisi na chudym ciele, jakby w ostatnim czasie sporo stracił na wadze. Czapka z daszkiem dodaje kilka punktów do wzrostu i pewności siebie, ale ostateczny bilans i tak nie jest zbyt korzystny. O czym on zapewne wie. Dlatego ma w sobie tyle złości. Co takiego mogli zaproponować mu Partyzanci? Dlaczego zgodził się na udział w grze?

– Ale tak nie można... – protestuje Marika. – Nie głosujmy za jego plecami, nie bądźmy tacy. – Rozgląda się bezradnie, szukając sojuszników, ale bez skutku.

– Marika, on nie ma prawa cię obrażać tylko dlatego, że nie wierzysz w to co on – stwierdza stanowczo Aleks. – Nie ma prawa obrażać nikogo z was. Nie pozwolę mu na to. Jesteśmy drużyną, powinniśmy trzymać się razem. Więc zagłosujmy. Kto jest za tym, żeby wyrzucić Daniela?

Raisa i Tymon bez wahania podnoszą ręce, a ja po chwili robię to samo. Nie wiem, czemu Aleks aż tak bardzo chce się go pozbyć, i nie obchodzi mnie to. Wiem za to, że Daniel, gdyby tylko mógł, pozbyłby się mnie w mgnieniu oka. I to niekoniecznie w tak humanitarny sposób.

Marika wciąż się waha. Wygląda, jakby toczyła wewnętrzną walkę.

– Marika...? – Aleks patrzy na nią pytająco, w jego oczach błyska niedowierzanie.

Marika drży na całym ciele. Decyzja musiała ją sporo kosztować, ale już ją podjęła. Wie, że to właśnie jej głos decyduje o tym, czy Daniel odejdzie z drużyny, a mimo to nie podnosi ręki.

Powoli kręci głową.

– Przepraszam was – mówi cicho. – Nie mogę tego zrobić. Nie w ten sposób.

Coś przemyka po twarzy Aleksa. Dziwny cień, grymas, którego nie potrafię odczytać. Ale chwilę później znika, jakby ktoś przetarł mu twarz gąbką.

– W porządku – mówi, opuszczając rękę. – Nie powinienem wywierać na was takiej presji, przepraszam.

– Może po prostu z nim porozmawiasz, Aleks? – pyta Marika z nadzieją. – Może jakoś się dogadamy?

– Jasne. – Aleks kiwa głową. – Skoro tego chcesz. Dajcie mi chwilę, zaraz wrócę.

\*\*\*

Czarny długopis śmiga po kartce, tworząc nową rzeczywistość, zupełnie inną od tej, która mnie otacza. Siedzę na ziemi oparta plecami o drzewo i przenikam do niej, zatracam się bez reszty.

Moi rodzice nazywali to „bazgraniem”.

„Patrz, ona znowu bazgrze w tym swoim zeszyście”, mówili. Jakby chcieli tym jednym, pogardliwym słowem odebrać wartość jedynej rzeczy, w której byłam dobra. Ale to określenie mi się spodobało.

„Czas na bazgranie!” – mówiłam sobie i za pomocą ołówka tworzyłam nowe światy, magiczne portale, w których czułam się bezpieczna i szczęśliwa. Bazgranie ratowało mnie w dzieciństwie

i w dorosłym życiu. To była jedyna rzecz, której nikt nie mógł mi zabrać.

I w tej chwili krótkotrwałego szczęścia myślę, że może jeszcze mogłabym się wycofać z gry. Mogę pobiec przez las aż do parkingu, wsiąść na rower i odjechać stąd. Mogę pojechać dokądkolwiek, zostawić przeszłość za sobą, zacząć życie od nowa. Ale to oznaczałoby wybaczenie. A ja im nie wybaczyłam. Ani nie zapomniałam.

Nagle ktoś rzuca cień na kartkę. Unoszę głowę i widzę Raisę. Rude sprężyny włosów wystają spod czapki, w zielonych oczach ukrytych za okularami błyska zainteresowanie.

– Niesamowite – mówi.

Uśmiecham się do niej. Wiem, że chce kupić sobie moją sympatię pochlebstwami. Odkąd pierwszy raz się odezwała, prosząc o szluga, od razu wiedziałam, że coś ukrywa. Czułam to. Po kilku latach spędzonych w Kołchozie nauczyłam się czytać ludzi, rozumieć ich reakcje, bez słów odczytywać intencje.

Mój rysunek nie jest niesamowity. Nie jest nawet szczególnie oryginalny. To cyberpunkowa fantazja na temat *Alicji w Krainie Czarów* – Alicja w glanach i z laserową spluwą spaceruje po lesie pełnym gruzów starego świata. W tle widać szkielety budynków zarośniętych mchem i drzewami. Niebo pokrywa szachownica, naćpany królik biega ze stopionym zegarem. Królowa gra w krykieta, Kapelusznik i reszta ferajny piją krew z filiżanek do herbaty i malują nią białe róże. Uśmiechnięty kot skrada się ku nim przez gęstwinę krzewów.

– Zdajesz sobie sprawę, że wszystkie postacie wyglądają jak my?  
– pyta Raisa. – A ten kot ma twoją twarz. To trochę niepokojące.

Rozglądam się, wracając do rzeczywistości. Aleks i Daniel siedzą w kaplicy już dość długo. Marika chodzi po polance niespokojnie, co chwila spoglądając na drzwi kaplicy. Może wyobraża sobie, że Daniel właśnie wali głową Aleksa o kamienną podłogę.

Tymon ułożył wysoką wieżę z gałązek i pstryka nad nią zapalniczką. Na przemian zapala i gasi płomień. Widzę, jak ogień odbija się w jego oczach. Czuję, że byłby w stanie podpalić ten las tylko po to, żeby coś się działo.

– Ty się marnowałaś w tym barze, dziewczyno – mówi z przekonaniem Raisa. – Powinnaś żyć z rysowania.

– Nie da się żyć z rysowania – stwierdzam, zamykając szkicownik.

Jeszcze niedawno sama wierzyłam w to, że mimo wszystkiego, co mi się przytrafiło, mogę zostać kimś. Przez dwa lata studiowałam na Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu, ale praca w barze zabierała cały mój wolny czas. Nie przynosiłam prac w terminie, zawałam kolejne przeglądy, aż w końcu mnie wyrzucili. A pracę i tak straciłam, kiedy przyszła pandemia i zamknięto bar. Przez ostatnie pół roku szkicowałam głównie mojego kota i własną twarz zmieniającą się w odbiciu lustra – podkrążone oczy, coraz mocniej zapadnięte policzki, wystające obojczyki.

– Coś długo trwa ta ich rozmowa, no nie? – odzywam się, wskazując na drzwi kaplicy.

– No – przytakuje Raisa. – Może powinniśmy sprawdzić, co tam się dzie...

Drzwi do kaplicy otwierają się jak na zawołanie i staje w nich Daniel z nieprzytomnym, błędnym wzrokiem i bladą twarzą, z której odpłynęła cała krew. Być może odbył trudną rozmowę ze swoim Bogiem. Wiem jedno: na pewno nie został zbawiony.

Na jego widok wszyscy wstajemy i instynktownie zbliżamy się do siebie, jak stado zwierząt oczekujące ataku. Ale on nie zwraca na nas najmniejszej uwagi. Wygląda, jakby zapomniał, gdzie się znajduje. Jak zahipnotyzowany rusza w gęstwinę krzewów i po chwili znika między drzewami. Aleks wyłania się z kapliczki, trzymając w dłoniach czerwoną, drewnianą skrzynkę. Unosi dłoń na znak, że wszystko w porządku.

– Więc... co tam się stało? – pytam, podchodząc do niego. – Daniel odejdzie z drużyny? Czy po prostu poszedł po kij, żeby nas wszystkich zatłuc?

– Pogadaliśmy chwilę i wszystko wyjaśniliśmy – mówi Aleks. – Daniel chce grać dalej.

– Wielkie dzięki, Marika – parska Tymon. – Przez twoje dobre serduszko będziemy męczyć się z tym świrem do samego końca.

– Nie nakręcajmy się – uspokaja Aleks, podając skrzynkę Marice. – Daniel poszedł na spacer, a my mamy zagadkę do rozwiązania.

Marika otwiera skrzynkę. W środku znajduje się duża, ciężka, przedpotopowa latarka i kartka zwinięta w rulon, przewiązana czerwoną wstążką.

– Tylko dwa przedmioty? – pyta Tymon, marszcząc brwi. – W poprzedniej skrzynce były trzy. Jesteś pewien, że niczego nie brakuje?

– Niczego więcej nie było w środku. – Aleks wzrusza ramionami. – Kto chce przeczytać, co jest napisane na kartce? Lana, może ty?

Podaje mi rulon. Rozwijam kartkę i czytam na głos.

– Na ścianach nic i tylko wilgoć spływa. Ciemno i zimno tu. Nic – ale po nas, którzyśmy tu byli i serca swoje jedli, i krew swoją pili. Nic, czyli taniec nasz niedotańczony. Wygłowiłeś się z pustki i bardzo chcesz wiedzieć.

Ostatnie słowo wypowiadam prawie szeptem. Kartka zaczyna drżeć w moich dłoniach, ale nikt tego nie zauważa. Tymon, Aleks i Marika są skupieni na analizie tego, co właśnie usłyszeli.

– To fragment z Biblii? – pyta Tymon, marszcząc brwi.

– To nie jest Biblia – mówi Marika. – Brzmi jak wiersz.

Milczę. Znam ten wiersz. Pierwszy raz przeczytałam go w Kołchozie. Ktoś przesłał mi na adres zakładu poprawczego anonimowy list z wierszem Wisławy Szymborskiej. Na kopercie nie było adresu zwrotnego. Nie wiedziałam wtedy, czy traktować tę

wiadomość jako groźbę, czy jako pocieszenie. Kolejnych listów już nie było, więc w końcu o nim zapomniałam.

– „Serca jedli i krew swoją pili”... Mnie to bardziej brzmi na satanistyczną mszę – stwierdza Tymon. – A sataniści spotykają się w bunkrach, no nie?

– Albo na cmentarzach – podsuwa Aleks. – Może jest tu stary cmentarz.

– Nie będę szukać wskazówek na cmentarzu – wzdryga się Marika.

– Cmentarze i lasy nie mają ścian – zwraca uwagę Tymon. – W wierszu są ściany, po których spływa wilgoć.

– „Nic, ale po nas, którzyśmy tu byli” – analizuje Marika. – Cisza, ciemność i chłód... „Wygłowiłeś się z pustki i bardzo chcesz wiedzieć”... Do czego to nawiązanie?

– Do nas – mówię.

Myśli rozlatują się po mojej głowie jak chmara motyli. Czy ten, kto wysłał mi list, to ta sama osoba, która zaprosiła mnie do gry?

Nagle zrywa się ostry wiatr. Powołuje coś do życia, las budzi się ze snu. Ze wszystkich stron słyszę ciche odgłosy. Szelest krzaków, tupot, ciche pomruki. I szelest. Jakby ktoś ciągnął po liściach ciało.

Nikt poza mną nie zwraca na to uwagi. A może słyszę te dźwięki tylko we własnej głowie? Może zbyt długo siedziałam sama, zamknięta w mieszkaniu.

Próbuję wyobrazić sobie nas oczami kogoś z zewnątrz. Czwórka osób pochylona nad czerwoną skrzynką, kompletnie nieświadoma tego, co dzieje się dookoła. Idealne ofiary. I nagle dociera do mnie, że coś nie pasuje w tym obrazku. Daniel poszedł do lasu, więc powinno być nas pięcioro, nie czworo. Kogoś tu brakuje.

– Hej – odzywam się. – Gdzie się podziała Raisa?

Zapada cisza pełna konsternacji, wszyscy rozglądają się dookoła.

– Kto z was ostatni ją widział? – pyta Aleks. – Kiedy wyszedłem z kapliczki, już jej nie było.



– Przed chwilą rozmawialiśmy – mówię. – Była tu jeszcze parę minut temu...

– Raisa! Jesteś tu? – Marika woła w kierunku otaczających nas gęstych, wysokich drzew, ale odpowiada jej tylko głucha cisza.

– Jej plecaka też nie ma – zauważa Tymon, podchodząc do miejsca, w którym zostawiliśmy rzeczy.

Zastanawiam się, co mogło ją spotkać. Zgubiła się? Uciekła? A może ktoś zrobił jej krzywdę? Ktoś ukryty między drzewami? Może zaraz znajdziemy ślady jej krwi na korze drzew i rude włosy zaczepione na gałęziach?

„Podążajcie za czerwonymi znakami, Zwiadowcy”.

Nie, już dość. To tylko moja chora wyobraźnia, nieustannie karmiona komiksami, obrazami i animacjami pracuje na najwyższych obrotach. To przez nią postrzegam świat w kilku wymiarach, jakbym wiecznie była naćpana. To przez nią w mojej głowie od dwudziestu czterech lat trwa psychodeliczny bal. Szalona wyobraźnia. Cholerne przekleństwo.

– Może zawędrowała za daleko w las i zgubiła drogę? – pyta Marika.

– A może Daniel jej coś zrobił – rzuca lekko Tymon.

Aleks i Marika spoglądają na niego ze złością. Tymon unosi ręce.

– Przyznajcie, sami o tym pomyśleliście.

– Jezu, Tymon, przestań – denerwuje się Marika. – To nie jest śmieszne.

– Czy ktoś ma do niej numer? – pytam odruchowo, wyciągając telefon z kieszeni.

– W tym lesie nie ma zasięgu – przypomina Aleks.

– Dlaczego po prostu nam nie odpowie? – panikuje Marika. – RAISA! ODEZWIJ SIĘ!

– Okej, rozdzielmy się i jej poszukajmy – decyduje Aleks.

Ale w tej samej chwili Raisa wyłania się lasu. Ma liście we włosach, plecak na ramieniu i tajemniczy uśmiech na twarzy. Powietrze

nagromadzone w moich płucach wypada na zewnątrz w jednym długim oddechu ulgi.

– Gdzie ty byłaś? – pytam. – Nie mogłaś powiedzieć, że zaraz wracasz? Musiałaś robić nam pieprzone *Blair Witch Project*?

– No już, spokojnie, przecież jestem. Poszłam tylko na chwilkę w krzaki, nie wiedziałam, że będziecie aż tak panikować. Dajcie te wskazówki.

Podaję jej kartkę. Raisa przebiega wzrokiem po tekście i uśmiecha się szeroko.

– Chyba powinniście wrócić do liceum, skoro nie wiecie, o co chodzi. Przecież to wiersz Szymborskiej. Opowiada o porzuconym, zapomnianym miejscu, w którym kiedyś żyli ludzie. Miejscu, gdzie zaczęła się historia człowieka. To jaskinia. Musimy szukać jaskini.

\*\*\*

– Nie widzę tu żadnej jaskini – mówi Tymon, kiedy wszyscy pochylamy się nad rozłożoną płachtą mapy. – Niby jak mamy do niej trafić?

– Myślę, że powinniśmy iść po prostu tą ścieżką. – Aleks rysuje palcem po szlaku. – Ona prowadzi do rozwidlenia dróg. Może Partyzanci zostawili tam wskazówki.

Cień wątpliwości pojawia się na mojej twarzy, bo Aleks spogląda mi w oczy.

– W porządku, Lana? – upewnia się.

Kiwam sztywno głową i otwieram usta, żeby mu odpowiedzieć, ale wtedy spomiędzy drzew wyłania się Daniel. Idzie zgarbiony, ciężkim krokiem, jakby chciał rozdeptać każde małe stworzenie, które stanie mu na drodze. Wygląda lepiej, trochę bardziej ludzko. Jego twarz znów nabrała kolorów, a oczy straciły ten dziwny, opętańczy blask.

– Już w porządku, Daniel? – pyta pojednawczo Aleks. – Dajemy sobie drugą szansę?

Daniel w milczeniu kiwa głową, choć widzę, że robi to całkowicie wbrew sobie. Aleks uśmiecha się, zarzuca plecak za ramiona i pierwszy rusza w kierunku rozwidlenia dróg. Marika truchta za nim i usilnie próbuje wciągnąć go w rozmowę, na którą on wyraźnie nie ma ochoty. Zbywa ją, odpowiada półsłówkami i prawie na nią nie patrzy. Najwyraźniej nie chce przebaczyć jej aktu nielejalności podczas głosowania.

Marika w końcu daje za wygraną i wlecze się z tyłu, przygaszona i smutna. Dziewczyna powinna się nauczyć, jak ukrywać emocje. Ja robię to całe życie, mogłabym dać jej kilka lekcji.

Im bardziej zbliżamy się do rozwidlenia, tym wolniej idę, a każdy krok jest dla mnie nieprawdopodobnym wysiłkiem. Cichy głos w mojej głowie uparcie powtarza:

„Nie idź do tej jaskini. Zawróć. Stanie się coś strasznego”.

Chcę uciszyć ten głos. To głos małej, przestraszonej dziewczynki, którą od dawna nie jestem.

Mój plecak ciąży, jakby ważył sto kilo, choć wcześniej prawie go nie czułam. Przychodzi mi do głowy myśl, że ktoś dla żartu wypełnił go kamieniami. Ale nie, kiedy zaglądam do środka, widzę tylko to, co powinno tam być. Woda, przekąski, czołówka, apteczka, szkicownik, papierośnica, zapalniczka. Flaszka, która tak ucieszyła Tymona, ale której raczej razem nie obalimy. Nic, co mogłoby mnie obciążyć w razie kłopotów. Potrafię się uczyć na błędach przeszłości.

Przyśpieszam kroku. Skąd ten pieprzony strach, przecież tego właśnie chciałam, o tym myślałam przez ostatnie osiem lat. O sprawiedliwości. O spotkaniu z ludźmi, którzy zniszczyli całe moje życie.

Tymon nie miał racji, nie byłam słabym pracownikiem. Zawsze starałam się bardziej niż inni. Pracowałam ciężko, pomagałam kolegom, często zostawałam po godzinach. Ale nigdzie nie mogłam zagrzać miejsca przez moją nietypową przypadłość. Nazywam to

„przypadłością”. Bo choroba brzmi zbyt poważnie, a dolegliwość zbyt łagodnie.

Kiedy pracowałam w markecie budowlanym, zdarzało mi się znieruchomieć i stać tak, nie słysząc, co mówią do mnie klienci. W salonie tatuażu koleżanki znalazły mnie leżącą na podłodze i dygoczącą. Nie pamiętam, jak to się stało. Kierownik z fabryki, wręczając mi wypowiedzenie, stwierdził, że jestem niezrównoważona. Bardzo rozbawiło mnie to słowo. Nie-zrównoważona. Czyli odbiegająca od urojonej społecznej normy. Tak naprawdę chciał powiedzieć „pojebana”.

Wiedziałam, komu to zawdzięczam. Nikt, kto trafił do Kołchozu, nie wychodził stamtąd normalny, a ja spędziłam tam całe cztery lata. Cztery długie lata do czasu, kiedy sąd w końcu uznał, że zostałam zresocjalizowana i mogę wrócić do normalnego świata.

W barze pracowałam najdłużej. Większość barmanów lubiła sobie wciągnąć kreskę albo łyknąć coś, co ubarwi rzeczywistość. Miewali ataki dezorientacji i stany lękowe, więc szybko mnie zaakceptowali i uznali, że jestem jedną z nich. Nikt z moich wrocławskich znajomych tak naprawdę nic o mnie nie wiedział. Biorąc pod uwagę przeszłość, uznałam, że bezpieczniej będzie nie wpuszczać ludzi do swojego życia.

– Którędy idziemy? – Głos Tymona przywraca mnie do rzeczywistości.

Rozwidlenie dróg wygląda dziwnie, jakby ktoś skopiował trzy identyczne obrazki i wkleił je obok siebie. Trzy kręte, leśne ścieżki otoczone jodłami. Przy każdej z nich stoi drewniany drogowskaz z czerwonymi znakami od Partyzantów. Na tablicy wskazującej drogę w prawo narysowali dwa nawiasy, skierowane w przeciwne strony, na tablicy skierowanej w lewo widnieją dwie poziome litery T, a na środkowym drogowskazie – półkole z kropką środkiem.

– Co to za znaki? – pyta Marika, marszcząc brwi.

– Oznaczenia z mapy – tłumaczy Aleks. – Te dwa nawiasy oznaczają przełęcz. Dwie litery T to wodospady. Półkole to jaskinia. A te małe liczby obok znaków to odległość, mamy trzy kilometry do przejścia. Ale raczej powinniśmy pobiec. W podchodach liczy się czas, a my straciliśmy go już sporo.

\*\*\*

Gdybym chciała zobrazować komuś strach, narysowałabym właśnie to. Czarną, ziejącą jamę w ziemi otoczoną splątanymi korzeniami drzew i kamieniami. Rozumiem już, czemu Słowianie mówili o jaskiniach „pieczary”. Piec. Prawdziwe zejście do piekła.

Kiedy patrzę w czarną dziurę, natychmiast widzę wnętrze izolatki. To był pokój wielkości małej windy, bez okna, śmierdzący chemikaliami. Znajdował się w piwnicy, był ukryty za magazynkami na odzież. Pamiętam, schodziło się tam po długich, wąskich schodach.

Potrząsam głową, pozbywając się wspomnień. Osłabiają mnie, a teraz muszę być silna.

Raisa pochyła się nad kilkoma przedmiotami rozłożonymi na mchu.

– Okej, mamy trzy apteczki – oznajmia. – Niestety żadnych kasków i żadnej liny. Czy wszyscy mają swoje latarki?

Sięgam do plecaka i wyławiam z niego czołówkę, którą kupiłam na nielegalnym festiwalu techno. Gdy naciskam przycisk, zapala się mała żarówka.

– Daniel, masz latarkę? – pyta Aleks.

– Nie.

Daniel nie patrzy na niego. Dotyka dłonią skały, zagląda w otwór.

– A masz jakikolwiek sprzęt, który mógłby nam się przydać? – draży Aleks.

– Nic nie mam – mówi Daniel w ciemność.

Mam wrażenie, że mówi do kogoś niewidzialnego, ukrytego we wnętrzu jaskini. Może naprawdę kogoś tam widzi. Może nie jestem jedyną „niezrównoważoną” osobą w tym towarzystwie.

– To weź moją. – Aleks trąca go w ramię i wyciąga w jego stronę swoją sportową czołówkę.

– Nie. Ta mi wystarczy.

Daniel sięga po starą, ciężką latarkę zostawioną przez Partyzantów i wchodzi do jaskini jako pierwszy. Zanurza się w ciemność bez cienia zawahania, nie oglądając się na innych.

– Kto nie bierze latarki do lasu? – parska Tymon. – Czy on w ogóle wie, na czym polega gra w podchody?

– Nie sądzę. – Raisa pakuje apteczkę do plecaka i zakłada go na ramiona. – Aleks, nie wiemy, jak głęboka jest ta jaskinia. A jeśli tam zabłądzimy? Może ktoś powinien zostać na zewnątrz?

Ja, myślę tępo. Ja powinnam zostać na zewnątrz. Od samego patrzenia w tę ciemną dziurę i myśli o tym, że muszę zejść pod ziemię, czuję, jak krew zastyga mi w żyłach.

– Jeśli okaże się, że jest w niej dużo korytarzy i tuneli, po prostu zawrócimy i spróbujemy znaleźć inną drogę – mówi Aleks. – Ale ona może mieć tylko kilka metrów, jak większość jaskiń w Polsce.

Raisa kiwa głową uspokojona i wchodzi do środka. Za nią idą Aleks, Marika i Tymon. Kolejno znikają w ciemnościach, w paszczy potwora. Podchodzę do ciemnej dziury, dotykam okalającej ją wilgotnej, zimnej skały. Wspomnienia z izolatki wciąż pulsują w głowie jak koszmary sen.

Co Partyzanci ukryli w tej jaskini?

Zapalam czołówkę i wkraczam w ciemność.

Paweł, Dagmara, Gośka. Jeśli tam jesteście, lepiej znajdźcie sobie naprawdę dobrą kryjówkę, drodzy przyjaciele. Idę po was.

\*\*\*

Światło czołówki rozświetla ciemność.

Idziemy gęsiego wąskim, ciasnym, krętym tunelem. Kolejno: Daniel, Raisa, Aleks, Marika, Tymon i ja. Odkąd opuściliśmy obszerną wnękę, korytarz coraz bardziej się zwęża, a strop obniża. Poruszamy się więc zgarbieni, zgięci, pochyleni. Nie wiem, dokąd prowadzi tunel. Nie wiem, czy po drugiej stronie znajdziemy wyjście, czy ślepią uliczkę.

W powietrzu czuć wilgoć. Jest chłodno, najwyżej kilka stopni powyżej zera. Co chwila trafiam stopą w kałużę. Dno jaskini składa się z kawałków skały i gruzu zmieszanego z gliną. Z każdym kolejnym krokiem coraz mocniej czuję, że nie powinnam tu wchodzić.

Często dotykam kamiennych ścian, jakbym chciała je od siebie odepchnąć. Są zimne, chropowate.

Wyobrażam sobie, jak strop jaskini pęka i grzebie nas pod gruzami na zawsze. Wyobrażam sobie, że gubimy się w odnogach korytarza i umieramy powolną, paskudną śmiercią z odwodnienia, tracąc wcześniej wzrok i słuch. Wyobraźnia, raz uruchomiona, pracuje na pełnych obrotach. Chciałabym znaleźć w mózgu przycisk, który mógłby ją wyłączyć.

Powtarzam sobie, że już niedługo wszystko się skończy. Zrobię to, co mam do zrobienia, wydostanę się stąd i zapalę papierosa. Albo sto papierosów.

Myślę o Partyzantach. Wyobrażam sobie, jak siedzą całą szóstką w ukryciu – może w jakimś bunkrze. Siedzą w ciszy przy blasku świec, chichoczą i czekają na to, co nas spotka.

Nagle wpadam na Tymona, który zatrzymuje się w pół kroku.

– Co się dzieje? – pytam. – Dlaczego stanęli?

– Ej, wycieczka! – woła poirytowany Tymon. – Ruszcie się! Trochę nam tu ciasno!

– Zła wiadomość! – odkrzykuje Raisa. – Nie ma normalnego przejścia! Musimy precyzyjnie się przez szczelinę!

Czuję, jak moje gardło się zaciska. Nie mogę iść dalej. Nie przecisnę się przez żadną szczelinę. Chcę się stąd wydostać.

(Już nigdy stąd nie wyjdiesz).

Choć Tymon drży z zimna, ja zaczynam gotować się we własnych ubraniach. Powietrze w jaskini jest gęste, gorące, zatęchłe. Nie ma żadnego przewiewu. Słyszę w głowie pisk, przypominający gwizdanie czajnika.

(Nigdy cię nie wypuścimy).

Wiem, że atak nadchodzi, i nie mogę zrobić nic, żeby go powstrzymać. Wyłączam czołówkę i wycofuję się, nie słuchając nawoływania Tymona. Resztką sił wracam do wnęki, ostatniego miejsca, w którym mogłam jeszcze swobodnie się poruszać. Nie mam pojęcia, dokąd iść dalej, jak znaleźć wyjście. Zdejmuję kurtkę, a potem bluzę, czołówka spada na ziemię i gaśnie. Moja koszulka jest mokra od potu. Pochylam głowę, opieram dłonie o kolana, oddycham coraz szybciej. Zaczynam się dusić.

(Zostaniesz tu na zawsze).

Płuca rozpaczliwie domagają się powietrza, serce łomocze. Czuję nieznośny ucisk w klatce piersiowej, zawroty głowy i mdłości.

\*\*\*

Wdech i wydech.

Moje kolana uderzają o kamienie. Dotykam klatki piersiowej. Wyczuwam rytm serca. Bije szybko, jak u przerażonego królika.

Wdech i wydech. Każdy oddech sprawia mi ból. Macam kamienne dno jaskini w poszukiwaniu czołówki, ale dłonie trafiają na pustkę.

I nagle słyszę cichy głos Aleksa, gdzieś w pobliżu.

– Jestem tu.

Jednocześnie rozbłyska światło latarki. Widzę kontury jego sylwetki. Słyszę jego oddech, tak inny od mojego. Spokojny, wyrównany, opanowany.



– Zostanę tak długo, jak będziesz potrzebowała. Pomogę ci. Nie jesteś sama.

Nie wiem, skąd Aleks zna właściwe słowa, magiczne zaklęcia, które w niepojęty sposób pomagają. Moje serce powoli zwalnia, oddech cichnie. Opieram głowę o kamienną, wilgotną ścianę. Próbuję się uspokoić, wyciszyć. Wyobrażam sobie, że leżę na łące, a nad moją głową rozciąga się niebo. Wyobrażam sobie bezkresną przestrzeń.

Wdech, wydech. Jestem bezpieczna. Nic mi nie grozi.

Aleks pochyla się i podaje mi butelkę wody. Nie wyciągam po nią ręki.

– Czemu po mnie wróciłeś? – pytam. – Nie prosiłam cię o pomoc.

– Wiem.

– Gdzie są wszyscy?

– Poszli dalej. Powiedziałem, że coś zauważyłaś i pomogę ci to sprawdzić. Nie chciałem, żeby się wokół ciebie tłoczyli. Przy atakach paniki obecność innych ludzi tylko nasila objawy. Napij się wody. Zmniejszy ból głowy.

Nie pytam, skąd wie takie rzeczy. Wciąż czuję mdłości i wszelkie logiczne pytania muszą poczekać. Biorę spory łyk. Efekt jest natychmiastowy. Wnętrze jaskini się wyostrza, przestaje drżeć. Oddaję butelkę Aleksowi, ale on pokazuje mi gestem, żebym ją zatrzymała. Jednak oddaję. Nie chcę mieć u niego żadnych długów wdzięczności, nawet jeśli chodzi o głupią wodę.

Aleks siada obok mnie na mokrej skale, zachowując jednak bezpieczny dystans. Jestem mu za to wdzięczna, bo nie znoszę fizycznego kontaktu.

– Masz klaustrofobię? – pyta.

– Po prostu nie lubię być pod ziemią.

– Miałaś to od dziecka czy kryje się za tym jakaś ciekawa historia?

– Wiesz, Aleks, zwykle nie zwierzam się facetom, których dopiero co poznałam.

– Rozumiem. – Kiwa głową i się uśmiecha.

Z jakiegoś powodu myślę o moim kocie. Może dlatego, że jeszcze przed chwilą byłam przekonana, że umrę. A w takich sytuacjach myślimy o tych, których kochamy. A ja Kocham Demona bardziej niż kogokolwiek i cokolwiek na świecie. Teraz łączy nas niezwykła więź, ale gdy zabrałam go ze schroniska, nie chciał nawet na mnie patrzeć. Uciekał przed dotykiem. To uświadomiło mi, jakiego ogromu krzywdy musiał doznać od człowieka. Mieliśmy ze sobą coś wspólnego.

– Co robisz w życiu, Lana? – pyta Aleks, zupełnie jakbyśmy siedzieli przy kawie w przytulnej knajpce.

– W tej chwili siedzę na ziemi w pieprzonej jaskini – parskam.

– Nie myśl o tym. Powiedz mi, co robisz w życiu.

– Nie mam pracy. Całymi dniami rysuję. Nie bardzo jest o czym mówić.

Przez chwilę oboje milczymy.

– Podobają mi się twoje tatuaże – odzywa się Aleks. – Pewnie sama je projektowałaś?

– Tak.

Moje tatuaże. Kolorowe obrazy pokrywające skórę od nadgarstków aż do ramion. Zaczęłam się tatuować w Kołchozie. Przez pierwszy rok nie pozwolono mi wyjść na przepustkę, a przysługiwał mi tylko jeden krótki spacer dziennie, więc prawie cały czas siedziałam w pokoju. Moje rysunki szybko zapełniły ściany. Byłam bliska szaleństwa, musiałam znaleźć jakieś inne zajęcie, ujście emocji. Przy pierwszym tatuażu zamiast bólu poczułam ulgę. Przyjemność igły drążącej tunele pod skórą. I szybko uzależniłam się od tego uczucia.

– Siedziałaś w więzieniu, Lana?

– Co?

Zupełnie jakby nagle złapał mnie za gardło.

– Pytam, czy siedziałaś pod celą.

– Pojebało cię, Aleks? – pytam najspokojniej, jak potrafię, czyli nadal bardzo niespokojnie.

Odruchowo zaczynam szukać czołówki, moja dłoń nerwowo maca kamienne dno.

– Nie chciałem cię urazić. – Głos Aleksa wciąż jest uprzejmy. – Po prostu ten wąż na twoim przedramieniu u więźniów oznacza zemstę.

– Nie widziałam o tym – warczę. – Wybrałam go przypadkowo.

Wkładam bluzę, zasuwając suwak pod samą szyję.

– Wiesz, kiedy cię poznałem... – Aleks lekko zawiesza głos – pomyślałem, że jesteś dziewczyną, z którą lepiej nie zadzierać.

– Dobrze pomyślałeś – cedzę. – Więc nie próbuj.

– Wybacz, nie chciałem cię zdenerwować. Po prostu... ten tatuaż zajmuje ci całe ramię i często na niego patrzysz. To nie wygląda na przypadek.

Zaciskam pięści tak, że paznokcie wbijają się w skórę. Czy to możliwe, że w tych ciemnościach Aleks zauważył trzy inicjały wokół węża? Znaki, które potwierdzają jego teorię i obalają moje kłamstwo?

– Skąd znasz się tak dobrze na więziennych tatuażach, Aleks? – warczę. – Podobno pracujesz w korporacji.

– Nie zawsze byłem tym, kim jestem teraz.

Przyglądam się mu bez słowa. Czyżby naprawdę zasugerował to, co mi się wydaje? To przecież niemożliwe, żeby bezinteresowny, uczynny, troskliwy, doskonały Aleks kiedykolwiek siedział. Jego wygląd, drogie ubranie i sportowy sprzęt, jego sposób bycia, słowa, których używa... Tacy ludzie nigdy nie trafiają do więzień. Prawda?

Nagle kamienna wnęka rozbłyska ostrym, zimnym światłem. Wzdrygam się gwałtownie i osłaniam oczy.

– Przepraszam – słyszę słodki głos Mariki. – Długo was nie było, więc przyszłam sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Jak to możliwe, że zjawiała się tu tak bezszelestnie? Jak długo tu stała? I co udało jej się usłyszeć?

– Znaleźliście coś? – pyta Marika wciąż dziwnym, przesłodzonym głosem.

– Nie – odpowiada Aleks. – Myślałem, że Partyzanci zostawili tu dla nas znaki, ale okazało się, że to fałszywy alarm.

Słowa spływają z jego ust płynnie i bez śladu zawahania. Pewność siebie, z jaką je wypowiada, nie pozwala w nie wątpić. Aleks potrafi kłamać lepiej niż ja.

– My już wiemy, gdzie Partyzanci ukryli wskazówki – mówi Marika, zbliżając się do niego. – Ale mamy problem. Potrzebujemy was.

– No to idziemy. – Aleks podnosi się z ziemi.

Marika nie odchodzi, tylko wciąż stoi nad nami nieruchomo, pilnuje nas jak wyjątkowo piękny strażnik więzienny. I nagle rozumiem. Ona wcale nie chciała sprawdzić, czy nic nam nie jest. Chciała zobaczyć, co robię z Alekssem. Dlatego podkrađła się do nas, a potem przyczajona słuchała naszej rozmowy. Niepokojące.

Dostrzegam czołówkę, podnoszę ją i zakładam na głowę.

Aleks wyciąga do mnie rękę. Podaję mu dłoń i podnoszę się z ziemi, ale wtedy on jednym szybkim ruchem przyciąga mnie do siebie i nachyla się do mojego ucha.

– Ta trójka z tatuażu. D, P i G. Mam nadzieję, że dostaną od ciebie to, na co zasłużyli – szeptem.

A potem, nie czekając na moją reakcję, rusza przed siebie, w ciemność.

\*\*\*

Marika miała rację, rzeczywiście mamy problem. Problem to tunel w bocznej ścianie jaskini. Na kamieniach namalowano czerwony symbol, dwie przekreślone strzałki. Mój znak. Znak gry w podchody. Właśnie tam czekają na nas wskazówki. Tunel wygląda jak królicza nora. Jest na tyle wąski i ciasny, że ani Aleks, ani Daniel nie byli

w stanie wczougać się do środka, choć próbowali. A to oznacza, że musi to zrobić ktoś szczupły i drobny.

– Słuchajcie, przepraszam was, ale ja chyba nie dam rady – odzywa się Marika drżącym głosem. – Nie wejdę tam.

Kiedy to mówi, już nie ma w niej grama wcześniejszego mroku, znów jest delikatna i wrażliwa jak sarenka.

– Ty już dzisiaj swoje przeżyłaś – mówi Raisa. – I bardzo nam pomogłaś. Bez ciebie byśmy tutaj nie dotarli.

Na potwierdzenie swoich słów kładzie jej dłoń na ramieniu. Marika uśmiecha się do niej z wdzięcznością.

– No więc ja, Lana albo Tymon. – Raisa śmieje się nerwowo. – Może ktoś na ochotnika?

Odpowiada jej tylko głucha cisza.

– Wiecie, co to oznacza? – pyta po chwili Tymon. – Musimy rozstrzygnąć to jak dorośli.

– To znaczy? – Raisa marszczy brwi.

– To chyba jasne – mówi Tymon. – Zagramy w marynarzyka.

Papier, kamień, nożyce. Nie lubię tej zabawy. Często grałam w marynarzyka w dzieciństwie i prawie zawsze przegrywałam. A potem musiałam zrobić coś upokarzającego.

W pierwszej rundzie wszyscy pokazujemy zaciśniętą pięść. Trzy razy kamień. Za drugim razem ja i Tymon pokazujemy papier, a Raisa nożyce. Nożyce przecinają papier. Raisa nawet nie próbuje powstrzymać westchnienia ulgi. Ale zaraz później posyła mi pokrzepiające spojrzenie. Chce, żebym wygrała z Tymonem. Jest po mojej stronie albo to udaje. Nieważne.

Ja i Tymon stoimy w ciemnościach naprzeciwko siebie. On uśmiecha się kpiąco, a ja patrzę na niego obojętnie. Tak naprawdę jesteśmy tylko dwójką przestraszonych ludzi, choć jestem pewna – ja boję się bardziej. Strach rozprzestrzenia się po organizmie jak nowotwór, czuję go w każdej komórce ciała. Ale dbam o to, aby na

mojej twarzy nie drgnął ani jeden nerw. To przecież tylko gra. A nagroda jest warta wszelkich poświęceń.

– Ej, Lana, sprawa wygląda tak – odzywa się Tymon. – Jesteś najchudsza z nas, więc powinnaś poświęcić się dla drużyny. W końcu wszyscy składamy się na twój zasilek.

I pomyśleć, że przez krótką chwilę, wtedy, pod wiatą, myślałam, że ja i on mamy ze sobą coś wspólnego. Pod warstwą obojętności i cynizmu wyczuwałam cierpienie. I coś innego. Nie potrafiłam dokładnie określić co, ale czułam, że to coś kruchego i cennego. Dlatego narysowałam jego portret. Nie to, jak wyglądał, ale to, jak go widziałam. Jak się okazało, jednocześnie myliłam się i miałam rację. Tymon cierpiał, ale nie miał w sobie nic poza pogardą dla całego świata. Dobrze, że spaliłam tamten rysunek. Nie zasłużył na niego.

– A może ty się poświęcisz, Tymon – proponuję. – Na początku gry powiedziałeś, że Partyzanci mogą cię zabić, bo i tak nie masz za wiele do stracenia. Zakładam, że „nie za wiele” oznacza w twoim przypadku nic.

Tymon mruży oczy, co oznacza, że strzał był celny.

– Mocne słowa jak na kogoś, kto ma na tapecie telefonu zdjęcie kota – cedzi.

– Przynajmniej mam dla kogo żyć – odcinam się.

– Ten kot to nagroda pocieszenia za to, że żaden facet nie chce marnować z tobą czasu?

– Wszyscy marnujemy czas. – Wzruszam ramionami. – Jedni przygarniają zwierzęta, których nikt nie chce, inni grają w gry komputerowe.

– Ale tylko ci drudzy mają szansę wygrać.

– Dopóki nie wyjdą do prawdziwego świata.

Uśmiecham się do niego złośliwie. Tymon nie ma już nic więcej do dodania. Wyciąga pięść. Ja też. Oboje podnosimy dłonie, mierząc się spojrzeniami. Przyszedł czas na chwilę prawdy. Trzy, dwa, jeden.

Ja pokazuję kamień, Tymon pokazuje papier. Papier owija kamień, papier wygrywa.

Przez kilka sekund oboje trwamy w zaskoczeniu, bo każde z nas spodziewało się innego wyniku. A potem widzę, jak na twarzy Tymona pojawia się szeroki uśmiech.

– No, Lana – mówi. – To teraz pokażesz nam, jak świetnie radzisz sobie w prawdziwym świecie.

\*\*\*

Czołgam się przez tunel, ocierając boleśnie kolana i łokcie. Mam ziemię i pajęczyny we włosach, po moich ramionach biegają spanikowane pająki.

Nie bójcie się, mali koledzy, myślę. Ja jestem tu tylko na chwilę.

Wiem, że jestem intruzem w ich świecie. Nieproszona wlażłam do ich domu i zaburzyłam ich spokój.

Prawy łokieć i lewe kolano do przodu. Lewy łokieć, prawo kolano do przodu. Mam wrażenie, że z każdym moim ruchem tunel się pomniejsza. Jest coraz ciaśniej. Tymon pewnie utknąłby tutaj na dobre. Miał rację, mówiąc, że jestem najchudszą osobą w drużynie.

Moje żebra i obojczyki sterczą pod skórą, praktycznie nie mam piersi, brzuch jest płaski jak deska do prasowania, a nogi i ręce przypominają patyki. Ale nie zawsze tak było.

Kiedy miałam siedem lat, moje ciało było miękkie i okrągłe, pokryte warstwą tłuszczu. Wszyscy w szkole mówili o mnie „Świnia NaLana” co, jak zakładam, stanowiło szczyt ich okrutnej dziecięcej kreatywności. Niestety, byłam gruba, pochodziłam z biednej rodziny, nosiłam ubrania z lumpeksu i nie miałam niczego, co uchroniłby mnie przed wszechobecną pogardą.

Teraz w niektórych oświeconych kręgach mówi się na to *fat shaming*. Dyskryminacja ze względu na wagę, stygmatyzujące

podejście do otyłości. Ale siedemnaście lat temu to było po prostu naśmiewanie się z grubaski.

Pamiętam słowa. Wwiercające się w mózg, bezlitosne. Pamiętam radość upokarzania. Plecak wyrzucony do kontenera śmieci, zeszyty pływające w muszli klozetowej, nogi podkładane na korytarzach, oślinione papierowe kulki trafiające prosto w twarz.

Szkolni prześladowcy nigdy mnie nie bili, ale odbierali mi to, co siedmioletni człowiek ma najcenniejszego – godność i wiarę w to, że świat jest dobrym miejscem. Niszczyli moją duszę. Powoli, systematycznie i konsekwentnie. Aż w końcu zaczęłam wsadzać sobie palce do gardła, żeby pozbyć się nadmiaru znienawidzonego ciała.

Moi rodzice nie zwracali uwagi na to, co się ze mną dzieje, bo nigdy się o mnie nie troszczyli. Byłam trzecim, niechcianym i nieplanowanym dzieckiem. Wpadką, która uszczupliła skromny domowy budżet i którą powitali na świecie z niezadowoleniem. Nie wiązali ze mną żadnych nadziei, nie chcieli mnie, nie czuli też większej odpowiedzialności za mój los. Nie pytali, czemu wracam ze szkoły w podartym i ubłoconym ubraniu, z oczami czerwonymi od łez. Mieli jeszcze dwóch starszych synów i chyba uznali, że córka może się zmarnować.

Mój rodzinny dom nie był szczególnie przytulnym miejscem i uciekałam z niego, kiedy tylko miałam okazję. Zwykle przesiadywałam w bibliotece, gdzie odrabiałam lekcje albo rysowałam. A ponieważ samotność bolała, zaprzyjaźniłam się z bezdomnym kotem, który przychodził na moje podwórko i wyjadał jedzenie ze śmietników. Miał szarą, wypłowiałą sierść i poszarpane ucho, nie widział na jedno oko. Na początku nie chciał mi zaufać, ale byłam cierpliwa. Przynosiłam mu tuńczyka, sardynki i świeżą wodę. Codziennie go karmiłam, aż w końcu sam zaczął podchodzić. Powoli oswajał się z moim dotykiem i głosem, siadał coraz bliżej mnie, szukał kontaktu. Z czasem zaczął siadać mi na kolanach i mruzczeć.



Kiedy głaskałam jego futerko, przepęłniała mnie miłość. Czyste, proste i szczerze uczucie, którego nigdy wcześniej nie doświadczyłam. Ale ktoś postanowił mi to odebrać.

\*\*\*

W pierwszej chwili nie rozumiem, co się dzieje. Dlaczego nie mogę czołgać się dalej? Dopiero po chwili czuję, że moja kostka zaklinowała się między wąskimi kawałkami skały. Szarpię nią, ale nie mogę się uwolnić.

– Lana, wszystko w porządku? – Głos Raisy dobiega z bardzo daleka.

Chcę jej odpowiedzieć, ale nie potrafię wydobyć z siebie najmniejszego dźwięku. Jestem w stanie tylko oddychać, zastygła w bezruchu, sparaliżowana.

Proszę, niech to nie będzie zawał, myślę. Nie chcę umrzeć w tej pieprzonej dziurze, w ciemności, pod ziemią. Sama, zupełnie sama.

Chcę się stąd wydostać. Wypuście mnie, wypuście stąd, wypuście, proszę.

Wyobrażam sobie, jak pająki wpełzają mi do uszu, oczu i ust i chodzą po moim wnętrzu, wszędzie czuję ich nóżki.

Z mojego gardła wyrywa się wrzask, ale w ostatniej chwili wpycham do ust rękaw bluzy i tłumię krzyk. Słyszę kwilenie i dopiero po chwili orientuję się, że to ja wydaję te ciche, rozpaczliwe dźwięki.

To do mnie wraca. To wraca i nie mogę już przed tym uciec.

\*\*\*

Paweł, Dagmara i Małgosia. Tak brzmiały ich imiona. Imiona, które nie zapadają w pamięć. Ale ja już ich nie zapomnę. Nigdy. Tak jak ich twarzy. Gładkich, dziecięcych, niewinnych twarzy

nienaznaczonych jeszcze żadnymi śladami, bliznami czy zmarszczkami.

Cała trójka mieszkała na moim osiedlu i zanim trafiliśmy do jednej szkoły, często bawiliśmy się razem na podwórku. Zwykle w chowanego albo w berka. Graliśmy też w klasy, w marynarzyka i wygłupialiśmy się na trzepaku.

Ale kiedy tylko wylądowaliśmy w tej samej podstawówce, szybko się ode mnie odsunęli. Nie chcieli mieć do czynienia ze szkolnym popychadłem. Być może bali się, że jeśli staną w mojej obronie, podzielą mój los. Paweł, Dagmara i Małgosia pochodzili z normalnych, choć niezbyt bogatych rodzin i nie wyróżniali się niczym szczególnym. Byli ładnymi, szczupłymi i zadbanyimi dziećmi. Idealnie wtapiali się w tłum, czego w głębi duszy im zazdrościłam. Mieli siebie nawzajem i trzymali się razem, czego zazdrościłam im jeszcze bardziej.

Żadne z nich nigdy nie dręczyło mnie w szkole, nie przyłączali się też, kiedy robili to inni, co skutecznie uspiło moją czujność. Myślałam, że skoro wszyscy wychowaliśmy się na jednym osiedlu, kieruje nimi coś w rodzaju sąsiedzkiej solidarności. Wiedziałam, że czasem obserwowali mnie, kiedy bawiłam się na podwórku z bezdomnym kotem albo siedziałam sama na przerwach, rysując i próbując zniknąć. Wydawało mi się, że widzę w ich oczach współczucie. Myliłam się tak bardzo, jak to tylko możliwe. Oni po prostu mnie obserwowali. Obmyślali plan, który miał służyć... no właśnie czemu? Nigdy się nie dowiedziałam.

Kiedy Małgosia niespodziewanie zaprosiła mnie do swojego domu na ósme urodziny, byłam naprawdę podekscytowana. Wydawało mi się, że dzięki tej jednej imprezie odnowimy naszą przyjaźń. Byłam tylko niedoświadczonym, naiwnym dzieckiem, które wciąż chciało wierzyć, że ktoś je polubi.

Zabawa w chowanego, tak powiedzieli. Graliśmy w to wcześniej razem setki razy, nie było powodów do niepokoju. Dagmara miała

nas szukać – stanęła na klatce schodowej z zasłoniętymi oczami. Wciąż pamiętam jej głos, kiedy odliczała od dziesięciu. Paweł i Małgosia zeszli ze mną do piwnic. Mieliśmy wszyscy schować się w piwnicy Małgosi, zamknąć drzwi i zgasić światło. Ja weszłam pierwsza, niczego nie podejrzewając.

Zrozumiałam, co się dzieje, dopiero kiedy poczułam popchnięcie w plecy i usłyszałam, jak klucz porusza się w kłódce. I nawet wtedy myślałam, że chcą mnie tylko postraszyć, na chwilę potrzymać w zamkniętej piwnicy, że to wciąż jeszcze zabawa.

Dopiero kiedy zobaczyłam martwe ciało mojego przyjaciela – bezdomnego kota, leżącego bez ruchu, z pianą płynącą z pyszczka, zrozumiałam wszystko. Musieli nakarmić go trutką, w piwnicy było jej pełno. Ten kot zginął dlatego, że był moim jedynym przyjacielem. Kiedy to zrozumiałam, momentalnie wpadłam w histerię. Wrzeszczałam jak opętana i wyłam. Waliłam pięściami w drewniane drzwi tak długo, aż kostki zaczęły krwawić, a gardło ochrypło. Wydawało mi się, że jeśli przestanę krzyczeć i zostanę sama, w ciszy, to umrę. Ale w końcu musiałam przestać.

Bardzo długo leżałam skulona na zimnym sklepieniu, otoczona przetworami w słoikach, wtulona w nieruchome ciało kota. Leżałam przy nim, głaskałam jego futerko i oplakiwałam go. Powtarzałam mu w kółko tę samą dziecienną rymowankę:

*Czemu płaczesz, lisku mały?*

*Dzieci w sidła cię złapały.*

*Kiedy tylko tutaj wrócą,*

*Życie swoje bardzo skrócą.*

\*\*\*

Teraz też ją powtarzam. Wypowiadam ją raz za razem spierzchniętymi wargami, tkwiąc w ciemnym, wąskim tunelu tylko po to, żeby utrzymać kontakt z rzeczywistością. Mój mózg się buntuje,

nie działa prawidłowo. Nie może znieść wilgoci, ciasnoty, a przede wszystkim świadomości, że znajduję się pod ziemią, odgradzona od świata niezniszczalną zaporą. Odpływam, ale gryzę się w dłoń, żeby zachować przytomność. Nie mogę zemdleć. Nie teraz. Nie jestem pewna, czy komukolwiek udałoby się mnie stąd wyciągnąć. Zupełnie jakbym wpadła do króliczej nory, do studni, z której nie ma ucieczki.

\*\*\*

Po kilku godzinach spędzonych na zimnej podłodze piwnicy wreszcie zobaczyłam światło i usłyszałam wytęskniony dźwięk klucza przekręcanego w zamku. Wypuścił mnie ojciec Małgosi, który zszedł do piwnicy po słoiki i usłyszał mój płacz. Na widok martwego kota tylko ze smutkiem pokiwał głową. Myślał, że zjadł trutkę przypadkiem. Nie wiedział, że odpowiada za to jego córka. Nie powiedziałam mu, co się stało. Nie uwierzyłby mi. Zabrałam z piwnicy ciało mojego przyjaciela i pochowałam go w Puszczy Posoczyńskiej, pod rozłożystym dębem. I obiecałam mu, że o nim nie zapomnę. Nigdy.

\*\*\*

A teraz, siedemnaście lat później, tkwię w tunelu i myślę o tym, co by się stało, gdybym naprawdę tu umarła z głodu, odwodnienia, wycieńczenia. Wyobrażam sobie swój szkielet, przykrą niespodziankę dla turystów i speleologów, którzy kiedyś tu zawędrują. Wiem, że nikt z mojej rodziny nie przyszedłby na pogrzeb.

Ta wizja samotnego grobu i myśl, że nikomu na mnie nie zależy, że mogę liczyć tylko sama na siebie, nieoczekiwanie dodaje mi sił.

Zaczynam się poruszać. Najpierw delikatnie, a później rzucam się po tunelu niczym wściekła gąsienica, ryba wyrzucona na brzeg.

Nie umrę tutaj. Nie ma mowy.

Pająki w moich włosach. Już rozumiem. Nie, pająki nie chcą mnie zabić. Chcą mnie uratować, pająki są moimi przyjaciółmi.

Jeszcze silny ruch i udaje mi się uwolnić kostkę. Zdieram sobie przy tym skórę aż do krwi, ale to nieważne, zupełnie nieważne. Zaczynam się czołgać, szybko, energicznie, nie zważając na to, że robię dziury w dżinsach i bluzie.

\*\*\*

W gimnazjum byłam samotną, wyobcowaną dziewczyną z mocnym makijażem i włosami zafarbowanymi na różowo. Na przerwach między lekcjami siedziałam sama i zawsze rysowałam w szkicowniku. Dagmara, Paweł i Gośka nie mogli już mnie gnębić, bo jeździłam do innej szkoły, do sąsiedniego miasteczka. Wciąż jednak mieszkaliśmy na tym samym osiedlu i czasem się widywaliśmy.

Moi rodzice się rozstali, a bracia wyprowadzili z Posoczyna, więc po kilku latach wrzasków i przemocy w domu zostałam tylko ja i mama.

W tamtym czasie ćpałam dużo i często. Chyba próbowałam zrekompensować sobie stracone dzieciństwo, znaleźć w życiu trochę szczęścia. Mefedron i kwas były w Posoczynie dostępne tak łatwo jak kawa i herbata. Wystarczyło zaczepić jednego z dilerów kręcących się pod szkołą. Jeden z nich został zresztą moim chłopakiem. Miał na imię Maks i pomijając dilerkę, był dobrym gościem. Świetnie rysował, sporo czytał, troszczył się o zwierzęta i kochał naturę. Kochał też mnie, a przynajmniej tak twierdził. Sam pochodził z rozbitej rodziny i doskonale rozumiał, na czym polega mój ból. Mogliśmy rozmawiać ze sobą całymi godzinami.

Często wagarowałam i włóczyłam się z nim po Puszczy Posoczyńskiej. Opowiadał mi legendy, uczył nazw leśnych roślin, gatunków ptaków. Kiedyś, leżąc na haju zagrzebana w liściach, opowiedziałam mu historię o bezdomnym kocie i zabawie w piwnicy. Powiedział mi, że powinniśmy wrzucić całą trójkę do dołu w lesie, żeby zajęła się nimi wiedźma. Odpowiedziałam mu, że pierdoli. Byłam zbyt nieprzytomna, by na poważnie rozważyć pomysł zemsty.

Tej samej nocy wróciłam do domu samotnie, wciąż mocno otumaniona kwasem. Maks chciał mnie odprowadzić, ale odmówiłam. To był błąd. Dagmara, Paweł i Gośka akurat pili na podwórku. Pamiętam. Siedzieli na ławce, każdy z nich trzymał butelkę wina, a pod ich nogami na ziemi leżało jeszcze kilka pustych butelek.

Całkiem ładna grupa ludzi, pomyślałam. Nic dziwnego, że są tak lubiani w miasteczku. Zupełnie po nich nie widać, jakimi są potworami.

– Ej – odezwał się Paweł. – Na co się gapisz?

Jego twarz rozdwajała mi się w oczach. Gdybym była trzeźwa, zignorowałabym go i weszłabym do bramy, ale niestety, byłam naćpana.

– Na was się gapię – odpowiedziałam. – Zabiliście ostatnio jakieś koty?

– Nie, wszystkie szkodniki na osiedlu już wytrute – zaśmiali się.

– Nie wszystkie – powiedziałam.

– Co?

Widziałam, jak wstają z murku i idą w moją stronę. Ale zamiast strachu narkotyki podsunęły mi tylko radosne podniecenie.

– Co powiedziałaś? – zapytała Dagmara.

– Że jesteście szkodnikami. I to was ktoś powinien otruć.

Szklana butelka rzucona przez Gośkę poleciała w kierunku mojej głowy, ale w ostatniej chwili zrobiłam unik i rozbiła się na ścianie bramy. Pamiętam te migotliwe odpryski lecące na wszystkie strony.

– Pudło – zaśmiałam się, bo nie zdawałam sobie sprawy z zagrożenia. Wciąż wydawało mi się, że to tylko sen.

Schyliłam się, żeby podnieść klucz, który wypadł mi z ręki, ale wtedy poczułam kopnięcie w głowę i wylądowałam na plecach. Zobaczyłam nad sobą Pawła. Próbowałam się podnieść, ale stopa Dagmary pojawiła się na mojej piersi.

– Ty nam grozisz, ćpunko pierdolona? – zapytała.

Ich twarze migotały mi przed oczami. Zmieniały kształty i kolory.

– Nie, ja mówię prawdę. Nie kopie się ludzi po głowie. Nie wolno kopać ludzi ani zabijać kotów. Wy skończycie w dole więdźmy – mówiłam, nie mogąc zapanować nad chichotem. – Wiedźma was zajebie.

– Dobra, weź ją, Paweł, trzymaj – warknęła Dagmara.

Wspomnienia z tamtej chwili wciąż są niewyraźne, zamazane. Jeden cios Goški, drugi i trzeci... Nie wiem, kiedy zaczęłam trzeźwieć. Może kiedy zobaczyłam krew na swojej koszulce. Próbowałam się wyrwać, ale Dagmara i Paweł mocno mnie trzymali. I pamiętam dłonie Goški zaciskające się na mojej szyi. Nie mogłam oddychać. Nie mogłam nawet krzyczeć, bo wciąż zasłaniali mi usta. Wszędzie dookoła widziałam tylko ciemność, w oknach kamienic nie było żadnej twarzy. Pomyślałam: oni mnie zabiją. Zabijali koty, a teraz zabiją człowieka. I tę myśl miałam w głowie, kiedy moja dłoń zacisnęła się na końcówce rozbitej butelki.

A potem był tylko jasny rozbłysk.

I dźwięk syren.

\*\*\*

Na końcu tunelu znajduje się drewniana, czerwona skrzynka, prezent od Partyzantów.

Docieram do miejsca, w którym tunel się poszerza, i mogę już poruszać się prawie swobodnie. Wciąż nie mogę wstać, ale mogę

kucnąc, złapać skrzynkę, obrócić się w miejscu i wydaje mi się to niesłychanym luksusem. Popycham ją więc przed sobą i zaczynam pełznąć z powrotem. Tunel już nie napawa mnie przerażeniem. To tylko zadanie do wykonania. Wiem, że tu nie zginę. Umrę, kiedy będę chciała, tam, gdzie będę chciała. Jeśli nadejdzie taka konieczność, zabiję się na środku nielegalnego muzycznego festiwalu albo w pięknym, odludnym miejscu, rzucając się w przepaść. Ale nie tutaj i nie teraz. Nie ma, kurwa, mowy.

\*\*\*

Paweł i Dagmara powiedzieli: „Zaatakowała nas. Siedzieliśmy spokojnie na murku, a ona rzuciła się na nas z rozbitą butelką. A potem zaczęła sama bić się po twarzy. Waliła głową o ścianę. To wariatka. Ćpunka”.

Adwokat przydzielony z urzędu powiedział: „Twoje słowo przeciwko ich słowu. Ale oni są dobrymi uczniami z normalnych rodzin. Ty wagarujesz, testy wykazały obecność narkotyków we krwi. Twoja matka przyszła pijana na rozprawę. Nie jest dobrze”.

Moja mama powiedziała: „Z nią zawsze było coś nie tak. To nie jest moja wina”.

Sąsiadka powiedziała: „Ja tam nic nie słyszałam”.

Prokurator powiedział: „Chciała zabić”.

Ja prawie nic nie mówiłam. Ani podczas przesłuchań, ani podczas ogłaszania wyroku. Oddałam głos adwokatowi, powiedział, że tak będzie dla mnie lepiej. Ale nie było.

Prawie przez cały czas patrzyłam na Goškę, która siedziała na ławce dla publiczności i próbowała ukryć uśmiech. Oberwała butelką w głowę, założono jej pięć szwów. Pawłowi i Dagmarze nic się nie stało.

A mnie wysłano do poprawczaka na czas nieokreślony. Miałam tam spędzić minimalnie sześć miesięcy, a maksymalnie pięć lat.



Byłam spokojna podczas odczytywania wyroku. Byłam spokojna, kiedy jechałam do zakładu poprawczego, który, czego jeszcze wtedy nie wiedziałam, wszyscy w okolicy nazywali Kołchozem. Dopiero gdy zamknęły się za mną drzwi do pokoju z kratami w oknach, zrozumiałam, że spędzę w nim kilka lat. Owinęłam głowę kocem i zaczęłam krzyczeć. Głośniej niż kiedykolwiek w życiu.

\*\*\*

Gdy docieram do końca tunelu, w kamiennej dziurze pojawiają się twarze Aleksa i Raisy. Widocznie nie wyglądam najlepiej, bo maluje się na nich czyste przerażenie. Oboje bez słowa chwytają mnie za ramiona i wyciągają. I wreszcie jestem wolna, stoję na własnych, drżących nogach i nie dotykam głową stropu. Wszyscy mówią do mnie jednocześnie, nie rozumiem ani słowa.

– Odsuńcie się od niej – słyszę głos Aleksa. – Dajcie jej odдыchać. Czuję, jak coś plastikowego dotyka moich ust. Odpycham to.

– Masz, Lana – mówi łagodnie Raisa. – Napij się.

Nie chcę pić, chcę tylko wydostać się z tej jaskini, znowu zobaczyć niebo.

– Zabierzcie mnie stąd – charczę.

W następnej chwili czuję, jak Raisa zarzuca sobie moją rękę na ramię i pomaga mi iść. Mówi coś do mnie cicho. Nie rozumiem słów, ale jej ciepły głos brzmi kojąco.

W końcu po dłuższej chwili widzę światło. Dociera do mnie przez wąską szczelinę w skale.

– Musisz tylko przez nią przejść, Lana – mówi Raisa. – To już koniec. Już po wszystkim.

Więc przeciskam się przez szczelinę i wreszcie jestem na wolności.

\*\*\*

Pierwszy krok po wyjściu z jaskini jest jak zmartwychwstanie. Widok – drzewa, łąka, ciemniejące niebo, jest nieprawdopodobnie piękny. Czuję na twarzy wiatr, wdycham zapach kwiatów i rozmięklej, wilgotnej ziemi. Skowronki i drozdy śpiewają, jakby świętowały.

Nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Klękam na trawie, biorę głębokie hausty powietrza. Znowu wracam do wspomnień.

Wysłałam z ośrodka po czterech latach, w wieku dwudziestu lat. Wiedziałam, że już nic nigdy nie będzie takie samo.

Dagmara, Paweł i Gośka nie mieszkali już w Posoczynie, uciekli, rozjechali się po świecie. Może poszli na studia, do pracy za granicę, może podróżowali. Na zdjęciu wysłanym przez Partyzantów siedzieli wszyscy razem w barze – młodzi, szczęśliwi ludzie.

Odkąd zobaczyłam to zdjęcie, wiedziałam już, że ich znajdę i wymierzę im sprawiedliwość, choćbym miała zejść do piekła.

Oddycham głęboko, podczas gdy Raisa wyjmuje pająki z moich włosów. Chcę ją poprosić, żeby ich nie zabijała, ale nie mogę wydobyć z siebie głosu. Na szczęście Raisa ich nie krzywdzi. Raisa jest mądra. Może wie, że wszystkie złe rzeczy, jakie zrobimy, prędzej czy później do nas wrócą. Ostrożnie kładzie każdego pająka na trawie, a one szybko uciekają z powrotem do jaskini. Śledzę wzrokiem ich drogę.

Powodzenia, mali koledzy, myślę.

Wszyscy przyglądają mi się z niepokojem. Pewnie wyglądam jak upiór. Jak Gollum, który wyczołgał się z jaskini nie po paru chwilach, ale po paru stuleciach.

Czuję, jak Marika dotyka mojego ramienia i coś mówi. Jej słowa docierają do mnie dopiero po dłuższej chwili.

– Jesteś taka dzielna, Lana. Ja chyba bym tam umarła.

Nie odpowiadam. Marika jeszcze nie wie, że mam to już za sobą. Umarłam w wieku szesnastu lat, gdy dostałam wyrok. Umarłam, a teraz odrodziłam się na nowo. Kto wie, być może jestem

prawnuczka wiedźmy. Córką tej jedynej córki, której nie udało się spalić.



# ROZDZIAŁ VI

## NA KRAWĘDZI

### WIKTORIA

Cholera, jakie to było koszmarne. Tunel prowadzący do wyjścia z jaskini ciągnął się w nieskończoność, przez chwilę naprawdę uwierzyłam, że już nigdy nie wydostaniemy się na powierzchnię.

Moje okulary zaparowały, więc zdejmuję je i czyszczę rękawem. Świat na chwilę zmienia się w zamazaną plamę. Gdy znów je zakładam, otaczający nas las wydaje się inny niż wcześniej. Zupełnie jakby tunel zaprowadził nas do alternatywnego świata, mrocznego i obcego. Polanę ze wszystkich stron otacza gęstwina cierni i chwastów. Powoli zapada zmierzch, a splątane gałęzie jodeł i jaworów odcinają nas od resztek dziennego światła.

Lana klęczy na mchu. Wygląda jak jeniec wojenny. Jej dżinsy na kolanach są przetarte i zakrwawione, podobnie jak rękawy bluzy w miejscu łokci. Chcę przemyć i opatrzeć jej rany, ale tylko przecząco kręci głową.

W jej włosach coś się porusza. Widzę małe pajęczce nóżki szamoczące się w fioletowym gąszczu. Wyciągam pajaka ostrożnie i kładę na ziemi. Nie zabijam go, nie lubię bezsensownego okrucieństwa, nawet wobec owadów.

Tymon przechodzi przez szczelinę w skale i natychmiast zapala papierosa. Sądząc po łapczywym sposobie, w jaki się zaciąga, też ciężko przeżył pobyt pod ziemią. Marika wychodzi za nim i siada na trawie obok Lany, obejmuje ją ramieniem i zaczyna pocieszać. Sama powinnam to zrobić, problem w tym, że okazywanie bliskości nigdy nie przychodziło mi łatwo.

Daniel ma pewne problemy z przecięnięciem się przez szczelinę. Kiedy w końcu mu się udaje, masuje szyję i rozgrzewa mięśnie karku i ramion. Przez cały tunel musiał iść zgarbiony i skulony, inaczej szorowałby głową po kamiennym sklepieniu. Aleks wychodzi z tunelu jako ostatni, w dłoniach trzyma skrzynkę ze wskazówkami. Jest całkowicie spokojny i opanowany, jaskinia nie odcisnęła na nim żadnego piętna.

Nagle zdaję sobie sprawę, że podczas zejścia pod ziemię kompletnie straciłam poczucie czasu. Zerkam na zegarek. Minęła osiemnasta. Niedobrze. Zaraz zapadanie noc, a w ciemnościach poszukiwanie znaków od Partyzantów stanie się o wiele trudniejsze. Nie mówiąc już o zimnie czy dzikich zwierzętach, które w nocy wyjdą na łowy.

Słyszę cichy, uspokajający głos Mariki.

– Jesteś taka dzielna, Lana. Ja chyba bym tam umarła.

Lana wzdryga się gwałtownie. Nagle jej ciało mięknie i wiotczeje. Dotyka dłońmi ziemi, a potem przykłada do niej policzki. Podchodzę do niej, zaalarmowana.

– Co ci jest?

– Nic – mruczy Lana. – Muszę po prostu przez chwilę poleżeć.

– Mogę ci jakoś pomóc? Potrzebujesz czegoś?

Lana nie odpowiada. Zaczynam czuć się nieswojo. Co jej się stało w tym tunelu?

Przeraziła się, że ją tam porzucimy, uderzyła się w głowę, miała atak klaustrofobii? A może ten tunel przywołał jakieś niechciane wspomnienia? Myślałam, że da sobie radę z tym zadaniem, bo

wydawała mi się taka silna. Nie wzięłam pod uwagę faktu, że tak naprawdę nic o niej nie wiem. Czuję ukłucie wyrzutów sumienia. Powinnam wejść tam zamiast niej. Mogłam jej tego oszczędzić. Problem w tym, że Lana jest szczuplejsza ode mnie. Fizycznie nadawała się do tego zadania o wiele lepiej.

– Chcesz zostać sama? – pytam.

Lana mruga. Uznaję to za potwierdzenie.

– Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, jesteśmy tutaj, dobrze? – mówię łagodnie. – Nie zostawimy cię.

Czuję nagły przyływ gniewu na Partyzantów. Jedna dziewczyna prawie utonęła, druga ma traumę, a to dopiero drugie zadanie. Ciekawe, co jeszcze dla nas przygotowali. Pewnie za tymi ubraniami moro i miłymi uśmiechami ukrywa się grupa sadystów. Może właśnie obserwują nas z ukrycia i świetnie się bawią. Sądząc po ich zagadkach, to dość inteligentni ludzie, a gra wygląda na przemyślaną. Do czego zmierzają? Chcą, żeby ktoś z nas w końcu zginął? Zamierzają upozorować wypadek? Czy właśnie to zrobili z Julią? Zwabili ją tutaj obietnicą tajemniczej zabawy, a potem ją zabili i zakopali jej ciało w lesie?

Aleks zbliża się do nas, na jego przystojnej twarzy maluje się niepokój.

– Co się z nią dzieje? – pyta, wskazując głową na Lanę zwiniętą w kłębek na ziemi.

– Gorzej się poczuła – odpowiadam.

– Nie powinna wchodzić do tego tunelu – mówi Aleks, kręcąc głową. – Trzeba było zrezygnować z tego zadania. Źle zrobiliśmy.

– Wiem – przytakuję. – To nasz błąd. Ale grajmy dalej, bo inaczej jej poświęcenie pójdzie na marne.

Ten argument brzmi dość bezwzględnie i zdaję sobie z tego sprawę, ale to nie jest dobry moment na sentymenty. Czas dosłownie przecieka mi przez palce. Muszę zakończyć tę grę jak najszybciej, dla dobra nas wszystkich. Siadam na trawie i otwieram

skrzynkę ze wskazówkami. Aleks, Marika, Tymon i Daniel otaczają mnie i wyciągają szyję, zaglądając do środka.

– To wszystko? – pyta Tymon, a w jego głosie pobrzmiewa irytacja.

Cóż. Biorąc pod uwagę to, co musieliśmy przejść, żeby zdobyć skrzynię, jej zawartość okazuje się nieco rozczarowująca. W środku znajduje się zrolowana kartka przewiązana czerwoną wstążką, origami w kształcie żaby i kompas. Długo i dokładnie oglądam origami, a potem rozkładam je, licząc na to, że znajdę w środku wskazówkę, ale pogięta kartka jest pusta.

– Spróbujemy z ogniem? – pyta Tymon, wyjmując zapalniczkę.

Przesuwa płomieniem pod papierem, ale kartka wciąż pozostaje gładka, nie pojawiają się na niej słowa, wzory ani liczby. Z moich ust wyrywa się głośne przekleństwo. Znowu jałowe zgadywanki, na które nie mamy już czasu. Z każdą chwilą robi się ciemniej.

Wiem, że Julii spodobałaby się ta gra. Ona wprost uwielbiała wyzwania, rebusy, szyfry i łamigłówki. Była niezwykle bystra, miała wygłodniały i niezaspokojony umysł. Studiowała jednocześnie na dwóch kierunkach, znała cztery języki, pochłaniała masę książek. Kryminały ją nudziły, bo zwykle zgadywała zakończenie w połowie książki. Gdy w jej dwudzieste piąte urodziny poszliśmy do escape roomu, rozwiązała wszystkie zagadki w ciągu dziesięciu minut i ustanowiła rekord. Bez wyjątku zawsze wygrywała ze mną i Raisą w planszówki. Wykonywała wtedy swój mały rytualny taniec radości, a my śmiałyśmy się z własnej niemocy.

Czuję nagły nieoczekiwany ból i smutek. Uświadamiam sobie, że w pewien sposób za nią tęsknię, choć przez cały rok nie chciałam się do tego przed sobą przyznać. Wmawiałam sobie, że w obliczu cierpienia Raisy moje emocje nie mają żadnego znaczenia, i spychałam je w głąb świadomości. Pisząc artykuły o zaginięciu Julii, starałam się być całkowicie obiektywna i profesjonalna. Wyrobiłam sobie nawyk, aby myśleć o niej jak o temacie, bohaterce tekstu, anonimowej postaci. Nie jak o prawdziwej osobie.



Teraz też wyganiem ją z myśli, przetykam ślinę i przywołuję się do porządku. Nie poznam prawdy, roztkliwiając się nad jej losem.

Aleks obraca w dłoni kompas i obserwuje uważnie nieruchomą magnetyczną igłę.

– Nie dali go nam przypadkiem – mówi. – Musimy poznać azymut i iść w jego kierunku. Partyzanci pewnie zapisali go na tym origami albo na zwoju. Musimy go tylko odczytać.

Marika rozwija zrolowaną kartkę i pokazuje nam rysunek przedstawiający coś na kształt pejzażu. Skały przechodzące w drzewa i drzewa przechodzące w dolinę po niemal idealnym łuku. Na dole doliny jest więcej skał i innych kształtów, a nad wszystkim widać linię horyzontu. Zarówno pierwszy, drugi, jak i trzeci plan nie zawierają w sobie nic szczególnego. Żadnych ukrytych znaków czy wskazówek. Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

– Mamy w drużynie kogoś, kto zna się na sztuce – stwierdzam.

– No – przytakuje Tymon. – Szkoda tylko, że ten ktoś kompletnie odleciał.

Oglądam się przez ramię i spoglądam na Lanę. Leży na ziemi zwinięta w kłębek. Jej ciało od czasu do czasu lekko drży, jakby ktoś raził ją prądem.

\*\*\*

Bawię się origami, wystukując stopą nerwowy rytm. W mojej głowie tyka zegar, a każda mijająca minuta rozlega się ogłuszającym hukiem. Gra trwa już cztery godziny. Czuję, że z każdą mijającą chwilą Partyzanci się od nas oddalają, a jednocześnie mam nieprzyjemne wrażenie, że czają się w pobliżu i obserwują nas zza drzew. Powinnam już dawno rozgryźć schemat ich myślenia i działania, przecież to tylko gra wymyślona przez bandę wariatów, nie łamanie szyfrów FBI.

Marika siedzi na zwalonym pniu przy Aleksie. Udaje, że uważnie studiuje rysunek Partyzantów, ale widzę, że tak naprawdę wcale nie obchodzi jej zagadka. Po prostu wykorzystuje okazję, żeby być blisko niego.

Tymon spaceruje z kompasem w dłoni.

Daniel znów ostrzy nożem kawałek drewnianego kija i nie spuszcza ze mnie wzroku. Zastanawiam się, czy jednak mnie wtedy dostrzegł, czy usłyszał, jak skradam się za nim przez las. I czy wie, co ukrywam w plecaku.

\*\*\*

Gdy kilka godzin temu Daniel wyłonił się z kapliczki, wszyscy myśleli, że zamierza się na nas zemścić za to, że chcieliśmy wyrzucić go z drużyny. Ale ja dostrzegłam coś, na co nikt nie zwrócił uwagi. Jego dłoń ukrytą w kieszeni bluzy. Wiedziałam, że coś przed nami chowa. Coś, co zostawili dla niego Partyzanci. Ale zanim zdążyłam przyjrzeć się mu dokładniej, Daniel odwrócił się i zniknął w gęstwinie. Nie byłabym sobą, gdybym tak po prostu pozwoliła mu odejść.

Daniel szedł przez las szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie, a ja podążałam za nim, kryjąc się za pniami sosen i krzewami. Byłam w swoim żywiole, czułam się jak drapieżnik śledzący ofiarę.

Przystanął dopiero po kilkunastu metrach. Rozejrzał się uważnie, a ja wstrzymałam oddech, ukryta za krzakiem leszczyny. Gdyby mnie zauważył, mógłby mnie skrzywdzić. Bardzo. Wiedziałam, że ludzie są zdolni do wszystkiego, kiedy odkrywa się ich sekrety.

Daniel długo szukał właściwego miejsca, długo wykopywał dół. Wreszcie pochylił się i umieścił coś w ziemi. Usłyszałam, jak mamrocze do siebie. Wprawdzie klęczał, ale nie brzmiało to jak modlitwa.

Czekałam cierpliwie. Obserwowałam zza krzaków, jak myje dłonie w płynącym nieopodal potoku, a potem odchodzi.

Zanim zaczęłam rozgarniać ziemię, założyłam lateksowe rękawiczki. Byłam przygotowana na taką ewentualność, nie chciałam, żeby brud za paznokciami mnie przed nim zdradził. Kopałam tak długo, aż w czarnej, wilgotnej glebie, pomiędzy małymi kamyczkami i gąsienicami błysnęło coś srebrnego. Tajemnica Daniela.

Kastet. Broń służąca do walki wręcz, której według prawa nie powinien nosić przy sobie, nawet w celu samoobrony. Bo kastet nigdy nie służył do obrony. Służył do zadawania bólu. I Daniel musiał o tym wiedzieć.

Partyzanci zostawili to narzędzie w kapliczce, specjalnie dla niego, a fakt, że tak desperacko chciał się go pozbyć, świadczył o tym, że miał coś na sumieniu. Pomyślałam wtedy o artykule, który pisałam tydzień temu. To był głośny temat, sensacja na pierwszej stronie. Syn ważnego polityka z Ministerstwa Sprawiedliwości skatowany na śmierć podczas ustawki dwóch gangów kiboli. A wszystko działo się właśnie tutaj, w Puszczy Posoczyńskiej. CBŚ szybko aresztowało prawie wszystkich sprawców oprócz jednego. Jeden z kiboli z ekipy Fanatyków, oficjalnie Daniel Ch., a prywatnie Daniel Chojnowski, dosłownie rozplynął się w powietrzu. Policja podejrzewała, że wyjechał z kraju.

Ale trzymając kastet w dłoni, pomyślałam, że może on wcale nie uciekł. Może nigdy nie opuścił miejsca zbrodni.

\*\*\*

A teraz Daniel patrzy na mnie tak, jakby wiedział, że ja wiem. W jego ciemnych oczach i powolnym ruchu noża skrobiącego po drewnie czai się groźba. Ten sugestywny pokaz siły nie robi na mnie

szczególnego wrażenia. Grożono mi śmiercią tyle razy, że zdążyłam do tego przywyknąć.

– Nie jest dobrze. – Głos Aleksa wdziera się w moje myśli. – W nocy temperatura ma spaść do zera. Musimy w końcu ją obudzić.

Zerkam na Lanę, która wciąż śpi pod skałą. Próbowaliśmy już wszystkiego. Proponowaliśmy jej picie, jedzenie, tabletki przeciwbólowe. Bez skutku. Wreszcie przykryliśmy ją turystycznym kocem i zostawiliśmy w spokoju.

– Musimy iść dalej – stwierdzam.

– Nie możemy jej tu zostawić – protestuje Aleks.

– Oczywiście, że nie. Ktoś z nas powinien odprowadzić ją do auta.

– Jest coraz zimniej – mówi Marika, dygocząc lekko. – I zaczyna się ściemniać. Może powinniśmy dać sobie spokój z tymi podchodami.

– Nie – protestuję ostro i wszyscy spoglądają na mnie ze zdziwieniem.

Chrząkam, chcąc zamaskować gwałtowną reakcję.

– Gra w podchody jest najciekawszą nocą! – dodaję ze sztucznym entuzjazmem. – Ale jeśli chcecie wrócić do domu, to wracajcie. Nie będę was zatrzymywać.

– Nie zostawię cię tutaj samej – stwierdza Aleks.

Marika spogląda na niego, a potem na mnie. Na jej twarzy pojawia się wyraz bólu i zazdrości. Opuszcza głowę. Widzę, jak machinalnie zaciska srebrną bransoletkę wokół nadgarstka. Chyba często to robi, bo dostrzegam na jej bladej skórze liczne ciemne pręgi. Nagle robi mi się żal tej biednej dziewczyny. Nie dorównuję jej urodą pod żadnym względem. Nie jestem tak smukła, nie mam arystokratycznych rysów, wielkich, sarnich oczu ani lśniących, brązowych włosów. Poza tym między mną i Alekssem nic się nie dzieje. Skoro Marika uważa, że stanowią dla niej konkurencję, ma poważnie zaburzone postrzeganie rzeczywistości. Najwyraźniej ta puszcza skutecznie potęguje nasze paranoje i obsesje.

– Ja pogadam z Laną – proponuje Tymon.

Parskam śmiechem, ale Tymon ma zupełnie poważną minę.

– Ty mówisz serio? – upewniam się.

– To nie jest dobry pomysł – stwierdza chłodno Aleks.

– Bo? – Tymon unosi brwi, a jego oczy zamierają w pytającym wyrazie.

– Bo od samego początku ją poniżasz i prowokujesz.

– Właśnie w tym rzecz. – Tymon kiwa głową. – Może ona nie chce, żeby ktoś się nad nią litował.

– Pogorszysz tylko sprawę – stwierdzam.

– Myślicie, że może być z nią gorzej, niż jest? – parska Tymon. – Wasze niańczenie w niczym nie pomaga. Dajcie mi spróbować. Jak nie zadziała, to trudno.

Zerkam na zegarek i myślę o nieubłaganiu upływającym czasie. Nie możemy siedzieć tu bez końca i czekać na nadejście nocy. A przecież naprawdę chcę, aby Lana poczuła się lepiej. No i przy okazji rozszyfrowała dla nas ten pieprzony obrazek.

Wymieniam spojrzenia z Alekssem. Porozumiewamy się bez słów. To my musimy podjąć decyzję i wziąć za nią odpowiedzialność. Nikt z pozostałych osób w grupie nie jest w stanie tego zrobić. Daniel zamknął się w pancerzu wrogości, Marika we własnych urojeniach.

– No dobra – mówi Aleks. – Tymon, spróbuj jej pomóc. Raisa, przypilnuj ich, proszę, żeby się nie pozabijali. A ja, Daniel i Marika przejdziemy się po lesie, poszukamy znaków od Partyzantów i spróbujemy rozwiązać zagadkę. W porządku?

Kiwają głowami.

– No to powodzenia – mówi Aleks.

Wszyscy podnoszą się z ziemi pokrzepieni wizją konkretnego planu. Aleks i Marika ruszają w kierunku lasu, Tymon podchodzi do Lany, a ja otwieram plecak i sięgam po butelkę z wodą. Wtedy czuję, że czyjaś ciężka dłoń spada mi na ramię. Uścisk nie jest brutalny, ale zdecydowany.

– Chyba masz tam coś, co nie należy do ciebie – mówi cicho Daniel.

Strącam jego dłoń jednym szybkim ruchem i odwracam się, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Nie wiem, o czym mówisz, Daniel – cedzę.

Przez chwilę mierzymy się wzrokiem. To bardzo ważny moment. Ten podwórkowy chuligan biegający po ulicach z kastetem i katujący ludzi w lesie musi zrozumieć, że się go nie boję.

– Wiesz – mówi – powinnaś się tego pozbyć i uciekać stąd jak najszybciej. Zanim zapadnie noc.

– To groźba?

Ciemne oczy Daniela przewiercają mnie na wylot.

– Ostrzeżenie. Ja już nie mogę stąd uciec. Ty tak. Przynajmniej na razie.

– O czym ty...

– Daniel! – Ostry głos Aleksa przecina powietrze. – Idziesz?

Daniel posyła mi jeszcze jedno nieodgadnione spojrzenie, a potem odwraca się i idzie w kierunku lasu, jakby Aleks pociągał go za niewidoczne sznurki.

Słowa Daniela sprawiają, że zaczynam się czuć nieswojo. Najgorszy był ten strach w jego oczach. Być może źle zinterpretowałam jego zachowanie. To nie była wrogość wobec nas, ale strach przed nieznanym, przed czymś, co ma nadejść. Wciąż się rozglądał, bo spodziewał się ataku.

Co to oznacza? Istnieją dwie możliwości. Albo Daniel wie o tej grze coś, czego nie wie nikt z nas, albo zwyczajnie zwariował. Jest ścigany przez policję, wystawiono za nim list gończy, ma powody, aby się bać. A mnie przecież nic nie grozi.

Tymon siedzi w pobliżu Lany i w milczeniu pali papierosa. Macham do niego, wskazuję na zegarek i bezgłośnie pytam, co wyprawia. Nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi.

– Myślałem, że nie dasz rady wejść do tego tunelu – odzywa się w końcu.

Nie mówi bezpośrednio do Lany, nawet na nią nie patrzy. Po prostu rzuca słowa w przestrzeń.

– Myślałem, że jesteś na to za słaba – dodaje po chwili. – Wiesz, ja chyba bym tego nie zrobił. Nieważne, jaka by była stawka.

Przez chwilę wydaje mi się, że jego słowa giną w pustce. Ale nagle widzę, jak Lana otwiera oczy, i słyszę jej głos. Cichy, a jednocześnie mocny.

– Nie doceniłeś mnie – mówi. – Ludzie często to robią.

– Co? – pyta Tymon, wydychając dym.

– Nie doceniają mnie.

– Nie tylko ciebie. Chcesz zapalić? – pyta Tymon, wyciągając w jej stronę zapalonego papierosa.

Dłoń Lany drga, ale się nie podnosi.

– No, dalej – kusi Tymon. – Wiem, że twoje już się skończyły. A poza mną nikt tutaj nie ma papierosów. Wiem. Życie jest okrutne.

– Co za niego chcesz? – pyta Lana, podnosząc się powoli do pozycji siedzącej.

– Potrzebujemy twojej pomocy ze wskazówką od Partyzantów. Zostawili nam psychodeliczny bazgroł. Trochę przypomina twoje szkice.

– Dzięki.

– Nie ma za co.

Lana przeciera twarz dłonią, a potem obrzuca Tymona niechętnym spojrzeniem.

– Coś za coś – stwierdza stanowczo po chwili. – Papieros za pomoc.

Tymon podaje jej papierosa i obrazek. Lana zaciąga się głęboko i rozwija rulon. Widzę, jak jej źrenice się rozszerzają.

– Wiesz, co to jest? – pyta Tymon, uważnie ją obserwując.

– To iluzja optyczna – mówi Lana, trzymając przed sobą obrazek niczym tarczę.

Jej twarz nabiera kolorów, do oczu wraca blask.

– Czy ktoś z was ma termos? – pyta Lana. – Albo coś innego, cylindrycznego, co dobrze odbija światło?

Wyjmuję z plecaka termos i wyciągam w jej stronę, a Lana przykłada go do obrazka. Rysunek odbija się w stalowej powierzchni, ale kształt termosu zakrzywia go i kompresuje, a dolina przekształca się w coś, czego wcześniej nie mogliśmy dostrzec. Teraz wyraźnie widzę dwie skarpy i dzielącą je przepaść, nad którą leży zwalone drzewo. Ten widok przywodzi mi na myśl odległe wspomnienie z przeszłości. To zabawne, jak działa ludzki umysł. Zawsze szuka skojarzeń, znajomych punktów. Widzi to, co chce zobaczyć.

– Musimy znaleźć wawóz – mówi Lana.

W tej samej chwili słyszę zbliżające się głosy. Aleks, Marika i Daniel wyłaniają się spomiędzy drzew.

– Idziemy na północny wschód – stwierdza Aleks. – To origami miało kształt żaby, więc nagle mnie olśniło i przypomniałem sobie starą sztuczkę z harcerstwa. Tworzyliśmy ukryte wiadomości, które pojawiały się dopiero po zanurzeniu kartki w wodzie. Wystarczyło mieć do tego folię aluminiową i ołówek. Ukryta wiadomość to liczba trzydzieści siedem. Trzydzieści siedem stopni to nasz azymut.

\*\*\*

Biegnę między drzewami, bardzo szybko, zostawiając za sobą resztę drużyny, wyprzedzam nawet Aleksa. Czerwone wstęgi przywiązane do gałęzi drzew łopoczą na tle ciemnego nieba. Szkarłatny, fluorescencyjny sprej na pniach zamienia się w rozmazane, krwawe smugi. Znaki od Partyzantów wskazują mi drogę.



Czuję pot spływający po skroniach i karku, moje serce łomocze, płuca kłują.

Znów myślę o Julii. To bardzo dziwne, ale odkąd weszłam do lasu, wyczuwam jej obecność. Mam wrażenie, że w powietrzu unosi się zapach jej perfum. Słodki, a jednocześnie ostry i intensywny.

Czuję jej obecność, a przecież nie wierzę w takie rzeczy. Kiedy człowiek umiera, znika raz na zawsze. Przestaje istnieć. Jego dusza nie błąka się po ziemi, szukając kontaktu, nie trafia do nieba ani piekła, nie odradza się w zwierzęciu, kamieniu ani roślinie.

A Julia nie żyje, jestem o tym przekonana.

Biegnę coraz szybciej, próbując uciec przed wspomnieniami.

Poprzedniej nocy Julia przyszła do mnie we śnie. Byłyśmy razem w ciemnym, zamglonym lesie. Ona tańczyła między drzewami i lśniła w blasku księżyca jak migotliwa iskra. Kręciła piruety, skakała i wirowała. W pewnej chwili spojrzała wprost na mnie i przyłożyła palec do ust. Wyciągnęłam rękę, chcąc jej dotknąć, ale wtedy zamieniła się w sarnę i uciekła w ciemność. A potem sen się zmienił. Przemoczona Julia stała w drzwiach mojego mieszkania, opierała dłoń o framugę. Próbowwała powstrzymać mnie przed zatrzaśnięciem drzwi. Miała na sobie czerwony płaszcz z kapturem. Deszcz spływał po jej długich blond włosach i zamienił makijaż w czarne, upiorne smugi.

I właśnie wtedy się obudziłam, przerażona i spocona, w rozkopanej pościeli. Na podłodze przy łóżku leżał spakowany plecak, na krześle czekały ubrania przygotowane do gry w podchody. Tamtej nocy, leżąc bez ruchu w ciemności, po raz pierwszy tak pomyślałam.

Julia nie żyje. Już nigdy nie wróci.

A ja muszę dowiedzieć się, jak zginęła. Muszę to zrobić dla Julii, Raisy i dla samej siebie.

I dla tekstu na pierwszą stronę, dodaje mały, podły głosik w mojej głowie, ale szybko go uciszam. Nie robię nic złego. Nie tańczę na jej

grobie, nikogo nie krzywdzę. Wykonuję po prostu swój zawód, ryzykując własne bezpieczeństwo, aby poznać i ujawnić prawdę.

Pokrzepiona tą myślą biegnę jeszcze szybciej. Plecak boleśnie obciąża moje ramiona. Czuję pieczenie w płucach i skurcze w nogach, ale widzę już wąwóz. Pomiędzy kamienistymi skarpami rozpościera się przepaść, nad którą spoczywa zwalone drzewo, smukła, biała brzoza. Pomiędzy jej gałęziami dostrzegam czerwoną skrzynkę ze wskazówkami.

Ktoś z nas musi przejść po pniu brzozy nad przepaścią, aby dostać się do wskazówek. Czuję podniecenie, moje serce przyspiesza. Dam sobie z tym radę, robiłam bardziej szalone rzeczy.

Nagle słyszę stłumiony chichot. Przeszywa mnie dreszcz. Nie, niemożliwe, to musiało być jakieś leśne stworzenie.

I wtedy słyszę jej głos.

*Hej, Wika.*

Zatrzymuję się gwałtownie. Słyszę głos Julii tak wyraźnie, jakby stała tuż obok mnie. Rozglądam się, kręcę głową na wszystkie strony. Wielkość puszczy sprawia, że czuję się obnażona, odkryta. Mam wrażenie, że wszystkie drzewa wpatrują się we mnie niewidzialnymi oczami, a ptaki kołujące na niebie śpiewają o moich sekretach.

*Dokąd się tak śpieszysz? Już się spóźniłaś.*

Zasłaniam uszy. Wiem, że ten głos nie jest prawdziwy. Julii tu nie ma. Julia nie żyje. To tylko złudzenie. Chcę pozbyć się tego głosu, chcę go z siebie wydrapać. Co się ze mną dzieje? Ten las wysysa ze mnie cały racjonalizm i pragmatyzm, sprawia, że tracę kontrolę. Odejdź, myślę. Zostaw mnie w spokoju.

Czuję, jak ktoś trąca mnie w ramię.

– Nic ci nie jest? – pyta Aleks.

Zrzucam plecak z ramion i pochylam się, opierając dłonie o kolana.

– Trochę kręci mi się w głowie, to z wysiłku. Chyba za szybko biegłam – dyszę.

Rozpoznaję swój własny głos, beztroski, opanowany. Ale wciąż dygoczę ze strachu. Wciąż czuję w powietrzu zapach jej perfum. Słodki, intensywny, nieznośny.

Po chwili dobiega do nas reszta drużyny. Słyszę, jak naradzają się cichymi głosami, kombinują, jak zdjąć skrzynkę z drzewa, nie narażając nikogo na niebezpieczeństwo.

Nie odzywam się, bo potrzebuję czasu, aby mój umysł przestał wariować.

Zawsze gloryfikujemy osoby, które zagięły. W komunikatach przekazanych światu mówi się o nich jak o aniołach. Słyszałam na własne uszy słowa, którymi Raisa określiła Julię na konferencji prasowej. „Oddana siostra, kochająca córka, wspaniała przyjaciółka, ciepła, troskliwa i życzliwa osoba”. W tamtej chwili zakrztusiłam się kawą i oplułam przypadkiem jakiegoś Bogu ducha winnego dziennikarza. Istnieją różne epitety, którymi można było określić Julię, ale „ciepła”, „troskliwa” i „życzliwa” na pewno do nich nie należały.

Raisa zawsze patrzyła na Julię przez pryzmat siostrzanej miłości. Widziała w niej wyłącznie kruchą istotę, którą musi chronić przed światem. Od dzieciństwa wciąż próbowała ją usprawiedliwiać i rozgrzeszać ze wszystkiego, co robiła. Nie mogłam jej za to winić, Julię łatwo było pokochać. Była niezwykle inteligentna, nigdy nie gadała banałów, a kiedy nie miała nic do powiedzenia, po prostu milczała. Lubiłam z nią milczeć i lubiłam z nią rozmawiać. A jeszcze bardziej lubiłam na nią patrzeć. Patrzenie na nią było jak obserwowanie zorzy polarnej albo spadającej gwiazdy. Czasem Julia przyłapywała mnie na tych spojrzeniach i miałam wrażenie, że ją to bawi. Ludzie patrzyli na nią, odkąd była dzieckiem, była przyzwyczajona do własnej wyjątkowości.

To były dobre cechy Julii. Ale widziałam też jej skazy. Już jako dziecko była zaburzona i narcystyczna, momentami agresywna,

władcza i autentycznie przerażająca. Ale nigdy nie miałam jej tego za złe. Wiedziałam przecież, w jakiej rodzinie się wychowała.

Pamiętam jej występ w spektaklu baletowym. To była *Śpiąca Królewna* z muzyką Piotra Czajkowskiego. Julia miała wtedy trzynaście lat i gdy tańczyła, była doskonała. Zachwycająca. Zebrała owacje na stojąco. Ale gdy razem z Raisą weszłam za kulisy, żeby jej pogratulować, Julia miotła się po garderobie, wrzeszcząc, że nienawidzi tańca i swojego życia. Rozbiła dłonią szybę i musiała pojechać na pogotowie. Jej koleżanki powiedziały mi później, że była wściekła, bo nie wyszedł jej jeden krok. Nigdy więcej nie zatańczyła w balecie.

Im była starsza, tym bardziej pielęgnowała mroczną stronę swojej natury. W jednej chwili potrafiła przeobrazić się z filigranowego, pięknego elfa w podłą i cyniczną manipulantkę.

W wieku dwudziestu lat podczas sesji zdjęciowej dla „Vouge’a” Julia na moich oczach rzuciła krzesłem w dekorację i całkowicie ją zniszczyła. Potem, w samochodzie, wyjaśniła mi, że tylko poprawiała koncepcję fotografa. Pamiętam, siedziała na siedzeniu pasażera, opierała bose stopy o deskę rozdzielczą i na cały głos śpiewała fragment piosenki Queen. *Don't stop me now, cause I'm having a good time*. Była w doskonałym nastroju, choć jej kariera zawodowej modelki właśnie dobiegła końca.

Wtedy postanowiłam zadać jej pytanie, z którym długo zwlekałam. Zapytałam, czy nie ma przypadkiem dwubiegunówki. Spodziewałam się awantury, ale Julia odpowiedziała beztrąsko, że zrobiła wszystkie badania i najwyraźniej ma po prostu fascynującą osobowość. I miała rację. Była fascynująca. Nie uznawała granic. Mówiła to, co inni bali się powiedzieć, robiła rzeczy, o których inni bali się pomyśleć. Potrafiła oczarować ludzi. Zawsze ktoś się przy niej kręcił. Przyjaciółki, koleżanki, całe tabuny facetów. Spotykała się z wieloma osobami, łamała serca na prawo i lewo, była nieustannie adorowana, a mimo to nigdy nie sprawiała wrażenia szczęśliwej.

Podchodzę do skraju wąwozu, spoglądam w dół. Kiedyś płynął tu strumień, ale obecnie w wąskim korycie widzę tylko błoto. Tymon staje obok mnie i gwizdże.

– Chyba z dziesięć metrów. No nic. Możemy przejść dołem i wdrapać się na skarpe z drugiej strony – stwierdza.

– Ale wtedy nie zdobędziemy wskazówek – zauważa Aleks. – Musimy ściągnąć tę skrzynkę z drzewa. Nie będziemy szli po pniu, jest za wysoko. Może gdybyśmy mieli linę, ale...

– Ja to zrobię – odzywam się.

Wszyscy spoglądają na mnie, zaskoczeni.

– Przejdę po tym drzewie i zdejmę dla was skrzynkę – mówię. – Dam radę, kiedyś trenowałam slackline.

– Co trenowałaś? – Marika jest wyraźnie zaintrygowana.

– Chodzenie po linie.

– Kiepski pomysł. – Aleks marszczy brwi. – Nie powtarzajmy akcji z jaskini. Możesz złamać nogę. Na pewno znajdziemy inny sposób, żeby...

– Nie ma innego sposobu – ucinam i tym razem już nikt mi się nie sprzeciwia.

\*\*\*

Zostaję w butach, ale pozbywam się kurtki, bo znacząco krępuje moje ruchy.

Zdejmuję też okulary i zostawiam je Aleksowi. Nie chcę, żeby się złamały podczas ewentualnego upadku.

Wchodzę na pień drzewa. Jest wąski, gładki, pozbawiony gałęzi. Cienka, biała kora łuszczy się, prześwituje brązowym kolorem. Prostuję plecy, rozkładam ręce na boki, szukając punktu równowagi. Moje ciało jest wyprostowane, mięśnie napięte. Nie robiłam tego od trzynastu lat, ale wciąż pamiętam zasady.

Aleks, Marika, Daniel i Tymon zachowują nienaturalną ciszę jakby bali się, że jedno wypowiedziane przez nich słowo sprawi, że stracę równowagę.

Ruszam przed siebie spokojnym, płynnym tempem, bez zawahań i zatrzymań. Noga za nogą, krok za krokiem. Mój wzrok jest utkwiony w drewnianej, czerwonej skrzynce.

Nagle czuję silny podmuch wiatru. Chwieję się, kucam na pniu drzewa i dotykam go dłońmi. Oddycham bardzo szybko. Pode mną jest dziesięć metrów przestrzeni. Upadek z takiej wysokości będzie bolał i to bardzo. Słyszę głos Mariki.

– Zawróć! – woła.

Ale ja nie zamierzam zawracać, bo nie rezygnuję z obranego celu i zawsze kończę to, co zaczęłam. Pokonałam już prawie połowę drogi, więc dotrę do tej skrzynki i dostanę wskazówki. Powoli prostuję się, rozkładam ręce i ruszam przed siebie. Krok po kroku. Noga za nogą. I znów wracam myślami do przeszłości.

\*\*\*

Tamtego dnia Raisa siedziała na trawie oparta plecami o drzewo i czytała książkę mojego ojca, pierwszą część *Najemników z krwi i ognia*. Ja spacerowałam boso po cienkiej taśmie, którą rozwiesiłam między drzewami, pół metra nad ziemią. Był koniec maja, ten wspaniały moment, kiedy powietrze staje się ciepłe, a wiosna momentalnie przechodzi w lato. Słońce zachodziło i przebijało się przez liście drzew, ogrzewając nasze twarze. Wszystko wydawało się nasycone kolorem, żywe, piękne.

Dziki Park to było nasze miejsce. Moje i Raisy. Nasza kryjówka przed światem, w której mogłyśmy robić to, co chciałyśmy. W miasteczku nie było żadnej kawiarni, a dom Raisy nie wchodził w grę, bo jej rodzice mną gardzili, ze szczerą wzajemnością. Z kolei mój ojciec traktował Raisę jak własną córkę, ale w domu

potrzebował idealnej ciszy do pisania. Większość czasu spędzał w gabinecie na zakurzonej strychu, zatopiony w swoich wizjach. Kiedy już się z niego wynurzał, był dobrym ojcem, jednak na ogół sprawiał wrażenie lekko nieobecnego.

Kochałam go, ale nasza relacja była skomplikowana.

Miałam do niego żal o to, że tak mało interesuje się moim życiem. Czułam, że powieści są dla niego ważniejsze niż ja. Byłam zła, bo nie walczył o to, żeby moja matka z nami została. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego, uciekając przed szalonym fanem, wyniósł się z Warszawy i sprowadził mnie do tej dziury. Mógł wybrać każde inne miasto na świecie.

Ponieważ on był oderwany od rzeczywistości, ja musiałam mocno stąpać po ziemi, być samodzielna i samowystarczalna. W domu to ja płaciłam za niego rachunki, pilnowałam ważnych terminów i zajmowałam się przyziemnymi sprawami.

Radziłam sobie całkiem nieźle, ale odkąd pamiętam, czułam pewien nieokreślony brak. Dziwną tęsknotę, pustkę. Zawsze myślałam, że brakuje mi matki, która odeszła, gdy miałam zaledwie rok.

Dopiero kiedy poznałam Raisę, zrozumiałam. Tym, czego zawsze mi brakowało, była ona.

– Twój tato niesamowicie pisze, Wika – odezwała się Raisa, podnosząc wzrok znad książki. – Powinnaś kiedyś przeczytać jego powieść.

– Nie, dzięki – zaśmiałam się, balansując na linie. – Piszę własne rzeczy. I kiedyś będę bardziej znana od niego, zobaczysz.

Zeskoczyłam z taśmy na trawę. Raisa zatrzasnęła książkę i wskazała na linę rozciągniętą między drzewami.

– Jeszcze raz wytłumacz mi, po co to robisz – zażądała.

– Jutro z okazji Dni Otwartych naszej szkoły przejdę po linie między oknami, protestując przeciwko przemocy w naszej budzie.

A robię to, ponieważ dyrektor okazał się pieprzonym hipokrytą. To się nazywa happening, Raisa.

– To się nazywa samobójstwo, Wika.

– Nie przesadzaj. – Machnęłam ręką. – Tam jest tylko kilkanaście metrów. Nie umrę, najwyżej trochę się połamię.

– Co za ulga! – parsknęła, trącając mnie w bok.

Widziałam w jej oczach troskę, zupełnie niepotrzebną. Ale Raisa już tak miała, troszczyła się o ludzi, nawet o tych, którzy na to nie zasługiwali. Pewnie dlatego została lekarzem i tak świetnie sprawdziła się w zawodzie. Ale wtedy jeszcze nie myślałyśmy o przyszłości. A przynajmniej ja. Ja żyłam chwilą.

Wyciągnęłam z plecaka butelkę jabola o nazwie Komandos i podsunęłam jej pod nos.

– Zobacz, co mam.

Grzywka Raisy wpadła jej do oczu. Odgarnęła ją wprawnym gestem.

– Wika, proszę cię, daj sobie spokój z tą kaskaderką. Nie pogarszaj sprawy. Dyrektor na razie cię zawiesił. Po tej akcji na pewno cię wywali.

– Nie dam się ukarać za mówienie prawdy. Poza tym już powiedziałam wszystkim w szkole, że to zrobię, więc nie mogę się wycofać. I chcę, żebyś tam była. Będiesz?

Raisa westchnęła i nakryła moją dłoń swoją.

– No jasne, że będę.

Przez chwilę milczałyśmy i patrzyłyśmy sobie w oczy, a to, co było między nami, trwało; silne, niewypowiedziane i nierozzerwalne. Byłyśmy żywym dowodem na to, że przeciwieństwa się przyciągają. Ja upychałam rude loki pod bandamką, nosiłam skórzane kurtki, krótkie spódnice i glany. Wiecznie pakowałam się w kłopoty, na przerwach paliłam papierosy, często wagarowałam. Raisa była najlepszą uczennicą w szkole. Grzeczną, ułożoną dziewczyną. Miała ciemnoblonde włosy sięgające ramion, nosiła kraciaste koszule



i dzinsy. Na przerwach czytała książki w bibliotece albo się uczyła. Z zasady trzymała ludzi na dystans i miała ku temu solidne powody. Byłam jedyną osobą, którą wpuściła do swojego życia.

Odkręciłam wino i wypiałam łyk. Komandos smakował jak kompot z siarką, ale doskonale mieszał w głowie i przyspieszał rytm serca, a o to właśnie chodziło.

– Wiesz, ilu masz teraz wrogów w szkole, prawda? – zapytała cicho Raisa. – Kiedy będziesz szła po linie, oni będą gwizdać. Będą robili wszystko, żebyś spadła. A jak czymś w ciebie rzucają? Przecież oni cię nienawidzą za ten artykuł...

Mój tekst, który narobił w szkole tyle zamieszania, nosił tytuł *Strach*. Przedstawiał historie czwórki uczniów z naszej szkoły, dręczonych notorycznie przez ekipę szkolnych celebrytów. Szkolną elitę stanowiły trzy dziewczyny i trzech chłopaków o pospolitych twarzach i nudnych, niezapadających w pamięć imionach. Wyróżniało ich to, że byli dziećmi ludzi solidnie umocowanych w małomiasteczkowym układzie. Czuli się królami szkoły i w swoim poczuciu bezkarności robili, co chcieli. Dwie z ich ofiar zachorowały na depresję, jedna odeszła ze szkoły, a pewien chłopak próbował się zabić, łykając całe opakowanie tabletek. Wcześniej wszyscy szukali pomocy u szkolnego psychologa i dyrektora szkoły, ale mimo ich próśb nikt nie kiwnął palcem. I wtedy chłopak, któremu nie powiodła się próba samobójcza, w całkowitej desperacji przyszedł do mnie, redaktorki dogorywającej szkolnej gazetki. Opowiedział mi swoją historię i poprosił o pomoc. A ja dostrzegłam w nim swoją szansę.

Afera, która wybuchła w dniu publikacji artykułu, przypominała wybuch bomby. Nikt nie uważał na lekcjach, wszyscy czytali mój tekst oskarżający szkolną elitę. Kiedy wyszłam z klasy, na korytarzu zrobiło się głośno. Ludzie, którzy nigdy wcześniej nie zwracali na mnie uwagi, podchodzili i gratulowali.

Oczywiście, nie wszyscy byli zadowoleni.

Sześć osób oskarżonych w tekście łypało na mnie spod okna. Stali razem, w grupie, i na mój widok przeciągali palcami po szyi albo pluli na ziemię. Uśmiechnęłam się do nich szeroko i wykonałam zapraszający gest dłonią. Nie podeszli. Bali się, że tłum, którym tak gardzili, stanie w mojej obronie. W tamtej chwili już wiedziałam. Zdebronizowałam ich. Teraz to ja rządziłam tą szkołą.

Raisa patrzy na mnie z troską.

– Oni mówią, że cię dojadą. Zniszczą.

– Mogą mi skoczyć. – Pociągnęłam łyk wina. – Potwierdzą tylko to, co napisałam w tekście. Prawdziwi dziennikarze cały czas dostają groźby, stąd wiedzą, że wykonują dobrą robotę. Swoją drogą wysłałam mój tekst do „Dziennika Powszechnego” i spodobał im się. Chcą, żebym zaczęła u nich staż.

– To świetnie. – Raisa poklepała mnie po ramieniu. – Boję się tylko, że kiedyś przesadzisz i ktoś w końcu zrobi ci krzywdę.

– Nie martw się o mnie. – Puściłam do niej oko. – Jestem niezniszczalna.

Wyciągnęłam butelkę w jej stronę. Raisa pociągnęła łyk wina i skrzywiła się mimowolnie.

– Julia znowu ucieka z domu – powiedziała po chwili. – Nie wiem, dokąd chodzi, znika na całe noce. Wraca cała potargana, z błyszczącymi oczami i nie chce powiedzieć, gdzie była. A ma tylko trzynaście lat. Boję się, że oni ją na tym przyłapią. Nie wiem, co zrobią. Wiesz, jacy oni są...

Raisa zawsze mówiła o swoich rodzicach „oni”. Nigdy nie używała słów „matka” czy „ojciec” ani „rodzice”. To byli po prostu oni. Ludzie, z którymi łączyły ją więzy krwi i przed którymi musiała chronić siostrę.

Zanim zabronili mi ją odwiedzać, widziałam regulamin, który powiesili w salonie. Zakaz rozmawiania, zakaz wychodzenia z pokoju. Kara za słuchanie muzyki, kara za złe oceny, kara za podniesienie głosu, kara za spotkanie się z chłopakami.

– Twoi starzy to psychopaci – mruknęłam. – Naprawdę się dziwisz, że Julka ucieka?

Raisa spuściła głowę i skurczyła się w sobie. Włosy zastłoniły jej twarz.

– Robię, co mogę, żeby ją chronić – powiedziała obronnym tonem.  
– Kiedy skończę osiemnastkę, spróbuję przejąć nad nią opiekę.

– Musiałabyś zrezygnować z medycyny i pójść do roboty – zauważyłam.

– To zrezygnuję. Ona jest najważniejsza.

Relacja Julii i Raisy była dość nietypowa. Czasem miałam wrażenie, że mają swój sekretny, siostrzany język. W mojej obecności porozumiewały się za pomocą znaczących spojrzeń, mrugnięć, drobnych gestów. Musiały się tego nauczyć w domu, w którym nie mogły swobodnie rozmawiać.

– Wolałabym mieć pewność, że ci się uda – stwierdziłam. – Przekonałam mojego ojca. Opłaci ci prawników. Najlepsi prawnicy z samej Warszawki powalczą o to, żebyś przejęła opiekę. Za pół roku obie będziecie wolne.

Raisa wytrzeszczyła oczy. Widziałam, jak rośnie w nich nadzieja. Uśmiechnęłam się i uniosłam wino. Raisa wtuliła się we mnie z całej siły i zapamiętałam tamten moment na zawsze. W tamtej chwili poczułam się kompletna. Zupełnie jakby wszystko choć przez chwilę było na swoim miejscu.

Usłyszałam, jak Raisa pociąga nosem.

– Kocham cię – wymamrotała z twarzą ukrytą w mojej bluzie.

– No już dobra. – Poklepałam ją po plecach. – Już nie rycz. Dziewczyny nie płaczą.

\*\*\*

Kolejny ostrożny krok na pniu drzewa, jestem już prawie przy skrzynce, zostało tylko kilka uważnych ruchów. Moje zmysły się

rozpalają, krew zaczyna pulsować w skroniach. Strach miesza się z podnieceniem. Wiem, że wszyscy w drużynie mnie obserwują, śledzą uważnie każdy mój ruch. Odkąd pamiętam, tak właśnie wyglądało moje życie, przyciąganie uwagi, skupienie na celu, balansowanie na krawędzi.

\*\*\*

Pamiętam Dzień Otwarty w szkole. Szłam po taśmie rozwieszanej między oknami. Miałam na sobie białą koszulkę z czarnym napisem „STOP PRZEMOCY” i czułam się doskonale. Z dołu rozlegały się oklaski, ale były też gwizdy i pogardliwe okrzyki. Część uczniów w szkole mnie kochała, część nienawidziła. I jedni, i drudzy mieli ku temu powody.

\*\*\*

Skrzynia jest już w zasięgu mojej ręki. Partyzanci zamocowali ją pomiędzy dwoma białymi gałęziami. Kucam na pniu i próbuję ją wyciągnąć. To trudniejsze, niż myślałam. Reszta drużyny woła coś za moimi plecami, ale nie zwracam na nich uwagi, mocując się ze skrzynką. To ja ją zdobyłam, ja zaryzykowałam i ja pierwsza do niej zajrzę, mam do tego pełne prawo. Ich rady nie mają teraz znaczenia. Ważne jest to, co jest w środku.

\*\*\*

Pamiętam, jak idąc po taśmie, wyobrażałam sobie, że w oknie naprzeciwko czeka na mnie kariera dziennikarska, o której zawsze marzyłam. Gdybym wiedziała, że wiele lat później wciąż nie będę najbardziej znaną dziennikarką w Polsce, byłabym zszokowana

i wściekła. Wtedy wszystko wydawało się łatwe, na wyciągnięcie ręki.

Byłam w połowie drogi, kiedy w oknie naprzeciwko ktoś się pojawił. Niska postać w gumowej, wojskowej masce przeciwigazowej łąpała na mnie przez zaparowane, nienaturalnie wielkie soczewki. Ten ktoś trzymał w jednej dłoni butelkę z wodą, a drugą celował we mnie palcami, jakby naciskał spust niewidzialnego pistoletu.

Nasze spojrzenia na chwilę się spotkały.

A potem butelka poszybowała w powietrzu i uderzyła mnie w ramię. Straciłam równowagę i spadłam prosto na betonowy szkolny dziedziniec.

\*\*\*

Otwieram skrzynię i wtedy wiele rzeczy dzieje się jednocześnie.

Krzyk sam wyrwa się z moich ust, zanim zdążę go powstrzymać. Skrzynka wysuwa mi się z rąk i leci w przepaść, tracę równowagę. Spadając, w ostatniej chwili łapię się pnia brzozy, ale dłonie ześlizgują się z gładkiej powierzchni. A potem jest już tylko lot w dół. I ciemność.

\*\*\*

Po upadku na szkolny dziedziniec miałam uraz kręgosłupa, złamaną nogę, rękę i zwichnięty obojczyk. Przez trzy miesiące nie wolno mi było zdjąć gipsu. Lekarze twierdzili, że miałam szczęście, bo mogłam zginąć. Ja miałam na ten temat zupełnie inny pogląd.

Kilka dni później opublikowałam w szkolnej gazetce tekst pod tytułem *Kto chciał mnie zabić i dlaczego mu się to nie udało*. Nie mogłam ruszać dłońmi, więc dyktowałam tekst Raisie, która przygnębiona i udręczona tkwiła przy moim łóżku. To ona pierwsza zjawiła się w szpitalu, nie mój ojciec.

Któregoś dnia zapytałam, jak idą sprawy z przejściem opieki nad Julią. Raisa powiedziała, żebyśmy nigdy więcej nie wracały do tego tematu. Nie chciała zeznawać przeciwko rodzicom w sądzie. Nigdy więcej im się nie sprzeciwiła. Poszła na studia medyczne i wynajęła mieszkanie we Wrocławiu, a Julia przeprowadziła się do niej dopiero po osiemnastych urodzinach. I nieważne, jak bardzo przyciskałam Raisę, nigdy nie chciała mi powiedzieć, czym „oni” jej zagrozili.

\*\*\*

Gdy otwieram oczy, wszystko jest zamazane i w pierwszej chwili myślę z przerażeniem, że straciłam wzrok. Potem przypominam sobie, że Aleks ma moje okulary. Leżę w gęstej, brudnej wodzie. Sweter i dżinsy są wilgotne i utyłane mułem, ale błoto złagodziło upadek.

Ból, który teraz czuję, nie ma większego znaczenia, bo liczy się tylko to, co wciąż trzymam w zaciśniętej dłoni.

Warkocz Julii. Jasny pukiel jedwabistych blond włosów, związany brokatową gumką, ucięty w miejscu gdzie zaczyna się głowa. Piękne, delikatne włosy są sklezione i rudawe od zaschniętej krwi. Krew, miała krew we włosach, kiedy je odcinali.

Zmuszam się do zachowania spokoju. Skrzynka leży w błocie, obrócona do góry dnem, cała zawartość rozsypała się dookoła. Coś błyszczący w wilgotnym mule. Bransoletka Julii. Drżącą dłonią podnoszę ją, ocieram z błota i widzę inskrypcję.

„Podążaj za marzeniami, Julia”.

„Podążaj za czerwonymi znakami” – myśl nie wiadomo skąd.

Nieważne. Umysł znów płata mi figle. Ważne jest to, że mam dowody z jej DNA. Drżącymi dłońmi wrzucam włosy i bransoletkę do kieszeni. Powinnam założyć rękawiczki, schować je do plastikowej torebki, ale nie mam na to czasu. Po skarpie już ześlizguje się zamazana plama przypominająca Aleksa, a za nim biegną pozostali.

Wiem, że Julia nie zdjęłaby tej bransoletki dobrowolnie, uwielbiała ją i nigdy się z nią nie rozstawała. A dostała ją ode mnie, na osiemnaste urodziny.

Partyzanci zmusili ją, żeby ją zdjęła. Co jeszcze jej zrobili przed śmiercią? Gdzie ukryli ciało?

Czuję, jak gniew bucha we mnie zimnym płomieniem.

Ze mną nie pójdzie im łatwo. Nie zastraszą mnie jak Mariki, nie sprawią, że poczuję się zagrożona jak Daniel, nie złamią mojego ducha, tak jak zrobili to z Laną. A już na pewno nie dam im się zabić. Znajdę ich, powiążę z zabójstwem Julii i sprawię, że za nie zapłacą. Słono. Zamknę tę sprawę raz na zawsze. Raisa w końcu zazna spokoju, na który zasługuje, a moje życie nabierze prawdziwego sensu. Zostanę reporterką, która przeprowadziła własne śledztwo i odnalazła Julię Płomyk. Może nawet napiszę o tym książkę.

A ten pieprzony, niewdzięczny świat w końcu doceni mnie tak, jak na to zasługuję.





# ROZDZIAŁ VII

## PŁONĄCY STOS

### DANIEL

Ruda powiedziała, że przejdzie po tym drzewie i przyniesie nam skrzynkę, ale ja od samego początku czułem, że to jakaś pułapka Partyzantów. No i miałem rację. Dźwięk ciała uderzającego o ziemię powoduje, że chmara przestraszonych ptaków zrywa się do lotu.

W pierwszej chwili wszyscy stoją bez ruchu, sparaliżowani i przestraszeni, więc jako jedyny podchodzę do skraju wąwozu, żeby sprawdzić, czy ruda przeżyła upadek. Mimo że spadła z dużej wysokości, jestem całkowicie przekonany, że nic poważnego jej się nie stało. Takie jak ona zawsze spadają na cztery łapy.

Obserwuję, jak się podnosi i gorączkowo szuka czegoś w błocie. Chyba dla niej Partyzanci też zostawili wyjątkowy prezent. Nie trafiła do tego lasu przypadkiem i tak jak ja też ma coś na sumieniu.

Schodzę po skarpie, sportowe buty ślizgają się na sypkiej, ziemistej powierzchni, kamienie uciekają spod nóg. Kiedy zbliżam się do Raisy, widzę, że już się pozbierała, choć wygląda na oszołomioną. Nogawki jej spodni, rękawy bluzy i plecak są pokryte mułem do tego stopnia, że trudno rozpoznać ich poprzedni kolor. Raisa odruchowo przeciera czoło ręką, rozmazując po twarzy błoto.

Próbuje wstać, ale natychmiast syczy z bólu i opada z powrotem na ziemię, trzymając się za kostkę.

– Nic ci nie jest? – pytam.

Ona patrzy mi w oczy bez słowa, ale nie widzę w niej strachu. Po raz pierwszy czuję do niej coś w rodzaju szacunku. Tylko ludzie, którzy nie pozwalają sobie na strach, mają szansę przetrwać.

Aleks przybiega, kuca przy Raisie i podaje jej okulary, a potem wyjmuje z plecaka apteczkę. Mówi, że nie powinna wstawać, bo może mieć wstrząs mózgu. Wie to, bo kiedyś pracował jako ratownik medyczny.

Uśmiecham się. Spojrzenie, które rzucił mi wtedy, w kaplicy, to nie było spojrzenie ratownika medycznego. To był wzrok człowieka, przez którego potrzebujesz ratownika medycznego.

Wszyscy bez namysłu kupują te jego bzdury. Aleks, troskliwy przywódca drużyny, sportowiec, harcerz, weteran gier terenowych. Wykształcony i kulturalny manager z kursem ratownika medycznego. Buddysta, który groził mi śmiercią. Może ma coś z głową, ale jedno trzeba mu przyznać – jest bardzo przekonujący w swoich kłamstwach. Założę się, że nabrał w życiu wiele osób. Bo ludzie uparcie chcą widzieć w innych tylko dobro i uczciwość, nawet jeśli sami nie mają w sobie ani jednego, ani drugiego.

Nie wiem, czy Raisa wierzy w kłamstwa Aleksa. Wydaje się na to za sprytna, zbyt cwana. Może jest jej po prostu wszystko jedno, bo potrzebuje w tej grze sojusznika. Widać po niej, że to dziewczyna, która wykorzysta każdego, byleby tylko osiągnąć swój cel.

Tymon, Lana i Marika otaczają Raisę ciasnym kręgiem złożonym ze współczucia i niezdrowej ciekawości wywołanej cudzym cierpieniem.

Obserwuję, jak Raisa podciąga nogawkę spodni, pokazując Aleksowi opuchniętą i posiniaczoną kostkę. Mnie to wygląda na złamanie, ale on obmacuje jej nogę i twierdzi, że tylko ją stłukła. Proponuje jej, że wróci razem z nią na parking i podwiezie ją do

szpitala. Raisa dzielnie odmawia. Spryskuje kostkę ketonalem, łyka naraz trzy tabletki przeciwbólowe, popija wodą i mówi, że musimy iść dalej.

Kręcę głową z irytacją. Powinna w tej chwili namówić wszystkich do przerywania gry. Posłuchaliby jej, ma w sobie coś takiego, że ludzie jej słuchają. Nieprawdopodobne, jak bardzo jest uparta. Myślę, że ten rodzaj uporu zaprowadzi ją do samego piekła. Tego, w którym ja już jestem. Próbowalem ją ostrzec, a teraz straciła swoją ostatnią szansę na ucieczkę. Od tej pory będzie osłabiona, powolna, zależna od innych. Powinna wycofać się wcześniej, kiedy jeszcze mogła biec. Powinna mnie posłuchać.

Raisa wstaje, opierając się na ramieniu Aleksa.

– Wszystko przez ten cholerny wiatr – mówi. – Zawiał za mocno i straciłam równowagę.

Prycham. Dziewczyna kłamie tak, że aż dym idzie jej z uszu. Pamiętam jej krzyk. Wszyscy myśleli, że wrzeszczała ze strachu przed upadkiem, ale ja wiem, że przestraszyło ją coś, co znalazła w czerwonej skrzynce. Dobrze znam to uczucie.

– Wskazówki muszą gdzieś tu być – mówi Raisa. – Zaraz je znajdziemy.

Niby jak, skoro schowałaś je do kieszeni, myślę ze złością. Ale nie mówię tego na głos, bo wiem, że oni i tak staną po jej stronie. Raisa potrafi sobie zjednać ludzi, ja nie. Poza tym, jeśli teraz ją sprzedam, ona powie wszystkim o kastecie i o tym, jak próbowałem go przed nimi ukryć. Nie warto ryzykować.

Rozgarniam butem błoto i pochylam się, udając, że szukam zaginionych wskazówek. Myślę o decyzji, którą podjąłem w kościele, i zastanawiam się, czy była właściwa.

Tak naprawdę wiedziałem, co muszę zrobić, wiedziałem to od samego początku. Może dlatego poszedłem się wyspowiadać. Miałem nadzieję, że ksiądz zadzwoni po policję, bo sam nie potrafiłem tego zrobić. Myślałem, że będzie mnie namawiał, żebym

oddał się w ich ręce. Zrobiłbym to. Ale on powiedział tylko: „Za tydzień przyjdź do lasu i czekaj na instrukcje. Tylko w ten sposób odpokutujesz winę”.

Pamiętam jego twarz. Widziałem ją przez kratę w konfesjonale. Młody chłopak, pewnie zaraz po seminarium. I uwierzyłem mu. Moi kumple zawsze mówili, że tylko Bóg może nas sądzić, nie frajerzy w togach. Może mieli rację, skoro nawet ksiądz nie wierzy w sądową sprawiedliwość. A ja nie jestem słaby. Mogę przyjąć na siebie konsekwencje, jakie by nie były. Wytrzymam je.

A teraz błąkam się po puszczy z bandą wielkowiejskich, wyszczekanych dziwaków, a konsekwencje nie nadchodzą. Zaczynam rozumieć, że ten ksiądz mnie oszukał. Jestem tu tylko marionetką, narzędziem w czyichś rękach. Czuję, że ktoś przesuwamnie jak pionek po planszy i zdecydowanie nie jest to Bóg.

Może ta puszcza jest po prostu moim czyścim, pomostem między starym życiem a wszystkim, co mnie czeka.

Z każdą mijającą chwilą robi się coraz ciemniej. Chodzimy po wąwozie jak małe mrówki, a las nad nami staje się cichy, uśpiony, spokojny. Może mógłbym zostać tu na zawsze. Zamieszkałbym w szałasie, spał w śpiworze, żywił się jagodami, piłbym deszczówkę. Lepsze takie życie niż żadne.

– Znalazłam! – woła Marika, rozwijając zrolowaną i zabłoconą kartkę papieru.

– No to brakuje nam jeszcze dwóch przedmiotów – zauważa Tymon.

– W skrzynce nie było nic więcej – mówi szybko Raisa, podchodząc do Mariki i zaglądając jej przez ramię.

– „Szukajcie Kotliny Kamiennych Twarzy. Tam są pochowane ofiary wiedźmy” – czyta Marika i marszczy brwi ze zdziwieniem.

– Co to za bełkot? – denerwuje się Raisa. – Jaka wiedźma? Jakie ofiary?

– Bełkot? – parska Tymon. – Przecież to cytat z książki Sadurskiego.

Widzę, że Raisa dziwnie reaguje na to nazwisko. Przez jej twarz przechodzi lekki, prawie niezauważalny skurcz zaskoczenia.

– Kogo? – pyta Marika.

Tymon, który do niedawna wyglądał na szczerze znudzonego, nagle się ożywia i spogląda po nas z niedowierzaniem.

– Naprawdę nie znacie Artura Sadurskiego? Autora *Najemników z krwi i ognia*? Pod kamieniem żyliście czy jak? Przecież to najpopularniejszy pisarz w Polsce!

– Jasne, że go znamy – protestuje Lana z oburzeniem. – Znam na pamięć wszystkie jego książki.

– Ja czytałem go w liceum – dopowiada Aleks.

– Ja wolę obyczajówki – stwierdza Marika.

– Ty, Raisa, na pewno dużo czytasz – mówi Tymon. – Nie kojarzysz Sadurskiego?

Raisa wzrusza ramionami, ale wciąż widzę napięcie malujące się na jej twarzy.

– Może kiedyś, nie pamiętam. Nie przepadam za fantasy.

Ja nigdy nie słyszałem o Arturze Sadurskim, ale nie mam zamiaru im się do tego przyznawać. Już i tak uważają mnie za ograniczonego debila. Widzę to w sposobie, w jaki się do mnie zwracają.

Właściwie nie pamiętam, kiedy ostatnio czytałem jakąś książkę. Chyba w technikum, wtedy interesowałem się historią. Ale później zamieniłem książki na siłownię i wyjazdy na mecze. Jeśli w więzieniu mnie nie zabiją, może będę mógł wrócić do czytania. Może nawet przeczytam coś tego całego Sadurskiego.

– Sadurski napisał sagę fantasy, którą teraz ekranizuje Netflix – tłumaczy Aleks, zwracając się do Mariki. – I powstaje też gra na jej podstawie.

– Tak – kiwa głową Tymon. – Studio RebelCraft wykupiło prawa, właśnie kończymy prace nad grą. Sadurski jest geniuszem, ale na stare lata kompletnie mu odbiło. Mój szef mówił, że wszystkie sprawy trzeba było załatwiać z jego agentem, bo on sam od lat nie wychodzi z domu. Podobno zaczął mieć problemy z głową dwadzieścia pięć lat temu, odkąd fan jego książek włamał mu się do domu i próbował porwać jego małą córkę.

Raisa porusza się niespokojnie. Z jakiegoś powodu nie podoba jej się ta rozmowa.

– Skoro był fanem, to dlaczego chciał porwać jego córkę? – pyta Marika.

– Chciał zmusić Sadurskiego do napisania kolejnego tomu sagi. Tak się tłumaczył na procesie. Od tamtej pory Sadurski co roku wydaje kolejną część, więc można powiedzieć, że gość dostał to, czego chciał.

– W tym roku nie wyszła żadna jego książka – zauważa Aleks.

– No to złe wieści dla jego córki – chichocze Tymon.

– Przecież to było dawno. Ona jest już dorosła – mówi Marika.

– No to co? Dorosłej nie można porwać?

– Ej, możemy skupić się zagadce? – pyta Raisa, wyraźnie wzburzona. – Wiecie, o co w niej chodzi, czy nie?

Na jej policzkach pojawiają się czerwone plamy. Nigdy wcześniej nie widziałem jej tak zdenerwowanej.

– W książce ofiarami więdźmy byli bogaci mieszczenie, którzy kolaborowali z królem, uciskali wieśniaków i krzywdzili magiczne stworzenia – mówi Tymon, marszcząc brwi.

– Cała ta saga to tak naprawdę historia o dyskryminacji i krytyce kapitalizmu – zauważa Lana.

– Co za bzdury – parska Tymon. – Jego książki są zupełnie o czymś innym!

– No to o czym są twoim zdaniem?

– O dwóch najemnikach z magicznymi mocami, którzy zostali wynajęci przez szalonego króla do mordowania niepokornych poddanych. Ale się zbuntowali i stworzyli tajne stowarzyszenie, które miało go obalić i ustanowić nowy porządek świata. To wszystko.

Lana w odpowiedzi tylko przewraca oczami i parska śmiechem.

– Jak to możliwe, że robisz w gamingu i pracujesz nad tą historią, a nie rozumiesz jej sensu? Kto cię w ogóle do tego dopuścił?

– Skoro jesteście takimi znawcami Sadurskiego, to może zastanówcie się, dokąd powinniśmy iść?! – warczy Raisa.

Zapada chwila ciszy, podczas której Lana i Tymon łypią na siebie ze złością.

– Sadurski mieszka w tej okolicy, na pewno zna puszcę – mówi po chwili Tymon. – Mógł się nią inspirować, kiedy opisywał Czarny Las.

– Co?

– Wiedźma mieszkała w Czarnym Lesie, ale król wypędził ją do Kotliny Kamiennych Twarzy. Prowadziły do niej ukryte schody – tłumaczy Lana.

– Żeby znaleźć schody, trzeba było najpierw przejść przez wąwóz i knieje – mówi Tymon w zamyśleniu. – Jesteśmy w wąwozie...

Wszyscy spoglądają po sobie i zapada chwila ciszy. Raisa wybucha niepohamowanym śmiechem.

– Chyba sobie żartujecie! Myślicie, że Czarny Las z książek Sadurskiego to ta puszcza? Myślicie, że Kotlina Kamiennych Twarzy istnieje naprawdę? To jakieś wariactwo. To nie ma żadnego sensu.

– Ma, jeśli Partyzanci są jego fanami. – Tymon uśmiecha się i zaciera ręce. – Więc teraz my was poprowadzimy. Chyba że masz lepszy pomysł.

\*\*\*

Lana i Tymon wpadają na trop bardzo szybko, niczym psy policyjne. Gdy wydostajemy się z wąwozu, prowadzą nas w głąb lasu, aż docieramy do kolczastej płataniny jeżyn i wysokich paproci. Kiedy ją zauważają, oboje spoglądają na siebie porozumiewawczo i wymieniają się uwagami, cytując na głos fragment z książki Sadurskiego.

Zastanawiam się, po co ludzie czytają te same książki w kółko, tyle razy, żeby nauczyć się ich na pamięć. Ciągłe mieszają sobie w głowie historiami wymyślonymi przez kogoś innego. Co dobrego może z tego wyniknąć? Można najwyżej od tego zwariować, jak ten typ, który próbował porwać córkę pisarza.

Ale może nie potrafię tego zrozumieć, bo sam niewiele czytam.

Najpierw przedzieramy się przez kolczaste chaszczki i ciernie, potem forsujemy zwalone pnie drzew i omszałe głazy. Nie ma w tym żadnej logiki, żadnego sensu, ale z jakiegoś powodu Lana i Tymon sprawiają wrażenie, że wiedzą, dokąd idą.

Słyszę ciężki oddech Raisy, kuśtyka przede mną, ciągnąc za sobą lewą nogę. Kostka spuchła jak pomarańcza, a sądząc po cichych jękach dziewczyny, lek przeciwbólowy nie jest wystarczająco mocny. Ale ruda jest twarda, muszę jej to oddać. Nie skarży się ani słowem. Musi bardzo wierzyć, że na końcu drogi znajdzie coś, na czym jej zależy.

W pewnej chwili teren zaczyna się podnosić, ziemia pod stopami twardnieje. Drzewa rosną tu rzadziej, zastępują je skały. W końcu widzę pierwszy znak od Partyzantów – czerwony, fluorescencyjny ślad na kamieniu. Tymon uśmiecha się tryumfalnie. Ścieżka prowadzi wzdłuż omszałych głazów i skał, między nimi płynie potok. Lana skacze po mokrych kamieniach bez chwili zawahania, zwinnie i szybko. Tymon i Aleks ostrożnie ruszają za nią.

Przystaję przy brzegu, żeby napełnić plastikową butelkę wodą ze strumienia. Raisa kuca na jednym z kamieni. Myje dłonie i włosy



z błota, chlusta lodowatą wodą na twarz, jakby chciała za wszelką cenę obudzić się ze snu.

– Chciałam, żebyś został – słyszę cichy głos za plecami.

Zakręcam butelkę z wodą, prostuję się i odwracam przez ramię.

– Głosowałam za tym, żebyś został w drużynie – mówi Marika. – Myślę, że możesz nam bardzo pomóc. Oni też w końcu to rozumieją.

Patrzę na nią w milczeniu. Jest najpiękniejszą dziewczyną, jaką w życiu widziałem. W dzieciństwie właśnie tak wyobrażałem sobie anioły. Brązowe włosy związane w warkocz, drobne usta, prosty nos, wielkie, ciemne oczy, jak u sarny.

Żałuję, że wtedy, przed kaplicą, tak na nią warknąłem. Już nawet nie pamiętam, co dokładnie jej powiedziałem, coś o wypranym mózgu. Ale nie mogę już tego cofnąć. To właśnie najgorsza rzecz w życiu. Nie można niczego cofnąć.

Chciałbym móc zacząć wszystko od nowa. Oddałbym wszystko za jeszcze jedną szansę, za nowe życie. Absolutnie wszystko.

Ale nie mogę nic zrobić, więc tylko patrzę na nią i staram się zachować jej twarz w pamięci.

Wiem, że niedługo trafię do miejsca, gdzie nie zobaczę już żadnej pięknej dziewczyny. Będą tylko betonowe mury, smród, upodlenie, strach i codzienna walka o przetrwanie.

– Hej! – woła Lana, machając ręką. – Chodźcie tutaj!

Ruszam w jej stronę, ślizgając się po mokrych kamieniach. Sportowe buty są ubłocone, przesiąknięte wilgocią, dziurawe. Sprawdzały się na wyjazdowych meczach, ale nie nadają się do leśnych przepraw.

Skąła, której dotyka Lana, wygląda jak pięść zarośnięta gęstym, długim bluszczem, ale poza tym nie ma w niej nic wyjątkowego. Wszyscy spoglądają na Lanę pytająco i dopiero wtedy odstania zieloną zasłonę z bluszczu. I wreszcie widzę to, czego szukali. Stare, kamienne, strome schody pnące się w górę. Tajne przejście.

Raisa otwiera usta z niedowierzaniem. Aleks i Marika też wyglądają na zaskoczonych.

– Ukryte schody. Nie powiem wam „a nie mówiłem”. – Tymon uśmiecha się lekko. – Chociaż właściwie czemu nie. A nie mówiłem?

– Te schody powinny poprowadzić nas w górę, a potem w dół, do Kotliny Kamiennych Twarzy – mówi Lana. Jej oczy błyszczą, policzki są zaczerwienione. Jest wyraźnie podekscytowana.

– Dokładnie tak było w *Najemnikach*. – Tymon kiwa głową. – Tom pierwszy, rozdział czwarty.

\*\*\*

Moja spowiedź trwała bardzo długo i nie pamiętam wiele z tego, co mówiłem. Pamiętam za to, co usłyszałem w konfesjonale, każde słowo. „Wszystko zacznie się w nocy. Pamiętaj, nie wolno ci uciec”.

Całkowita ciemność nadchodzi, kiedy docieram do szczytu schodów i zaczynam schodzić w dół. Kamienne stopnie są wąskie, popękane, zarosnięte mchem. Przy każdym kroku spod stóp uciekają skalne odłamki. Światła czołówek Lany i Tymona migają pode mną w ciemności jak świetliki. Trzymam latarkę od Partyzantów w spoczonej dłoni, oświetlam drogę. Liczę w myślach stopnie, ale przy dziewięćdziesiątym ósmym słyszę pohukiwanie sowy i tracę rachubę. Zastanawiam się, kto zbudował te schody i po co. Być może kiedyś, dawno temu, był tu szlak turystyczny, ale trudno mi sobie wyobrazić, żeby obecnie zdrowy na umyśle turysta znalazł tę drogę i świadomie ją wybrał.

Schodzę z ostatniego stopnia i czuję pod nogami igliwie i miękką ściółkę. Schody doprowadziły nas do kotliny, zagłębienia otoczonego ze wszystkich stron skałami. Podnoszę latarkę, a jasny promień wyłania z ciemności kolejne kształty. Skały wyglądają jak nieforemne, skrzywione, szare twarze.

– Ale jazda – mówi Tymon. – Kotlina Kamiennych Twarzy. Dokładnie tak ją sobie wyobrażałem.

Promień światła z latarki pada na okrągłą, zadaszoną wiatę z drewnianymi ławkami. W samym środku, na kamiennym palenisku, ktoś ułożył starannie stos gałęzi i patyków na ognisko. Wymarzone schronienie dla strudzonych wędrowców.

– Ej, zobaczcie... – odzywa się cicho Aleks, unosząc rękę i wskazując na coś w ciemności.

Kieruję latarkę i nagle czuję, że nogi wrastają mi w ziemię. Moje ciało zaczyna drżeć w niekontrolowany sposób. Nie mogę się ruszyć. Nie mogę wydobyć głosu.

Marika wydaje zduszony okrzyk, a pozostali cofają się w popłochu tak gwałtownie, że wpadają na siebie nawzajem.

Powiesili ich. Trzy ciała kiwają się powoli na sznurach przywiązanych do gałęzi potężnego, rozłożystego dębu. Najpierw widzę ich plecy, ale lekki podmuch wiatru sprawia, że zaczynają kręcić się na sznurach.

Moje serce wali tak szybko, że prawie wyskakuje z piersi. Czuję się tak jak tydzień wcześniej, kiedy uciekałem z tego lasu. Nie mogę złapać tchu. Chcę stąd uciec. Biec jak najszybciej. Zabici ludzie. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Sznur skrzypi. Wiszące ciała obracają się w naszą stronę tak, że widzimy ich twarze.

Pochylam się, kładę rękę na piersi i dopiero po chwili zaczynam oddychać normalnie. Potem zmuszam się, aby podejść bliżej. Już widzę, że to tylko kukły. Wyjątkowo paskudne kukły z wielkimi oczami, szeroko uśmiechniętymi ustami, absurdalnie długimi nogami i rękami. Wyglądają tak upiornie, bo ktoś ubrał je w prawdziwe ubrania i buty. Dwie kukły przedstawiają kobiece postaci, a przynajmniej tak mi się wydaje, bo mają peruki i kolorowe sukienki. Jedna kukła to mężczyzna, rozpoznaję to po krótkich, ciemnych włosach, solidnej budowie ciała i sportowym ubraniu.

Czuję ulgę, bo męska kukła nie ma na sobie zakrwawionej kurtki ani szalika z logiem klubu. A właśnie tego się w głębi duszy obawiałem. Myślałem, że właśnie przyszedł czas na konsekwencje. To wydarzyło się przecież tylko kilkanaście kilometrów stąd. Wciąż słyszę echa krzyków, krew pewnie jeszcze na dobre nie wsiąknęła w ziemię.

Myślę o tamtym zabitym chłopaku. Nie znałem nawet jego imienia. Wiedziałem tylko, że należy do innego klubu, a to oznaczało, że jest moim wrogiem. Dopiero teraz dociera do mnie jak bardzo się myliłem. Wrogowie to ludzie, którzy chcą zabrać twoją ziemię i skrzywdzić twoich bliskich. Wrogowie są na wojnie, nie na trybunach pieprzonego boiska. Mój ojciec był moim wrogiem w moim własnym domu, choć bardzo długo nie chciałem tego zrozumieć. Musiałem więc szukać sobie wrogów na zewnątrz.

Ale tamten chłopak był człowiekiem takim jak ja. O czymś marzył. Na coś czekał. Miał swoją rodzinę, matkę, rodzeństwo, a może nawet, tak jak ja, miał ojca, który go lał. Ale już się tego nie dowiem. Wszystko, czego chciałem i na co miałem nadzieję, umarło razem z nim. Zabrał to ze sobą.

Widzę, jak Raisa podchodzi do jednej z kobiecych kukieł. Kukła ma perukę z jasnych włosów związanych w warkocz, wielkie, niebieskie, szklane oczy i upiorny uśmiech. Jest ubrana w czerwoną sukienkę i ma tanią, srebrną bransoletkę na nadgarstku. Widzę, jak oczy Raisy się rozszerzają. Wygląda jak zahipnotyzowana. Dotyka kukły jak żywej osoby.

– Skurwysyny – mówi tak cicho, że muszę odczytać słowo z ruchu jej warg.

Wyciąga z kieszeni telefon, uruchamia lampę i robi zdjęcia kukłom. Trzask i błysk lampy. Blondwłosa kukła uwieczniona. Trzask i błysk lampy. Męska kukła w sportowym ubraniu uwieczniona.

– Mieliśmy nie robić zdjęć – mówi mechanicznie Lana, ale nie wykonuje żadnego ruchu, aby ją powstrzymać. Sama patrzy na kukły

z chorą fascynacją.

– To niech Partyzanci się pokażą i mi tego zabronią – warczy Raisa. – Wyzywam ich.

Trzask i błysk lampy. Trzecia z kukieł ma niebieską sukienkę i brązowe, kręcone włosy. Jej uśmiech jest tak szeroki, że dosłownie sięga od ucha do ucha. Na pniu dębu w ciemności błyszczy czerwony znak Partyzantów namalowany fluorescencyjną farbą.

– Słyszeliście?! – krzyczy Raisa w ciemność. – Rzucam wam wyzwanie! Wyjdźcie z ukrycia i pokażcie się!

Odpowiada jej tylko głucha cisza. W oddali znów słychać pohukiwanie sowy. Czuję na twarzy coś wilgotnego. Jedna kropla, a potem następna. Zaczyna padać.

Raisa spogląda na Aleksa.

– Aleks, mogę pożyczyć twój scyzoryk?

Aleks bez słowa podaje jej scyzoryk. Raisa wbija ostrze w brzuch blondwłosej kukły i zaczyna go wybebeszać. Szuka czegoś w środku, wyciąga z kukły kłęby waty i rzuca na trawę. Aleks, Marika, Lana i Tymon patrzą na nią, jakby nagle zwariowała, ale ja wiem, że wcale nie tak nie jest. Po prostu Raisa zaczyna rozumieć, o co tak naprawdę chodzi w tej grze.

Ja też. Wiem, że kara za grzechy się zbliża, i nigdy nie czułem tego wyraźniej niż tutaj, w tej kotlinie. Czuję, że coś żyje w tej ciemności. To coś czyha na nas, przyczajone, czeka tylko na właściwy moment. Nie podoba mi się to miejsce. Nie podoba mi się to wielkie, ponure drzewo i zawieszane na nim kukły. Nie podobają mi się skały w kształcie twarzy. Nie podoba mi się ta wiata, taka przytulna, gościnna, zapraszająca. Wszystko jest zbyt starannie wyreżyserowane, wygląda jak teatralna scenografia.

Odkąd postawiłem stopę w tej kotlinie, mój mózg wysyła do ciała jasny sygnał: „Uciekaj”.

Gdybym miał dokąd uciec, już dawno by mnie tu nie było.

Deszcz pada coraz mocniej. W świetle latarki i czołówek ukośne krople wyglądają, jakby były ze złota. Tymon i Lana naciągają kaptury, Marika dygocze z zimna w swojej cienkiej sportowej kurtce.

– Raisa – mówi uspokajająco Aleks.

Raisa nie zwraca na niego uwagi, wciąż maltretuje lalkę, zadaje jej kolejne ciosy, wyciąga z niej watę.

– Raisa, leje deszcz – mówi Tymon.

– Nie jesteśmy z cukru – warczy Raisa.

– Powinniśmy zrobić sobie przerwę. – Marika kładzie jej dłoń na ramieniu. – Chodź, rozpalimy ognisko, rozgrzejemy się trochę.

– Nie. Tu muszą być jakieś wskazówki. Muszą.

Raisa dyszy, w dłoni trzyma otwarty scyzoryk. Z jej włosów spływają błoto i krople deszczu. Blondwłosa lalka ma wybebeszony cały brzuch.

– Jesteśmy zmęczeni, a ty skręciłaś sobie nogę – mówi Lana, wskazując na jej kostkę. – Zobacz, jak spuchła.

– Nie zostanę tutaj – protestuje Raisa. – Musimy znaleźć wskazówki i iść dalej.

– Ona ma rację – odzywam się. – Nie powinniśmy tu zostawać.

Reszta drużyny spogląda na mnie z zaskoczeniem. Może dlatego, że odezwałem się pierwszy raz od kilku godzin.

– Nieoczekiwany sojusz – stwierdza Tymon. – No dobra, to zróbmy głosowanie. Kto głosuje za tym, żeby schować się pod wiatą i przeczekać deszcz?

Tymon podnosi dłoń, podobnie jak Lana, Marika i Aleks. Raisa patrzy na Aleksa ze złością i unosi dłonie w pytającym geście. Do tej pory cały czas trzymali sztamę i wspierali swoje decyzje.

– Musisz odpocząć – mówi stanowczo Aleks. – Jeśli przeciążysz nogę, za chwilę nie będziesz w stanie chodzić.

– Rozejrzyjcie się, ludzie, przecież to wygląda jak typowa pułapka.

– Ej, Raisa, wyluzuj – wtrąca Tymon pojednawczo. – To był tylko element gry. Mieliśmy się przestraszyć i się przestraszyliśmy. Co

jeszcze mogą nam zrobić?

Mój wzrok spotyka się z jej wzrokiem. Żadne z nas nie odpowiada Tymonowi. Cokolwiek byśmy mu powiedzieli, i tak by nam nie uwierzył. Musi sam tego doświadczyć.

I czuję, że doświadczy, i to już bardzo niedługo.

Deszcz przybiera na sile. Tymon jako pierwszy biegnie w stronę wiaty, a za nim ruszają Lana i Marika. Raisa kuśtyka, opierając się na ramieniu Aleksa.

Dopiero kiedy stoję pod dachem wiaty, zauważam, że drewniane ławki są zastawione jedzeniem. Kiedy my oglądaliśmy kukły i kłóciliśmy się o to, co robić dalej, ktoś przygotował dla nas poczęstunek w postaci suchego prowiantu. Batoniki energetyczne, suchary, wafle ryżowe, kabanosy w plastikowych opakowaniach, pudełka suszonych owoców i orzechów. Prawdziwa uczta. Kiedy patrzę na to wszystko, ślina napływa mi do ust.

Nie jadłem nic od rana.

– Tego tu wcześniej nie było – mówi Raisa, pokazując palcem na jedzenie.

– Co ty mówisz, pewnie nie zauważyliśmy, jest ciemno. – Tymon siada na ławce i wykręca czapkę z wody.

– Mówię wam, przed chwilą te ławki były puste – powtarza Raisa. – Dziewczyny, widziałyście to, prawda?

Marika i Lana nie odpowiadają. Zrzucają plecaki, zdejmują czółówki, rozsiadają się. Są głodne i zmęczone, nie potrafią myśleć o niebezpieczeństwie.

– To musiało być tu wcześniej, przecież poza nami nikogo tu nie ma. – Tymon wzrusza ramionami. – Ważne, że możemy uzupełnić zapasy. Nie wiem, jak wam, ale mnie już nie zostało nic do jedzenia.

– Na twoim miejscu bym tego nie jadła – mówi Raisa.

– Niby dlaczego? – Tymon unosi brwi. – Myślisz, że Partyzanci chcą nas otruć?

Raisa milczy wymownie. Tymon zaczyna się śmiać.

– Okej, Raisa, widzę, że masz jazdę od upadku, ale z tego, co pamiętam, nikt cię nie zepchnął z drzewa, tylko spadłaś sama.

– Nie wiemy, kto zostawił to jedzenie, więc lepiej go nie ruszać – stwierdza Aleks, siadając na ławce i zdejmując plecak.

– Może rzeczywiście nie powinniśmy... – mówi Marika z wahaniem, patrząc, jak Tymon sięga po batonik energetyczny.

– Weźcie siebie posłuchajcie, pojebało was kompletnie – parska Tymon. – Przecież to jedzenie jest w opakowaniach, nieruszone. Ale w porządku, niech wam będzie, zrobmy eksperyment. Poświęcę się. Zjem tego batona i jeśli po pięciu minutach wciąż będę żywy, to tu zostaniemy, przestaniecie świrować, zjemy i ogrzejemy się przy ognisku. Zgoda?

Tymon gryzie batona, przełyka i nagle jego twarz zaczyna się zmieniać. Wytrzeszcza oczy, pochyla się do przodu i zaczyna się krztusić i charczeć. Marika i Aleks rzucają się w jego stronę, ale wtedy on prostuje się i wybucha śmiechem.

– Żartowałem. Cholera, ale łatwo was wkręcić.

Marika i Aleks odsuwają się od niego z wyraźną ulgą, Raisa tylko kręci głową i zaciska wargi.

Lana sięga do plecaka i wyjmuje z niego wódkę.

– Okej, zrobiło się nerwowo – mówi. – Wszyscy powinniśmy się trochę wyluzować. Zrobiliśmy dzisiaj chyba ze trzydzieści kilometrów. Należy nam się chwila odpoczynku i relaksu. Raisa, ty pierwsza, chyba tego potrzebujesz.

Raisa wyjmuje z plecaka kubek termiczny i wyciąga go w kierunku Lany. Kiedy Lana nalewa jej solidną porcję wódki, Raisa wypija całość naraz, krzywi się i ociera usta. Nawet się nie wzdryga, widać u niej niezłą wprawę.

– Darmowe drinki! – woła Lana. – Kto jeszcze chce? Marika, dzisiaj prawie utonęłaś, napijesz się? Na pewno będzie ci cieplej.

Marika kiwa głową, szcękając zębami.



– Aleks? – Lana spogląda w jego kierunku. – Napijemy się razem za to, żeby wszyscy dostali to, na co zasłużyli?

– Za to chętnie wypiję. – Aleks uśmiecha się i puszcza do niej oko.

– Ja też chcę. – Tymon podaje Lanie swój kubek.

– Tymon, nie zrobiłeś prawie nic, żeby na to zasłużyć, ale lubisz książki Artura Sadurskiego, więc masz. – Lana leje wódkę do kubka.

– Za ogień, krew i wyzwolenie Moravii przez Najemników.

Tymon unosi kubek w geście toastu.

– Na pohybel królowi. Oby sił nigdy nam nie zabrakło.

Słyszę, jak się śmieją, i zazdroszczę im. Jeszcze niedawno sam śmiałem się z kumplami. Teraz już nawet nie pamiętam, jak to się robi. Kiedy myślę o tym, co straciłem na ustawce, patrząc, jak tamten chłopak umiera, to chyba właśnie to. Prawo do normalnego życia.

Nieważne, czy trafię do więzienia, czy nie, już teraz jestem więźniem.

Lana wyciąga wódkę w moim kierunku.

– A ty, Daniel? Napij się z nami?

Przez chwilę się waham. Wódka mogłaby pomóc, mogłaby na chwilę uwolnić mnie od tego koszmaru. No, ale obiecałem sobie dawno temu. Nigdy, nic.

– Nie – mówię.

– Nie pijesz z nami, bo nie wierzymy w Boga? – pyta Lana, świdrując mnie spojrzeniem.

– Nie. Po prostu nie piję.

– Dobra, dobra, już zrozumieliśmy, jesteśmy złymi grzesznikami i spłonimy na stosie. – Tymon macha ręką.

Nagle czuję wielkie zmęczenie. Nie wiem, dlaczego tu jestem, nie wiem, co tu robię. Nie wiem, kim są ci ludzie i dlaczego są tutaj ze mną.

– Mój ojciec był pijakiem – mówię. – Kiedy był pijany, lał moją matkę, moich braci i mnie. Jak miałem dziesięć lat, drużyna, której

kibicował, przegrała mecz, więc upił się i stłukł mnie młotkiem. Więc nie, nie chcę wódki.

Nie dodaję, że wylądowałem przez niego w szpitalu i miałem wycinaną nerkę. I tak wyglądają na wystarczająco zszokowanych. Patrzą na mnie w ciszy. Twarz Aleksa jest nieruchoma, w oczach Mariki i Lany błyszczą współczucie, a Raisa i Tymon wyglądają na zakłopotanych. Może w ich świecie nie mówi się takich rzeczy na głos. Może złamałem jakąś towarzyską regułę, wykazałem się brakiem manier. Ale jebać to.

– Przejdę się – dodaję, żeby przerwać głuchą ciszę.

Odchodzę od nich, idę w kierunku skał i upiornego drzewa z wisielcami. Nie wiem, dokąd idę, po prostu chcę być sam. Bo tak naprawdę zawsze byłem sam. Nikt z ludzi, których uważałem za kumpli, nie stanął po mojej stronie w chwili, kiedy to wszystko zaczęło się dziać. Podobno braci się nie traci, ale ja swoich straciłem.

Czasem myślę o matce, ale nie za często, bo to boli. Chciała, żebym był dobrym człowiekiem, lepszym niż ojciec. Zawsze powtarzała, żebym nie pił i nie bił kobiet ani dzieci. Chciała, żebym uczciwie pracował, był trzeźwy, miał dom i rodzinę, bo to jest najważniejsze. Myślałem, że jeszcze mam na to wszystko czas, ale okazało się, że nie.

– No ten to potrafi zepsuć nastrój – słyszę, jak głos Tymona przerywa ciszę, i gdybym był w stanie, pewnie bym się uśmiechnął.

\*\*\*

Ulewa staje się coraz silniejsza. Unoszę głowę, czuję, jak deszcz smaga mnie po twarzy. Przez ostatni tydzień myłem się obsesyjnie po trzy razy dziennie, szorowałem ciało aż do czerwoności, a mimo to wciąż czuję się brudny.

Za skałami zaczyna się ciemny obszar lasu. Wysokie, gęste drzewa zatrzymują ostre krople deszczu, osłaniają mnie, chronią. Czuję się pewniej. Bezpieczniej. Niełatwo schwytać kogoś w lesie, za to odsłonięta, wyeksponowana wiata jest idealnym celem ataku. Nie dziwię się, że Partyzanci nas tam zwabili, tak jak myśliwi wabią zwierzęta do paśnika. Wiem, że niebawem rozpęta się tam piekło, i muszę być na to przygotowany.

Rozglądam się uważnie. Szukam schronienia. Miejsca, w którym mógłbym się ukryć, gdy wszystko się zacznie. Ksiądz powiedział, że nie wolno mi nikomu pomóc. Nie powinienem przeszkadzać Partyzantom. To część mojej pokuty.

Nagle coś zauważam. Na niewielkim wzniesieniu między liśćmi dostrzegam prostokąt ciemności. Pochylam się i świecę do środka latarką. Betonowe wnętrze jest głębokie i długie na kilkanaście metrów. To stary schron, prawdopodobnie z czasów wojny. Wiem, że nie powinienem o nim nikomu mówić, to wbrew zasadom gry, ale nie mogę odgonić od siebie myśli, że to miejsce mogłoby pomieścić kilka osób, nie tylko jedną.

Nagle słyszę za sobą dźwięk pękającej gałązki. Gaszę latarkę i obracam się, zaciskając dłoń na scyzoryku, ale to tylko Raisa. Przykuśtykała tutaj za mną w kolejnym akcie bezczelnego natręctwa. Wygląda jak zadowolony z siebie lis. Jej oczy świecą jak zielone lampki. Wilgotne, rude włosy wystające spod kaptura zmieniły się w mokre strąki.

– Naprawdę lubisz mnie śledzić – stwierdzam.

– Chciałam ci to tylko oddać – mówi z uśmiechem. – Pomyślałam, że ci tego brakuje.

W wyciągniętej dłoni trzyma kastet.

– To nie moje.

– To dlaczego zakopałeś go w lesie?

– Bo to niebezpieczna rzecz. Tak przynajmniej słyszałem.

– Przykro mi z powodu twojego ojca. – Raisa chowa kastet z powrotem do kieszeni. – Wiesz, od dawna zastanawiałam się nad tym, jak nasze dzieciństwo i środowisko, w którym dorastamy, wpływają na to, kim później zostajemy. Wiesz, że większość morderców była wcześniej ofiarami przemocy? Potwory czasem tworzą inne potwory.

Co za psychologiczne pierdolenie, myślę. Zastanawiam się, czy tak właśnie robią wykształceni ludzie. Wiecznie szukają dla siebie wymówek, usprawiedliwień w pochodzeniu, otoczeniu, środowisku. Ja uważam, że to bzdura. Nieważne, jak ciężko mieliśmy, sami decydujemy o tym, kim zostajemy. Sami jesteśmy odpowiedzialni za swoje wybory. Ja zdecydowałem, że chcę być kibolem. Groźnym, twardym chuliganem w kominiarce. Chciałem mieć swój klub, swoje barwy, ekipę, z którą będę robił zadymy po meczach. Zbyt mocno chciałem być kimś i może dlatego teraz jestem nikim.

– Pomogę ci – proponuje Raisa.

– Nie potrzebuję pomocy.

– Potrzebujesz, Daniel, i to bardziej, niż myślisz. Nie możesz się wiecznie ukrywać w tej puszczy.

– Przed niczym się nie ukrywam, gram w podchody.

– Daniel, nie kłam. Wiesz, ja mam taki szczególny talent – zawsze wiem, kiedy ktoś kłamie. Zrobiłam parę kursów z behawiorystami i profilerami kryminalnymi, bo w moim zawodzie to się przydaje, ale tak naprawdę odkąd pamiętam, potrafiłam rozpoznać kłamcę. Byłeś w tym lesie tydzień temu, prawda?

– A co tu się stało tydzień temu?

Staram się nie okazywać emocji, ale przychodzi mi to z coraz większym trudem. Nigdy nie potrafiłem zbyt dobrze kłamać. Nigdy nie potrafiłem udawać kogoś innego, niż jestem.

– Ustawka – mówi Raisa. – Taka nielegalna walka dwóch grup kiboli. Young Fighters kontra Fanatycy, słyszałeś o nich? Nie? No dobrze. Chłopaków z Fanatyków trochę poniosło. Młody chłopak

z Young Fighters miał z nimi na pieńku od dłuższego czasu, poszło o jakąś głupią stadionową zniewagę. Miała być honorowa walka, ale w pewnej chwili dwóch Fanatyków wyciągnęło z samochodów kije bejsbolowe i kastety i zaczęli katować młodego. Widziałam zdjęcia, to była prawdziwa jatka, jak w rzeźni, wszędzie pełno krwi. Chłopak zmarł na miejscu. Normalnie może nikt nie robiłby z tego afery, w końcu to tylko porachunki grupy bandziorów. Ale okazało się, że chłopak jest synem polityka z Ministerstwa Sprawiedliwości. Policja zrobiła obławę na grupę kiboli, którzy go zabili. Prawie wszyscy Fanatycy już siedzą w areszcie. Ale jednego wciąż szukają.

– Ciekawa historia – mówię.

– Czekaj, czekaj, to jeszcze nie koniec, zaraz będzie najlepsze. – Raisa ostrzegawczo unosi dłoń. – Według kilku źródeł jeden z Fanatyków w porę zrozumiał, co się dzieje, i próbował pomóc chłopakowi z Young Fighters. Wyobraź to sobie, pomóc największemu wrogowi. Najgorsza zdrada! No, ale kiedy zobaczył, jak jego koledzy tłuką przeciwnika bejsbolami, to nie wytrzymał. Skoczył między nich i próbował ich powstrzymać. Walczył z własnymi kumplami, ale przegrał i musiał uciekać. A teraz tego jednego człowieka, bardzo ważnego świadka, szukają Centralne Biuro Śledcze, prokuratura i dawni koledzy z klubu, którzy myślą, że sprzedał ich na policji. Wszyscy chcą jego krwi. Na jego miejscu gdzieś bym się ukryła, może w puszczy takiej jak ta.

Milczę. Na twarzy Raisy maluje się chłodne opanowanie i gotowość na wszystko. Widać, że prowadziła już wcześniej takie rozmowy, ma w tym doświadczenie. Bez słowa mierzymy się wzrokiem. Mam nadzieję, że ona nie słyszy, jak szybko bije mi serce.

– Jesteś z policji? – pytam.

– Nie. – Raisa kręci głową. – A jeśli powiesz mi, co się tam stało, mogę ci pomóc.

– Nie możesz.

– Mogę. Przedstawię światu twoją wersję wydarzeń. I będę cię chronić jako moje źródło informacji.

A więc dziennikarka. Wiedziałem. Czułem to od samego początku, kiedy zadawała wszystkim pytania, śledziła mnie, robiła zdjęcia. Sплюwam na ziemię.

– Wy, pismaki, niszczyście takich jak ja, nigdy nie pomagacie. Gównu cię obchodzi, co się ze mną stanie. Chcesz mieć temat na okładkę.

Uśmiecha się lekko. Panuje nad sytuacją i podoba jej się to.

– Pomyśl logicznie, Daniel. Nie jesteś już kibolem, do tego świata nie ma już powrotu. Ich zasady już cię nie dotyczą. Ja jestem twoją jedyną szansą. Znam prawnika, który zajmie się twoją sprawą za darmo, po znajomości. W tekście mogę zrobić z ciebie bohatera. Wyeksponuję twoją wiarę w Boga, niezgodę na łamanie przykazań. Ludzie lubią nawróconych. Musisz mi tylko zaufać.

Posyłam jej pogardliwe spojrzenie.

– Jeszcze nie zwariowałem.

– Chyba naprawdę nie rozumiesz. – Raisa mruży oczy. – Niedługo cię znajdą i dostaniesz zarzuty za pomoc w zabójstwie. W więzieniu któryś z twoich byłych kumpli wykończy cię, bo jesteś niewygodnym świadkiem. A jeśli nawet uda ci się przeżyć, pierwszy stadion zobaczysz najwcześniej po pięćdziesiątce. Mój znajomy prawnik ma dobre układy w policji i w prokuraturze. Załatwi ci ugodę, bo oni chcą dorwać prawdziwych winnych. Jeśli im powiesz, kto go zabił, uniewinnią cię. Mordercy pójdą siedzieć, a ty przeprowadzisz się gdzieś daleko, może do Norwegii albo na Islandię. Znajdziesz sobie pracę i będziesz miał jeszcze normalne życie. Musisz tylko pomyśleć o sobie.

Spoglądam w niebo, widzę księżyc wyłaniający się zza ciemnych chmur. Myślę o sobie. Kim jestem? Uciekinierem. Grzesznikiem. Przestępcą, bandziorem, chuliganem. Złym człowiekiem.

Może teraz, kiedy już w pełni rozumiem swoją sytuację, powinienem być przerażony, ale czuję tylko zmęczenie. Nie wiedziałem, że ten zabity chłopak był synem kogoś ważnego, ale to tak naprawdę nic nie zmienia. Życie to życie. Może dla Raisy to ma znaczenie, bo pisze tylko o ważnych ludziach, więc wartościuje wszystkich na ważnych i nieważnych.

Ja już wiem, że czego bym nie zrobił, i tak jest po mnie. Jeśli nie wykończą mnie w więzieniu, to dorwą mnie na wolności, gdziekolwiek bym był.

A teraz dziennikarka stoi przede mną i próbuje dać mi złudzenie ratunku, wyjścia z tej sytuacji. Tylko jej się wydaje, że coś może, że ma na coś wpływ. Tak naprawdę sama dawno straciła kontrolę.

– Nie możesz mi pomóc, bo już nie wyjdiesz z tego lasu – mówię, robiąc krok w jej stronę.

Widzę, jak cała sztywnieje i wkłada dłoń do kieszeni kurtki.

– Chcesz mi zrobić krzywdę, Daniel? – pyta cicho.

– Nie. To nie ja chcę ci zrobić krzywdę, tylko ci, którzy to wszystko zorganizowali. Jeszcze tego nie rozumiesz? To nie jest żadna gra w podchody.

– A co to jest? W czym my właściwie bierzemy udział?

– To pokuta.

## **LANA**

Zapalniczka trzaska, skacze iskra i pojawia się płomień. Przykładam ją do stosu drewna. Mały płomyk na początku tylko się tli. Dmucham lekko. Wtedy ogień roznieca się, pożera kolejne gałęzie. Po chwili syczące, żarłoczne płomienie buchają wysoko w górę.

Czasem wszystko zaczyna się od jednej małej iskry. Przewiska na korytarzu, pogardliwego spojrzenia.

Wiedziałam, że kukła przypominająca Pawła to znak od Partyzantów. Dotrzymali złożonej obietnicy.

To zabawne, że wciąż nie wiem, kim oni są. Zwykle nie ufam nikomu, a już na pewno nie obcym ludziom. Dla nich zrobiłam wyjątek. Napisali mi, że dowiem się wszystkiego we właściwym czasie. Mam nadzieję, że ten czas wkrótce nadejdzie.

Kiedy staliśmy pod dębem, myślałam tylko o tym, żeby reszta drużyny nie usłyszała tego co ja. Na szczęście zaczęli się kłócić. Gdyby tylko uważniej rozglądali się wokół siebie... ale tego nie zrobili, bo byli przestraszeni, zmęczeni i dezorientowani. A ja sprawiłam, że stali się jeszcze bardziej nieuważni. Alkohol był pomocny. Wszyscy oprócz Daniela skusili się na wódkę, więc nie muszę się nimi martwić.

Tymon i Aleks rozgrzani wódką i ciepłem bijącym z ogniska wdali się w głośną rozmowę o książkach Sadurskiego. Zajęli się też suchym prowiantem, bo głód zawsze wygrywa ze strachem. Aleks pochyła się lekko w kierunku ogniska. Sprawia wrażenie zrelaksowanego, ale jego wzrok jest wciąż czujny. Za to Tymon całkowicie się rozluźnił, a jego twarz poczerwieniała.

– Wiesz, co jest zajebistego w jego książkach? – Głos Tymona lekko się płacze. – Nigdy nie wiesz, który bohater jest zły, a który dobry. Już myślisz, że coś wiesz, a tu niespodzianka.

– A kiedy zaczynasz czytać, nie możesz przestać – stwierdza Aleks

Marika mocniej otula się kurtką i lekko dygocze. Sprawia wrażenie, jakby ciepło z ogniska do niej nie docierało. A może, sądząc po spojrzeniach, którymi obrzuca Aleksa, potrzebuje zupełnie innego rodzaju ciepła.

Raisa i Daniel wciąż nie wrócili, podejrzenie długo ich nie ma.

Przesuwam dłonią nad ogniem, a potem zatrzymuję ją w płomieniach. Udaje mi się wytrzymać tylko kilka sekund i syczę z bólu. Oglądam wewnątrz dłoni, obserwuję z fascynacją, jak na zaczerwienionej skórze pojawia się mały obrzęk.



Marika coś do mnie mówi, a ja odpowiadam jej mechanicznie. Mój umysł rozdziela się na dwie części. Jedna siedzi przy ognisku i prowadzi rozmowę o niczym, a druga jak najszybciej pragnie wrócić do drzewa.

Nie mogę się doczekać, aż przywitam się z ofiarami wiedźmy. Tak długo czekałam na tę chwilę. Jestem podekscytowana jak dziecko przed pierwszą gwiazdką, ale wiem, że nie mogę działać pochopnie. Nie wolno mi wzbudzić niczyich podejrzeń. Muszę poczekać. Muszę być cierpliwa.

Słyszę szelest deptanych liści. Raisa i Daniel zmierzają w kierunku wiaty. Daniel jest ponury jak zawsze, a Raisa kuśtyka, opierając się o jego ramię.

Uśmiecham się. Raisa wie, jak tworzyć sojusze z najsilniejszymi. Z jednej strony sztama z Aleksem, a za jego plecami układy z Danielem. Lepiej, żeby nie próbowała wykorzystać w ten sposób mnie. Wtedy musiałabym jej zaszkodzić. Wolałabym tego nie robić, bo naprawdę ją polubiłam.

Marika przesuwają się tak, żeby Daniel mógł usiąść obok niej, i podaje mu termos z herbatą. Daniel waha się chwilę, ale ostatecznie przyjmuje ten symboliczny gest pokoju. Raisa siada obok mnie i zdejmuję mokrą kurtkę.

Wtedy rozlega się ten dźwięk. Ciche skomlenie przebijające się przez szum deszczu. Marika rozgląda się przestraszona.

– Też to słyszałaś? – pyta. – Czy to mógł być wilk?

Nie wygląda dobrze. Jest blada, ma spierzchnięte wargi, rozszerzone źrenice i dygocze, choć przy ognisku jest ciepło. Najwyraźniej przeziębila się podczas przymusowej kąpieli w rzece.

– Wilki nie atakują ludzi, jeśli nie są sprowokowane – mówię uspokajająco. – Równie dobrze to mógł być ranny lis. Chyba łapie cię gorączka, nie ma sensu, żebyś wychodziła na deszcz. Zostań i napij się herbaty. Ja pójde to sprawdzić. Tylko nie mów o tym innym, dobra? Nie chcę, żeby wpadli w panikę bez powodu.

Marika kiwa głową. Nawet jeśli się ze mną nie zgadza, nie ma siły, żeby zaprotestować.

Zakładam plecak na ramiona i wychodzę spod wiaty, na ulewę. Po chwili jestem mokra, krople deszczu bębnią o kaptur, wdycham zapach mokrej ziemi. Miękka ściółka ugina się pod stopami. Próbuję przyzwyczaić oczy do ciemności. Nie włączam czołówki, bo nie chcę ściągnąć na siebie niczyjej uwagi. Przy odrobinie szczęścia nawet nie zauważą, że na chwilę zniknęłam.

Dwa razy oglądam się przez ramię i upewniam się, że nikt nie idzie za mną. Ognisko jest jedynym jasnym punktem w otaczającej nas ciemności. Moje dłonie drżą z podniecenia.

Z każdym krokiem czuję, jak serce bije coraz mocniej. Wszystkie drzewa wydają się czarne, a twarze w skałach ożywają. Uśmiechają się do mnie i szepcą.

„To twój czas. Wykorzystaj go dobrze”.

Rozłożysta korona dębu rośnie w moich oczach. Już z daleka widzę płataninę czarnych gałęzi i kukły obracające się powoli na sznurach. Ofiary więdźmy. Skomlenie staje się coraz głośniejsze.

Poczucie niesprawiedliwości to straszna rzecz. Potrafi przejmować kontrolę nad ciałem, zżerać od środka jak złośliwy rak, zniekształcać myśli, sprawiać, że rzeczywistość mieni się różnymi kolorami. Dlatego jest coś wspaniałego w powieściach fantasy i starych legendach. Istnieje w nich sprawiedliwość. W prawdziwym świecie nie ma sprawiedliwości, więc trzeba ją wymierzać. Partyzanci to rozumieją. To mądrzy ludzie. Mają w sobie całą mądrość świata.

Mijam dąb, na którym wiszą kukły, i dotykam przelotnie mokrej, zimnej kory. Idę dalej, w kierunku skał. W ciemności wyglądają jak groby. Znów słyszę ten dźwięk, coraz głośniejszy. Kwilenie i skomlenie.

Bardzo długo czekałam na ten moment. Potrzebowałam tylko impulsu. Moje życie zbyt długo było puste, samotne i wypełnione bólem. Teraz nadam mu sens.

Docieram do jednej ze skał o wykrzywionej twarzy, to stąd dobiega kwilenie.

Gdyby ranne zwierzę potrzebowało pomocy, zaopiekowałabym się nim bez wahania. Zwierzęta to ulepszone wersje ludzi. Mądre, dobre i niewinne istoty, które trzeba chronić przed złem tego świata. Ale to nie jest głos zwierzęcia. Kwilenie przeradza się w cichy jęk. Czas działać.

Klękam na mokrej glebie i zaczynam rozgarniać ją dłońmi. Pod płytką warstwą ziemi znajduję to, czego się spodziewałam – nieruchomą warstwę liści przytwierdzonych do zielonej siatki. Jęcznienie narasta i przeradza się w zawodzenie. Podnoszę siatkę i odsuwam na bok. Widzę prostokątny dół wykopany w ziemi. Głęboki na co najmniej trzy metry, może więcej. Jest wąski, można w nim stać albo siedzieć, ale nie można leżeć. Zupełnie jak w izolatce.

Świecę latarką. W środku coś się porusza. Jakaś skulona postać.

– Hej...

Cichy głos, w samym środku ciemności. Okaleczony, połamany, zachrypnięty do granic możliwości. Mimo to rozpoznaję go natychmiast.

– Nie odchodź, proszę.

Paweł miał zawsze bardzo donośny głos, ale teraz niewiele z niego zostało. Brzmi jak mały chłopiec, którym kiedyś był. Oświetlam go latarką. Ma związane ręce i nogi. Żadnych siniaków, żadnej krwi, ale oczy wytrzeszczone ze strachu. Znam ten strach bardzo dobrze, towarzyszył mi każdego dnia, który spędziłam w Kołchozie.

– Kim jesteś? – skrzeczy Paweł. – Jesteś jedną z nich?

– Nie.

– Pomożesz mi? Niedawno się obudziłem, nie wiem, jak długo tu jestem.

Zrywa się wiatr, trzęsie koroną drzewa. Kukły poruszają się delikatnie, gałęzie skrzypią.

– Wiesz, kto cię uwięził? – pytam.

– Nie wiem. Było ich kilku. Napadli mnie w środku nocy, kiedy wracałem z baru. Wyskoczyli z furgonetki. Mieli na twarzach kominiarki, kaptury... przyłożyli mi jakąś szmatę do twarzy. A potem obudziłem się tutaj. Nie wiem, dlaczego tu jestem.

– A zabiłeś ostatnio jakieś koty, Paweł?

Kieruję latarkę na jego twarz. Czekam, aż zrozumie. Widzę, jak stopniowo zmieniają się jego rysy. Ten moment, w którym dociera do niego, że nie trafił tu przypadkiem ani w wyniku strasznej pomyłki, jest bezcenny.

– Mówiłam, że wszyscy skończycie w dole więdźmy – mówię. – No i patrz. Magia!

Słyszę własny głos i przez chwilę zastanawiam się, kim teraz jestem. W moim sercu pojawia się cień wątpliwości. A potem przypominam sobie pianę ciekącą z pyska bezdomnego kota. Nawet nie zdążyłam nadać mu imienia.

Biorę głęboki, spazmatyczny oddech. Muszę wyzbyć się resztek litości. Tak naprawdę wiem, że ta dygocząca w dole postać rzuciłaby mi się do gardła, gdyby tylko miała taką możliwość. Pamiętam chwilę, kiedy kopnął mnie w głowę. Teraz zabiłby mnie z zimną krwią, zakopał w tym dole i nigdy więcej o mnie nie pomyślał. Wróciłby do domu i spał doskonale.

– Powinieneś być ostrożniejszy, Paweł – mówię. – Zmieniłeś imię, zmieniłeś miasto, ale nie zmieniłeś tego, kim jesteś naprawdę. Gdybyś się zmienił, byłbyś wolontariuszem w schronisku dla zwierząt. Do końca życia sprzątałbyś po nich gównem i dbałbyś o to, żeby miały należytą opiekę. A ty szlajasz się po barach z dwoma potworami, takimi jak ty. Nie mogę powiedzieć, że jestem szczególnie zaskoczona. Ale skoro już chcesz być złym człowiekiem, nie możesz tracić czujności. Ja nigdy nie straciłam.

Robię przerwę, bo mój głos zaczyna nieoczekiwanie dygotać. Muszę nad sobą zapanować. Muszę uspokoić swoje serce. Oddycham głęboko. Zaczynam mówić dopiero po chwili.

– Wiesz, co jest najgorsze w siedzeniu w izolatce? To, że nie masz pojęcia, kiedy z niej wyjdiesz. Na początku liczysz sekundy, minuty, ale w końcu tracisz rachubę. W poprawczaku do izolatki trafiały głównie osoby, które miały ataki lękowe i strażnicy nie wiedzieli, co z nimi zrobić. Mnie to się zdarzało często, bo wiesz, kiedy banda skurwiałych sadystów zabija ci ukochanego kota, a kilka lat później próbuje zabić ciebie, można się nabawić traumy. Ale do rzeczy. Kiedy już zamkną cię w izolatce, bardzo trudno z niej wyjść. Możesz krzyczeć, możesz prosić, ale jesteś pod ziemią, a strażnicy nagle stają się głusi. Więc cały twój świat kurczy się do tych kilku metrów składziku na sprzęt. Żadnego okna. Światło wciąż włączone, więc nie wiesz, czy jest dzień, czy noc. Jesteś tylko ty i gołe ściany. Podobno – tak słyszałam – podobno to zostawia nieodwracalny uszczerbek na zdrowiu psychicznym. Nieodwracalny, rozumiesz? Jeśli stracisz poczucie czasu, zaczynasz uderzać głową w ścianę. Albo gryźć się w ramię aż do krwi, żeby cokolwiek poczuć. W jednej chwili płaczesz, w drugiej się śmiejesz. Po paru godzinach masz halucynacje, omamy słuchowe. Tracisz nad sobą kontrolę, zaczynasz obsesyjnie myśleć o tym, co zrobilibyś ludziom, którzy cię tu wpakowali. Cholera, ale się śmialiście po wyjściu z sali sądowej. Nie dosyć, że próbowaliście mnie zabić, to jeszcze ja zostałam za to ukarana. Słyszałam ten wasz śmiech za każdym razem, kiedy mnie tam zamykali. Wiesz, jakie to uczucie?

Znów kieruję na niego światło latarki. Paweł wytrzeszcza oczy i próbuje coś powiedzieć, próbuje ze wszelkich sił, ale nie może, już stracił głos.

– Nie... chyba jeszcze tego nie wiesz – syczę. – Ale się dowiesz. Ty i one. Wszyscy się dowiecie, jak to jest. Obiecuję.

Nagle ogarnia mnie szaleńcze podniecenie. Czuję, że mogę kierować otaczającą mnie rzeczywistością. Ja i moi przyjaciele Partyzanci. Ukryci, niewidzialni, obserwujący. Mam nadzieję, że mnie teraz widzą.

Zasuвам starannie siatkę i przyklepuję liście.

Czy współczuję Pawłowi? W pewien sposób tak. Czy to coś zmienia? Absolutnie nic.

Las mieni się różnymi kolorami, w jednej chwili jest niebieski, w drugiej fioletowy. Powietrze jest nasycone magią. Czarami.

Widzę, że moje dłonie są brudne od ziemi, więc polewam je wodą z butelki.

Czuję zapach mokrej gleby i roślin budzących się do życia. Ja też budzę się do życia. Ale moja praca nie jest skończona. Nucę pod nosem starą rymowankę.

*Czemu płaczesz, lisku mały?*

*Dzieci w sidła cię złapały.*

*Kiedy tylko tutaj wrócą,*

*Życie swoje bardzo skrócą.*

Poruszam się tanecznym krokiem do muzyki, której nie może usłyszeć nikt inny. Zmierzam w kierunku wiaty. Wąż na moim przedramieniu syczy i wije się radośnie. Uśmiecham się i głaszczę go palcem. Kiedy wrócę do Wrocławia, wydziaram mu piękną, złotą koronę. Aleks, tak jak wszyscy byli więźniowie, wiedziałby, co to znaczy. Zemsta dokonana.

## **MARIKA**

Mimo ciepła bijącego z płonącego ogniska moje ręce są lodowate i nie mogę zapanować nad dreszczami. Otulam się szczelniej kurtką. Chyba mam gorączkę. To by tłumaczyło ciągły potok niespokojnych myśli.

Krąg, w którym siedzimy przy ognisku, przypomina mi spotkanie grupy wsparcia dla ofiar przemocy domowej. Byłam tam tylko raz i opowiedziałam smutnym, bladym twarzą swoją historię. To tam po raz pierwszy dowiedziałam się, że wolność i samostanowienie to największa wartość, której nikomu nie wolno zabrać. Dowiedziałam się też, że jestem ważna. Że mój ból ma znaczenie. Ale kiedy w ramach ćwiczenia prowadzący zajęcia z samoobrony poprosił, żebyśmy wszystkie wrzasnęły, nie byłam w stanie. Zbyt długo tłumiłam w sobie emocje i nie potrafiłam wydostać ich na zewnątrz. Nie potrafiłam wrzasnąć, nieważne, jak bardzo się starałam.

Teraz też nie potrafię wydobyć z siebie głosu, chociaż w duchu krzyczę bardzo głośno.

„Aleks, spójrz na mnie! Przestań udawać, że nie istnieję!”

Może Aleks czyta mi w myślach, bo w tej samej chwili unosi głowę i zauważa moje spojrzenie. Patrzymy sobie w oczy po raz pierwszy od kilku godzin, a między nami trzaskają płomienie ognia. Spoglądam na niego pytająco, z nadzieją.

„Wybaczyłeś mi?”

Aleks odwraca wzrok. Czuję, jak coś między nami pęka. Właściwie to się stało już wcześniej, podczas głosowania nad tym, czy Daniel powinien zostać w drużynie. Aleks pewnie myśli, że zdradziłam jego zaufanie. A przecież nie mogłam postąpić inaczej. Po prostu nie mogłam.

A teraz płacę za to wysoką cenę. Obojętność Aleksa jest jak najgorsza tortura. Zaciskam bransoletkę na nadgarstku tak mocno, aż dłoń staje się chłodna i zaczyna mrowić.

Naprawdę myślałam, że coś nas łączy. Kiedy wyciągnął mnie z rzeki i tak wspaniale się mną opiekował, czułam, że powstała między nami więź. Ale potem zobaczyłam, jak Aleks troszczy się o Lanę, kiedy dostała ataku klaustrofobii w jaskini, i o Raisę, gdy spadła do wąwozu.

I zrozumiałam, że on po prostu taki jest. Pomaga ludziom w potrzebie. A ja ubzdurałam sobie, że poczuł do mnie to samo co ja do niego, bo przez chwilę był dla mnie miły. Naprawdę, żałosna desperacja.

Miłość nie zawsze jest darem. Czasem bywa przekleństwem, które skłania nas do zrobienia strasznych, szalonych rzeczy. To właśnie miłość doprowadziła mnie do punktu, w którym teraz jestem. Miłość i nienawiść.

Nagle dziwny dźwięk wyrywa mnie z zamyślenia. Skomlenie, jakby gdzieś w pobliżu płakało dziecko. Ciarki przechodzą mi po całym ciele. Próbuję wsłuchać się w ten odgłos, ale szum lejącego deszczu go zagłusza.

Może to tylko efekt gorączki. Rozglądam się, sprawdzając, czy ktoś oprócz mnie to słyszał. Aleks i Tymon się śmieją, Daniel poprawia drewno w ognisku, a Raisa mówi coś do niego cichym głosem. Tylko Lana gwałtownie ogląda się przez ramię.

– Też to słyszałaś? – pytam cicho.

Lana sztywno kiwa głową.

– Czy to mógł być wilk? – pytam.

– Wilki nie atakują ludzi, jeśli nie są sprowokowane – mówi uspokajająco. – Równie dobrze to mógł być ranny lis. Chyba łapie cię gorączka, nie ma sensu, żebyś wychodziła na deszcz. Zostań i napij się herbaty. Ja pójdę to sprawdzić. Tylko nie mów o tym innym, dobra? Nie chcę, żeby wpadli w panikę bez powodu.

Posyła mi dziwne, mroczne spojrzenie i uśmiecha się. Kiwam głową. W jej zachowaniu jest coś niepokojącego. Jeśli wokół nas grasują dzikie zwierzęta, nie powinna chodzić sama po ciemku. Ale nie potrafię się jej sprzeciwić. Nie pytam też, po co zabiera ze sobą plecak.

Kiedy tylko Lana znika w ciemnościach, puste miejsce obok mnie zajmuje Raisa. Spogląda na wafel ryżowy, który trzymam w dłoniach, jakbym jadła coś zgniłego i zatrutego.



- Nie powinniśmy ruszać jedzenia – mówi.
- Byłam bardzo głodna – tłumaczę się.
- Dobrze się czujesz? – pyta, przykładając ciepłą dłoń do mojego czoła. – Ale jesteś rozpalona. Chcesz tabletkę?
- Nic mi nie jest – protestuję. – Dopiero piłam wódkę, nie chcę jej mieszać z lekami.

Raisa zdejmuje zaparowane okulary i przeciera je rękawem.

– Wiesz, Marika... myślałam o tej grze. Może mam paranoję, ale myślę, że pod przykrywką gry w podchody chodzi o coś zupełnie innego. Coś związanego z nami. Ja mam parę rzeczy na sumieniu. A ty?

- Nie, ja... nie.
- Polubiłam cię, Marika – mówi Raisa. – Wydaje mi się, że gdyby stało mi się coś złego, pomogłabyś mi. I naprawdę ci ufam.
- Ja też ci ufam.
- To dlaczego nie mówisz mi prawdy?

Milczę. Raisa przygląda mi się uważnie, studiuje moją twarz. Nie podoba mi się jej spojrzenie.

– Wiesz, Marika, ja mam taki dar, że zawsze wiem, kiedy ktoś mnie okłamuje. Już od dzieciństwa wygrywałam w pokera, bo wiedziałam, gdy ktoś blefował. Pewnie dlatego mam tylko jedną przyjaciółkę. Bo wiem, że ona jedna nigdy mnie nie okłamała. Lubię myśleć, że wykrywanie prawdy to mój własny dar. Każdy ma jakiś dar, prawda?

Nie odpowiadam. Wiem, że muszę bardzo uważać. Muszę być ostrożna, bo moje tajemnice mogą mnie pogrążyć. Wpatruję się w swoje zabłocone, zniszczone tenisówki.

- Byłaś kiedyś zakochana? – pytam cicho.
- Raisa wygląda na zaskoczoną.
- Chyba nie – odpowiada. – A ty byłaś zakochana w tym facecie, który ci się oświadczył?

– Nie – szepczę. – Byłam zakochana w swoim wyobrażeniu o nim. I bardzo długo nie potrafiłam zobaczyć, kim jest naprawdę. A kiedy

w końcu zobaczyłam, było już za późno. On bardzo lubił mnie krzywdzić.

– Więc w końcu ty skrzywdziłaś jego?

Milczę przez dłuższą chwilę.

– Zrobiło się strasznie gorąco. – Ocieram oczy, udając, że zwilgotniały od ognia.

– W porządku, mnie możesz powiedzieć. – Raisa kładzie dłoń na moim nadgarstku. – Cokolwiek zrobiłaś, nie osądzam cię. Trzeba mieć odwagę, żeby wyrwać się z toksycznego związku.

Wiem, że Raisa tak naprawdę nie ma pojęcia, o czym gada. Operuje tylko sloganami i hasłami z feministycznych portali i gazet. Sama na pewno nie pozwoliłaby się nikomu krzywdzić, bo ma coś, czego ja nigdy nie miałam. Poczucie własnej wartości.

– Nie jestem dobrą osobą – wyduszam przez zaciśnięte gardło.

– Nie oceniaj się tak surowo – mówi łagodnie Raisa. – Nie ma dobrych i złych ludzi. Wszyscy jesteśmy tylko sumą własnych doświadczeń. A jeśli spotkało nas wiele zła...

Kręcę głową. Nie zasługuję na jej współczucie. Gdybym powiedziała jej prawdę, całą prawdę o sobie, w jednej chwili zniknęłyby cała jej empatia i zrozumienie. Może nawet z pomocą innych wepchnęłaby mnie do ogniska.

– Czemu nadal to nosisz? – Raisa z odrazą wskazuje na mój pierścionek zaręczynowy.

– To przypomnienie.

– O czym?

– O złożonej obietnicy.

Najgorsze jest poczucie winy. Dławiące, odbierające oddech. Dałabym wiele, aby móc się go pozbyć, jednak najwyraźniej taką cenę muszę zapłacić. Ale źli ludzie nie mają wyrzutów sumienia, więc może jeszcze nie jestem zupełnie stracona.

– Porozmawiaj z nim – proponuje Raisa, wskazując na Aleksa. – Kiedy już spotkasz kogoś wyjątkowego, warto o niego zawalczyć.

I pieprzyć, co inni sobie o tobie pomyślą.

– Przypominasz mi moją przyjaciółkę z dzieciństwa – uśmiecham się. – Ona też zawsze namawiała mnie, żebym robiła rzeczy, których się bałam.

Myślę o Ali. O tym, jak bardzo brakowało mi jej przez te wszystkie lata. Ali była dla mnie kimś więcej niż przyjaciółką. Była moją przewodniczką, inspiracją. Podziwiałam ją i chciałam być taka jak ona. Aż do tamtego strasznego dnia nad jeziorem. Wtedy mnie opuściła. A może została mi odebrana. Nie wiem, nie wszystko pamiętam. Wspomnienia się zacierają. Wiem tylko, że odkąd ona zniknęła z mojego życia, pojawiła się w nim ziejąca pustka.

– Nadal się przyjaźnicie? – pyta Raisa.

– W pewnym sensie. Wiesz, czasem mam wrażenie, że ona zawsze jest ze mną. Była podobna do ciebie. Odważna.

Raisa marszczy brwi, wyraźnie zdezorientowana.

– No więc posłuchaj głosu przyjaciółki i mojego – mówi po chwili. – Pogadaj z Alekssem, bo jeśli tego nie zrobisz, później będziesz żałować.

W tej samej chwili mój telefon wibruje w kieszeni spodni. Dźwięk jest krótki, ostrzegawczy. W pierwszej chwili myślę, że to efekt wyładowanej baterii. Odruchowo wydaję komórkę i zerkam na ekran. Widzę jedną kreskę zasięgu. Jakimś cudem telefon złapał zasięg w tej kotlinie, w środku puszczy. Na ekranie pojawia się wiadomość z nieznanego numeru. Czuję, jak wódka i wszystko, co dzisiaj zjadłam, podchodzi mi do gardła. Wiadomość jest krótka.

„Jesteś już martwa”.

Moja dłoń zaczyna drżeć.

Adrenalina uderza do głowy, serce jak oszalone łomocze w klatce piersiowej. Czuję pulsowanie tętna w uszach. Wstaję z ławki, bełkoczę do Raisy coś o potrzebie pójścia w krzaki i zaczynam biec w głąb lasu. Drzewa tańczą mi przed oczami, ziemia kołysze się pod nogami, jakbym była na statku. Gałęzie drzew zamieniają się

w ramiona, które obłapiają mnie ze wszystkich stron. Konary drzew ożywają i oplatają moje stopy. Lecę do przodu i uderzam w ziemię tak mocno, że tracę oddech. Czuję, jak łzy cieką mi po twarzy.

Jestem już martwa. Całe moje życie opiera się na kłamstwie. Udawaną doskonałością próbowałam przykryć to, kim naprawdę jestem. Jestem złym człowiekiem. I nienawidzę siebie tak bardzo, że nie mogę spojrzeć w lustro. Chcę zakopać się pod ziemią wśród robaków i larw, tam gdzie moje miejsce.

Przez dłuższą chwilę leżę bez ruchu, ale w końcu znajduję w sobie siłę, żeby wstać. Zrywam pierścionek z palca i rzucam go w ciemność. Ze wszystkich stron otaczają mnie gęste drzewa i ciemne skały. Wyciągam z kieszeni telefon i rozbijam go o jedną z nich. Napawam się waleniem plastiku o twardą, kamienną powierzchnię. Już nigdy nie dostanę od Krystiana żadnej wiadomości. Nigdy.

Nagle słyszę szelest i spomiędzy drzew wyłania się ciemna postać. Trzyma w dłoni nóż. Serce podchodzi mi do gardła.

– Co robisz? – pyta postać.

Czuję, jak moje serce zwalnia. To tylko Aleks. I wcale nie trzyma noża, tylko otwarty scyzoryk. Mimo to odruchowo cofam się o krok. W jego twarzy jest coś dziwnego i obcego. Do głowy przychodzi mi niepokojąca myśl, ale szybko ją od siebie odgania. Aleks nigdy nie zrobiłby mi krzywdy. Nie ratujesz ludzi, których chcesz skrzywdzić. Po prostu pozwalasz im tonąć.

– Po co ci to? – Wskazuję na scyzoryk w jego dłoni.

– Wydawało mi się, że coś słyszałem...

Aleks pośpiesznie składa scyzoryk i chowa go do kieszeni. Księżyc wyłania się zza chmur i oświetla polankę. Aleks dostrzega łzy na mojej twarzy.

– Co się stało? – pyta, podchodząc bliżej. – Czemu płaczesz?

Przez chwilę mam wrażenie, że to scena ze snu – ja i on, sami w lesie, w blasku księżyca. Ale to zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Piękne rzeczy nigdy nie są prawdziwe.

– Zrobiłam coś strasznego – mówię i mój głos się łamie.

I wtedy dzieje się coś niemożliwego, niewyobrażalnego. Aleks obejmuje mnie ramieniem, przytula do siebie i gładzi po włosach.

– Już dobrze.

Wdycham jego zapach. Oddycham ciężko, wtulam twarz w jego szyję. Jego głos mnie uspokaja, a ramiona ogrzewają. Serce wcale nie zwalnia, tylko przyśpiesza.

Unoszę głowę, patrzę mu w oczy. Aleks dotyka mojej twarzy i ściera z niej łzy.

– Nie płacz – szepce. – Wszystko będzie dobrze.

I wiem, że już nie zdołam się powstrzymać. W końcu robię to, co chciałam zrobić, odkąd pierwszy raz go zobaczyłam. Całuję go.

Czuję jego dłonie na swoich ramionach i przez jedną straszną sekundę myślę, że mnie odepchnie, ale nie, przyciąga mnie bliżej siebie. Czuję jego wargi na swoich, jego język wkrada się do moich ust.

Wsuwam dłonie pod jego koszulkę, czuję twarde brzuch, ramiona, mięśnie. Zapominam, jak mnie wychowano, czego mnie uczono o grzechu, skromności, powściągliwości.

Z Krystianem o tym pamiętałam, zawsze leżałam pod nim jak kłoda.

Ale wystarczy dłoń Aleksa na moim ciele, żebym zapomniała o Krystianie. O tym, co mi zrobił, i o tym, co ja mu zrobiłam. Zapominam o wszystkim, całuję go, pozwalam mu się dotykać i to uczucie jest po prostu wspaniałe. Ale nagle słyszę jakiś niechciany dźwięk w głębi lasu. Trzaskanie gałązek, szelest deptanych liści, jakby ktoś skradał się w naszym kierunku. Aleks cofa się o krok i jego twarz przenika cień niepokoju.

– Powinniśmy wracać – mówi.

– Nie chcę wracać.

Wciąż trzymam jego dłoń. Przyciągam go do siebie. Nie obchodzi mnie, co czai się w zaroślach. Może kryć się tam nawet cała armia

zabójców. Jeśli miałabym umrzeć teraz, umarłabym szczęśliwa.

– Aleks, zostań tu ze mną.

Całuję go coraz zachłanniej i pozwalam mu się przycisnąć do drzewa. Jego dłonie wędrują po moich piersiach i spodniach, wnikają pod ubranie, rozsuwają suwaki, zamki i zapięcia. Kładę się na ziemi i czuję pod plecami ostre szyszki, igły i mokre liście. Ziemia jest chłodna, mokra i twarda, ale przestaje mi to przeszkadzać, kiedy czuję na sobie jego ciężar.

Aleks zdejmuje koszulkę. Na umięśnionym brzuchu widzę jasną, długą, okropną bliznę. Przesuwam po niej dłonią. Przez chwilę zastanawiam się, kto mógł zrobić mu taką krzywdę, i nienawidzę tej osoby z całych sił. Kiedy zdejmuję majtki, szurające dźwięki wokół nas przybierają na sile. Ale szybko przestaję o nich myśleć, bo wreszcie czuję go w sobie i nic poza tym już nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia.

Jedną dłoń trzyma pod moją głową, tak żeby nie dotykała mokrej ziemi, drugą zaciska na moim nadgarstku. Cudowne połączenie opiekuńczości i siły. Każdy zdecydowany ruch jego ciała w moim to gwiazdy wybuchające na niebie. Jęczę. Już wiem, że nie popełniłam błędu, przychodząc do tego lasu.

– Aleks? – dyszę. – Kocham cię.

– Tak? – sapie, poruszając się we mnie szybciej. – Aż tak ci dobrze?

Dotykam jego twarzy, ale on łapie moją dłoń i przyciska do ziemi. Jęczę. Jeszcze jedno pchnięcie, jeszcze więcej wybuchających gwiazd. Ale to już mi nie wystarczy, bo chcę, żeby w końcu zrozumiał.

– Kocham ciebie – dyszę. – Nie tylko to.

Jego dłonie przytrzymujące moje nadgarstki nagle się zaciskają. Trochę za mocno. Przestaję czuć w sobie jego ruchy. Otwieram oczy i spoglądam na niego. Widzę w jego oczach zupełnie obcy wyraz. Aleks, którego znam, zniknął i patrzy na mnie ktoś zupełnie inny.

– Aleks?

Czuję, że jego ciało wysuwa się z mojego, ale jego dłonie wciąż zaciskają się na moich nadgarstkach. Chciałam go tylko uszczęśliwić. Ale coś poszło nie tak. Coś poszło okropnie nie tak.

## DANIEL

Potężny wybuch sprawia, że wszystko pogrąża się w jednostajnym, rozdzierającym czaszkę pisku. Czuję, jak drży ziemia pod moimi nogami i trzęsie się świat. Setki przerażonych ptaków zrywają się do lotu, inne padają na ziemię.

Piiiiiiiiiiii..... Piskliwy dźwięk wwiercający się w uszy. Wdycham dym i dociera do mnie, że to, na co czekałem i czego się bałem, w końcu się zaczęło.

Piiii.....

Najważniejsza rzecz w czasie wybuchu to schronienie, muszę znaleźć schronienie. Przetaczam się pod ławkę i zasłaniam uszy dłońmi. Pocę się, mój oddech się urywa. Zastanawiam się, czy moje życie właśnie się kończy. Umysł jest z tym pogodzony, ale ciało nie, ciało nie zamierza się poddać, chce walczyć. Pytam Boga, co powinienem zrobić. Bóg milczy.

Piii.....

Jeszcze więcej dymu, kolejny huk wstrząsa wszystkim dookoła.

Kilka metrów od wiaty na trawie leży czyjeś drobne, nieruchome ciało. Przez kłęby dymu dostrzegam fioletowe włosy. Lana. Ma zamknięte oczy, jej klatka piersiowa się nie unosi. Nie wiem, czy żyje.

Piiii..... Pierdolony pisk. Potrzebuję mojego słuchu z powrotem, muszę usłyszeć, skąd nadchodzi zagrożenie. Nigdzie nie widać Mariki ani Aleksa, ich plecaki leżą na ziemi, porzucone, bezpańskie. Czuję, że już tu nie wrócą, żeby je zabrać.

Piiii.....

Widzę rozbite okulary Raisy i czapkę Tymona. Szukam ich wzrokiem, próbując oswoić oczy z dymem. Muszą gdzieś tu być. Przynajmniej oni.

I w końcu ich widzę.

Raisa leży pod ławką, zasłaniając głowę plecakiem. Tymon czołga się po ziemi, w kierunku ciała Lany.

Łapię go za kostkę i pokazuję mu na migi, żeby schował się pod ławką. Przez chwilę patrzy nieprzytomnie, ale potem robi to, co mu każę. Udaje mu się ukryć w ostatnim momencie. Kolejny huk wstrząsa kotliną.

Teraz już wiem: granaty hukowe.

A więc Partyzantom udało się wciągnąć nas w pułapkę, ogłuszyć i obezwładnić.

Biegnę w stronę nieruchomego ciała, liczę na to, że zdążę przed kolejnym wybuchem.

Wiem, że możemy stąd uciec, z każdego miejsca da się uciec.

Ksiądz mówił: „Przyjmij na siebie pokutę”.

Problem w tym, że nie jestem tutaj sam. Tu są ludzie, którym muszę pomóc. Jeśli istnieje zadośćuczynienie i odkupienie win, to właśnie to. Naprawię zło, które zostało wyrządzone, uratuję ludzi. Więc jeśli Partyzanci chcą walki, proszę bardzo, będą ją mieli.

Nikt więcej nie zginie w tym lesie.

Nie na mojej warcie.





# ROZDZIAŁ VIII

## GAMEBOY

### TYMON

Gryzłem właśnie batonik energetyczny, kiedy wokół mnie rozpętało się piekło.

To dziwne, ale najgorsze rzeczy w życiu zawsze uderzają, kiedy się tego nie spodziewasz. Gdy w wieku dwunastu lat siedziałem na tylnym siedzeniu samochodu i grałem na gameboyu w Dragon Balla, nie spodziewałem się, że życie, które znam, właśnie dobiega końca. Że mój świat, który wtedy sprowadzał się do rodziców siedzących ze mną w samochodzie, za chwilę przestanie istnieć.

A teraz to dzieje się znowu. Pierwszy huk, który rozlega się tuż przy moim uchu, ogłusza i zrzuca mnie z ławki. Wiata znika w kłębach dymu, oczy szczypią i łzawią, a rzeczywistość przekrzywia się i trwa w kompletnej ciszy. Kaszlę, dym drażni gardło.

W głowie mam zapętloną tylko jedną myśl. Co tu się dzieje, co tu się dzieje, co tu się dzieje?

To pewnie tylko jeden z moich powracających snów, wystarczy to sobie uświadomić, a zaraz się obudzę. Często przecież śniłem o obławie, końcu świata, wojnie, apokalipsie. Nie ma się czym martwić, zaraz obudzi mnie Falkor.

Próbuję przeniknąć wzrokiem ciemność. Raisa leży blisko mnie, wciśnięta pod sąsiednią ławkę. Kilka metrów dalej widzę ciało Lany, nieruchome. Leży twarzą do ziemi, blisko niej widzę skorupę granatu, musiał wybuchnąć jej pod nogami. Bez chwili namysłu czołgam się, żeby sprawdzić, co z nią, ale Daniel łapie mnie za nogę i na migi pokazuje, żebym wrócił pod ławkę. Chwilę później ziemią wstrząsa kolejny wybuch. Chowam się pod ławką, a jednocześnie jestem uwięziony w dachującym samochodzie, odłamki z rozbitej szyby sypią mi się na twarz. Elementy rzeczywistości przestają do siebie pasować, nie mogę ich połączyć. Wspomnienia przenikają się, mój mózg odmawia posłuszeństwa, nie myślę już logicznie. Rzeczywistość nie działa, zawiesza się. Linijki kodu wyświetlają się na ekranie z nienaturalną prędkością.

\*\*\*

Gdy kończą się wybuchy, wciąż leżę na wilgotnej ziemi, skulony pod ławką, zasłaniając uszy dłońmi. Chyba na chwilę odpłynąłem, bo miejsce, w którym ukrywała się Raisa, jest puste, nie widzę też ciała Lany. Nikogo już tu nie ma. Co tu się stało? Czy Partyzanci dopadli wszystkich? Niemożliwe. Takie rzeczy dzieją się tylko w grach komputerowych i w słabych filmach.

Nagle widzę czarne, wojskowe buty idące w moim kierunku. Przywieram do ziemi, jakbym dzięki temu mógł stać się niewidzialny. Buty się zatrzymują. Postać w wojskowym ubraniu łapie mnie za ramiona i wyciąga spod ławki. Partyzant jest wysoki i mocno zbudowany, jego twarz zasłania kominiarka. Gdy patrzę mu w oczy, unosi pistolet i bez słowa celuje w moją głowę. Próbuję wstać, ale wtedy on popycha mnie z powrotem na ziemię. Unoszę rękę. Nie wiem, po co to robię. To głupi instynktowny odruch, ale wydaje mi się, że trudniej zastrzelić człowieka, który się poddaje.

– Podaj mi nazwiska – mówi Partyzant.

Jego głos brzmi jak ze źle dostrojonego radia. Pierwsze słowo bardzo ciche, ostatnie bardzo głośne.

– Co?

– Podaj mi nazwiska ludzi, z którymi pracujesz.

Zaczynam dygotać w zupełnie niekontrolowany sposób. Do tej pory sądziłem, że broń przy mojej głowie to jakieś przedstawienie, element gry. Teraz już wiem, że nie.

– Nie rozumiem... – Próbuję grać na czas.

– Rozumiesz.

Lufa jest zimna, wbija mi się w czoło.

– Kto jeszcze to robi? Mów.

W mojej głowie wyświetla się cała lista polskich i zagranicznych nazwisk. Nie jestem w stanie wypowiedzieć na głos żadnego. Wiem, że te osoby mi ufają. Pracujemy razem nad czymś bardzo ważnym. Jeśli podam ich nazwiska, spotka ich to samo co mnie. Sprzedanie ich nie uchroni mnie przed kulką, czuję to. Po prostu umrę jako tchórz.

– Nie znam żadnych nazwisk...

– No to się żegnamy, Tymon.

Trzask – trzask, słyszę dźwięk odbezpieczanej broni i nagle przestaję oddychać. Tak jakby dźwięk mojego oddechu mógł sprowokować go do strzału. Wyobrażam sobie swój mózg rozchlapany na leśnej ściółce. Czuję zapach mokrej ziemi, zapach grobu. Liście przyklejają się do moich spoconych dłoni.

I wtedy nagle, nieoczekiwanie, pojawia się we mnie coś, czego nie czułem od bardzo dawna. Chęć życia i wola walki. Muszę przetrwać, nawet jeśli zostałem zupełnie sam. Mój zresetowany mózg zaczyna powoli funkcjonować. Podnoszę rękę, zasłaniając twarz.

– Nie strzelaj.

Nie będę go o nic błagał, ale nie chcę, żeby strzelił mi w twarz. Nie chcę, żeby ktoś musiał mnie identyfikować po uzębieniu.

Cały świat maleje do czarnej lufy pistoletu.

Dwadzieścia sześć lat, myślę. To nie taki zły wynik. Udało mi się dokonać całkiem sporo. I co ciekawe, nikt nigdy się o tym nie dowie. Ale moje dzieło będzie trwało, inni będą je kontynuowali. I to jest najważniejsze.

Lufa pistoletu celuje w moją twarz, palec opiera się na spuście. A potem nagle wszystko ciemnieje.

\*\*\*

Gdy odzyskuję przytomność, w pierwszej chwili czuję ból. Partyzant jednak nie strzelił, zamiast tego uderzył mnie tak mocno, że na chwilę odleciałem.

Z ciemności wyłania się Daniel. Oslania nos i usta szalikiem w klubowych barwach, w dłoni trzyma otwarty scyzoryk. Wygląda groźnie, jakby zaraz miał napaść na Empik albo podpalić tęczę na placu Zbawiciela. Nagle wszystko wydaje mi się bardzo zabawne i zaczynam chichotać. Daniel podnosi z ziemi plecak Raisy i zarzuca go sobie na ramię, a potem podchodzi do mnie.

– Biegnij za mną – mówi.

Nie wiem, czemu po mnie wrócił, i nie mam czasu się nad tym zastanawiać. Myślę o grze w Counter-Strike'a, a ciemna polana otoczona zdeformowanymi skałami zamienia się w pole bitwy. Wszystko się zgadza, granaty, strzały, terroryści. Brakuje tylko wyświetlającej się w rogu mapy. I broni w moich dłoniach. Wciąż nie mogę opanować chichotu.

– Wstawaj. – Daniel szarpie mnie za ramię. – Musimy uciekać.

Wstaję. Moje nogi wciąż trochę drżą, ale jestem w stanie biec. Daniel pędzi przez las, w ciemność. Gonię go, zakładając, że ma jakiś plan.

Biegnę tak, jak nie biegłem jeszcze nigdy, biorę udział w wyścigu o własne życie, a moje stopy ślizgają się na mokrych liściach

i grzęzną w rozmięklej ziemi. Szybko tracę oddech, nie jestem w formie.

Próbuję dostrzec cokolwiek w ciemnościach. Wydaje mi się, że pomiędzy drzewami widzę ciemną sylwetkę z karabinem przewieszonym przez ramię i bladą, uśmiechniętą twarz, a potem postać znika. Ale to mogło być tylko przywidzenie, kolejny błąd mózgu. Mój wzrok jest rozstrojony, podobnie jak słuch. Wszystkie zmysły szwankują w chwili, gdy potrzebuję ich najbardziej.

Daniel wbiega na małe wzniesienie, klęka i odsuwa na bok splecione gałęzie maskujące czarną, prostokątną dziurę w ziemi. Dziura jest obudowana omszonymi cegłami.

Schron, myślę z oszołomieniem. Skąd on o nim wiedział?

Daniel wrzuca do dziury plecak Raisy, a potem wskakuje do środka. Ja waham się tylko kilka sekund, ale kiedy słyszę za plecami zbliżające się strzały, szybko robię to samo. Osuwam się w ciemność.

\*\*\*

To tylko gra. To się nie dzieje naprawdę. Powtarzam sobie to zdanie w myślach po raz setny, zaciskając dłoń na puszcze z gazem łzawiącym.

Ciało wciąż się boi, dygocze, ale umysł już szuka rozwiązania, wyjścia, drogi ucieczki.

To tylko gra, a każdą grę można wygrać.

Schron ma kilkanaście metrów kwadratowych, można w nim stanąć i rozprostować nogi, zrobić kilka kroków od ściany do ściany, ale niewiele więcej. Daniel stoi przy wejściu i ściska w dłoni scyzoryk. Zastanawiam się, czy naprawdę byłby w stanie dźgnąć ostrzem kogoś, kto by nas zaatakował. A potem myślę, czy sam byłbym w stanie to zrobić. Ale ja mam tylko gaz łzawiący. Za mną

stoi Raisa z paralizatorem, a za nią Lana z kastetem. Nikt nic nie mówi. Wszyscy tylko dyszymy i czekamy.

Setki myśli błyskawicznie przelatują mi przez głowę, a przegrzany i przebodźcowany mózg co chwila wyświetla błąd. Poczucie osaczenia nie sprzyja logicznemu myśleniu.

BŁĄD. Gdzie się podziała moja czapka? To była naprawdę fajna czapka z logiem PGA, kupiłem ją rok temu na targach gier komputerowych w Poznaniu. Nie pamiętam momentu, w którym ją zgubiłem. Czy to się stało, kiedy Partyzant celował do mnie z broni, czy kiedy biegłem za Danielem?

BŁĄD.

Ciekawe, co stało się z Mariką i z Alekssem. Mam nadzieję, że sobie poradzili. A może leżą teraz rozstrzelani na wilgotnej od deszczu ziemi... a owady spacerują po ich otwartych, zaskoczonych oczach. Marika była wymarzoną ofiarą z tą swoją wrażliwością i ufnością, ale Aleks sprawiał wrażenie twardego zawodnika. Czemu padło akurat na nich?

BŁĄD, BŁĄD, BŁĄD.

Szybko odcinam się od tych myśli, dekoncentrują mnie, a w tej chwili muszę się skupić na przetrwaniu.

\*\*\*

– Granaty hukowe – mówi Daniel. – Użyli granatów hukowych.

– Widziałam ich. – Głos Lany drży. – Poszłam na spacer i wtedy zobaczyłam, jak wychodzą z lasu i idą w naszą stronę. Widziałam, że mają broń, i w pierwszej chwili pomyślałam, że to myśliwi idą na nocne polowanie. Chciałam wydrzeć się na nich, żeby zostawili te biedne zwierzęta w spokoju. Ale wtedy zauważyłam, że mają zasłonięte twarze. Zanim zdążyłam was zawołać, jeden rzucił we mnie granatem, wybuchł mi pod nogami...

– Jeden z nich, taki wielki, strzelił w drzewo, metr od nas, chciał nas wykurzyć spod wiaty – mówi Raisa. – Wtedy zaczęłam uciekać. Widziałeś go, Tymon?

– Tak. Po tym, jak uciekliście do schronu, wyciągnął mnie spod ławki i chciał mi strzelić w łeb.

Raisa i Lana wpatrują się we mnie wytrzeszczonymi, przestraszonymi oczami.

– Przyłożył ci broń do głowy? – pyta Raisa. – Czego chciał?

– Chyba chciał tylko mnie przestraszyć. Odbezpieczył broń, ale nie strzelił.

Zauważam, że Raisa nie ma okularów, pewnie spadły jej w trakcie ucieczki. Rozglądam się po podłodze bunkra. Mamy dwie butelki wody, apteczkę, folię termiczną, latarkę Partyzantów i jedną czołówkę na cztery osoby. Żadnego jedzenia. Możemy liczyć tylko na zawartość plecaka Raisy, pozostałe plecaki zostały przy wiacie, do której już raczej nie wrócimy. Chyba że w plastikowych workach.

Nasłuchujemy. Dochodzi druga w nocy, a odgłosy strzałów ustały jakiś czas temu. Ale to nie znaczy, że nocna rozgrywka się zakończyła. Może Partyzanci robią sobie przerwę, może się przegrupowują. A może czekają już na nas przy wyjściu z bunkra. Wyobrażam sobie, że otaczają schron jak psy myśliwskie polujące na króliki ukryte w norze. To byłby najgorszy możliwy scenariusz.

Daniel nieprzerwanie pełni wartę przy wejściu, napięty i nieruchomy. Nie wypuszcza z dłoni scyzoryka. Raisa siedzi na ziemi, dygocząc z zimna, a może ze strachu i wściekłości. Lana przysypia. Jej głowa co chwila opada, a potem znów się podrywa. Ja nie jestem senny, zwykle gram całymi nocami i zasypiam o czwartej nad ranem. Ale tej nocy nie zmrużę oka. Zaciskam dłoń na puszcze z gazem. Kiedy tracisz rodziców w młodym wieku, niewiele rzeczy jest w stanie zrobić na tobie wrażenie, ale muszę przyznać, że Partyzantom się udało.



Zastanawiam się, czy komuś byłoby przykro, gdybym zginął. Wyobrażam sobie Falkora udzielającego wywiadu jakiemuś dziennikarzowi. „Nie jestem zaskoczony, Tymon od dawna nie był sobą. Jakość jego kodu się pogorszyła, nie spał, nie radził sobie. Wszyscy się o niego martwiliśmy i próbowaliśmy mu pomóc, bo w RebelCraft jesteśmy jak jedna wielka rodzina”.

W gardle rośnie mi kula śmiechu, muszę się powstrzymać, żeby nie parsknąć na głos.

Przez całe życie pracowałem nad tym, żeby nie mieć w swoim życiu nikogo bliskiego.

No dobra, „pracowałem” to za dużo powiedziane. O samotność nie trzeba się szczególnie starać. Kiedy się rodzisz, nie obchodzisz nikogo oprócz własnej rodziny, no chyba że akurat jesteś dzieckiem celebrytów. Ja szybko straciłem rodziców i zamieszkałem z babcią, co ograniczyło pulę osób, którym na mnie zależało, z trzech do jednej. I świadomie przez lata nie zrobiłem nic, żeby to zmienić. Wręcz przeciwnie, kiedy poznawałem kogoś, kto chciał się do mnie zbliżyć, natychmiast go odtrącałem. Byłem sarkastyczny, cyniczny i wredny. To było rozsądne rozwiązanie. Nie warto zapraszać do swojego życia ludzi, skoro w każdej chwili mogą zniknąć.

Myślę o babci. O tym, jak poradzi sobie beze mnie i bez pieniędzy, które przynosiłem jej co miesiąc. Choć nie była w stanie utrzymać się z głodowej emerytury, nie chciała brać ode mnie ani złotówki, więc musiałem kombinować i uciekać się do różnych sztuczek. Podrzucałem jej pieniądze do skrytek, w których trzymała oszczędności. Część banknotów wrzucałem do koperty w szufladzie, inne do słoika, trochę ukryłem w kasetce w kuchni. W sumie odkąd zacząłem pracę w RebelCraft, zostawiłem jej ponad pięćdziesiąt tysięcy. Powinno jej to wystarczyć na najbliższe dwa lata. Przynajmniej ten problem mam z głowy.

A więc temat rodziny odhaczony, temat znajomych też. Szybko poszło.

Nie mam nic do stracenia i ta myśl mnie uspokaja. Oczyszcza. Teraz, kiedy emocje już nieco opadły, nie czuję strachu ani nawet zaskoczenia. Raczej pewien rodzaj ulgi. Od dawna czułem, że w moim życiu stanie się coś złego, a skoro miałem rację, nie muszę się już dłużej bać. Mogę z chłodną głową analizować sytuację, w której się znalazłem.

Prostuję nogi skurczone od przebywania w tej samej, niewygodnej pozycji. Wilgotne ubranie ociera skórę. Oddałbym nerkę za papierosa, ale moje fajki przepadły, zostały w plecaku. Wyciągam z kieszeni telefon, ekran pokrywa siatka pęknięć, nie mogę go włączyć. Do niczego już mi się nie przyda.

– No cóż, przynajmniej nie zatruli jedzenia – odzyvam się.

Raisa, Daniel i Lana spoglądają na mnie ze złością. Najwyraźniej nie przypadł im do gustu ten rodzaj czarnego humoru.

– Niektóre trucizny działają z opóźnieniem – rzuca Raisa. – Daj znać, kiedy zaczniesz mdlić.

A potem znów zapada cisza.

\*\*\*

Muszę pomyśleć. Myślenie jest najważniejsze w sytuacji potencjalnego zagrożenia. Teraz ważne są logika, opanowanie, zdrowy rozsądek. Kiedy człowiek traci rozsądek, zaczyna robić głupie, desperackie, szkodliwe rzeczy, które tylko pogarszają sprawę.

Próbuję wczuć się w rolę Partyzanta. To łatwiejsze, niż przypuszczałem. W podstawówce, jeszcze przed śmiercią rodziców, miałem kilku kolegów i grałem z nimi w RPG. Jako Mistrz Gry tworzyłem narrację i kontrolowałem wszystkie wydarzenia dziejące się w fikcyjnym świecie naszej wyobraźni. Inni gracze musieli podążać za moimi wskazówkami. Nawet jeśli podejmowali jakieś decyzje, działali na ślepo. Tylko ja znałem pełen scenariusz i tylko ja

wiedziałem, dokąd te decyzje ich zaprowadzą. Zupełnie jak Partyzanci.

Pierwszy wniosek: nawet jeśli Partyzanci nie zamierzali nas zabić, na pewno nie liczą się z naszym zdrowiem i bezpieczeństwem. Wybuchy granatów hukowych mogły spowodować atak serca, utratę słuchu, mogły nas poparzyć, wywołać pożar. Istnieje też możliwość, że nie zabili nas tylko dlatego, żeby się nad nami dłużej znęcać. To bardzo zła opcja.

Drugi wniosek: Partyzanci są dobrze zorganizowani, a ich działania przemyślane. Znają tę puszcę, więc zwabili nas do dzikiej, ukrytej części niedostępnej dla turystów i straży leśnej. Poczekali, aż będziemy zmęczeni i rozluźnieni, i dopiero wtedy zaczęli show. Najpierw jump scare i efekty specjalne, żeby uśpić naszą czujność, później prawdziwy terror.

Pytanie: czy ktoś z grupy Zwiadowców z nimi współpracuje? Przekazuje informacje na nasz temat? Bardzo możliwe. Gdybym organizował taką grę, na pewno chciałbym mieć w drużynie kreta. Ale nie wytypowałem jeszcze podejrzanej osoby, za wcześnie na to. Od tej chwili zacznę wszystkich uważnie obserwować.

Kolejna kwestia. Ilu tak naprawdę jest Partyzantów? Zastanawiam się, czy tak skomplikowaną intrygę mogło zorganizować sześć osób, które poznaliśmy na początku gry. Gdybym sam był Partyzantem, na pewno nie ujawniłbym swojej twarzy. Zbyt duże prawdopodobieństwo, że ktoś ucieknie i wskaże mnie jako winnego. Może ci ludzie, których poznaliśmy na początku, to tylko aktorzy. W ich twarzach nie było nic charakterystycznego. Zapamiętałem głównie ich nienaturalny spokój i dziwne uśmiechy. Zachowywali się, jakby byli naćpani. Może zostali wynajęci do odegrania swoich ról, a prawdziwych Partyzantów jest więcej. Jeśli są dobrymi strategami, zgromadzili co najmniej dwanaście osób. Po dwie na każdego z nas.

Wnioski: nie możemy być bezsilni i bierni. Nie możemy dać się zaszczuć. Nie możemy być jak bohaterowie pseudodokumentalnych

horrorów, którzy panikują, wrzeszczą i biegają we wszystkich możliwych kierunkach, a na końcu dają się złapać i wyrznać. To nie będziemy my. My będziemy myśleć i działać. Tym razem wybrani na ofiary nie przegrają.

\*\*\*

Coś ciężkiego uderza mnie w ramię. Wybudzam się z letargu i zauważam, że to głowa Lany. Ma zamknięte oczy, a długie pasma fioletowych włosów spadają na moją bluzę. W pierwszej chwili nie wiem, jak się zachować, w drugiej też nie. Zdarzało mi się już czuć inne ciało pod sobą albo nad sobą, bo słowo „programista” działa na Tinderze cuda, ale obca głowa na ramieniu to coś innego. Coś nowego. Żadna z dziewczyn, z którymi byłem, nie spała mi na ramieniu. Reguły jednorazowych nocy są proste – czysta zabawa, żadnej bliskości.

Rozglądam się. Daniel wciąż czuwa przy wejściu do bunkra, wpatrzony nieruchomym wzrokiem w ciemny otwór między cegłami. Raisa śpi, przykryta folią termiczną.

Chucham w dłonie i rozcieram je. W schronie jest potwornie zimno. Dlatego siedzimy przyciśnięci do siebie jak mokre, nastroszone ptaki i próbujemy czerpać ciepło ze swoich ciał. Głowa Lany ogrzewa moje ramię, ale to ciepło jest chwilowe, pożyczone i przypadkowe. Nie chcę go. Nie chcę, żeby spała na moim ramieniu. Poruszam nim. Lana unosi głowę, mruga i rozgląda się nieprzytomnie. Ma zakrwawione rany na brodzie i czole, zadrapany policzek. Uciekając, musiała się przewrócić, uderzyć twarzą o kamienie. Musiało boleć.

– Która godzina? – pyta, przecierając oczy.

– Trzecia w nocy – mówię, zerkając na zegarek.

Raisa otwiera oczy i spogląda na nas. Jednak nie spała.

– Myślicie, że Marika i Aleks sobie poradzili? – pyta z niepokojem.

– Pewnie ukrywają się tak jak my – stwierdzam, chociaż wcale nie jestem o tym przekonany. Ale nie chcę, żeby teraz panikowały, myśląc o tym, co ich spotkało.

– Może to wszystko tylko inscenizacja? – Lana próbuje zakłść rzeczywistość. – Może to jakiś LARP?

– Co? – Daniel spogląda na nią ze zdziwieniem.

– LARP. Live action role-playing... – tłumaczy Lana. – Coś jak teatr improwizowany... Uczestnicy się umawiają, przebierają w kostiumy i wcielają w różne postaci, odgrywając jednocześnie swoje role. Wszyscy na bieżąco tworzą opowieść. Brałam kiedyś udział w czymś takim, grałam elfa.

Zdziwienie w oczach Daniela urasta do astronomicznych rozmiarów. Wygląda, jakby chciał coś powiedzieć, ale po chwili zamyka usta i tylko kręci głową z niedowierzaniem. Widać, że powoli uczy się tolerancji dla rzeczy, których nie rozumie.

– Najśmieszniejsze, że jeszcze za to zapłaciliśmy – stwierdzam.

– Może Partyzantom chodzi właśnie o pieniądze – zastanawia się Raisa. – Może chcą, żebyśmy zapłacili więcej za to, żeby nas stąd wypuścili.

– No to już po mnie – prychna ponuro Lana. – Nie mam na koncie ani grosza. Jestem spłukana, więc ktoś, kto wybierał uczestników do gry, spieprzył robotę.

– Nie sądzę – odpowiadam spokojnie.

– Co? – Spogląda na mnie ze zdziwieniem.

– Nie sądzę, żeby ktoś się pomylił przy wyborze graczy. Zagadki były przygotowane tak, żebyśmy mogli wykorzystać nasze umiejętności. To znaczy, że sporo o nas wiedzą.

– Ale skąd? – Lana marszczy brwi.

– W tych czasach wszystkie ważne informacje o człowieku można wyciągnąć z internetu w ciągu godziny – zauważa Raisa, a ja kiwam głową.

Raisa ma rację. Ma rację nawet bardziej, niż jest w stanie sobie to wyobrazić.

– Więc czemu nas wybrali? Myślicie, że ktoś się na nas mści? – Lana spogląda to na Daniela, to na Raisę.

– A co? – uśmiecham się złośliwie. – Daliście komuś powód do zemsty?

Odpowiada mi tylko wymowna cisza. Wszyscy nagle interesują się ścianami bunkra i betonową podłogą. Nie ciągnę tematu. I tak mam więcej wrogów niż oni wszyscy razem wzięci. Co ciekawe, sam ich sobie stworzyłem. To nie oni przyszli do mnie, to ja sam z premedytacją zaprosiłem ich do mojego życia.

Ale nie mówię tego na głos. Tak naprawdę motywacja Partyzantów nie jest teraz najważniejsza. Ich tożsamość też nie. Nie ma znaczenia, czy prześladują nas znajomi skrzywdzeni w przeszłości, czy szalona grupa studentów psychologii pisząca pracę magisterską o zachowaniach w symulowanych warunkach survivalu. Przypuszczam, że i tak dowiemy się wszystkiego we właściwym czasie. I to w spektakularny sposób. Nie po to Partyzanci tak się trudzili przy organizacji gry, żeby do końca pozostać w cieniu.

Po krótkiej przerwie wracamy do rozmowy. Analizujemy sposób, w jaki każdego z nas zaproszono do gry. Lana opowiada o znaku namalowanym na jej osiedlu. Raisa wspomina o ulotce podrzuconej do skrzynki pocztowej. Ja mówię o Partyzancie z Counter-Strike'a. Daniel stwierdza, że przysłał go tu ksiądz, że to miała być jego pokuta za grzechy. Ta historia wydaje mi się najbardziej absurdalna. No, ale przyjmijmy, nie takie rzeczy widział świat. Jeśli prześladuje nas Kościół, w ramach nowoczesnej inkwizycji, mamy naprawdę przejebane. Średniowiecze pokazało, ile miłosierdzia mają dla grzeszników.

Przechodzimy do ustalenia planu ucieczki. Przez chwilę kłócimy się o to, czy powinniśmy wymknąć się z kryjówki pod osłoną nocy, czy poczekać na świt. Oba wyjścia mają swoje mocne i słabe strony.

Ucieczka w nocy bez czołówek wydaje się karkołomna, ale da nam przewagę, sprawi, że będziemy mniej widoczni dla Partyzantów. Raisa zauważa jednak słusznie, że Partyzanci mogą mieć latarki lub noktowizory. Natomiast my bez latarek będziemy ślepi jak krety. Ucieczka w ciągu dnia sprawia z kolei, że będziemy doskonale widoczni, ale za to nie zgubimy drogi. Lana uważa, że w świetle dnia będziemy wymarzonym celem ataku. Po burzliwej dyskusji drogą głosowania postanawiamy poczekać do świtu.

Zerkam na zegarek. Jest trzecia piętnaście. To będzie bardzo długa noc.

\*\*\*

O szóstej nad ranem zaczyna się przejaśniać. Do schronu wdziera się słabe, poranne światło, a z nim nadzieja, perspektywa. Nadejście świtu dodaje nam sił. Przeżyliśmy noc. A skoro przeżyliśmy noc, musimy zmierzyć się z dniem. Wstajemy z wilgotnej ziemi, rozciągamy ręce i nogi.

– Idę sprawdzić, co tam się dzieje – decyduje Daniel. – Jeśli nie wrócę w ciągu dziesięciu minut, uciekajcie i nie oglądajcie się za siebie.

– Co im powiesz, jeśli cię złapią? – Raisa spogląda na niego z niepokojem.

– Powiem im, że wiem, gdzie jesteście. Zaprowadzę ich na drugi koniec kotliny, a wy w tym czasie uciekniecie.

– Naprawdę chcesz robić za żywą tarczę? – dziwię się. – Czemu? Przecież nawet nas nie lubisz.

– Muszę odpokutować parę spraw.

– Słuchałem podcastu o tym, jak negocjować z terrorystami – mówię. – Jeśli będą chcieli do ciebie strzelić, patrz im prosto w oczy. I mów do nich. Podaj im jak najwięcej szczegółów na swój temat. Mów o rodzicach, braciach, siostrach. Wtedy będzie im trudniej cię

zabić. Zaproponuj, żeby wzięli cię za zakładnika. Obiecay im pieniądze. Zrób cokolwiek, byleby tylko ich zmiękczyć i kupić sobie czas.

Daniel w milczeniu kiwa głową.

– Powodzenia – mówi cicho Raisa, a po niej powtarzamy to ja i Lana.

Daniel podchodzi do otworu. Odsuwa gałęzie i podciąga się na rękach. A chwilę później już go nie ma.

Pierwsze sekundy są najgorsze. W napięciu nasłuchujemy odgłosu strzału, ale nic takiego nie następuje. Ale kiedy Daniel nie wraca po dziesięciu minutach, chwilowa ulga znika, a atmosfera w bunkrze znów gęstnieje. Sekundy wloką się bez końca. Kiedy słyszymy szelest nad głową, wszyscy sztywniejemy, zbijamy się w grupę i podnosimy broń.

– Spokojnie – mówi cicho Daniel. – To ja. Nikogo tu nie ma. Możecie wyjść.

W otworze pojawia się ręka. Daniel pomaga wyjść Raisie i Lanie, ja podaję mu plecak i wychodzę jako ostatni. Jeszcze wczoraj nie zaufałbym mu na tyle, żeby podać mu rękę, ale dziś już nie mam wyboru. Daniel ciągnie mnie w górę, a ja opieram kolano o cegłę i przeciskam się przez wąski otwór.

Po chwili jestem już na zewnątrz, stoję na ziemi i osłaniam oczy przed nagłą jasnością dnia. Kiedy mój wzrok powoli przyzwyczaja się do światła, widzę opuchnięte twarze Raisy, Lany i Daniela. Mam wrażenie, że przez jedną noc postarzelili się o dziesięć lat. Wolę nie myśleć o tym, jak sam wyglądam.

Daniel podaje mi plecak Raisy.

– Weź go.

– Nie widziałeś nigdzie Aleksa i Mariki? – pytam, zakładając plecak na ramiona.

Daniel kręci głową.

– To dobry znak – stwierdza Raisa. – Może udało im się uciec.



– A ty? Dasz radę uciec? – Daniel wskazuje na jej opuchniętą kostkę.

– Łyknęłam ketonal – mówi twardo Raisa. – Jak nas napadną, martwcie się o siebie. Ja mam paralizator, poradzę sobie.

Daniel rzuca mi ostre spojrzenie.

– W razie czego ja z nią zostaję, a wy uciekajcie.

Jest w jego tonie coś, co mnie irytuje. Jakby z góry zakładał, że w sytuacji zagrożenia stchórzę.

– A co, ty tutaj jesteś teraz dowódcą? – parskam.

– No na pewno nie ty – stwierdza Daniel z lekkim uśmiechem.

– Ej – warczy Raisa. – Dość. Ja jestem dowódcą i mówię wam, że musimy stąd spierdalać i to teraz. Zanim ci psychopaci nas znajdą.

– Za późno – stwierdzam.

Pokazuję im wielką strzałkę ułożoną na ziemi z pomalowanych na czerwono patyków. Strzałka wskazuje na jedno z drzew, okazały kasztanowiec. Ktoś przybił do niego gwoździem czerwoną kopertę. Przez cały tył koperty ciągnie się czarny, kosmaty napis „RENGAR”.

– Rengar? – odzywa się Lana. – Ten niewidoczny drapieżnik z League of Legends?

– To moja ksywa – mówię, zrywając kopertę z drzewa.

– Nie mów, że Partyzanci dojechali cię za grę w Lola.

Lana zaczyna się śmiać. To niekontrolowany, histeryczny chichot, oznaka całkowitego wyczerpania psychicznego.

Otwieram kopertę i wyciągam z niej kartkę. Na kartce znajdują się moje logi z ostatniego roku. Wszystkie strony, na które wchodziłem. Godzina po godzinie. Minuta po minucie. Ktoś wie, czym się zajmowałem, ktoś śledził uważnie każdy mój krok.

– O co chodzi? – Raisa zagląda mi przez ramię. – Ktoś ci się włamał na kompa?

Ktoś bardzo zdolny, myślę. Ktoś, kto potrafi złamać zabezpieczenia sieci stworzonej do zachowania maksymalnej anonimowości.

Odwracam kartkę. Widzę czarne litery układające się w napis „Graj dalej, albo...”

„...albo ujawnimy, kim jesteś” – dopowiadam sobie w myślach. Tak jak sądziłem, jest źle, nawet bardzo źle. Mimo to zachowuję spokój, bo nic innego mi nie zostało.

– Czemu spędzasz tak dużo czasu na Darknecie? – pyta podejrzliwie Raisa. – Co tam robisz?

– Chodzi o moją pracę.

– Programowanie?

– O inną pracę.

– Handlujesz ludźmi na organy? – chichocze Lana. – Produkujesz metę? Organizujesz nielegalne walki psów? Mów, Tymon, dlaczego Partyzanci cię gnębią?

– Bo należę do Innominates.

Zapada chwila ciszy. Lana przestaje się śmiać i mruga z niedowierzaniem. Raisa kiwa głową, nieszczerze zaskoczona. Tylko Daniel sprawia wrażenie zupełnie skonfundowanego. Najwyraźniej nigdy wcześniej o nas nie słyszał.

– Do czego należysz? – pyta.

– Do międzynarodowej grupy hakerów-aktywistów – tłumaczy Raisa. – Walczą z państwami autorytarnymi, ograniczaniem obywatelskiej wolności, cenzurą. Wykradają i upubliczniają dane rządów i korporacji.

Kiwam głową. Sam bym tego lepiej nie ujął.

– Jesteś aktywistą? – Lana cała składa się z zaskoczenia. – Myślałam, że lubisz wolny rynek i masz gdzieś prawa człowieka.

– Tak właśnie powinnaś myśleć. – Kiwam głową. – Ty i wszyscy ludzie w moim otoczeniu. Chociaż przyznaję, czasami trochę za bardzo wczuwam się w rolę.

– O kurwa – mówi z podziwem Lana, a jej oczy napętlają się blaskiem. – Nie doceniałam cię, Rengar.

Uśmiecham się do niej kątem ust.

– Nikt nigdy nie docenia.

\*\*\*

Jestem przestępcą, odkąd pamiętam. To znaczy odkąd skończyłem dwanaście lat i zrozumiałem, na czym polega prawdziwe życie. Wcześniej byłem tylko dzieckiem, a moje życie przypominało kolorowy film familijny. Miałem rodziców, dom, szkołę i kolegów, z którymi w weekendy grałem w gry na konsoli. No i miałem programowanie. Podobno każdy ma jakiś wyjątkowy talent, ale większość ludzi przez całe życie go nie odkrywa. Ja odkryłem swój dar bardzo szybko, już na pierwszej lekcji informatyki w podstawówce. Okazało się wtedy, że przetwarzam informacje trochę szybciej niż inni, a myślenie algorytmiczne przychodzi mi bardzo naturalnie. Po dwóch miesiącach zwolniono mnie z lekcji w podstawówce i zacząłem chodzić na zajęcia z uczniami technikum informatycznego. Uczyłem się języka C++, kodowałem proste gierki, pisałem programy. Gdy nabrałem wprawy w kodowaniu i poznałem różne techniki i wzorce projektowe, zacząłem kodować gry rozgrywane się w przestrzeni trójwymiarowej. Opracowałem całą fizykę gry, sposób wzajemnego oddziaływania obiektów, wykrywanie kolizji, działanie grawitacji. Wciągałem się w to coraz bardziej, stworzyłem własny silnik do gier. Postanowiłem sobie, że kiedyś stworzę grę, która zawładnie umysłami.

W programowaniu najbardziej podobał mi się proces twórczy. Dzięki pisaniu czystego kodu mogłem powołać coś do życia. Tworzyłem zupełnie nowe światy. To było coś, co odróżniało mnie od innych. Coś, dzięki czemu moje życie stało się wyjątkowe i nabrało sensu.

Moi rodzice zawsze powtarzali mi, że pasja jest bardzo ważna. Byli dumni, kiedy zająłem pierwsze miejsce w Ogólnopolskiej Olimpiadzie Informatycznej. Zwłaszcza że byłem młodszy o dobre

pięć lat od wszystkich pozostałych uczestników. Kilka najlepszych liceów w Polsce zaoferowało mi miejsca w klasach informatycznych. Moja przyszłość przez chwilę malowała się we wspaniałych barwach.

Gdy wracaliśmy samochodem z olimpiady, rozpętała się burza. I to nie zwykła burza, ale prawdziwa nawałnica. Mój ojciec nie zdążył nawet zjechać na pobocze, gdy zaczął padać grad. Błyskawica przecięła niebo, a auto wpadło w poślizg, dachowało, spadło do rowu. I tak stare, dobre, bezpieczne życie dobiegło końca.

Straciłem rodziców i zamieszkałem w domu babci, która mnie kochała, ale nie nadążała za otaczającym ją światem. Nie nadążała też za mną, nie wiedziała, jak radzić sobie z nastolatkiem, który nieoczekiwanie trafił pod jej dach. Poza zapewnieniem mi pokoju i trzech posiłków dziennie niewiele mogła dla mnie zrobić. Tak bardzo mi współczuła, że nie potrafiła narzucić mi żadnych zasad, żadnej dyscypliny.

Gdy trafiłem do gimnazjum, byłem chudym, bladokórym nerdem, powszechnie pogardzanym lub w najlepszym wypadku ignorowanym. Pierwszego dnia w szkole straciłem telefon, drugiego trzonowy ząb. Ale ponieważ użalanie się nad sobą nie leżało w mojej naturze, skupiłem się na tym, w czym byłem dobry. Spędzałem całe noce przed komputerem, a kiedy udało mi się stworzyć porządne oprogramowanie, uzyskałem nieautoryzowany dostęp do prywatnych danych. I wtedy zacząłem polować.

Śmieszyło mnie, że ludzie dobrowolnie umieszczają w internecie wszystkie możliwe informacje o sobie i swoich bliskich. W dodatku rozmawiają o największych tajemnicach na niezabezpieczonych komunikatorach. Równie dobrze mogliby odbezpieczyć pistolet i przyłożyć go sobie do głowy. W godzinę byłem w stanie dowiedzieć się o człowieku wszystkiego. Dosłownie wszystkiego. A nawet jeśli ofiara nie miała akurat konta w social mediach, potrafiłem wyciągnąć hasła na pocztę, która też kryła wiele ciekawych informacji.

Hakowanie mnie wyzwoliło. Przestałem przejmować się tym, jak inni mnie traktują, jak na mnie patrzą, co o mnie myślą. Świadomość, że mogę ujawnić ich tajemnice kilkoma przyciskami klawiatury, była lekiem na wszystko.

Przez kilka lat świetnie się bawiłem, wysyłając maile z groźbami do osób, które mi podpadły. A było ich sporo. Typ, który pobił mnie i ukradł mi telefon, szkolni sportowcy, którzy na WF-ie rzucili we mnie piłką tak, że złamali mi nos. Złośliwi nauczyciele, sąsiadka obrażająca moją babcię, gość ze sklepu z gramami, który nie chciał dać mi pracy. Lista była długa.

Wysyłałem im screeny z ich prywatnych wiadomości, hasła do kont bankowych, informacje o ich romansach, kłamstwach, oszustwach, czasem ich nagie zdjęcia wykradzione z komunikatorów. Nigdy nie upubliczniłem żadnej z tych wiadomości, wystarczyła mi świadomość, że dostali nauczkę. Oczywiście, żadna z ofiar nie wiedziała, że to ja za tym stoję, a nawet gdyby wiedzieli, nie byłiby w stanie mi tego udowodnić. Byłem nieuchwytny, niewidzialny jak duch.

W sieci i w mailach z groźbami zwykle używałem imienia Rengar – mojej ulubionej postaci z League of Legends. Rengar był dzikim łowcą trofeów, który polował na niebezpieczne stworzenia. Nie robił tego, aby się pożywić, po prostu lubił sztukę pościgu. Co ciekawe, Rengar urodził się jako najstarszy i najmniejszy w miocie. Jego plemię od początku nie dawało mu żadnych szans. Potrafiłem go zrozumieć.

Ktoś mógłby stwierdzić, że byłem mściwy, ale tak naprawdę to były tylko ćwiczenia. Preludium do prawdziwego wymierzania sprawiedliwości.

Z czasem szantażowanie osób, które mi podpadły, przestało wystarczać, stało się zbyt proste.

A więc obrałem sobie za cel banki, duże korporacje i rządowe strony, a także giełdy kryptowalut. Analizowałem i modyfikowałem

skrypty, doskonaliłem technikę. Włamywałem się na kolejne strony, szukałem luk w zabezpieczeniach, handlowałem na Darkwebie bazami danych wykradzionymi z serwerów.

Na drugim roku informatyki udało mi się na dwadzieścia cztery godziny zablokować rządowy serwis. Właśnie wtedy odezwali się do mnie ludzie z Innominates. To była chwila, na którą czekałem. Od dawna śledziłem ich działalność w sieci i wiedziałem, że mają większy wpływ na rzeczywistość niż rządy większości państw na świecie. A właśnie tego chciałem, odkąd zostałem uwięziony w dachującym samochodzie. Chciałem realnego wpływu na rzeczywistość. Poczucia kontroli. Większość programistów w moim wieku marzyła o pracy w Dolinie Krzemowej, a ja marzyłem o tym, by należeć do hakerskiego kolektywu. Podobało mi się, że atakują najsilniejszych. Uderzali w polityczne reżimy, gigantów technologicznych, wielkie korporacje, skorumpowanych polityków. Byli jak prawdziwi bohaterowie.

Napisali, że podoba im się moja praca, ale ich kolektyw może dostarczyć mi znacznie ambitniejszych zadań. Zgodziłem się bez wahania. Ufałem im i byłem dla nich gotowy na wszystko.

\*\*\*

– Ktoś wie o tym, czym się zajmujesz? – pyta Raisa, krążąc wokół drzewa. – Mówiłeś o tym komuś?

Robi już piąte okrążenie, chyba zamierza wydeptać dziurę w ziemi i się do niej schować.

– Nie – odpowiadam, drąc kartkę z logami. Zabawne, ktoś w końcu zrobił mi to, co ja przez lata robiłem innym. To się chyba nazywa karma. Ale jedna kwestia nie daje mi spokoju. Gdyby Partyzanci naprawdę chcieli mi zaszkodzić, wystarczyło donieść na mnie na policję. Poszedłbym siedzieć na osiem lat. Dlaczego uwikłali mnie w tę dziwną grę, skoro mieli przed sobą tak proste rozwiązanie?

– Może Partyzanci wiedzieli, że stać cię na dobrego adwokata – mówi Raisa, jakby czytała mi w myślach. – I chcieli mieć pewność, że odpowiesz za to, co robisz. Albo... stałeś się niewygodny dla kolegów hakerów i chcieli cię wyeliminować. No wiesz, upozorowane zaginięcie...

– Nie sądzę. – Kręcę głową. – Mój kolektyw ma trochę ważniejsze cele niż wykańczanie własnych ludzi w lesie.

– Na przykład jakie? – pyta Daniel.

– Zmianę świata – odpowiadam.

Daniel w odpowiedzi tylko pogardliwie prychnął.

Ignoruję go. Ostatecznie walczę też w jego imieniu, nawet jeśli o tym nie wie. Jestem anonimowym strażnikiem. Walczę o to, żeby nie cenzurowano mu dostępu do informacji. Pilnuję jego obywatelskich praw. I nie oczekuję od niego zrozumienia ani wdzięczności. Ludzie rzadko są wdzięczni tym, którzy ich wyzwalają.

– A może chciał cię wykończyć ktoś, kto stracił przez twoje akcje sporo pieniędzy – podsuwa Lana.

– To możliwe – stwierdzam.

Lista ludzi, którym zaszkodziłem, jest bardzo długa i wyświetla mi się w głowie niczym napisy w *Gwiezdnym wojnach*. Po chwili przestaję się nad tym zastanawiać. To nie ma sensu. Od samego początku zdawałem sobie sprawę, że ktoś kiedyś zapuka do moich drzwi. Niektórzy członkowie kolektywu byli łapani przez policję i trafiali do więzień. Wiedziałem, że mnie też może to spotkać, i właśnie to nadawało mojemu życiu głębszy sens. Czułem się, jakbym codziennie skakał ze spadochronem, wiedząc, że któregoś dnia spadochron się nie otworzy. Problem w tym, że życie stworzone z ryzyka, które na początku było ekscytujące, zaczęło dawać mi się we znaki. Po tym, jak w lutym aresztowali chłopaka z Londynu i tego drugiego hakera z Pragi, zacząłem miewać koszmary, lęki, paranoję. Linki spadochronu się poplątały i koziołkowałem w powietrzu.

\*\*\*

Idziemy parami, w odległości kilku metrów od siebie. Uznaliśmy, że tak będzie najbezpieczniej. Ja i Lana narzucamy tempo, ale staramy się nie iść zbyt szybko, żeby Raisa, wsparta o ramię Daniela, mogła za nami nadążyć. Kierujemy się na wschód, w przeciwną stronę do tej, którą wskazywała czerwona strzałka. Przez całą noc padało, więc liście pod naszymi nogami są mokre niczym wilgotny dywan. Na szczęście nie szeleszczą, nie zdradzają naszego położenia.

Nieustannie się rozglądam. Lustruję wzrokiem przestrzeń, wszędzie szukam ukrytych zamachowców. Zupełnie jak prawdziwy zwiadowca. Ustaliliśmy sygnały. Na komendę „DÓŁ” padamy na ziemię. Na hasło „BIEG” uciekamy w różnych kierunkach, żeby zwiększyć szanse przeżycia. W teorii. W praktyce Daniel nie zostawi Raisy na pastwę losu, a ja... czy osłoniłbym Lanę, gdyby zaczęli do nas strzelać? Nie mam pojęcia. Wciąż nie do końca wierzę w tę sytuację. Czuję się, jakbym brał udział w ćwiczeniach wojskowych.

– Hej, Rengar. – Ledwie słyszalny głos Lany wdziera się w moje myśli.

Wszyscy mówimy bardzo cicho, niczym postacie z horroru, które bardzo nie chcą obudzić kogoś albo czegoś.

– Słuchaj, jeśli stąd wyjdziemy... – zaczyna Lana.

– Kiedy stąd wyjdziemy – poprawiam ją.

To drobna, ale ważna różnica. Mam przekonanie graniczące z pewnością, że nam się uda. Prawda jest taka, że do tej pory nieszczególnie udzielałem się w grze, nie uruchomiłem nawet dwudziestu procent moich możliwości. Ale Partyzanci sprawili, że sprawa stała się osobista. Popchnęli mnie, sprowokowali, przyłożyli mi pieprzoną broń do głowy. Sprawili, że chcę się zaangażować. A z zasady, kiedy angażuję się w jakąś grę, wygrywam.

Zaczynam powoli godzić się z nieuchronnymi zmianami w moim życiu. Wiem, że po ucieczce z puszczy będę musiał natychmiast



opuścić Polskę. Może polecę do Korei Południowej i zostanę tam na stałe. Zawsze chciałem poznać ten kraj.

– Dlaczego zostałeś hakerem? – pyta Lana. – Za pieniądze, które zarabiasz na programowaniu, mogłeś przecież mieć wygodne, bezpieczne życie.

Milczę przez dłuższą chwilę.

– Nie podobało mi się to, kim jestem – mówię w końcu. – I chciałem być kimś innym.

Lana kiwa głową. Jej twarz jest blada, oczy podkrążone. Otarcia i zadrapania na brodzie, czole i policzku płoną czerwienią, zaschniętą krwią. W fioletowych włosach utkwiły fragmenty liści.

Przypominam sobie moment, w którym pierwszy raz ją zobaczyłem, tuż przed rozpoczęciem gry w podchody. Lana siedziała na ławce pod wiatą i rysowała coś w szkicowniku. Była ładna, ale w jej urodzie było coś niebezpiecznego, drapieżnego. Zarejestrowałem tyl o szczegóły – tatuaże na nadgarstkach, fioletowe włosy, abstrakcyjnie błyszczące w leśnej, marcowej szarości. Długie, szczupłe nogi i smukłe ramiona, czarne znoszone ubrania, kolczyki w ustach i uszach. Na stole obok niej leżał poszarpany plecak z naszywką przedstawiającą złotą literę L na tle niebieskiego kręgu. Symbol gry League of Legends. Kiedy to zobaczyłem, przestałem zwracać uwagę na kogokolwiek innego.

Usiadłem obok niej i zapaliłem papierosa. Dźwięk zapalniczki zwrócił jej uwagę. Przestała rysować i podniosła głowę, jak czujne zwierzę. A potem zobaczyła mnie i lekko się uśmiechnęła.

– Co to będzie? – zapytałem, wskazując na jej rysunek.

Bez słowa podniosła szkicownik. Rysunek przedstawiał laskę wyglądającą jak cyberpunkowa wiedźma. W tle za nią widziałem uschnięte, chore drzewa. I zwierzęta. Wilki, jelenie i dziki z wścieklizną, pianą ciekącą z pysków. Cała armia wściekłych zwierząt czekająca na jej rozkazy.

– Ta wiedźma wygląda jak ty – zauważyłem.

Uśmiechnęła się. Uśmiech miał w sobie zdyscyplinowane szaleństwo. Jakby całą siłą woli trzymała się w ryzach.

– Bo jestem wiedźmą – odparła. – A kim jesteś ty?

Przez chwilę milczałem, zastanawiając się nad odpowiedzią. Nigdy wcześniej tak bardzo nie żałowałem, że nie mogę powiedzieć komuś prawdy na swój temat. Lana ze zniecierpliwieniem postukiwała nogą w belkę drewna.

– Jestem Tymon – powiedziałem w końcu.

To wyraźnie nie była dobra odpowiedź, bo Lana wróciła do swojego bazgrania. Pomyślałem wtedy: „Nieważne. Nieważne, że lubi fantasy i ma na plecaku naszywkę z logiem League of Legends. Nieważne, że wygląda jak najładniejsza laska na konwencie. Nieważne, bo jest poza twoim zasięgiem. Czasem los zsyła ci takie dziewczyny tylko po to, żeby pokazać ci, czego nigdy nie będziesz mieć. Zagraj sobie lepiej w grę na telefonie. Zapomnij o niej”.

Podniosłem się i już chciałem odejść. Ale wtedy Lana wyrwała kartkę ze szkicownika i uniosła ją tak, żebym mógł ją zobaczyć.

– Lana i Tymon – oznajmiła.

Na obrazku obok wiedźmy pojawił się zakapturzony siepacz. Miał moją twarz, ale to nie byłem ja. To chyba był ktoś, kim zawsze chciałem być. Wyciągnąłem rękę, żeby wziąć od niej obrazek i lepiej mu się przyjrzeć, ale wtedy przyłożyła do niego zapalniczkę. Błysnął płomień. Patrzyłem, jak trzyma płonący obrazek. Kiedy ogień dotarł do jej palców, nawet się nie wzdrygnęła. Trzymała go dalej, patrząc mi w oczy, dopiero w ostatniej chwili, kiedy z kartki został tylko mały skrawek, wrzuciła go do blaszanego pudełka pełniącego funkcję popielniczki.

– No i nas nie ma – powiedziała, a potem otrzepała rękę.

\*\*\*

A jednak jesteśmy. Po osiemnastu godzinach nadal jesteśmy razem, idziemy przez las, a każdy szelest sprawia, że oglądamy się przez ramię.

– Wiem, że za mną nie przepadasz, ale mam do ciebie prośbę – odzywa się Lana.

– O co chodzi? – pytam.

– Potrafiłbyś włamać się do moich akt sądowych i wyczyścić mi kartotekę?

Na jej opuchniętej, bladej, poranionej twarzy maluje się napięcie.

– Zakładając, że na parkingu przed lasem nie czeka na mnie kordon policji, to jasne – mówię. – Mógłbym to zrobić.

– A co chciałbyś w zamian?

Patrzę jej w oczy.

Zawsze uważałem, że uczucia są przereklamowane, a samotność niedoceniana. Wiedziałem, że bycie samemu daje nieskończone możliwości. Uważałem uzależnianie się od drugiej osoby za objaw słabości, poddanie się biologii. Nie rozumiałem, dlaczego wszyscy dookoła uparcie rezygnowali z niezależności, którą zapewniła im technologia, i pchali się w związki. Ale kiedy patrzę w jej oczy, rozumiem to trochę lepiej.

– Chcę twój rysunek – mówię. – Ten, który spaliłaś.

– Serio? – Lana marszczy brwi. – Tylko tyle?

– A czego się spodziewałaś? Że będę chciał cię przelecieć przy najbliższym drzewie?

– Właściwie tak, coś w tym rodzaju. – Lana kiwa głową. – Ta gra nie ma już żadnych zasad.

– Ale ja mam swoje zasady. Poza tym nie jesteś w moim typie.

To oczywiście kłamstwo, ale nie ma powodu, żebym mówił jej prawdę. Chociaż przez tamtą krótką, dziwną chwilę w schronie, gdy byliśmy blisko siebie, granice między nami się zatarły, to przecież wciąż istnieją i mają się dobrze.

Ale Lana już nie słucha. Łapie mnie za rękaw i wskazuje dłonią na jodłę. Do niższej gałęzi czerwoną wstążką przywiązano czerwoną kopertę. Na kopercie ktoś napisał czarnym markerem „WIKTORIA”.

– Lana to twoje prawdziwe imię? – pytam cicho.

– Tak.

Oglądam się przez ramię. Wystarczy mi jedno spojrzenie na jej twarz i już wiem. Zresztą zauważyłem to już wcześniej. Słabo reagowała na imię „Raisa”. Odwracała głowę z opóźnieniem, a czasem w ogóle o tym zapomniała.

Pierwsza podejrzana, odnotowuję w myślach.

– Partyzanci coś dla ciebie zostawili – mówię, wskazując na drzewo. – Masz nam coś do powiedzenia, Raisa? A może Wiktoria?

Dziewczyna, którą do niedawna nazywaliśmy Raisą, puszcza ramię Daniela i kuśtyka w kierunku drzewa. Zrywa kopertę z gałęzi i otwiera ją niecierpliwie. Wyjmuje z niej kartkę z napisem „Graj dalej albo...”. Podchodzę do niej, gdy wyciąga z koperty poskładaną stronę wyrwaną z gazety. Zaglądam jej przez ramię i widzę wielki nagłówek tekstu.

„Co się stało z Julią Płomyk?”. Na zdjęciu obok tekstu widnieje twarz pięknej dziewczyny, która wydaje mi się dziwnie znajoma.

Wyrrywam jej artykuł z dłoni.

– O co tu chodzi?

– To mój tekst – mówi cicho.

– Jesteś dziennikarką?

– Reporterką. Piszę dla „Dziennika Powszechnego”.

– I co, tak sobie zapisujesz wszystko, co ci mówimy? – warczy Lana. – Będziemy bohaterami twojego reportażu?

Zerkam na dół kolumny i widzę nazwisko, które brzmi znajomo.

– Nazywasz się Wiktoria Sadurska? – pytam. – Jesteś córką Artura Sadurskiego? Tego, który napisał *Najemników*?

Wiktoria kiwa głową. Lana przeklina cicho i odchodzi od nas, łapiąc się za głowę. Ja wykorzystuję czas na przemyślenia. Córka znanego

pisarza, która już raz została porwana, nagle łąduje razem z nami w środku Puszczy Posoczyńskiej. Puszczy, w pobliżu której mieszka jej ojciec i którą wielokrotnie opisywał w swoich powieściach. Sadurski właśnie odsprzedał prawa do gry i serialu za kilka milionów złotych, zachowując jednocześnie procent zysków. A gdy nasza gra trafi na rynek, jego majątek powiększy się kilkukrotnie.

A Partyzanci o tym wiedzą. Partyzanci czytali jego książki.

– No dobra, Wiktoria – mówię, kładąc akcent na jej imię. – Mam nadzieję, że masz dobre relacje z tatą, bo będzie musiał zapłacić za nas okup.

– To nie ma nic wspólnego z nim – protestuje Wiktoria.

– Serio? Rozejrzyj się – prycha Lana. – Stoisz w pieprzonej Kotlinie Kamiennych Twarzy. Oczywiście, że to wszystko jest powiązane z tobą i z twoim ojcem!

– Oni chcą, żebyście tak myśleli. Podsuwają wam najprostsze rozwiązanie, żebyście się nie zastanawiali nad prawdziwym sensem gry...

– Już raz jakiś świr próbował cię porwać – zauważam.

– Próbował, ale nie porwał – prostuje Wiktoria. – To był dawny uczeń mojego ojca, przeżywał akurat załamanie nerwowe. Włamał się w nocy do naszego domu, wziął mnie na ręce i wyniósł z pokoju. Kiedy mój ojciec go zobaczył na schodach, chłopak krzyczał, że ukryje mnie tam, gdzie nikt mnie nie znajdzie. Mój ojciec rozmawiał z nim tak długo, aż w końcu się uspokoił, postawił mnie na ziemi i uciekł. Ojciec tak się przeraził, że wyprowadził się z Warszawy. Parę lat po procesie ten chłopak przesłał mi z więzienia list z przeprosinami. Kiedy wyszedł, zrobiłam z nim wywiad. Zresztą jeśli w tym wszystkim chodzi o mnie, to co wy tu robicie? Bo z tego, co wiem, też jesteście fanami jego książek i to wy mnie tu przyprowadziliście.

Kiwam głową z uznaniem. Na jej miejscu doszedłbym do identycznych wniosków i też bym siebie podejrzewał. Lana rusza

w jej stronę, wyraźnie rozjuszona.

– Czyli mówisz, że to my zorganizowaliśmy grę?

– Nie. – Wiktoria kręci głową. – Pokazuję wam tylko, jak łatwo skierować podejrzenia na każdego z nas. Oni to robią specjalnie, manipulują nami. Chcą rozbić grupę.

– Jeśli nie chodzi o pieniądze, to zastanów się, komu podpadłaś, Wiktoria – proponuję.

Ku mojemu zaskoczeniu Wiktoria uśmiecha się kątem ust i w tym uśmiechu widzę pewne samozadowolenie.

– Jestem dziennikarką dużej, znanej gazety. Piszę o religii i polityce, ujawniam afery korupcyjne i różne nadużycia, uderzam we władzę. Nienawidzi mnie pół Polski.

– Tylko pół? – pytam złośliwie.

– Drugie pół nie czyta.

– Poczekajcie. – Lana wyciąga mi z dłoni wycinek artykułu. – O co chodzi z tą dziewczyną, Julią?

– To siostra mojej przyjaciółki – tłumaczy Wiktoria. – Według moich informacji rok temu wzięła udział w tej samej grze co my. A potem zniknęła.

Już wiem, skąd znam twarz tej dziewczyny. Cały Wrocław był obklejony plakatami z jej zdjęciem. Widziałem je wszędzie, na każdym przystanku, w każdym autobusie. „Widziałeś tę dziewczynę? Zadzwoń!”

– Tydzień temu Raisa, siostra Julii, znalazła w skrzynce pocztowej kopertę z zaproszeniem do gry w podchody – mówi Wiktoria. – Ale Raisa jest poważnie chora, więc zgłosiłam się zamiast niej.

– Podsumujmy – odzywam się. – Podejrzewałaś, że Partyzanci zabili Julię w tym lesie i gdzieś ją tu zakopali, a mimo to zgłosiłaś się do gry? Gratuluję, genialny plan. Tylko co mogło w nim pójść nie tak? A, tak. Mogłaś skończyć tak samo jak ona.

Rozkładałam ręce jak prezenter w telewizji. Wiktoria piorunuje mnie wzrokiem.

– Jestem dziennikarką, a dziennikarze podejmują ryzyko.

– Ale może Partyzanci jej nie zabili – mówi cicho Lana. – Nie wiemy, czy zabili kogokolwiek. To wielka puszcza, łatwo się w niej zgubić. Jeśli długo błądziła i zasnęła pod jakimś drzewem... mogła zamarznąć przez sen, a zwierzęta zrobiły resztę i rozwlekły kości... Przepraszam, że to mówię, Wiktoria, wiem, że ją znałaś, ale tak mogło być. Zresztą samo zaproszenie do gry to żaden dowód. Może Julia nawet nie wzięła w niej udziału.

Wiktoria waha się przez chwilę.

– Tymon, podaj mi mój plecak – mówi z rezygnacją.

Zdejmuję z ramienia jej plecak i kładę go na ziemi. Wiktoria rozsuwa zamek i wyjmuje z niej srebrną bransoletkę z inskrypcją „Julia” i pukiel jasnych włosów zabarwionych zakrzepłą, zaschniętą krwią.

– Partyzanci schowali to w ostatniej skrzynce – mówi cicho.

Daniel i Lana pochylają się nad przedmiotami, a potem szybko odskakują. Oboje wyglądają, jakby ich zemdlilo. A mnie nagle otula spokój. Emocje otoczenia nigdy mi się nie udzielały. Zawsze reagowałem nieadekwatnie do sytuacji i między innymi dlatego nigdy nie byłem lubiany. Ludzie nie lubią inności, wyłamywania się ze schematu. Ludzie chcą być jednolitym tworem. Ale teraz moja inność może się przydać. Teraz jestem oazą spokoju wśród spanikowanych, śmiertelnie przerażonych ludzi.

– Może była sama... może odłączyła się od grupy... – bełkocze Lana. – Musimy się trzymać razem. Sześciu osób przecież nie załatwią.

– Czterech – poprawiam ją machinalnie. – Została nas już tylko czwórka.

\*\*\*

Po odnalezieniu koperty Wiktorii postanawiamy znów zmienić kierunek i ruszamy na północ. Nadal staramy się postępować nieprzewidywalnie, choć zdaję sobie sprawę, że to strata czasu. Partyzanci przewidzieli każdy nasz ruch. Domyślam się, że tego dnia czeka na nas jeszcze sporo niespodzianek. Gdy znajdujemy trzecią kopertę, przywiązaną do gałęzi jodły, nikt nie jest zaskoczony. Koperta jest podpisana imieniem Lana.

– Lana, zostaw to – mówi stanowczo Wiktorja. – Gra się skończyła, wracamy do domu.

Ale Lana jej nie słucha, drżącą dłonią rozdziera kopertę. Wyciąga z niej zdjęcie, które natychmiast upuszcza na ziemię. Tłumi krzyk, przyciskając pięść do ust i wytrzeszczając oczy. Nigdy wcześniej nie widziałem jej tak przerażonej, nawet w schronie.

Nachylam się i wyciągam zdjęcie spomiędzy mokrych liści. Widać na nim wyjątkowo brzydkiego, burego kota z wyliniąną sierścią i bladym okiem, zamkniętego w transporterze. Transporter stoi na środku drewnianej wiaty, w miejscu gdzie jeszcze niedawno paliliśmy ognisko. Na ozdobnej karteczce dołączonej do zdjęcia widnieje napis „Graj dalej, albo...”.

Słyszę głośny szelest, głos miażdżonych liści, roztrącanych gałęzi, tratowanych krzaków. Lana pędzi przed siebie i w pierwszej chwili myślę, że ucieka, ale potem dociera do mnie, że biegnie w kierunku wiaty. Twarz Wiktorji zamiera w wyrazie przerażenia, ale ruda nie wydaje najmniejszego dźwięku. Wie, że nie może za nią krzyczeć, przywołać jej z powrotem. Żadne z nas nie może krzyknąć, musimy być cicho, żeby nie zdradzić, gdzie jesteśmy. Daniel rzuca się w pogoń za Laną i ja bez namysłu robię to samo. Chcę ją złapać, zaciągnąć z powrotem, wytłumaczyć, że to tylko gra, pułapka.

Szybko łapię zadyszkę, bolą mnie mięśnie, drzewa i skały migają mi przed oczami. Pasek plecaka Raisy wrzyna mi się w ramię.

Dlaczego właściwie obchodzi mnie jej los? Dlaczego biegnę przez las za dziewczyną, której jeszcze dwa dni temu nie znałem? Nie



mam pojęcia. Nigdy wcześniej nie działałem tak impulsywnie. Każdą decyzję podejmowałem po dokładnej analizie wszystkich możliwych rozwiązań. I nigdy, przenigdy nie robiłem niczego pod wpływem emocji. Odkąd Partyzanci nas ostrzelali, coś ewidentnie się we mnie zepsuło. Muszę nad tym popracować, zresetować system.

Po kilkunastu minutach moje płuca palą żywym ogniem, nie mogę złapać oddechu i muszę się zatrzymać. Nigdy nie byłem dobry w sporcie, prawie całe życie spędziłem przed komputerem. Każdą formę ruchu uważałem za niewybaczalną stratę czasu, bo przecież sprawność fizyczna nie była mi do niczego potrzebna. Aż do teraz.

Teraz może od niej zależeć moje życie. Albo życie kogoś innego.

Przystaję, opieram dłonie o kolana i pochylam się. Kaszlę i staram się zrobić to jak najciszej. Wypalone przez lata papierosy zrobiły swoje, czuję się, jakbym miał zaawansowanego raka płuc. Wiem, że już jej nie dogonię.

Mam nadzieję, że Danielowi się uda ją zatrzymać. Chociaż to się może nie udać, bo wyglądała, jakby była w stanie zabić każdego, kto spróbuje stanąć jej na drodze.

– Powinieneś rzucić fajki, Tymon – słyszę głos za plecami. – Szkoda życia.

Odwracam się i widzę, jak Wiktoria kuśtyka w moim kierunku.

– Właśnie zdałam sobie sprawę, że powinnam ci się jeszcze raz przedstawić. – Wyciąga do mnie rękę. – Wiktoria Sadurska, „Dziennik Powszechny”.

– Tymon Abramski, kolektyw Innominates – mówię, ściskając jej dłoń.

\*\*\*

W świetle dnia skalisty teren otaczający wiatę wygląda inaczej. Mniej groźnie. Nawet potężny, rozłożysty dąb prezentuje się całkiem normalnie. Może dlatego, że zniknęły upiorne kukły. Partyzanci

starannie po sobie posprząтали i zatarli ślady. Zabrali nasze plecaki, zasypali ognisko, pozbierali martwe ptaki, sprzątnęli resztki jedzenia. Usunęli nawet skorupy po granatach.

Kiedy docieram na miejsce, z Wiktoria uczepioną mojego ramienia, Lana siedzi na ziemi pod jedną ze skał, a Daniel pilnuje jej ze szczyrzykiem w dłoni.

Lana trzyma się za głowę, mamrocząc w kółko: „To się nie może znowu dziać”. Już wie, że jej kota tu nie ma i wystawiła nas wszystkich na niepotrzebne niebezpieczeństwo. Mimo wszystko robi mi się jej żal. To zupełnie nowe uczucie, bo empatia to nie mój sektor. Jestem zdumiony, że w ogóle coś czuję. Zastanawiam się, jak ją pocieszyć, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Wiktoria puszcza moje ramię i kuśtyka w jej stronę.

– Komu zostawiłaś kota pod opieką? – pyta, kucając przed nią. – I kiedy?

– Mojej sąsiadce, wczoraj rano. – Lana dygocze. – To starsza kobieta, mieszka w moim bloku, piętro pode mną... Czasem jej pomagałam, robiłam jej zakupy, wyprowadzałam psa... A ona zapraszała mnie na herbatę. Bardzo się lubiłyśmy. Na pewno im go nie oddała. Pewnie go ukradli.

– Hej, Lana. Hej. – Wiktoria dotyka jej ramienia. – Oni nic mu nie zrobili. Tylko go przetrzymują.

Nagle jakaś myśl uderza mnie zniecacka w tył głowy.

– Dlaczego powiedziałaś „znowu”? – pytam, podchodząc do niej bliżej.

– Co? – Lana podnosi głowę i patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– Powiedziałaś: „To się nie może znowu dziać”. Coś takiego już cię kiedyś spotkało?

Lana dygocze, zupełnie nie panuje nad swoim ciałem. Wbija wzrok w ziemię.

– Kiedy miałam siedem lat, sąsiedzi zabili mi kota – mówi cicho. – Nakarmili go trutką na szczury i zamknęli mnie z nim w piwnicy na

całą noc. A kilka lat później napadli mnie i stłukli. Przez to, że się broniłam, wyładowałam w poprawczaku. Na cztery lata.

Krzywię się z odrazą. Gdybym znał imiona i nazwiska tych gnojów, z przyjemnością wrzuciłbym ich zdjęcia do sieci razem z nazwiskami, adresami domowymi i opisem całej historii. Jeśli istnieje jedna rzecz, której internetowa społeczność nienawidzi, to przemoc wobec zwierząt. Lincze w internecie działają szybciej i skuteczniej niż sądy. Kiedy są słuszne, mają też w sobie coś fascynującego, to jak publiczne palenie na stosie.

– Czy ci ludzie mogą mieć coś wspólnego z grą? – pyta łagodnie Wiktoria.

– To na pewno nie oni. – Lana kręci głową.

– Skąd to wiesz?

Twarz Lany wykrzywia się we wściekłym grymasie.

– Bo to debile. W szkole lecieli na dwójkach, nie czytali książek, nie mieli pojęcia o grach terenowych, sztuce, zagadkach, szyfrach ani o niczym innym. Nigdy nie wymyśliliby tak skomplikowanego planu. Gdyby wiedzieli, gdzie mieszkam, po prostu rozwaliliby mi głowę pustakiem. Nie malowaliby mojego znaku na budynku.

– Więc kto to może być? – pytam. – Kto wiedział o tej akcji z kotem?

– Wszyscy w miasteczku. – Lana wzrusza ramionami.

– Czyli banda gnojów znęca się nad koleżanką, wszyscy wiedzieli i nikt nic nie zrobił?

Lana patrzy jej w oczy. Jej spojrzenie jest wystarczającą odpowiedzią.

– Obiecuję, że jeszcze dzisiaj przytulisz swojego kota. – Wiktoria podnosi się i wyciąga rękę do Lany. – A teraz chodź. Musimy stąd uciekać.

Lana podnosi się, ale zanim ktokolwiek z nas zdąży zrobić krok, ktoś wyłania się spomiędzy drzew. W pierwszej chwili go nie poznaję.

Aleks wygląda, jakby przetrwał wojnę. Trzyma się za lewe ramię, rękaw ubłoconej bluzy przesiąka krwią.

– Jest z wami Marika? – chrypi.

Jego włosy są mokre i zmierzwione, oczy czerwone, wzrok dziki i nieprzytomny.

Wiktoria robi krok w jego kierunku, ale wtedy Daniel zagradza jej drogę, jednocześnie ją zasłaniając. W dłoni trzyma otwarty scyzoryk. Unosi go.

– Gdzie byłeś? – warczy.

Aleks mruga, jakby nie zrozumiał jego pytania. Daniel podnosi ostrze jeszcze wyżej.

– Gdzie byłeś, kiedy do nas strzelali?!

– Daniel, przestań, on jest ranny!

Wiktoria znów próbuje podejść do Aleksa, ale tym razem to ja łapię ją za ramię i ciągnę w tył. Spogląda na mnie zaskoczona.

– Byliśmy razem z Mariką. – Oczy Aleksa błyszczą w gorączce. – Nie widziałem ich twarzy, byli w kominiarkach i mieli ze sobą broń. Chcieli zabrać Marikę, więc się na nich rzuciłem. Jeden z nich do mnie strzelił, ale spudłował, pocisk trafił w skałę, dostałem rykoszetem. On podszedł do mnie, kiedy leżałem na ziemi, wycelował mi w twarz i powiedział, żebym się nie ruszał. A potem mnie uderzył i straciłem przytomność. Obudziłem się dopiero przed chwilą. Myślałem, że może im uciekła i schowała się gdzieś razem z wami. Widzieliście ją?

Analizuję słabe punkty jego historii. Jest ich całe mnóstwo.

– Jaką mieli broń? – pytam.

– Co? – Aleks mruga.

– Pytałem, jaką mieli broń. Strzelby? Pistolety?

– Glocki.

– Było ciemno, szarpaliście się, strzelili do ciebie, a ty zauważyłeś markę pistoletu? – pytam.

– Należę do klubu strzeleckiego – odpowiada Aleks. – Potrafię rozpoznać broń, kiedy ktoś celuje mi w twarz.

– Albo kiedy sam ją trzymasz. – Daniel robi kolejny krok w jego kierunku.

Oczy Aleksa skupiają się na twarzy Daniela i ciemnieją.

– Daniel, przestań – ostrzega Wiktoria. – On potrzebuje pomocy.

– Skąd mam wiedzieć, że to nie on za tym stoi? – warczy Daniel. – Nie było go z nami, kiedy to wszystko się zaczęło.

– I sam się postrzelił? – parska Wiktoria. – Czy ty siebie słyszysz? Schowaj ten nóż!

Daniel nie słucha. Zaczyna iść w kierunku Aleksa, celując ostrzem w jego brzuch. Aleks unosi zdrową rękę, jakby chciał go uspokoić albo się poddać.

– Mówisz, że podeszła do was uzbrojona grupa ludzi, a wy zauważyliście ich dopiero w ostatniej chwili? Musieliście być bardzo zajęci – mówi Daniel.

Całkiem trafna uwaga, myślę. Coś się nie zgadza w tej historii. Albo musieli mieć naprawdę udany seks, albo Aleks zwyczajnie kłamie.

– Pozwoliłeś im zabrać Marikę? – pyta Daniel. – Nie ochroniłeś jej? Co z ciebie za facet?

Aleks wciąż trzyma uniesioną rękę, jakby się poddawał, ale jednocześnie nie spuszcza wściekłego wzroku z Daniela.

– A może nie było żadnych Partyzantów, co? – ciągnie Daniel.

Dzieli ich dystans już tylko jednego kroku. Patrzę na uniesioną rękę Aleksa i zdaję sobie sprawę, że to wcale nie jest uspokajający gest. On po prostu na coś czeka.

– Może po prostu przespałeś się z nią, a potem ją zabiłeś i zakopałeś gdzieś w lesie? – syczy Daniel, nachylając się w jego kierunku i podnosząc nóż. – Romantycznie, zupełnie jak...

Ruch Aleksa jest błyskawiczny. Uniesione ramię opada i uderza w rękę Daniela, kierując ją najpierw w dół, a potem na zewnątrz,

uniemożliwiając dźgnięcie nożem. W tej samej chwili Aleks ranną ręką wyprowadza cios. Z całej siły wali pięścią w nos Daniela. Kompletnie zaskoczony Daniel leci w tył, wypuszczając scyzoryk. Z trudem zachowuje równowagę, z nosa leje mu się krew, która splywa na brodę i na koszulkę. Aleks, nie tracąc czasu, kopie go w brzuch, szybko posyłając go na glebę.

– Aleks! – woła Wiktoria. – Przestań!

Widzę, jak Aleks pochyla się nad Danielem, a on podnosi rękę, próbując się zasłonić. Aleks chwyta go za ramię, jednym płynnym pociągnięciem przewraca go na brzuch i zakłada dźwignię, wykręcając mu rękę w łokciu i jednocześnie dociskając go kolanami do ziemi.

– Ile miał lat tamten chłopak, którego zabiliście z kolegami? – dyszy Aleks. – Osiemnaście?

– Nikogo nie zabiłem – stęka Daniel.

Widzę, jak dzika, pierwotna wściekłość na twarzy Aleksa zamienia się w obrzydzenie i pogardę. Zdejmuje kolano z Daniela i odsuwa się od niego, ocierając ręce, jakby były brudne. Daniel próbuje od razu wstać, ale robi to za szybko. Zatacza się, kompletnie zamroczony, wypluwa krew na ziemię.

– Kim ty jesteś? – dyszy, patrząc na Aleksa.

Aleks wyjmuje z kieszeni bluzy dyktafon, włącza go i rzuca go pod nogi Daniela. Z dyktafonu słuchać szum i dźwięk cichego głosu.

– On się nawet nie bronił. Ja nie widziałem na początku... walczyłem gdzie indziej... dopiero później... Widziałem, że głowa mu napuchła, i krzyknąłem, żeby go zostawili, a oni dalej to samo, tłukli go kijami... ja próbowałem, skoczyłem między nich, próbowałem zrobić tak, żeby przestali. Próbowałem.

W dyktafonie słychać niezidentyfikowany dźwięk. Dopiero po chwili dociera do mnie, że to łkanie.

– I tyle by było z tajemnicy spowiedzi, co, Daniel? – warczy Aleks.

Zapada głucha cisza. Po długiej, bardzo długiej chwili Wiktoria powoli podchodzi do dyktafonu i wyłącza go. Wszyscy bez słowa patrzymy na Daniela.

– Ja go nie zabiłem – powtarza cicho Daniel. – Próbowałem mu pomóc.

– Aha, po to poszedłeś na ustawkę – drwi Aleks. – Żeby pomóc.

– Aleks, dość – mówi ostro Wiktoria. – Przestań. Już wystarczy. Skąd to masz?

– Znalazłem to w kopercie zawieszanej na drzewie – odpowiada chłodno. – Napisali na niej jego imię. Myślałem, że to wskazówka.

Daniel chwiejnym krokiem podchodzi do wiaty i siada na ławce. Krew ze złamanego nosa cieknie mu po brodzie i skapuje na koszulkę, tworząc ciemnoczerwone ślady. Lana wygląda, jakby się wahała, a w końcu podchodzi do niego i podaje mu chusteczki. To drobny gest, ale ma znaczenie. Daniel nieznacznie kiwa w jej stronę głową, co wygląda jak podziękowanie, ale nie bierze chusteczek, wyciera zakrwawioną twarz rękawem.

– Musicie przestać – mówi Wiktoria, spoglądając na Daniela i Aleksa. – Partyzanci chcą nas obrócić przeciwko sobie. Chcą, żebyśmy się nawzajem wykończyli, wtedy odwalimy robotę za nich. Aleks, wiem, że byłeś sprowokowany, ale jeśli jeszcze raz uderzysz Daniela, to dalej radzisz sobie sam, rozumiesz?

– Raisa... – odzywa się Aleks.

– Wiktoria – poprawia go Wiktoria. – Mam na imię Wiktoria. Jestem dziennikarką.

Aleks przyjmuje tę rewelację bez najmniejszych emocji. Na jego twarzy nie drga ani jeden nerw. Przez chwilę milczy.

– No to masz niezły materiał na tekst – stwierdza w końcu.

– Nie bij go więcej – powtarza Wiktoria, a potem spogląda w kierunku Daniela.

– Daniel, jeśli jeszcze zagroisz scyzorykiem komukolwiek z nas, zostajesz sam. I nie mów już więcej o Marice. Nie wiemy, co się

z nią stało.

Daniel patrzy na nią z twarzą zupełnie bez wyrazu, a po chwili kiwa głową.

– Możesz to wziąć – mówi do niej, wskazując dłonią na dyktafon. – Zrób z tym, co chcesz.

Wiktoria chowa dyktafon do plecaka, a potem podchodzi do Aleksa, wyjmując apteczkę z plecaka i gestem pokazuje mu, żeby zdjął bluzę. Aleks zdejmuje ją, krzywiąc się z bólu. Rana na ramieniu wygląda paskudnie, jestem zaskoczony, że był w stanie poruszać ręką.

– Musimy stąd uciekać. – Wiktoria sięga po bandaż.

– Ja muszę znaleźć Marikę – protestuje Aleks.

– Spójrz na swoje ramię. – Wiktoria dotyka jego ręki. – Zobacz, jak krwawisz. Musisz iść do szpitala.

– Nie zostawię jej z tymi psychopatami.

– W ten sposób jej nie pomożesz. – Wiktoria bandażuje ranę. – Nie wiemy, co się z nią stało. Może stąd uciekła. Musimy się wydostać z puszczy i wezwać policję. Za kilka godzin będzie tu patrol z psami i helikopter, znajdą ją szybciej niż my. Aleks, proszę, chodź z nami. Potrzebujemy cię.

Aleks patrzy jej w oczy. Widzę, że bardzo chce jej uwierzyć.

– No dobra – decyduje Aleks. – Chodźmy.

– Idź przodem z Laną i z Tymonem – mówi Wiktoria. – Mnie wspinaczka po schodach zajmie trochę więcej czasu. Daniel mi pomoże.

Aleks spogląda w kierunku Daniela, który wciąż siedzi pod wiatą. Przez chwilę patrzą na siebie bez słowa. W oczach Aleksa czai się jawna groźba. Daniel uśmiecha się do niego lekko, pokazuje, że się nie boi. Lana szybko rusza w kierunku kamiennych schodów.

Zauważam, że scyzoryk Daniela leży na trawie. Podnoszę go i wkładam do kieszeni. Żaden z nich nie powinien już nosić przy sobie broni.



\*\*\*

Jeszcze tylko kilkanaście stopni. Kamienne schody są strome i śliskie od deszczu, a wspinaczka jest trudniejsza niż wczoraj. Ostatnie, czego teraz potrzebuję, to skręcona noga.

Myślę o tym, że niedługo wydostanę się z kotliny, potem z puszczy i w końcu będę wolny. Wsiądę w samochód, pójdę prosto na lotnisko i kupię bilet do Korei, w jedną stronę. Już na miejscu kupię nowy sprzęt i zajmę się sprawą Lany. Wyczyszczę jej akta, bo nie zasłużyła na żadną karę. To pewien rodzaj solidarności przestępców. Czasem, w słusznej sprawie, można, a wręcz należy złamać prawo. Ja wiele razy łamałem prawo dla zabawy i adrenaliny. Raz mogę je złamać, żeby komuś pomóc.

Uśmiecham się do siebie. Może kiedyś Lana odwiedzi mnie w Korei. Pójdziemy na soju i będziemy wspominać, jak przez chwilę byliśmy zakładnikami. Bardzo przyjemna wizja. Myślę o tym, choć z zasady nie pozwalam sobie na fantazje i marzenia.

I nagle w moje myśli wdziera się zduszony, cichy okrzyk.

Wbiegam na szczyt schodów i już widzę, co się stało. Wyjście wydrążone w skale zostało starannie zasypane kamieniami. A pod nim, jak mały, złośliwy żart, leży czerwona, drewniana skrzynka. Lana i Aleks patrzą na mnie bezradnie zaczerwienionymi, podkrążonymi oczami. Podchodzę do nich.

– Uwięzili nas tu – mówi Lana.

Spokój, najważniejsze to zachować spokój. To, co zrobili Partyzanci, wpisuje się w logikę ich działań. Nie po to ściągnęli nas do kotliny jak owce na rzeź, żeby teraz tak po prostu pozwolić nam uciec. W pewnym sensie spodziewałem się tego, brałem taki scenariusz pod uwagę. To tylko kolejny problem do rozwiązania.

Aleks bada uważnym wzrokiem skały otaczające zasypane przejście.

– Mógłbyś się wspiąć na skałę, Tymon? – pyta z nadzieją. – Zrobiłbym to sam, ale nie z tą ręką...

Dotykam kamienia. Skała jest wilgotna i wysoka na co najmniej dziesięć metrów. A ja nie potrafię się wspinać.

– Nie ma opcji – mówię. – Nie bez liny. Skręcę sobie kark. Musimy znaleźć inną drogę.

Aleks nie mówi ani słowa, ale w jego oczach widzę rozczarowanie. Lana bez słowa siada na kamieniach i chowa twarz w dłoniach.

Przypominam sobie, że mamy tylko dwie butelki wody na pięć osób. Lepiej, żebyśmy szybko znaleźli potok, bo inaczej wkrótce będziemy lizać skałę i żuć rośliny, żeby zdobyć trochę wilgoci.

Spoglądam w dół, na skrzynkę od Partyzantów. Nikt oprócz mnie nie chce na nią patrzeć, nikt nie chce wiedzieć, co jest w środku. Rozumiem to. Partyzanci szantażują nas wszystkich, stawka wzrosła. Pochylam się i otwieram skrzynkę.

Stary mosiężny klucz, złożona saperka i Gameboy. Konkretniej mówiąc, Gameboy Advance SP, przenośna konsola do gier wyprodukowana w 2003 roku, dziś praktycznie niedostępna na rynku. Miałem kiedyś ten sam model. Dostałem go na siódme urodziny i grałem na nim do dwunastego roku życia. Gdybym miał ostatnie życzenie przed śmiercią, pewnie poprosiłbym o chwilę gry na nim.

Ignoruję pozostałe przedmioty i włączam konsolę. Na ekranie pojawia się słowo PODCHODY i ciąg liter. NYMCÓSALOOPADNŁU. Słowo klucz i zaszyfrowana wiadomość. Tylko jaki to szyfr? Podstawieniowy? Nie, to zbyt proste, Partyzanci nie poszliby na łatwiznę. Może płotkowy, ścieżkowy albo przestawieniowy? Symetryczny lub asymetryczny?

Jeśli hakowanie czegoś mnie nauczyło, to tego, że każdy szyfr można złamać.

Pocieram dłońią o dłoń. Nie spałem przez całą noc. Jestem głodny, zmęczony i mam na sobie wilgotne ubranie ocierające skórę. Jestem

sumą małych i większych dyskomfortów. Czuję się zupełnie tak jak wtedy, kiedy mieliśmy cruncha i pracowaliśmy w biurze po dwadzieścia godzin na dobę. Spaliśmy na podłodze, w śpiworach. To było jeszcze przed pandemią. Studio RebelCraft zgodziło się na termin ustalony przez klienta, choć wiedzieli, że nie damy rady dowieźć projektu na czas, było nas za mało.

Wtedy, między kolejnymi maratonami kodowania, wypalałem paczkę papierosów dziennie i wypijałem po trzy energetyki. Jadłem wyłącznie śmieciowe jedzenie, miałem palpacje serca od nadmiaru kofeiny. Rzeczywistość wokół mnie zaczęła się rozplýwać, ścigałem się z czasem. Wiem, jak pracować w stresie i pod presją. Muszę dać radę.

– Czego potrzebujesz? – pyta Aleks.

Aleks już wie. Aleks rozumie.

– Kartki i długopisu – mówię, sięgając do plecaka Wiktorii. Tak jak się spodziewałem, znajduję tam notes. Notes wypełniony notatkami na nasz temat. Opisała bardzo dokładnie każdą osobę z drużyny, mnie określiła mianem introwertycznego, inteligentnego i potencjalnie pomocnego.

Uśmiecham się. Wiktoria jest dobra w tym, co robi. Tak jak ja.

Wydieram z zeszytu czystą kartkę i zaczynam od szyfru Vigenère'a.

Znikam w świecie, gdzie wszystko ma swój sens i logikę, wszystko jest tylko jednym wielkim ciągiem przyczynowo-skutkowym.

Całe moje życie od dzieciństwa do dorosłości polegało na nurzaniu się w fikcyjnych światach. Ale jeśli jest coś lepszego od fikcji, to moment, w którym twoje życie staje się fabułą. Zawsze marzyłem o tym, żeby stworzyć grę, która zawładnie umysłami. Partyzanci ukradli mi to marzenie, ale rozgrywka się jeszcze nie skończyła. Jeszcze mam szansę. Mogę przejąć kontrolę. Mogę znowu stać się Mistrzem Gry.



# **ROZDZIAŁ IX**

## **NAJLEPSZY CHŁOPAK NA**

## **ŚWIECIE**

### **ALEKS**

Siedzę nieruchomo na pierwszym stopniu kamiennych schodów i próbuję opanować zawroty głowy. Czuję, że ramię pod bandażem jest rozpalone. Wiem, że to zły znak, być może do rany wdało się zakażenie.

Rana piecze, ale znosiłem już gorsze rzeczy. Bardziej niepokoi mnie to, co dzieje się w mojej głowie. Emocje zmieniają się jak w kalejdoskopie. Wściekłość, strach, poczucie winy. I tak w kółko.

Tymon siedzi pod zasypnym wyjściem i pracuje nad złamaniem szyfru Partyzantów.

Zapisuje coś bardzo szybko w notesie Wiktorii, a potem kręci głową, wydiera kartkę, zgniata w kulkę i rzuca ją przed siebie. Papier ląduje na schodach. Podnoszę go i rozprostowuję. Kartkę wypełniają tabele z cyframi i literami. Usiłuję coś z nich odczytać, ale nie mogę. Litery i cyfry wesoło tańczą mi przed oczami i wołają dziecięcymi głosami.

„Hej, Aleks, ukrywamy Marikę, chcesz wiedzieć, gdzie ona jest? Chcesz wiedzieć, co się jej stało? To wszystko twoja wina. Twoja!”

Zgniatam kartkę i rzucam ją na ziemię.

Daniel krąży w pobliżu Tymona jak prywatny ochroniarz wypatrujący niewidocznych snajperów. Jego nos jest lekko przekrzywiony, na bluzie zaschły ślady krwi. Ma szczęście. Za sugestię, że zabiłem Marikę, mógłbym zrobić mu o wiele większą krzywdę niż złamany nos. I chciałem tego.

Nowy Aleks chciał.

Nie, ja chciałem.

Kiedy tylko wyciągnął w moim kierunku nóż, wszystko wróciło. Wspomnienia sprzed siedmiu lat, ostre i jaskrawe, zupełnie jakby to wydarzyło się wczoraj. Nieważne, jak bardzo chciałbym zapomnieć, pewnych rzeczy nie da się wymazać z pamięci.

To dziwne, ale kiedy go biłem, Daniel nawet się nie bronił, nie trzymał gardy. Może czuł, że na to właśnie zasłużył. Słuchałem jego taśmy i wiem, jak bardzo czuje się winny z powodu tego chłopaka, którego nie zdołał uratować. Może kiedy go biłem, czuł, że jestem Sprawiedliwością. Karą, którą zesłał na niego sam Bóg. Jeśli tak myślał, to się mylił. Byłem jego karą, ale nie przychodziłem w niczym imieniu. Bo nie ma żadnego Boga.

Lana siedzi kilka stopni wyżej ode mnie, pochylona nad własną kartką. Rysuje coś szybkimi, zamaszystymi ruchami. Wiktoria stoi na samym szczycie schodów z podniesioną ręką. Bezskutecznie próbuje złapać zasięg w telefonie. Powiedziałbym jej, że marnuje czas, ale nie chcę jej zabierać resztek nadziei. Nadzieja jest potrzebna do przetrwania.

Wiem, że oni wszyscy nie wierzą w moją wersję wydarzeń. Podejrzewają, że mam coś wspólnego ze zniknięciem Mariki. To inteligentni ludzie, wiedzą, że kiedy dziewczyna znika, winny jest często ten, kto ostatni ją widział. A jeśli to akurat jest facet, z którym coś ją łączyło, prawdopodobieństwo wzrasta. To logiczne.

Na ich miejscu też podejrzewałbym samego siebie.

Nie ufają mi również dlatego, że nie było mnie z nimi, kiedy musieli uciekać przed strzałami. Gdybym był z nimi, wszystko potoczyłoby się inaczej, ochroniłbym Marikę. Jej nieobecność kładzie się na wszystkim ponurym cieniem. Powinna być tutaj z nami. Przestraszona, zdezorientowana, ale cała i zdrowa.

Znów widzę, jak leży pode mną na mokrej ziemi, blada skóra, ciemne włosy rozsypane na liściach. Widzę jej rozchylone usta, słyszę, jak dyszy: „kocham cię”.

Ciało Mariki pod moim. I miłość. W jej oczach.

A potem szok i przerażenie.

Myślę o tym, jak krzyczała i uciekała. Biegła z całych sił, nie sądziłem, że potrafi biec tak szybko. A zło ją ścigało. Zło było tuż za nią. Nie uchroniłem Mariki, a powinienem.

Stary Aleks potrafiłby ją ochronić. Stary Aleks potrafił kochać, troszczył się o ludzi, chciał pomagać. Nowy Aleks chroni tylko samego siebie, bo kieruje nim wyłącznie instynkt przetrwania. Patrzy na świat chłodno, bez emocji. Pielęgnuje w sobie racjonalizm, nie wpuszcza nikogo do swojego życia, odgrywa rolę przed ludźmi.

Nowy Aleks nie ufa nikomu.

Ja nie ufam już nikomu.

Przez większość gry w podchody byłem Nowym Alekssem. A Nowy Aleks nie lubił Mariki. Nie podobało mu się to, w jaki sposób na nią reaguję. I nie chodziło o jej piękną twarz. Nowemu Aleksowi nie podobało się, w jaki sposób ze sobą rozmawiamy i to, jak szybko bije mi przy niej serce.

Kiedy byłem z Danielem w kaplicy i gdy później go biłem, Nowy Aleks przejmował nade mną całkowitą kontrolę. Nowy Aleks chciał zniszczyć Daniela, bo kojarzył mu się z tym, co stało się w przeszłości. Nowy Aleks chciał, żebym znenawidził Marikę, bo postrzegał ją jako zagrożenie dla swojego istnienia.

Kiedy wyciągnąłem ją z wody, poczułem się przez chwilę jak Stary Aleks. Jak ktoś, kto dochodzi do siebie po bardzo długiej chorobie.

To było dobre uczucie, zatroszczyć się w końcu o kogoś innego.

Nowy Aleks był wściekły. Mówił, że przez nią staje się bezbronny, głupi, słaby.

Szeptał mi do ucha, że jeśli jej zaufam i ją pokocham, znów będę cierpiał, tak jak poprzednio.

Gdy Marika nieoczekiwanie stanęła po stronie Daniela, a nie mojej, i zagłosowała za tym, żeby został w drużynie, Nowy Aleks tryumfował.

Powtarzał, że nielojalna dziewczyna jest ostatnim, czego potrzebuję w życiu.

Próbowałem więc ją do siebie zniechęcić. Starłem się trzymać ją na dystans, udawać, że mnie nie obchodzi. Ale i tak postanowiła się do mnie zbliżyć. Gdybym tylko mógł cofnąć czas, ostrzec ją, powiedzieć, żeby tego nie robiła, żeby wróciła do innych, do ogniska...

Chciałbym, żeby tu teraz była.

Chciałbym móc ją przytulić i powiedzieć jej, że wszystko będzie dobrze, że ochronię ją przed tym, co czai się w tej puszczy i poza nią. Chciałbym uciec razem z nią do lepszego świata. O ile taki istnieje.

A jeśli Marika przeze mnie...

*Przestań o niej myśleć. Pieprzyć ją. A nie, chwila, już to zrobiłeś. Teraz skup się na przetrwaniu.*

A jeśli ja ją...

*Dość. Musisz znaleźć wyjście. Twoje życie jest zagrożone, ktoś cię postrzelił.*

Mogłem zrobić to sam. Miałem przecież pistolet. Już nie mam, ale miałem. Stary, dobry czeski shadow, kabura przy ciele, pod bluzą, tak żeby nikt się nie zorientował. Kiedy byłem z Mariką, odłożyłem pistolet na bok. Mogłem po wszystkim strzelić sam do siebie, aby nie wzbudzić niczyich podejrzeń.

Ale czy to zrobiłem?



*A jakie to ma znaczenie? Uciekaj z tego miejsca albo sam zrobię ci krzywdę.*

Jesteś częścią mnie. Nie możesz zrobić mi krzywdy.

*Naprawdę?*

Czuję palący, przeszywający ból w ramieniu. Karny, ostrzegawczy.

Nowy Aleks przekazuje mi w ten sposób, żebym nie drążył dłużej tematu. Ale i tak to robię.

Nie wiem, co się stało z Mariką. Ktoś ją gonił, ktoś przewrócił ją na ziemię i ciągnął.

Czy to byli Partyzanci, czy ja? Czy zupełnie straciłem nad sobą kontrolę? Przecież nigdy nie chciałem jej skrzywdzić.

Nie mogę przestać myśleć o tym, że podchody mają jakiś związek z Grupą. Granaty hukowe, strzały w lesie, zakładnicy, to wszystko jest niepokojąco znajome. Czy Grupa wysłała mnie tu na szkolenie? Czy to są ćwiczenia wojskowe? Eksperyment? Ale co robią tu ci wszyscy przypadkowi ludzie? Czy Grupa mogłaby wykorzystać niewinnych ludzi do swoich celów? Na ostatnie pytanie błyskawicznie udzielam sobie odpowiedzi: mogłaby, oczywiście. Dla Sponsorów ludzkie życie nie ma najmniejszego znaczenia, liczą się tylko osiągnane cele.

Czy Nowy Aleks wpłatał mnie w to wszystko, a potem celowo wymazał to z pamięci i przekazał stery Staremu Aleksowi?

Nie wiem, nie wiem, nie wiem.

Nie pamiętam niczego, co działo się przez ostatni tydzień. Wiem tylko, że poszedłem biegać, a nad rzeką spotkałem tego dziwnego faceta w wojskowym ubraniu. Po naszym spotkaniu wziąłem tygodniowy urlop. Wydawało mi się, że leżałem w łóżku, ale może w tym czasie budowałem przeszkody i wymyślałem zagadki dla drużyny Zwiadowców? Gdzieś we mnie tkwi głębokie przekonanie, że wszystko, co się tutaj dzieje, jest moją winą. Te myśli muszą mieć jakieś źródło. Nowy Aleks pewnie...

*Przestań nazywać mnie Nowym Alekssem, do kurwy nędzy. Jestem tobą. Nie częścią ciebie, tylko tobą. Jeśli za mną nie przepadasz, to twój problem. Ale przyjmij do wiadomości, że tylko dzięki mnie nadal żyjesz. Stara wersja ciebie sobie nie radziła, już zapomniałeś?*

Wyciszam jego głos, dokładnie tak, jakbym ściszył radio. Do tej pory nie chciałem albo nie potrafiłem tego robić, ale teraz okazuje się to bardzo łatwe. Może dlatego, że mój niepokój o Marikę jest silniejszy od strachu o samego siebie.

Jeśli moje psychopatyczne alter ego podpisało pakt z diabłem, wszystko może skończyć się gorzej, niż myślałem. Muszę raz na zawsze zablokować umysł dla Nowego Aleksa, muszę odzyskać kontrolę nad samym sobą. On miał mnie chronić, a zaczął stanowić zagrożenie dla mnie i dla innych.

Nawet jeśli nie pomogłem Marice, mogę wciąż pomóc drużynie. Muszę ich stąd wyprowadzić. Jeśli się skupię, na pewno przypomnę sobie wyjście z tej kotliny. Próbuję sobie przypomnieć. Próbuję narysować w myślach mapę lasu, ale widzę tylko czarną planszę. To może oznaczać dwie rzeczy.

Albo nigdy tu nie byłem, albo Nowy Aleks chce mnie teraz ukarać, blokując mi dostęp do wiedzy, której bardzo potrzebuję. Tak jak umyślnie zablokował mi wspomnienia z zeszłego tygodnia i z nocy, którą spędziłem z Mariką.

Ale poradzę sobie bez niego.

Zawsze istnieje jakaś droga ucieczki.

\*\*\*

Wstaję i zaczynam wspinać się po schodach. Po drodze mijam Lanę i spoglądam na jej szkic. Kot na rysunku ma puste, niewidzące oczy świecące jak neony i zakrwawiony pyszczek, jakby właśnie rozszarpał całe gniazdo myszy.

– Przykro mi, że Partyzanci mają twojego kota – odzywam się. – Ale odzyskamy go, zobaczysz.

Lana podnosi na mnie oczy, są wyraźne zaczerwienione. Ociera nos rękawem, nic nie mówi.

Doskonale rozumiem jej ból. Wiem, jakie to uczucie stracić coś najcenniejszego na świecie. Lana przeżyła odsiadkę, jacyś ludzie ją skrzywdzili, a to sprawia, że jest mi bliższa niż ktokolwiek w tej drużynie. I nie mogę znieść myśli, że być może przyczyniłem się do jej cierpienia.

– Wyprowadzę was stąd – zapewniam ją.

W odpowiedzi tylko kiwa głową i opuszcza wzrok na szkiełko.

Docieram na szczyt schodów. Wiktoria siedzi na kamieniach, oplatając kolana ramionami. Obok niej leży telefon z pustym, ciemnym ekranem.

– Bateria padła. – Wiktoria wskazuje na komórkę. – Ale to chyba bez znaczenia, skoro i tak nie było tu zasięgu. Bezużyteczny szajs.

Siadam obok niej i spoglądam na widok rozciągający się pod nami. Drewniana wiata i skały przypominające twarze toną we mgle. Dochodzi jedenasta rano, ale równie dobrze mogłaby być dziewiętnasta, w kotlinie jest ciemno i mrocznie.

– Powiedziałałabym, że jest ładnie, ale to najgorszy widok, jaki widziałam w życiu. – Wiktoria parska nerwowym śmiechem.

Kiwam głową.

– Byłam tu kiedyś z moim ojcem, wiesz? – mówi nieoczekiwanie. – Kiedy byłam mała, zabrał mnie na wycieczkę i opowiadał mi o tym miejscu i różnych słowiańskich obrzędach. Nigdy bym nie pomyślała, że kiedyś wrócę tu, żeby szukać Julii. Że jacyś chorzy ludzie będą mnie tu więzić. To obłąd.

Czuję przeszywający ból w ramieniu.

Wiktoria dotyka mojego czoła, sprawdza temperaturę. Przypominam sobie dotyk Mariki. Jej dłonie na mojej twarzy, szyi,

ramionach, piersiach. Od siedmiu lat nikt mnie w ten sposób nie dotykał, już prawie zapomniałem, jakie to uczucie.

– Masz gorączkę, Aleks. – W głosie Wiktorii brzmi troska. – Napijesz się wody?

– Nie, dzięki – odpowiadam.

Wiem, że mamy tylko dwie butelki wody na pięć osób, a im jest potrzebna bardziej niż mnie. Nie są przyzwyczajeni do trudnych warunków, głodu, pragnienia. Ja nie mam wielu potrzeb. W trakcie rajdów przygotowanych przez dwie doby żywiłem się tylko żelami energetycznymi. Wiktorcia wyjmuję z plecaka butelkę z wodą i podaje mi ją. Kręcę głową na znak odmowy.

– Napij się – nalega Wiktorcia.

– Może powinnaś zapytać innych, czy nie mają nic przeciwko.

– Nie, bo to moja woda, a ty jej potrzebujesz.

Biorę mały łyk wody i przetykam. Czuję, jak zwilża przesuszone, obolałe gardło.

– Długo należysz do klubu strzeleckiego, Aleks? – pyta Wiktorcia.

Ma podkrążone oczy, ale wciąż błyszczy w nich niezdrowa ciekawość. Żądza wiedzy, która daje jej siłę, popycha ją do przodu i nie pozwala się poddać. Wiktorcia nadal jest reporterką i wciąż prowadzi swoje śledztwo.

– Dwadzieścia lat – mówię. – Pierwszy raz na strzelnicę zabrał mnie ojciec, kiedy miałem dwanaście lat.

– Więc się na tym znasz. Czy Partyzanci to profesjonalni strzelcy?

– Tak. Widziałem, jak trzymają broń. Ludzie, którzy nie potrafią strzelać, zwykle machają nią bez sensu. Partyzanci wiedzą, co robią.

– Więc czemu spudłowali?

– Trudno trafić w ruchomy cel.

– Ale kiedy leżałeś na ziemi, mogli do ciebie strzelić. Myślałeś o tym, czemu zabrali Marikę, a ciebie puścili wolno?

– Wybrali zakładnika, który będzie stawiał mniejszy opór. Pewnie chcieli, żebym do was wrócił i wszystko wam opowiedział.

Wiktorია przez chwilę analizuje moje odpowiedzi, a potem kiwa głową z aprobatą, jakbym zdał egzamin. Ociera dłonią spierzchnięte, popękane usta.

– Czemu ojciec zabierał cię na strzelnicę? – pyta. – Zabrakło boisk do gry w nogę?

– Mój ojciec jest żołnierzem. Oficerem. Chciał, żebym potrafił się bronić.

– Ojciec wojskowy... to pewnie w domu była niezła dyscyplina, co? Uśmiecham się kątem ust. Wiem, że próbuje mnie wy badać, i nie winię jej za to, ale takie tendencyjne pytanie uwłacza mojej inteligencji.

– U ciebie nie było? – pytam.

– Nie. Tato był ciągle zajęty pisaniem, więc zwykle robiłam, co chciałam.

– Czemu nie powiedziałaś nam wcześniej, że twoim ojcem jest Artur Sadurski?

– Wtedy myślałam, że to nie ma znaczenia.

– A teraz?

– A teraz już niczego nie jestem pewna.

Wiktorია bierze mały łyk wody. Milczymy przez dłuższą chwilę, obserwując, jak niżej, w dole, Tymon zapełnia tabelami kolejne kartki, a Daniel krąży wokół niego niczym sęp.

– Opowiedz mi o swojej przyjaciółce – mówię. – O tej Julii.

– Nie była moją przyjaciółką – odpowiada natychmiast. – Julia nie przyjaźniła się z ludźmi. Ona brała ich we władanie i zmuszała do robienia tego, czego chciała.

– Czemu mówisz o niej w czasie przeszłym? – pytam. – Nie wierzysz, że przeżyła?

– Nie. Jeśli kogoś nie można znaleźć, to znaczy, że nie żyje albo że się ukrywa. Julia nie byłaby w stanie ukrywać się przez rok. A jeśli ktoś wpadł na nierozsądny pomysł, żeby ją porwać, to pewnie już dawno strzelił sobie w łeb, wcześniej zabijając ją.

Unoszę brwi. Zastanawia mnie pewność i łatwość, z jaką to mówi. Zwykle ludzie, którzy szukają swoich bliskich, łudzą się do samego końca. Miłość karmi nadzieję, nawet kiedy jest bezpodstawna. Przynajmniej tak było w moim przypadku. A ona mówi o śmierci Julii zupełnie spokojnie, prawie jakby chciała, żeby taka właśnie była prawda.

– Ale musieliście być blisko, skoro tu dla niej jesteś.

– Jestem tu dla Raisy – prostuje Wiktoria. – Wyłącznie dla niej. Ona chce wiedzieć, co się stało z jej siostrą. Bardzo ją kochała i od dzieciństwa próbowała ją chronić. Bo wiesz, ich rodzice byli psychopatami. Raisa wyszła z tego normalna, została lekarzem, ale Julia...

Wiktoria nagle urywa i wskazuje na Tymona, który z zaskakującą energią zaczyna wbiegać na schody. Wiemy, co to oznacza. Szyfr został złamany.

\*\*\*

– Szyfr Myszkowskiego – dyszy Tymon, podnosząc notes. W ciągu kilkunastu sekund wbiegł na szczyt schodów i teraz nie może złapać oddechu. Ale wygląda na zadowolonego z siebie. Pokazuje nam kartkę z tabelką i nabazgranym hasłem.

– „Podchody” były słowem kluczem – tłumaczy. – Hasło brzmi: „Dom na północy lasu”.

Dom na północy... szukam w myślach, ale to hasło nic mi nie mówi. Nie otwiera żadnej szufladki z informacjami.

– Jesteś pewien? – pyta Wiktoria.

Tymon posyła jej poirytowane spojrzenie. Widać, że nawet w takich warunkach próba kwestionowania jego umiejętności jest dla niego nie do przyjęcia.

– No co? – jeży się Wiktoria. – Mogłeś popełnić błąd. Przecież jesteś na nogach od dwudziestu jeden godzin, nie spałeś, ścigają

nas, parę godzin temu ktoś trzymał ci spluwę przy głowie...

– Hej, pracuję przy grach – przypomina Tymon. – Taki klimat to dla mnie norma.

– Dzięki, Rengar. – Lana dotyka jego ramienia i szybko cofa rękę.  
– Dobra robota.

Tymon tylko wzrusza ramionami z udawaną obojętnością. Udawaną, bo widziałem wcześniej, jak na nią patrzył. Będzie jeszcze długo wspominał moment, w którym położyła mu dłoń na ramieniu.

– Dom na północy lasu – mówi cicho Wiktoria. – Brzmi jak pułapka.  
– Brzmi jak tani horror – parska Tymon. – Ale musimy to sprawdzić.

Wyjmuję z kieszeni kompas i spoglądam na igłę. Wskazuje na północ, kierunek, gdzie jeszcze niedawno byłem z Mariką.

– Chodźcie – mówię.

Wiktoria opiera się o ramię Daniela i razem schodzą w dół. Lana zbiega po schodach szybko, nie oglądając się na resztę, myśli już pewnie tylko o swoim kocie. Tymon patrzy za nią. Znam to spojrzenie. Gdybym mógł, ostrzegłbym go. Powiedziałbym, żeby się do niej nie przywiązywał, bo to się źle dla niego skończy. Wiem dobrze, jakie to uczucie, kiedy cały świat zupełnie nagle sprowadza się do jednej osoby. I wiem, do czego to może doprowadzić.

Schodząc po schodach, myślę o niej po raz pierwszy od siedmiu lat. Nie mam już siły z tym walczyć, po prostu o niej myślę.

\*\*\*

Poznałem Agnieszkę na imprezie w akademiku. Oboje mieliśmy po dziewiętnaście lat, byliśmy na pierwszym roku studiów, ona na uniwersytecie, ja na polibudzie. Oboje przyjechaliśmy do Wrocławia z małych miejscowości. Ona nie знаła nikogo, przyszła na domówkę z koleżanką, która szybko uciekła na papierosa. Agnieszka stała pod ścianą, ściskając w dłoni piwo i rozglądając się niepewnie.

Pamiętam, miała na sobie niebieską bluzkę i dżinsową spódnicę, ciemne włosy związała w kitkę, a w niebieskich oczach czaiła się nadzieja. Szukała kogoś, prześlizgując się wzrokiem po kolejnych twarzach, aż nasze oczy się spotkały. Uśmiechnęła się.

Ten uśmiech mnie zahipnotyzował, zapraszał, tworzył nowe, wspaniałe możliwości.

Przerwałem rozmowę z kumplem w połowie zdania, wstałem i podszedłem do niej. W tle grała nieznośnie cikliwa piosenka *Iris* zespołu Goo Goo Dolls. Postanowiłem postawić wszystko na jedną kartę, może dlatego, że właśnie zdałem swoją pierwszą sesję, w tym egzamin z analizy matematycznej, i miałem z tego powodu bardzo dobry humor.

– Słuchaj, muszę ci coś powiedzieć – odezwałem się. – Naprawdę chciałem zostać twoim przyjacielem. Totalny friendzone i platoniczna relacja na zawsze, ale puścili tę piosenkę i wszystko poszło nie tak, już się w tobie zakochałem.

– Nic nie szkodzi – uśmiechnęła się.

Pomyślałem wtedy, że mógłbym patrzeć na ten uśmiech do końca życia. Przekomarzaliśmy się jeszcze przez chwilę, a potem poszliśmy na spacer. Wychodząc z akademika, odruchowo złapaliśmy się za ręce. I tak to się zaczęło.

Nigdy wcześniej nie byłem zakochany i nie wiedziałem, że można do kogoś poczuć coś tak silnego. Agnieszka często mówiła o sobie, że jest zwyczajną dziewczyną, ale dla mnie była kimś wyjątkowym i wykorzystywałem każdą okazję, żeby jej o tym przypomnieć. Dbąłem o nią i troszczyłem się, pamiętałem o wszystkich ważnych datach i byłem przy niej zawsze, kiedy mnie potrzebowała. Agnieszka powtarzała, że za bardzo ją rozpieszczam, ale lubiłem to robić. Lubiałem dawać jej prezenty, wysyłać jej kwiaty na uczelnię i zabierać ją na wycieczki. Lubiałem ją uszczęśliwiać. Byłem w stanie zrobić wszystko, żeby tylko zobaczyć jej uśmiech. To było łatwe, nie



wymagało z mojej strony żadnych poświęceń, ponieważ ją kochałem i myślałem tylko o niej.

Agnieszka mówiła, że jestem najlepszym chłopakiem na świecie. Mówiła, że wszystkie koleżanki jej zazdroszczą i że wygrała szczęśliwy los na loterii.

Byliśmy razem przez sześć lat i razem dorastaliśmy. Spędzaliśmy razem każdą wolną chwilę. Świętowaliśmy zdane sesje, narzekaliśmy na wakacyjne prace, wspólnie wybieraliśmy meble do jej mieszkania, w którym ostatecznie razem zamieszkaliśmy. Znajomi mówili o nas z pewną zazdrością, że jesteśmy idealną parą. Taką, która będzie razem do końca życia.

Oświadczyłem się w dniu, w którym Agnieszka zdała magisterkę. Wieczorem spacerowaliśmy po Ostrowie Tumskim i pamiętam, jaki byłem zdenerwowany. Kiedy uklęknąłem na jedno kolano i wyjąłem pierścionek, ona zaczęła podskakiwać jak mała dziewczynka i powtarzać „tak”, zanim zdążyłem zapytać, czy zostanie moją żoną. Parsknąłem śmiechem i pocałowałem ją. Całowaliśmy się tak długo, aż upadliśmy na trawę. Wtedy myślałem, że na tym właśnie polega szczęście. Znaleźć kogoś, z kim możesz się śmiać.

Był tylko jeden zgrzyt w naszym związku. Agnieszka nie przepadała za moją pasją. Nie podobało jej się, że chodzę na strzelnicę, nie znosiła broni. Mówiła, że kiedy strzelam, staję się kimś innym, obcym, że nie znosi momentu, kiedy wszystkie emocje znikają z mojej twarzy. Nie przekonywało jej moje tłumaczenie, że strzelectwo to zwykły sport, wymagający cierpliwości, spokoju i koncentracji. Wszystko sprowadzało się do słuchawek na uszach, okularów ochronnych i celnego dziurawienia tarczy. Agnieszka zawsze powtarzała, że przez strzelanie wpadnę w kłopoty, a ja odpowiadałem jej, że broń jest właśnie od tego, żeby chronić przed kłopotami. Broń służyła przecież do obrony, a nie do ataku.

Tak sobie wtedy myślałem.

W dniu, który nigdy nie powinien się wydarzyć, pojechaliśmy do Warszawy na zawody Pucharu Polski w kategorii pistolet. Pamiętam, że zawody odbywały się na świeżym powietrzu, a dzień był bardzo gorący. Kiedy celowałem do tarczy, pot spływał mi po plecach, a słońce świeciło prosto w oczy. Zająłem drugie miejsce. Byłem zły. Drugie miejsce mnie nie interesowało, przyjechałem po zwycięstwo i wygrałbym, gdyby nie sekunda dekoncentracji, komar na mojej skroni.

Kiedy wieszali mi srebrny medal na szyi, czułem tylko rozczarowanie i złość na samego siebie. Uważałem, że drugie miejsce to nagroda pocieszenia dla przegranego. Każde zawody miały tylko jednego zwycięzcę i na tym koniec. I to powinienem być ja.

Humor poprawił mi się dopiero, gdy Agnieszka podbiegła do mnie, rzuciła mi się w ramiona i pocałowała mnie na oczach wszystkich zawodników i widzów. Gość, który zajął pierwsze miejsce, choć miał na szyi złoty medal, patrzył na mnie z wyraźną i czytelną zazdrością. Lepszego zwycięstwa nie mogłem sobie wymarzyć.

Po zawodach zabrałem Agnieszkę na kolację do eleganckiej restauracji, a ponieważ mieliśmy co świętować, wypiliśmy wino i siedzieliśmy tam do późna. O pierwszej w nocy wracaliśmy ciemnymi uliczkami miasta, trzymając się za ręce. Chciałem zamówić taksówkę, ale Agnieszka wolała spacer. Do hotelu mieliśmy tylko dwa kilometry, a wieczór był jasny, ciepły, przyjemny. To był wieczór, w którym wszystko mogło się zdarzyć.

I rzeczywiście, wszystko się zdarzyło.

Było ich trzech. Wyłonili się zza winkła starej kamienicy jak cienie, obwiązani klubowymi szalikami, nagrzeni po meczu. Ich barwy natychmiast skojarzyły mi się z Young Fighters. Słyszałem, jak ci kibole się bawią, i już wtedy wiedziałem, że jest bardzo źle. Kiedy stanęli nam na drodze, odruchowo zasłoniłem Agnieszkę.

Patrzyłem im w oczy i analizowałem swoje szanse. Nie byli starsi, mogli mieć po dwadzieścia kilka lat. Żaden z nich nie był wyższy ode mnie. Być może odwiedzali siłownię, ale nie tak często, żeby na pierwszy rzut oka było to widoczne. Chudy z prawej miał szczurzą twarz i złośliwy uśmiech. Łysy, krępy typ w czarnej sportowej kurtce nie mógł ustać w miejscu, podniecony, jakby się czegoś nawciągał. Trzeci z nich, największy i najlepiej zbudowany, po prostu stał i gapił się na mnie bezmyślnym, pustym wzrokiem.

– A ty czemu nie masz szalika? – zapytał Szczurowaty. – Nie jesteś stąd? Komu kibicujesz?

Nie było dobrej odpowiedzi na to pytanie, ale jeszcze próbowałem.

– Panowie, spokojnie, z dziewczyną jestem. Dajcie jej odejść, a potem porozmawiamy.

Szczurowaty wyciągnął nóż motylkowy i wprawnym ruchem przyłożył mi go do szyi.

– Nie mów, kurwa, że spokojnie, bo nic nie jest spokojnie. Co masz w tym plecaku?

Spojrzałem w jego wielkie, ciemne źrenice, szukając w nich odpowiedzi, czy naprawdę byłby w stanie poderznąć mi gardło. Uznałem, że tak.

– Nagrodę z zawodów – odpowiedziałem.

– To były zawody w byciu pizdą? Zająłeś pierwsze miejsce?

Zarechotali. Poczulem, jak rośnie we mnie nieznane dotąd uczucie. Skłębiona agresja, zimna furia.

– Dawaj to, kurwa.

Powolnym ruchem zdjąłem plecak z ramienia i położyłem na ziemi. Wciąż czułem chłodne ostrze na szyi. Dopóki Szczurowaty trzymał nóż, nie chciałem ryzykować. Jeden ruch i mógłby mnie zabić, a wtedy Agnieszka zostałaby z nimi sama. Modliłem się, żeby nie zajrzeli do środka. Ale oni kopnęli plecak gdzieś w bok, w kałużę.

– A ty, mała, oddawaj portfel – powiedział Łysy, ruszając w stronę Agnieszki.

– Nie mam portfela.

Jej głos był bardzo cichy, słaby, przerażony.

– No to będziesz musiała zapłacić inaczej.

– Dotkniesz jej, to cię zabiję – powiedziałem.

Zarechotali, jakby usłyszeli dobry dowcip, bo ich było trzech, a ja byłem sam. Czuli się całkowicie bezpieczni. Niestuszenie.

– Nie masz portfela, co, mała? Mamy cię przeszukać?

Łysy i ten drugi, Silny, ruszyli w stronę Agnieszki. Szczurowaty odwrócił wzrok i spojrzał na kolegów. Na tę chwilę czekałem.

Chwyciłem za dłoń z nożem i unieruchomiłem, przyciągając ją do siebie. W tej samej chwili wyprowadziłem cios w tchawicę. Szczurowaty zacharczał i złapał się za gardło, wypuszczając nóż, a wtedy całym ciężarem ciała przycisnąłem go do ściany kamienicy i uderzyłem jego głową w mur.

Tak jak zakładałem, Silny i Łysy zostawili Agnieszkę i natychmiast skoczyli w moim kierunku. Odciągnęli mnie od niego, przytrzymali. Szczurowaty, wciąż zamroczony i charczący, podniósł nóż i ruszył w moim kierunku, dźgając nim na oślep. Poczułem, jak ostrze przecina materiał bluzy i skórę. Słyszałem krzyki Agnieszki i nagle wokół była czerwień, dużo czerwieni. Czerwone na asfalcie, czerwone na ubraniu. Przez chwilę ból sprawił, że przestałem widzieć, i w tej samej sekundzie Łysy jednym kopnięciem podciął mi nogi. Upadłem na ziemię i zanim zdążyłem się podnieść, zasypał mnie grad kopniaków.

Pierwsze kopnięcie trafiło w żołądek, drugie w klatkę piersiową i niżej, w żebra.

I jakieś słowa, powtarzane bez przerwy, pryskające śliną. Ty kurwo, śmieciu, pedale.

Gdziekolwiek się nie ruszyłem, wszędzie były buty. Sportowe, markowe buty brały odwet za próbę oporu, wgniatały mnie w ziemię, zabierały mi tlen. Szczurowaty trzymał Agnieszkę tak, żeby na to

patrzyła, żeby nie mogła odwrócić wzroku. Miała się bać. Wiedziałem, że kiedy skończą ze mną, wezmą się na nią.

Wszystko, co stało się później, pamiętam w pojedynczych kadrach, strzałach adrenaliny. W końcu przestali mnie kopać i ruszyli w jej stronę. Pamiętam, jak czołgałem się po mokrym od deszczu asfalcie, a plecak leżał tylko kilka metrów dalej.

Nie widziałem na jedno oko, usta miałem pełne śliny i krwi, w głowie tylko jedną myśl. Ochronić Agnieszkę. Ta myśl ciągle pulsowała, kiedy rozsunąłem zamek plecaka i sięgnąłem do środka. Miałem tam wszystko, czego potrzebowałem. Załadowany pistolet, glock 17.

Zacisnąłem na nim dłoń, poczułem znajomy chłód. Przetoczyłem się na plecy. Wiedziałem, co muszę zrobić, moje ciało też wiedziało, bo mechanicznie odtworzyło schemat ruchów, który wykonywałem już tysiące razy. Przeładowałem, wycelowałem i strzeliłem. A potem jeszcze raz. I jeszcze.

\*\*\*

– Aleks? Dobrze się czujesz? – pyta Lana, równając się ze mną krokiem. – Strasznie jesteś blady.

Moja lewa ręka pulsuje, jest gorąca, uszkodzona i obca. Jeśli wkrótce czegoś nie zrobię, już nigdy nie będę mógł strzelać.

– Nic mi nie jest.

Odganiam od siebie wspomnienia. Nie mogę teraz wracać do przeszłości. Liczy się to, co tu i teraz. Muszę być skupiony, uważny i opanowany.

Im dalej na północ, tym mniej drzew, a teren staje się coraz bardziej podmokły. Ziemia pod naszymi nogami zaczyna zamieniać się w błoto, w którym zapadają się buty. Do tego ta mgła, wszędzie gdzie nie spojrzeć. Próbuję przeniknąć ją wzrokiem, ale widzę tylko wszechobecną biel. Czasem w pobliżu pojawia się zarys

przypominający postać, ale okazuje się, że to tylko sitowie albo szuwały. Nawet pogoda jest przeciwko nam, ostatnie, czego teraz potrzebujemy, to ograniczona widoczność.

– Świetnie – syczy Tymon, gdy jego noga zapada się w wodzie aż po łydkę. – Tego jeszcze nie było. Pieprzone bagno.

– To torfowisko – poprawia go niemrawo Wiktoria.

– Co za różnica?

Wiktoria nie odpowiada, wyraźnie nie ma siły. Początkowy entuzjazm i radość wywołana złamaniem szyfru już dawno opadły. Wszyscy są zmęczeni, głodni, poturbowani. Cała energia idzie w to, aby iść po stałym gruncie i nie trafiać stopą do kałuży. Ale nie da się tego uniknąć i co chwila ciszę przerywa przekleństwo. Spoglądam w dół, widzę swoje odbicie w tafli wody. Nie jest dobrze. Widzę twarz kogoś obcego.

– Aleks, na pewno idziemy na północ? – pyta Wiktoria. – Kto stawiałby dom na mokradłach?

– Kompas się nie myli.

Żaby rechoczą i umykają do wody, gdy tylko się do nich za bardzo zbliżymy. Mgła zaczyna się przeredzać. Przechodzimy przez wysokie trawy i zarośla, rozgarniamy sitowie. Myślę o tym, że gdy odnajdę Marikę, i jeśli jakimś cudem oboje wyjdziemy z tego cało, będę trzymał ją w ramionach tak długo, jak będzie tego chciała. Po tym, jak straciłem Agnieszkę, Marika była pierwszą dziewczyną, która wywołała we mnie emocje. I gdy tylko się do mnie zbliżyła, spotkało ją coś złego. Moje życie to jedno wielkie pasmo pieprzonych strat i nie pozwolę na to, by to stało się znowu.

Mgła się przeredza, a teren pod naszymi stopami znów staje się pewny i twardy. Przedzieramy się przez gęste zarośla i krzewy jeżyn, aż w końcu docieramy na małą polankę otoczoną drzewami.

Na środku polany stoi dom. Nie rozpadająca się rudera, ale drewniany, dwupiętrowy dom ze spadzistym dachem. Widzę studnię i przybudówkę, w której leżą starannie ułożone stosy drewna.

Budynek wyglądałby zupełnie zwyczajnie, zwykła chatka w lesie, gdyby nie okna. Wszystkie okna na parterze i na piętrze są zaklejone czarną folią.

Jeśli mam coś wspólnego z organizacją podchodów, powinienem rozpoznać ten dom, powinienem coś poczuć. Choćby podświadomie. Ale w głowie mam tylko pustkę. Dom nie budzi we mnie żadnych skojarzeń, chyba naprawdę widzę go pierwszy raz w życiu.

A jeśli to nie ja zorganizowałem podchody, być może właśnie w tej chwili powinienem zacząć się bać.

\*\*\*

Obchodzę dom dookoła, kryjąc się w krzakach, i liczę prostokątne okna w drewnianych ramach. Cztery na parterze, cztery na piętrze, wszystkie starannie zaklejone ciemną folią, tak że od zewnątrz nie widać, co dzieje się w środku. Są tylko jedne drzwi frontowe, pomalowane na czerwono. Ten krwawy, paskudny odcień czerwieni używany przez Partyzantów do oznaczania drogi. Dom nie ma tylnego wejścia ani prowadzącej do piwnicy kłapy na węgiel. Z tyłu widzę trochę świeżo skopanej ziemi.

Nagle przez moje ciało przechodzi niekontrolowany dreszcz. Saperka. W ostatniej skrzyni Partyzanci zostawili nam saperkę. Myślę o obozie harcerskim, na którym zakopywaliśmy skarb, tak aby druga drużyna nie mogła go znaleźć. Pamiętam, jak zaciskałem dłoń na rączce łopaty, jak wbijałem ją w ziemię i kopałem, myśląc tylko o tym, że druga drużyna nie może wygrać, bo zwycięstwo należy się nam. To było dawno temu.

Więc czemu wydaje mi się, że to było wczoraj w nocy?

Otrząsam się. Co się ze mną dzieje? Pieprzona gorączka miesza mi w głowie. To już nie jest obóz harcerski, gdzie zabawę można

było przerwać w dowolnej chwili. Każda chwila dekoncentracji może mnie kosztować czyjeś życie.

Znów skupiam wzrok na domu, zatrzymuję go na każdym centymetrze.

Nie widzę drabiny ani okna prowadzącego na dach. Nie ma więc możliwości, żeby zakraść się do środka niezauważonym i zyskać element zaskoczenia. Trudno. I tak pewnie obstawili wszystkie możliwe wejścia. Od początku gry przewidywali każdy nasz ruch.

Pamiętam, Marika uciekała, a ja leżałem na ziemi, widząc przed sobą głowę Partyzanta osłoniętą kominiarką. Ten, który mnie postrzelił i uderzył, pochylił się nade mną, cierpliwie czekając, aż stracę przytomność. Myślałem, że strzeli mi w twarz, ale on powiedział tylko jakieś niezrozumiałe zdanie. Coś, co brzmiało jak: „Ona jest nasza”. Czy dobrze go zrozumiałem? Nie jestem pewien. Może mój usypiający mózg coś przeinaczył.

Otrząsam się. Znów stoję przed domem na polanie.

Nagle ogarnia mnie fala wściekłości. Najchętniej wykopałbym frontowe drzwi, wkroczył tam, uwolnił Marikę i strzelił do każdego, kto próbowałby mnie powstrzymać. Ale mój pistolet zabrali Partyzanci.

Zerkam na zegarek, jest już południe. Partyzanci zaatakowali nas o północy, więc straciłem już wystarczająco dużo czasu.

Podnoszę z ziemi mały, gładki kamień, cofam się o kilka kroków i rzucam nim w okno na parterze, a potem natychmiast rzucam się na ziemię, na wypadek gdyby zaczęli strzelać. Kamień rozbija szybę z głośnym brzękiem, kawałki szkła opadają na trawę. Leżę na ziemi, spodziewając się strzałów, odgłosu kroków, głowy migającej w rozbitym oknie. Ale nic takiego się nie dzieje.

Możliwe, że dom został opuszczony. Może Partyzanci ewakuowali się z niego, zostawiając w środku jakieś niespodzianki. Na przykład odkręcony piecyk gazowy albo bombę. Zdaję sobie sprawę, że wejście do środka może skończyć się natychmiastową śmiercią.



Rozsądek nakazuje, abyśmy ominęli to miejsce i szukali wyjścia z kotliny, ale nie mogę przestać myśleć o tym, że w środku jest uwięziona Marika. Bezbronna i przerażona, czekająca z nadzieją na pomoc. To wystarczy, żebym podjął decyzję.

\*\*\*

Kastet, scyzoryk, paralizator, gaz, latarka i saperka leżą przed nami na trawie. Biorąc pod uwagę, że po drugiej stronie mamy przeciwników uzbrojonych w pistolety, równie dobrze moglibyśmy się bronić bierkami. Pięć celnych strzałów i nas wszystkich nie ma. Ale nie mówię tego na głos. Potrzebujemy tych przedmiotów, żebyśmy mogli czuć się silniejsi. To bardzo ważne.

– Idę do środka, a wy tutaj zostańcie – mówię.

– Pójdę z tobą – zgłasza się Wiktoria. – Tam może być Julia.

– Nie możesz sama chodzić. – Wskazuję na jej nogę. – Ani uciekać. Wejdiesz tam, jak już sprawdzimy, czy jest bezpiecznie, zgoda?

– Ja pójdę – mówi Daniel.

– Nie, lepiej zostań z nimi.

Żaden z nas nie powie tego na głos, ale obaj dobrze wiemy, że tylko my dwaj możemy ochronić resztę grupy.

– Powiedziałem, że idę z tobą. – W głosie Daniela pojawia się wrogość.

– Nie, nie idziesz – warczę. – Chcę znaleźć Marikę, a nie sprawdzać co chwila, czy nie próbujesz mi sprzedać kosa w plecy.

– No to spróbuj mnie powstrzymać – odpowiada.

Przez chwilę patrzymy sobie prosto w oczy. Wreszcie uznaję, że jeśli Daniel chce zginąć na własne życzenie, to jego sprawa. Ja muszę znaleźć Marikę. Podnoszę z ziemi scyzoryk i latarkę i wkładam do kieszeni klucz, którzy zostawili dla nas w skrzynce Partyzanci.

Daniel bez wahania wybiera kastet i zakłada go na dłoń. Paralizator, gaz i saperkę zostawiamy reszcie drużyny, na wypadek gdyby ktoś ich zaatakował.

– Dobra – mówię. – Wchodzimy tam. Jeśli nie wrócimy w ciągu dwudziestu minut, nie wchodźcie do środka. Po prostu uciekajcie. Spróbujcie wspiąć się na skały, powinny być już suche.

– No to co, panowie, jakieś ostatnie słowa pożegnania? – pyta Tymon. – Na wypadek gdybyście, no wiecie, zginęli?

Zastanawiam się przez chwilę.

– Uważajcie na siebie.

– Wy też. Powodzenia – mówi Wiktoria, a po chwili Tymon i Lana powtarzają to samo.

Wychodzimy z zarośli i ruszamy w kierunku domu, nie patrząc na siebie nawzajem. Daniel nie ufa mi tak samo jak ja nie ufam jemu, ale teraz to nie ma znaczenia, bo obaj mamy ten sam cel. Musimy współpracować. Droga do domu to tylko kilkadziesiąt metrów, ale dłuży się w nieskończoność, a ziemia ugina się pod moimi stopami. Wszystko wydaje się nierzeczywiste. Wiem, że mam gorączkę, która pewnie sięga już trzydziestu dziewięciu stopni. Wszystkie moje reakcje mogą być opóźnione.

– Nieźle grasz, bohaterze – odzywa się Daniel. – Chyba nawet ich przekonałeś, że idziesz na pewną śmierć. Ale mnie nie. Dobrze wiesz, co czeka na nas w tym domu. I wiesz, co się stało z Mariką. Twoi kumple, Partyzanci, już się nią zajęli. Mną też mają się zająć? Taki jest plan?

Nie odpowiadam.

– Od początku czułem, że jesteś z nimi – ciągnie Daniel. – Dlatego tak bardzo chciałeś się mnie pozbyć.

– Błąd – mówię przez zęby. – Gdybym był Partyzantem, trzymałbym cię w drużynie jak najdłużej i zrzucił na ciebie winę za wszystko, co się dzieje. Myślenie strategiczne, Daniel.

– No to czemu chciałeś się mnie pozbyć? Co ja ci zrobiłem?

– Kiedy miałem dwadzieścia pięć lat, trzech kiboli, takich jak ty, zaatakowało mnie i moją dziewczynę. Napadli nas, kiedy wracaliśmy do domu. Ranili mnie nożem, skopali na ziemi, przytrzymali ją tak, żeby musiała na to patrzeć.

Daniel patrzy na mnie, wyraźnie czekając na dalszy ciąg, ale się nie doczeka. Nie mam zamiaru mówić mu, co stało się później.

– Ja bym tego nie zrobił – mówi po chwili Daniel. – Mam swoje zasady.

– O tak, jesteś człowiekiem zasad – parskam. – Jak szło piąte przykazanie? Nie zabijaj?

– Nikogo nie zabiłem.

– Ale kryjesz tych, którzy to zrobili. Dla mnie niczym się od nich nie różnisz.

Daniel wbija wzrok w ziemię. Nie ma na to dobrej odpowiedzi. Resztę drogi pokonujemy w milczeniu. Po chwili stajemy przed czerwonymi, lśniącymi drzwiami. Moje serce bije bardzo szybko. W lewej, zranionej dłoni trzymam latarkę, w prawej scyzoryk. Myśli pędzą jak szalone. Czy ktoś ukrywa się za drzwiami? Wyjdzie do nas? Zacznie strzelać? Będziemy musieli go zabić?

Chowam się za ścianą domu i gestem pokazuję Danielowi, żeby zrobił to samo. Daniel wyciąga rękę i chce nacisnąć klamkę, ale kręcę głową. Na Grupie nauczyłem się, że klamka w nieznanymi pomieszczeniach często bywa podpięta do prądu. Gdyby Daniel ją złapał, już by jej nie puścił. Uderzam klamkę od spodu wierzchem dłoni, czekając na lekkie porażenie. Ale nic się nie dzieje. Żadnych niespodzianek. Naciskam ją i popycham lekko drzwi. Zamek nie stawia oporu, ale drzwi otwierają się z przeraźliwym skrzypieniem, dając sygnał wszystkim ludziom ukrytym w środku. „Uwaga, intruzi wkroczyli”.

Stoję za ścianą, zaciskając spoconą dłoń na scyzoryku. Czekam, ale nic się nie dzieje. Po chwili zerkam przez uchylone drzwi. Widzę

pusty, ciemny korytarz. Wchodzę do środka i zaglądam za drzwi. Nikogo tam nie ma. Staram poruszać się cicho.

Nic nie wybucha, żadna seria z karabinu nie leci w naszą stronę. Po schodach nie zbiega wrzeszczący szaleniec z siekierą.

Mimo wszystko coś tu jest nie tak. Dom cuchnie. To kwaśny zapach potu, ludzkiej obecności. Zupełnie jakby pomieszczenie opuszczono kilka chwil wcześniej.

Ciemna folia nie przepuszcza zbyt wiele dziennego światła, więc zapalam latarkę. Moje oczy błyskawicznie omiatają pomieszczenie. Pod ścianami stoją piętrowe, drewniane prycze, mogące pomieścić co najmniej dwanaście osób. Na końcu korytarza znajdują się bordowe, solidne drzwi. Schody prowadzące na piętro są pogrążone w całkowitej, mrocznej ciemności.

Bez słowa wskazuję Danielowi schody. Kiwa głową i rusza na górę, ściskając w dłoni kastet. Idzie cicho, intuicyjnie przysuwa się do ściany, chcąc zminimalizować swój ciężar i odgłos skrzypienia. Słusznie.

Ja ruszam wąskim korytarzem w kierunku bordowych drzwi. Czuję, że cokolwiek ukrywa się w tym domu, jest właśnie tam. Podnoszę latarkę, żeby oślepić potencjalnego przeciwnika, i naciskam klamkę.

W małym, ciemnym pokoju nie ma żadnego okna i panuje absolutny mrok. Latarka wyłania z ciemności stół przysunięty do ściany i stojącą na nim maszynę do pisania. Widzę drewniane krzesło, popielniczkę pełną niedopałków i kubek po kawie. Pod ścianą stoi stary regał, a na nim komplet książek Artura Sadurskiego. Cała saga w starym wydaniu sprzed dwudziestu lat. Pamiętam je.

Czuję, jak żołądek podchodzi mi do gardła. Coś jest nie tak. Jeden z niedopałków wciąż się żarzy. Czuję zapach dymu, a fusy w kubku są wciąż wilgotne, nie zdążyły jeszcze wyschnąć. Ktokolwiek tu siedział, był tu niedawno. Być może wciąż jest w domu.

Chcę zawołać Daniela, ale wtedy coś zauważam. Cała ściana jest zaklejona wycinkami ze starych gazet. Oświetlam je latarką. Widzę twarze czterech młodych chłopaków i krzyczące nagłówki. ZAGINIENI MATURZYŚCI. Podchodzę bliżej. Artykuły pochodzą z dwa tysiące siódmego roku. Czwórka przyjaciół postanowiła uczcić koniec egzaminów maturalnych w Puszczy Posoczyńskiej. Kilku turystów widziało, jak późnym wieczorem rozpalają ognisko w lesie. Wtedy widziano ich po raz ostatni, żaden z nich nie wrócił do domu. Tej samej nocy zerwała się burza, która zmyła wszelkie ślady i mimo długich i żmudnych poszukiwań zaginionych nigdy nie udało się odnaleźć.

Przyglądam się twarzom zaginionych chłopaków. Inteligentne oczy, pewne siebie uśmiechy, zupełnie jakby szykowali się na podbój świata. Twarze wyglądają dziwnie znajomo, choć ich imiona i nazwiska nic mi nie mówią.

Czy wszyscy byli przetrzymywani w tym domu? Czy spali na drewnianych pryczach? Czy to tylko kolejna sztuczka Partyzantów obliczona na namieszanie nam w głowach?

Kieruję latarkę w prawo i widzę oprawioną fotografię stojącą na regale. Moje serce przyśpiesza. Zbliżam się do regału i podnoszę ramkę. Zdjęcie jest stare i spłowiałe, mimo to wiem dobrze, kto na nim jest.

Nagle robi mi się zimno. Słyszę skrzypienie podłogi za plecami. Oglądam się błyskawicznie, zaciskając dłoń na scyzoryku. Twarz wyłaniająca się z ciemności jest blada, podkrążone oczy błyszczą w dziwnej gorączce.

- Co ty tu robisz? – pytam i sam nie poznaję swojego głosu.
- Szukałam cię – odpowiada postać.

\*\*\*

– Mówiłem ci, że masz poczekać na zewnątrz, Wiktoria.

Odkładam ramkę na regał, spodem do dołu, tak żeby nie widziała zdjęcia. Moja mina chyba ją niepokoi, bo podchodzi bliżej.

– Musiałam tu wejść – mówi szeptem Wiktoria. – Gdyby tu była Julia...

– Miałaś poczekać na zewnątrz.

– Wszystko w porządku? – pyta. – Wyglądasz dziwnie.

– Tak – kłamię.

Nie spuszczam z niej wzroku i mocniej zaciskam dłoń na scyzoryku.

Wiktoria, nieświadoma niczego, podchodzi do ściany i z fascynacją wpatruje się w wycinki.

– Pamiętam tych zaginionych maturzystów – mówi w zamyśleniu. – Czwórka chłopaków z Posoczyna, najlepsi uczniowie w klasie. Poszli świętować zdanie matury w lesie i następnego dnia po prostu zniknęli.

Milczę, pozwalam jej mówić.

– Pamiętam, byłam wtedy dwa lata młodsza od nich, a mieszkałam w sąsiedniej miejscowości. Wszyscy bali się, że...

Wiktoria urywa w pół zdania, zapatrzona w inny wycinek. Zrywa go ze ściany.

– Julia – szepce, a potem wzdyga się, jakby coś zrozumiała. – Aleks, my musimy stąd uciekać.

– Poczekaj. – Łapię ją za ramię. – Mieszkałaś w sąsiedniej miejscowości, tak?

– Tak. – Wiktoria marszczy brwi. – Aleks, naprawdę musimy stąd...

– I twój ojciec pokazał ci tę puszcę, kiedy byłaś mała.

Wiktoria wytrzeszcza oczy, porusza bezgłośnie ustami i wrywa ramię z mojego uścisku.

– Aleks?! Czy ty myślisz, że ja...?

– Czy twój ojciec dobrze znał Julię?

– Co ty...

– Odpowiedz.

– Przychodziła czasem do mojego domu z Raisą. Ale czemu o to pytasz?

Nie odpowiadam. Wiktoria zauważa zdjęcie stojące na półce.

– Co to za zdjęcie? – pyta, a jej głos się trzęsie.

Zagradzam jej dostęp do regału.

– Mówiłaś, że twój ojciec znał tę puszcę, tak?

– Odsuń się i pokaż mi to zdjęcie.

Próbuje mnie odepchnąć, ale nie pozwalam jej na to. Nie ma wystarczająco dużo siły.

– Ja też czytałem jego książkę, Wiktoria – mówię. – W pierwszej części *Najemników* wiedźma porwała czterech młodych chłopaków. Twój ojciec opisał, jak zachowują się porwani ludzie, strona po stronie. Bardzo realistycznie.

– Aleks, czy ty kompletnie oszalałeś? Mówisz o moim ojcu!

– Pamiętasz, jak się zachowywał, kiedy ci maturzyści zaginęli? Pamiętasz, czy był wtedy w domu?

– Nie pamiętam! Miałam wtedy szesnaście lat. Mój ojciec nie skrzywdziłby muchy. Pokaż mi to pieprzone zdjęcie!

Podaję jej ramkę. Na zdjęciu widać małą, rudą dziewczynkę, przytulającą się do postawnego, siwego mężczyzny z brodą ubranego w kraciastą koszulę i dżinsy. Wiktoria zasłania usta dłonią.

– Co to, kurwa, jest? – dyszy.

Nagle oboje podskakujemy, bo dźwięk rozlega się spod ziemi. Cichy szloch. Podnoszę latarkę i widzę zarys drzwi, których w pierwszej chwili nie zauważyłem, bo były tego samego koloru co ściana.

– Marika?! – wołam.

Szarpię za klamkę i wbiegam do kolejnego pomieszczenia. Jest jeszcze mniejsze od pierwszego pokoju, wielkością przypomina spiżarnię. W podłodze znajduje się metalowa kłapa. Drzwi prowadzące do piwnicy. Szarpię za uchwyt, ale jest zamknięta na zamek. Wyciągam z kieszeni klucz od Partyzantów. Wpycham go

pośpiesznie do zamka, otwieram klapę, upada na podłogę z głuchym brzękiem. Pod sobą widzę prostokąt ciemności i schody prowadzące w dół.

– Marika? Jesteś tam? – wołam. – To ja, Aleks!

Nikt nie odpowiada. Świecę latarką w ciemny otwór. Wiktoria klęka obok mnie.

– Aleks, ja nie dam rady zejść tam z tobą. Pójdę po Daniela i resztę. Nie schodź tam sam, poczekaj na nas.

– Ona tam jest – mówię.

– Aleks, to jest pułapka. – Wiktoria łapie mnie za ramię. – Nie schodź tam! Proszę.

Nie wiem, czy powinienem wierzyć w to, co mówi. W końcu znalazłem tu zdjęcie jej ojca, być może to on zabił tych wszystkich ludzi, a ona od początku o wszystkim wiedziała. Ale z drugiej strony to tylko zdjęcie. Ktoś mógł je ukraść i przynieść tu, aby rzucić na nią podejrzenia.

I nagle to słyszę. Cichy dźwięk. Płacz, skomlenie.

Ten dźwięk odbiera mi kontrolę nad samym sobą, przestaję myśleć, zbiegam po schodach do piwnicy. W jednej dłoni ściskam latarkę, w drugiej scyzoryk.

– Marika? – mówię cicho. – Jesteś tu? To ja.

Cisza. Najmniejszego dźwięku. Światło latarki przesuwają się po betonowych ścianach, po regałach wypełnionych zapasami jedzenia. Woda w baniakach, puszki zupy, konserwy, liofilizaty, ryż, makaron, kasza, fasola, groszek. Światło ślizga się po brudnym materacu, pustym wiadrze, sznurze.

I nagle tracę oddech. Czuję, jak coś zaciska się na mojej szyi, wrzyna się w skórę. Sznur. Przed oczami latają mi ciemne plamy, osuwam się na kolana. Upuszczam scyzoryk i latarkę, która uderza o betonową podłogę. Wyobrażam sobie postać, która mnie dusi. Myślę o upiorze z książek Sadurskiego. Upiorze, który żył w ciemnościach i potrafił przeniknąć je wzrokiem, miał długie, silne



palce i żywił się mięsem nieostrożnych wędrowców. Upiór zaciska mi sznur na szyi i szepce do ucha.

– No już, zdychaj.

Tracę wzrok i równowagę. Czuję, jak moja twarz uderza o zimny, wilgotny beton. Myślę, że umrę właśnie tak, w piwnicy opuszczonego domu jakiegoś szaleńca. Bez powodu, bez sensu, nie poznając odpowiedzi. Myślę o Marice, w ostatniej chwili chcę zobaczyć jej twarz. Ale wtedy ktoś kopnięciem obraca mnie na plecy, widzę zupełnie obcą dziewczynę. Wypuszcza z rąk sznur, pochyla się, zaciskając dłonie na mojej szyi, jej oczy płoną.

– Już nigdy stąd nie wyjdiesz. Zapłacisz za wszystko, co mi zrobiłeś.

Nagle uścisk na szyi słabnie i rozlega się skowyt. Dziewczyna zwała się na podłogę obok mnie. W polu widzenia pojawia się Lana , która ściska w dłoni paralizator.

– Dobrze, że zdążyłam przybiec. Gdzie się podziała twoja krav maga, Aleks?

W odpowiedzi tylko charczę. Lana pochyla się nad nieruchomą postacią. Teraz widzę wyraźnie, że to dziewczyna o ciemnych, kręconych włosach. Nigdy wcześniej jej nie widziałem.

– Masz wprawę w duszeniu, co, suko? – syczy Lana i spluwa na podłogę.

\*\*\*

Daniel wnosi nieprzytomną dziewczynę po schodach. Ma przy tym tak nieszczęśliwą minę, jakby już nie żyła, ale tak naprawdę nic jej nie jest. Wiem to, bo sam zbadałem jej tętno. Było regularne i równe. Idę za Danielem, trzymając się ściany. Nie mogę uwierzyć, że dałem się podejść. Jak mogłem zrobić coś tak głupiego? Nawet gorączka tego nie usprawiedliwia. Gdyby nie Lana, już bym nie żył. Moje gardło jest opuchnięte, przełykanie śliny sprawia mi ból. Wnętrze

piwnicy, a potem upiornego pokoju z maszyną i pomieszczenia z pryzmami, wiruje mi przed oczami.

– Wygląda na to, że nie tylko Marikę porwali – mówi Wiktoria, kiedy Daniel kładzie dziewczynę na podłodze.

– Naprawdę myślisz, że Partyzanci ją porwali? – prychnął Tymon. – Pewnie po prostu ją podstawili. Wiedzieli, że tu przyjdziemy i ją uwolnimy.

– Dokładnie. – Lana kiwa głową. – Nie wiercie w ani jedno słowo, które ona powie.

– Nie wiemy, czy jest z nimi, czy nie. Pomóżcie mi ją przywiązać do krzesła, bo zaraz się obudzi – komenderuje Wiktoria.

Lana przynosi krzesło z pokoju z maszyną do pisania, a w dłoni trzyma sznur, którym dziewczyna próbowała mnie udusić. Z pomocą Tymona przywiązuje jej kostki do nóg krzesła i krępuje jej nadgarstki.

– Chwila, co dokładnie zamierzacie zrobić? – pyta Daniel, obserwując ich.

– Chcę tylko zadać jej kilka pytań – wyjaśnia Wiktoria.

– A jeśli nie będzie chciała mówić, to co? – docieka. – Nie będę bił kobiety.

– Opory moralne, co? – odzywam się. – Może powinniśmy założyć jej szalik wrogiego klubu, żeby ci było łatwiej?

Daniel posyła mi chłodne spojrzenie i wychodzi z domu, warcząc: „Nie biorę w tym udziału”.

Jasne, myślę. Ty nigdy nie bierzesz udziału. Ty nigdy nie czynisz zła, tylko się mu przyglądasz. Jeszcze do ciebie nie dotarło, że to dokładnie to samo.

– Nie zrobimy jej krzywdy – uspokaja Wiktoria, spoglądając na nas.

– Po prostu zadamy jej kilka pytań i dowiemy się, o co chodzi w tej grze. Ja przeprowadzę z nią wywiad, w końcu to mój zawód. Aleks, Tymon, stańcie za mną i wyglądajcie groźnie.

– Na pewno nic jej nie zrobimy, tak? – upewnia się Tymon.

– Jasne, że nie, ale ona musi tak myśleć – tłumaczy Wiktoria. – Inaczej nic nam nie powie.

– I tak nic wam nie powie – stwierdza Lana, wyjmując z kieszeni papierosa.

– Skąd je masz? – pyta Tymon.

– Z pokoju pisarza. Ktoś chce?

– Nie pal ich – ostrzegam. – Mogą być zatrute.

– A pieprzyć to. Przynajmniej umrę, robiąc coś, co lubię. Nie będę się bawić z wami w to przesłuchanie, ona i tak nie powie wam ani słowa prawdy.

Lana zapala papierosa i rusza w kierunku drzwi. Nie przejmuje się już niebezpieczeństwem, jej granice wyraźnie zostały przekroczone. Nikt nawet nie protestuje, nikt nie wrywa jej papierosa, choć może powinniśmy to zrobić.

– Możesz zostać, nie zrobimy jej krzywdy – przekonuję.

Strasznie często powtarzamy to zdanie, myślę. Zupełnie jakbyśmy jednak mieli na to ochotę.

Lana kładzie dłoń na klamce i spogląda na mnie przez ramię.

– Nie obchodzi mnie, co z nią zrobicie – mówi zimno.

Kiedy wypowiada to zdanie, mam wrażenie, że patrzy na mnie zupełnie obca osoba. Znika wrażliwa artystka, która jeszcze niedawno płakała za swoim kotem. Najwyraźniej szaleństwo, które zamieszkało w tym domu, szybko się rozprzestrzenia. Wyciąga z nas to, co najgorsze.

Lana wychodzi na zewnątrz, zamykając za sobą drzwi, i w tej samej chwili nieprzytomna dziewczyna zaczyna się budzić. Wydaje z siebie jęk, jej powieki trzepocą.

– Kim jesteście? – pyta. – Co tu się, kurwa, dzieje?

Wiktoria kuca przed nią, tak żeby jej oczy znajdowały się na poziomie oczu dziewczyny.

– Jesteśmy ludźmi, których próbowałaś zabić, a dzieje się, kurwa, to, że chcemy wiedzieć, gdzie jest nasza koleżanka Marika.

Dziewczyna wytrzeszcza oczy.

– Jaka Marika?

– Daruj sobie ten teatrzyk – warczy Wiktoria. – Porwaliście ją. Strzelaliście do nas.

– Co ty pieprzysz?! Do nikogo nie strzelałam! To wy mnie porwaliście i zamknęliście w tej piwnicy, to wy poraziliście mnie prądem! Psychopaci!

Wiktoria marszczy brwi, niespodziewanie wytrącona z narracji złego gliniarza.

– Nie – zaprzecza. – My cię tu tylko znaleźliśmy.

– Kłamiesz!

– Słuchaj, dziewczyno. – Wiktoria wyraźnie traci cierpliwość i wstaje. – Mam w dupie, czy mi wierzysz, czy nie. Ludzie nazywający się Partyzantami porwali naszą przyjaciółkę i wskazali nam, że znajdziemy ją w tym domu. Więc mów wszystko, co wiesz.

Na twarzy dziewczyny pojawia się cień zrozumienia.

– Aha, więc was też dorwali. Nie wiem, czym im podpadliście, ale już po was.

– Jeszcze nie – odzywam się.

Dziewczyna spogląda na mnie i wybucha śmiechem. Jest zimny, piskliwy, nieprzyjemny.

– To tobie się tak wydaje – śmieje się. – Zobaczysz. Zwabili was tutaj, więc już należycie do nich. Jeśli teraz chodzicie wolno, to tylko dlatego, że oni tego chcą. Zniszczą was jednego po drugim. Zobaczycie.

Przyglądam się twarzy dziewczyny. Ma w sobie coś odpychającego, coś, co sprawia, że nie potrafię jej współczuć. Po chwili zdaję sobie sprawę, co to jest. Wyraz jej oczu, kiedy mnie dusiła. Nie było w nich przerażenia czy desperacji, tylko pusta, złośliwa radość.

– Mówisz, że cię porwali? – upewnia się Wiktoria.

– Zwinęli mnie spod mieszkania, mieli na twarzy kominiarki. Przyłożyli mi jakąś szmatę do ust. Nie wiem, jak długo mnie tu trzymali, bo w tej pieprzonej piwnicy kompletnie straciłam poczucie czasu. Ale była tam ze mną jeszcze jedna dziewczyna. Oni przyprowadzili ją wczoraj. To pewnie jej szukacie.

Czuję, jak moje serce przyśpiesza.

– Jak wyglądała? – pytam.

– Nie widziałam jej, bo kiedy ją przyprowadzili, miałam zawiązane oczy. Ona ciągle powtarzała, że to taka zabawa, gra w podchody i że oni na pewno nas wypuszczą.

– Jak miała na imię?

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz?

Mam ochotę nią potrząsnąć, wyrwać z niej wszystkie informacje, ale tego nie robię. Po prostu podchodzę bliżej i patrzę na nią z góry. Wiem, że trudno jej wytrzymać ten wzrok i traci pewność siebie, nie chce spojrzeć mi w oczy. Uparcie odwraca głowę.

– Nie chciała powiedzieć – mówi, patrząc na Wiktorię. – Pamiętam, że miała bransoletkę na nadgarstku, ciągle nią podzwaniała jak jakaś owca. Aż w końcu po nią przyszli. Strasznie się bała, powiedziała im, że zrobi wszystko, czego będą chcieli, żeby tylko jej nie zabijali. A oni się zaśmiali i powiedzieli, żeby znalazła w sobie wolę walki, bo tak łatwo nie będzie. A potem ją zabrali.

– Dokąd? Mówili, dokąd ją zabierają?

Dziewczyna nie odpowiada. Zwilża wargi językiem, rzuca nam cwane spojrzenie. Widzę, że chce czegoś od nas zażądać w zamian za informacje.

– Rozwiążcie mnie – mówi rozkazująco. Widać, że nie nawykła do proszenia o cokolwiek.

– Nie – mówi twardo Wiktoria.

– Rozwiążcie mnie albo niczego wam nie powiem – warczy dziewczyna.

Wiktoria nachyla się do niej.

– Słuchaj – syczy. – Przed chwilą próbowałam zabić jednego z nas. Nie mam żadnego powodu, żeby ci ufać. Ja mogę w tej chwili stąd wyjść i zostawić cię z moimi kolegami, ale nie wiem, czy byś tego chciała. Mają za sobą ciężkie dwa dni, są wkurwieni i nie ręcą za nich.

Dziewczyna wierci się na krześle, rzucając przestraszone spojrzenia na mnie i na Tymona, który stoi pod ścianą ze skrzyżowanymi ramionami i kamiennym wyrazem twarzy. W jej oczach po raz pierwszy pojawia się strach.

– Pojechało was – bełkocze. – Jesteście tacy sami jak oni.

– Nie. My tylko bardzo chcemy znaleźć przyjaciółkę.

– Dobra, już dobra, pokażę wam, dokąd ją zabrali – mamrocze dziewczyna.

Wiktoria znów przed nią kuca.

– Jak się nazywasz? – pyta łagodniej.

– Małgorzata Ostrzevska – mówi dziewczyna. – Ale możecie mi mówić Gośka.

\*\*\*

Gośka jest spokojna, kiedy Tymon i ja rozwiązujemy sznur krępujący jej nogi i nadgarstki. Spodziewam się, że rzuci się na któregoś z nas, tym razem jestem na to przygotowany, ale ona nie rusza się z krzesła. Metoda Wiktorii działa. Boi się nas. Gdy ją rozwiązujemy, pyta wzrokiem Wiktoria, czy już może wstać z krzesła. Wiktoria kiwa głową. Gośka podnosi się, rozciera nadgarstki i spogląda na mnie.

– Sory za to duszenie – mówi obojętnie, w jej głosie nie słychać ani grama prawdziwej skruchy. – Myślałam, że jesteś jednym z nich.

– Potem przeprosisz – warczy Wiktoria. – I radzę ci zrobić to ładniej. A teraz pokaż nam, dokąd ją zabrali.

Gośka posłusznie kieruje się w stronę wyjścia i otwiera drzwi. Wszystko wymyka się spod kontroli, gdy wychodzi na zewnątrz. W pierwszej chwili myślę, że to szok wywołany światłem, a potem widzę, jak Gośka patrzy na Lanę i Daniela. Jej twarz wykrzywia się w paskudnym grymasie.

– Wy jebani kłamcy! – wrzeszczy. – To wszystko wasza wina! To przez was tu jestem!

Odwraca się przez ramię i patrzy mi w oczy, a w jej oczach znów pojawia się podły, złośliwy błysk.

– Twoja dziewczyna nie żyje, głupi sukinsynu – mówi. – Tamci zakopali ją za domem!

I zanim ktokolwiek zdąży coś zrobić, Gośka zaczyna biec przed siebie w dzikim, opętańczym pędzie. Lana natychmiast rzuca papierosa i rusza za nią.

Dopiero po chwili dociera do mnie to, co właśnie usłyszałem. Zupełnie jakby mój umysł oddzielił się od ciała. Łapię saperkę opartą o ścianę budynku i biegnę na tył domu. Słyszę, że Wiktoria coś za mną pokrzykuje, ale jej nie słucham. Już z daleka widzę świeżo wykopany prostokąt ziemi otoczony zieloną trawą. Grób.

Wbijam łopatę w ziemię i odrzucam ją na bok. Znów czuję się jak w dzieciństwie, gdy na obozie harcerskim zakopywaliśmy skarb. Ale to już nie jest harcerstwo i to już nie jest zabawa, wiem, że pod ziemią może znajdować się ciało Mariki.

Boję się, że nie żyje. Boję się, że sam ją zabiłem i zakopałem.

Że Nowy Aleks ją tam zakopał.

Że ja ją zakopałem.

Odrzucam ziemię na bok.

Żeby to tylko nie była Marika.

Nie wiem, kogo o to proszę, ale proszę bardzo mocno. Wiem, że nic nie kieruje moim losem, wiem, że wszystko jest tylko ciągiem przypadków i nieszczęśliwych zbiegów okoliczności. Ale jeśli ten

jeden raz mogę prosić o coś wszechświat, proszę, żeby to nie była ona.

Żeby tylko nie ona.

Bo od tego już nie będzie powrotu.

Wbijam łopatę, odrzucam ziemię na bok.

Przez cały ten czas wierzyłem, że żyje. Że to, co goniło ją w lesie, to nie byłem ja, ale zamaskowani napastnicy. Ja nigdy nie zrobiłbym krzywdy dziewczynie. Żadnej dziewczynie, a już na pewno nie jej.

Przecież dzięki niej po raz pierwszy od siedmiu lat poczułem, że jeszcze mogę być normalnym człowiekiem.

A teraz mam ją wykopać z ziemi.

Dziewczynę, którą jeszcze niedawno trzymałem w ramionach.

Znów widzę, jak leży pode mną i mówi: „Kocham cię, Aleks”.

Na chwilę znieruchomiałem, zacisnąłem ręce na jej nadgarstkach.

„Nie mów mi tego”.

„Czemu?”

„Po prostu mi tego nie mów”.

Bo miłość zawsze jest kłamstwem. Majakiem, marzeniem, obietnicą niemożliwą do spełnienia.

Trzask, łopata w piach, kawał ziemi leci na bok.

Jeśli ktoś tutaj ma umrzeć, a czuję, że musi tak się stać, to powinienem być ja.

Ale nie ona. Tylko nie ona.

Łopata w końcu trafia na opór. Z mokrej, ciemnej ziemi wyłania się coś jasnego. Dłoń. W ciemnej glebie błyska srebrna bransoletka.

Mam wrażenie, że kontury rzeczywistości zaczynają się rozpląwać.

Uginają się pode mną kolana i upadam w wilgotną, rozkopaną glebę. Nie kontroluję samego siebie. Z moich ust wyłania się krzyk.

Nienienienienienie. Nie. Nie. Nie.

Odrzucam łopatę na bok i zaczynam ryć w ziemi rękami, odkopuję dłoń, a potem całą rękę. Widzę trampki, kolorowe legginsy, sweter. Nie mogę oddychać, kopię dalej.



– Aleks – mówi ktoś cicho, chyba Wiktoria.

Nie przestaję kopać. Czuję, że po mojej twarzy spływają łzy, drobne kamienie ranią mi dłonie, ból w ramieniu jest obezwładniający, oddycham szybko.

– Aleks, przestań już. Zostaw.

Na jej brzuchu leży drewniana, czerwona skrzynka, jedna dłoń jej dotyka. Oczy patrzą nieruchomo w przestrzeń, są w nich drobinki ziemi.

Czuję, że Wiktoria kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Już dobrze – mówi uspokajająco. – To nie ona. To nie Marika. Już dobrze.

Ma rację. To nie Marika. To nie jej martwe ciało. To tylko kukła, na którą założyli jej ubrania. Wiktoria klęka, wyjmuje z dłoni kukły czerwoną skrzynkę.

Patrzę na to, nie jestem w stanie ruszyć się z miejsca.

W skrzynce są trzy przedmioty. Kubek z napisem „Najlepszy chłopak na świecie”, pistolet glock i koperta z napisem „Aleks”. Nie chcę zaglądać do środka. Nie chcę się dowiedzieć, co w niej jest. Ale Wiktoria i tak zaczyna czytać.

*Nie stój nad mym grobem i nie roń łez,*

*Nie ma mnie tam, nie zasnąłam też.*

*Nie stój nad mym grobem i nie płacz na darmo,*

*Nie ma mnie tam – Ja nie umarłam.*

– To fragment wiersza Mary Elizabeth Frye – mówi cicho.

Łzy wciąż spływają mi po twarzy. To łzy ulgi i strachu. Ocieram twarz rękawem, ale wiem, że cały się trzęsę.

Już wszystko wiem. Wspomnienia wróciły.

Nie zrobiłem krzywdy Marice. Partyzanci naprawdę nas napadli, naprawdę do mnie strzelili i zawlekli ją, wrzeszczącą, w głąb lasu. A ten, który do mnie strzelił, nie powiedział „ona jest nasza”. Powiedział: „Musiałem, przepraszam”.

Dlaczego to powiedział? Nie mam pojęcia. Ważne, że to nie byłem ja. Nie ja. Nie zrobiłem jej krzywdy. Po prostu straciłem przytomność. Obudziłem się nad ranem, coś skubało mój rękaw. Czułem na dłoni dotyk ciepłego języka. Otworzyłem oczy i zobaczyłem lisa. Oblizywał moją dłoń z krwi, ale kiedy się poruszyłem, czmychnął w zarośla.

– Aleks. – Wiktoria powtarza moje imię.

Kłęczę na trawie, dłonie mam brudne od ziemi. Jestem potwornie zmęczony. Ramię pulsuje bólem w tym samym rozpaczliwym rytmie co serce. Wiktoria, Daniel i Tymon pochylają się nade mną, obserwują mnie uważnie.

– Aleks... Musisz powiedzieć nam prawdę. O co w tym wszystkim chodzi?

\*\*\*

Nie pamiętam, ile oddałem strzałów, wtedy, siedem lat temu, leżąc zakrwawiony na chodniku. Cztery? Pięć? Nie pamiętam. Wiem tylko, że w końcu trafiłem jednego z nich. Szczurowaty padł na ziemię.

Szczurowaty nazywał się Robert Grzała. Moja kula trafiła go w kręgosłup. Po postrzale trafił do szpitala, przeszedł operację i okazało się, że już do końca życia będzie musiał jeździć na wózku. Nie miałem z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Nigdy ani przez chwilę nie żałowałem tego, co zrobiłem. Nie żałowałem, że strzeliłem do bydlaka, który napadł moją dziewczynę. Robert Grzała nie mógł już nikogo zaatakować, wyeliminowałem zagrożenie.

Według prawa popełniłem jednak poważne przestępstwo, odpowiadałem za spowodowanie ciężkiego uszczerbku na zdrowiu, groziły mi trzy lata odsiadki. Z powodu wyjątkowych okoliczności sąd postanowił jednak złagodzić karę do roku, a sąd apelacyjny podtrzymał ten wyrok. Zostałem prawomocnie skazanym przestępcą.

Podczas ogłaszania wyroku Agnieszka rozpaczła, ale ja byłem spokojny. Wiedziałem, co robię, i zdawałem sobie sprawę z konsekwencji. Miałem świadomość, że to wszystko mogło skończyć się dużo gorzej. Wiedziałem, że wytrzymam rok w więzieniu. Zawsze bardzo łatwo adaptowałem się do nowych warunków, nawet kiedy były ekstremalnie ciężkie.

Wciąż miałem przed sobą całe życie i, co najważniejsze, wciąż miałem dziewczynę, która mnie kochała.

Ale musiałem pójść do więzienia. Moi koledzy ze studiów szli do pierwszej pracy, brali śluby albo podróżowali po świecie, a mnie czekał rok odsiadki.

Trafiłem do zakładu półotwartego. To nie był zakład dla ciężkich przestępców, morderców czy innych zwyrodnialców. Więźniowie trafiali tam za przestępstwa lżejszego kalibru, głównie za pobicia albo coś, co zrobili po pijaku. Cele w ciągu dnia były otwarte, mogliśmy chodzić we własnych ubraniach, mogliśmy też w dowolnych porach korzystać z telefonu na korytarzu. Mimo wszystko było to wciąż więzienie. Miejsce pełne znudzonych, agresywnych facetów, kontrolowanych na każdym kroku i pozbawionych wszelkich przyjemności. Wiedziałem, że muszę zdobyć ich szacunek, bo bez tego nie można przetrwać w żadnej grupie. Przez pierwszy miesiąc często się biłem. Nie były to walki na śmierć i życie, ale zwykłe solówki na betonie. Byłem świeżakiem i musiałem wszystkim udowodnić, że nie jestem słaby. Nie przegrałem ani jednej walki. To było łatwe, za każdym razem zamiast przeciwnika wyobrażałem sobie Szczurowatego. Po miesiącu, gdy jakiś świeżak chciał mnie zaczepić, jego kolega z celi odsunął go i powiedział z czymś w rodzaju szacunku: „Tego nie ruszaj. Ten walczy jak diabeł”.

Pierwsze widzenie z Agnieszka było trudne. Nie chodziło o warunki – więzienia w Polsce nie przypominają tych z amerykańskich seriali. Nie przykładaliśmy rąk do brudnych szyb, rozmawiając przez telefoniczne słuchawki, nic z tych rzeczy. Sala widzeń przypominała

stołówkę, był w niej nawet sklep ze słodyczami. Mogliśmy siedzieć przy jednym stoliku, mogliśmy się dotykać. Ale jakakolwiek naturalna rozmowa w obecności kilkunastu innych ludzi i strażników stojących pod drzwiami okazała się niemożliwa.

Kiedy Agnieszka zobaczyła moją posiniaczoną twarz, od razu zaczęła płakać. Wiedziałem, że jest w gorszym stanie psychicznym niż ja. Miała napady lęków i zespół stresu pourazowego, chodziła do psychologa. To miejsce ją przerażało. Agnieszka pochodziła z bogatego domu, skończyła prywatne szkoły, znała trzy języki, jej życie wypełniały lekcje jazdy konnej, podróże i organizacje studenckie. A ja mimowolnie wciągnąłem ją do zupełnie innego świata, brudnego i brutalnego. Świata, z którym nigdy nie miała styczności.

Kiedy przestała płakać, zapytała, jak się czuję. Czy dam radę.

Powiedziałem jej, że nic mi nie jest, że rządę tym miejscem, że zamierzam założyć własny gang. Staralem się rozśmieszyć ją tak jak dawniej, ale już nic nie było takie jak kiedyś. Nie mogło być. Kiedy się żegnaliśmy, powtarzałem, że ją kocham, i mówiłem, że damy radę.

Zacząłem się przyzwyczajać do więzienia. Każdy dzień zaczynałem od pompek i brzusków, chodziłem na siłownię, podnosiłem ciężary, biegałem dookoła spacerniaka. Nauczyłem się nawet budowlanki na kursach zawodowych i odnowiłem elewację zakładu. Raz w miesiącu spotykałem się z psychologiem, który pytał, jak sobie radzę, i za każdym razem odpowiadałem, że w porządku. Traktowałem to wszystko jak obowiązkową służbę wojskową. Dużo czytałem i inni więźniowie zaczęli mówić na mnie „Magister”, bo jako jedyny w całym więzieniu miałem skończone wyższe studia. Miałem dobrą relację z wychowawcą, który często mówił, że jestem wzorowym więźniem i że przydałoby mu się więcej takich.

Radziłem sobie z nową sytuacją, ale Agnieszka nie potrafiła jej zaakceptować. Na kolejnych widzeniach była smutna i przygaszona.

Mówiła, że za mną tęskni, że chciałaby móc częściej mnie widywać, że nic jej nie cieszy. Wiedziałem, że czuje się samotna i wyobcowana. Jej przyjaciele żyli pełnią życia, randkowali, jeździli na festiwale muzyczne i zwiedzali świat. Nie potrafili jej zrozumieć, mówili „żyj dalej”, a ona nie wiedziała jak. I nie mogła zapomnieć o tym, co ją spotkało, bo co trzy tygodnie odwiedzała mnie w więzieniu. I wtedy wszystko do niej wracało.

Za każdym razem powtarzałem, że ją kocham, i prosiłem, żeby o tym pamiętała.

Po sześciu miesiącach Agnieszka przyszła na spotkanie z oczami zapuchniętymi od płaczu.

Zapytałem, co się stało, a ona powiedziała od razu:

– To tylko stary znajomy z liceum, poszliśmy na kolację, porozmawialiśmy, nic więcej.

Wiedziałem, że „stary znajomy” oznaczał jej byłego chłopaka z liceum, z którym spotykała się przez dwa lata. Rozstali się, bo nie była gotowa na stały związek. Nie miałem pojęcia, że sukinsyn znów pojawił się w mieście.

Zapytałem spokojnie, czemu to zrobiła. Czemu nie mogła porozmawiać z kimś innym.

– Chciałam porozmawiać z kimś, kto nie wie, co się stało, i nie patrzy na mnie ze współczuciem. Chciałam przez chwilę nie być sobą, tylko zwykłą dziewczyną. Chciałam przez chwilę udawać, że mam normalne życie.

– Ty przynajmniej możesz udawać – powiedziałem.

Spuściła wzrok, zawstydzona. Wiedziałem, że sprawiłem jej ból. Obiecała, że już więcej się z nim nie zobaczy. Uwierzyłem. Ale na kolejnych wizytach zaczęła się ode mnie oddalać. Coraz mniej mówiła o swoim życiu, skupiając się na pracy i znajomych. Starannie selekcjonowała informacje. Wiedziałem, że błądzi gdzieś myślami, unika patrzenia mi w oczy, ucieka wzrokiem, miga się w rozmowie. Tak jakbym nie był jej przyszłym mężem, tylko dawnym znajomym,

którego odwiedza wyłącznie z obowiązku. Kiedy prosiłem, żeby powiedziała, co dzieje się u niej, co czuje albo co myśli, wybuchła złością i oskarżała mnie o to, że ją kontroluję. Prawie każda nasza rozmowa kończyła się kłótnią i upomnieniami strażników. A kiedy nawet się nie kłóciliśmy, zapadała między nami cisza gęsta od niewypowiedzianych wyrzutów. Agnieszka patrzyła w okno, w myślach odliczała czas do zakończenia wizyty.

Czułem, że ją tracę, i nie mogłem nic z tym zrobić.

A potem bez uprzedzenia ominęła dwie wizyty. Nie przyszła przez sześć tygodni, nie zadzwoniła i nie odbierała telefonu. Byłem chory ze stresu. Martwiłem się o nią. Dzwoniłem do wspólnych znajomych, do rodziców, pytałem, czy nic jej się nie stało. Dowiedziałem się, że wciąż chodzi do pracy. Nie wiedziałem, czemu przestała mnie odwiedzać. Mimo że oboje męczyliśmy się podczas widzeń, wciąż ich potrzebowałem. Wciąż potrzebowałem jej.

Gdy strażnicy wezwali mnie na kolejne widzenie, już wiedziałem, że coś się stało. Agnieszka miała paznokcie ogryzione do żywej skóry i patrzyła w podłogę. Kiedy dotknąłem jej dłoni, odsunęła ją. Drżała. Przez długą chwilę milczeliśmy, bo ona nie była w stanie tego powiedzieć. Ale w końcu postanowiłem zrobić to za nią.

– I co, dobry był seks? – zapytałem zachrypniętym głosem.

Do ostatniej chwili miałem nadzieję, że zaprzeczy, ale zobaczyłem tylko, jak łzy płyną jej po policzkach.

– Przepraszam.

– Nie musisz już więcej przychodzić – powiedziałem przez zaciśnięte gardło. – Możesz mieć swoje normalne życie.

Liczyłem, że zaprotestuje. Ale ona tylko na to czekała. Zdjęła z palca pierścioneł, z którego kiedyś tak się cieszyła, i położyła go na stoliku. Nie wyciągnąłem po niego ręki. Nie mogłem uwierzyć, że to zrobiła.

– Nie powinienes do niego strzelać, Aleks – powiedziała cicho. – Wszystko zniszczyłeś.

– Chciałem cię tylko bronić.

– Nieprawda. Myślałam o tym bardzo długo, myślałam o tym codziennie, odkąd tu jesteś. I wiem, że nie zrobiłeś tego dla mnie. Gdyby tak było, strzeliłbyś w powietrze. Strzeliłeś do niego, bo chciałeś się zemścić. Oni cię pobili, upokorzyli i zabrali coś, co należało do ciebie. I nie mogłeś im tego darować. Bo ty nigdy nie potrafisz odpuścić, Aleks. Zawsze musisz wygrać, nieważne jakim kosztem.

Wstałem od stolika i wyszedłem bez pożegnania. Nie mogłem na nią patrzeć i nie chciałem spędzić ani sekundy dłużej w jej obecności. Wracając do celi, wdałem się w bójkę z innym więźniem. Przechodząc obok, przypadkiem potracił mnie ramieniem, a ja wiedziałem, że został skazany za gwałt, i wykorzystałem to jako pretekst. Tłukłem go tak długo, aż dwóch innych więźniów musiało mnie od niego odciągnąć. W celi waliłem pięścią w ścianę, aż połamałem sobie palce. Chciałem czuć ból, bo wszystko było lepsze od tego, co działo się w mojej głowie.

Następnego dnia zacząłem starać się o przedterminowe zwolnienie. Minęło już pół roku, miałem do tego prawo. Chciałem odzyskać Agnieszkę. Mimo że byłem na nią zły, to nadal nie wyobrażałem sobie bez niej życia. Postanowiłem wybaczyć jej zdradę. Wiedziałem, że znajomość z tym facetem jest przelotna i wypełnia pustkę. Przecież to mnie kochała, to mnie powiedziała „tak” i to ze mną planowała przyszłość. A teraz cierpiała i była samotna, dlatego zrobiła coś głupiego. Wciąż mieliśmy szansę. Marzyłem, że gdy wyjdę na wolność, zaczniemy wszystko od nowa. Ona musiała tylko zobaczyć we mnie kogoś innego niż więźnia. Musiała zobaczyć, że wciąż jestem sobą. Marzyłem, że zbudujemy razem życie, które zawsze chcieliśmy mieć. Te myśli trzymały mnie przy życiu, dawały nadzieję.

Składałem kolejne pisma, pisałem odwołania i walczyłem tak długo, aż wreszcie się zgodzili. Nigdy nie zapomnę dnia, w którym

wyszedłem na wolność. Na parkingu czekał na mnie przyjaciel. Jeden z tych, którzy o mnie nie zapomnieli. Pamiętam, że idąc do samochodu, nie mogłem przestać się uśmiechać. Świat nigdy wcześniej nie wydawał mi się taki piękny. Pamiętam, że cieszyłem się z widoku nieba, cieszyłem się z jazdy samochodem i z tego, że niedługo ją zobaczę. Nie miałem kontaktu z Agnieszką od trzech miesięcy, bo zmieniła numer telefonu, ale od wspólnych znajomych wiedziałem, że wciąż mieszka tam, gdzie wcześniej.

Kumpel podwiózł mnie do swojego mieszkania i oświadczył, że jeden pokój jest dla mnie. Kiedy wszedłem do środka, potknąłem się o kartonowe pudła. Agnieszka starannie spakowała moje rzeczy i przywiozła je do mojego przyjaciela. Po prostu kawałek po kawałku wyprowadziła mnie ze swojego mieszkania. W jednym z pudeł znalazłem mój pistolet, czeski shadow, wraz z magazynkiem. Włożenie go do kartonowego pudła było dość niebezpieczne, ja sam zawsze trzymałem go w sejfie. Ale widocznie Agnieszka chciała się go jak najszybciej pozbyć ze swojego domu. To właśnie do tego pudła dołączyła kartkę z napisem „Przepraszam” i kopertę, w której były wszystkie nasze wspólne zdjęcia. To było pierwsze zaskoczenie. Myślałem, że pozwoli mi odebrać swoje rzeczy osobiście. Gdybym się wtedy zastanowił, pewnie zrozumiałbym, co to oznacza. Ale byłem zbyt podekscytowany wyjściem na wolność. Nie myślałem trzeźwo. Nie słuchałem rad przyjaciela, jeszcze tego samego wieczoru wsiadłem do auta i podjechałem pod jej dom. Wciąż miałem klucze do jej mieszkania.

Zaparkowałem na podwórku przed jej blokiem. Siedziałem w aucie i układałem w myślach wszystko, co chciałem jej powiedzieć. Ja, ona i nowy początek. Domek na przedmieściach, duży ogród, labrador i może nawet dziecko, tak jak zawsze chciała.

I wtedy zobaczyłem ją przez szybę samochodu. Mieszkała na parterze, więc widziałem, jak krząta się po kuchni, przygotowując kolację. Nie widziałem jej twarzy, bo stała tyłem, ale rozpoznałem



ciemne włosy związane w kucyk. Jej nowy facet, Maciek czy Mariusz, wszedł do kuchni, objął ją i pocałował. Patrzyłem na to i nie mogłem tego zrozumieć. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego ktoś obcy całuje moją dziewczynę, za którą oddałem rok życia i oddałbym dużo więcej. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego ona na to pozwala.

Ale wtedy Agnieszka odwróciła się, żeby postawić talerz na stole. Coś było nie tak. Coś się zmieniło, ale mój umysł w pierwszej chwili nie zarejestrował co. A może po prostu nie chciałem zrozumieć, dlaczego tak często kładzie dłoń na brzuchu. Dotarło to do mnie dopiero po dłuższej chwili, zobaczyłem wydruk USG przywieszony magnesem na lodówce.

W tamtej chwili w moim mózgu nastąpiło zwanie. Zapomniałem o wszystkim. Zapomniałem, co do niej czułem, zapomniałem, co nam się przytrafiło. Zapomniałem nawet, jak się nazywam. Cały świat zmalał tylko do tego małego obrazka na lodówce. I od tamtej pory ten obrazek sterował każdym moim ruchem.

Nawet nie wiem, jak pistolet znalazł się w mojej dłoni. Zabrałem go ze sobą z mieszkania kumpla i schowałem do skrytki w samochodzie. Nie zamierzałem go użyć tego wieczoru, nawet nie przeszło mi to przez myśl. Po prostu obiecałem sobie, że już nigdy więcej nie dam się podejść z zaskoczenia. Nigdy więcej nie będę leżał na ziemi, w brudnej kałuży, skopany i upodlony.

Najgorsze w posiadaniu broni jest to, że czasem możesz wycelować ją w kogoś, kto ci nie zagraża.

\*\*\*

– I co, zabiłeś ją?

Głos Tymona wyrywa mnie ze stanu całkowitego odrętwienia. Unoszę głowę i rozglądam się. Zapomniałem, że wciąż klęczę na mokrej ziemi. Wiktoria, Daniel i Tymon wpatrują się we mnie, a na ich twarzach rysuje się ogromne napięcie.

– Nie – mówię. – Nie zabiłem swojej dziewczyny. Nie jestem psychopatą. Pojebało cię, Tymon?

– No nie... – peszy się. – Po prostu sposób, w jaki to opowiadasz... no, wszystko na to wskazywało. Więc co zrobiłeś?

Milczę. Nie jestem pewien, ile mogę im powiedzieć. Nie jestem pewien, czy wszystko zrozumieją, skoro nawet ja nie potrafię pojąć, co tak naprawdę wydarzyło się tamtego dnia.

– Aleks? – pyta cicho Wiktoria. – Co zrobiłeś?

\*\*\*

Najgorsze w posiadaniu broni jest to, że czasem możesz wycelować ją w kogoś, kto ci nie zagraża, ale cię krzywdzi. Dlatego wycelowałem broń we własną skroń. Cała potencjalna przyszłość przestała mieć dla mnie znaczenie. Moje życie było skończone. W tamtej chwili zrozumiałem, że już nigdy nie będzie sensowne, spełnione, szczęśliwe. Wiedziałem, że nikogo nie pokocham tak jak jej. Bardzo długo czułem broń przy swojej skroni i po prostu oddychałem. Mogłem to zrobić i chciałem to zrobić.

Ale ktoś mi na to nie pozwolił.

\*\*\*

– Kto? – pyta Wiktoria.

– Typ, który kazał mi przeparkować samochód. Zapukał w szybę i zupełnie mnie zdekoncentrował.

Tymon wydaje z siebie cichy dźwięk, który brzmi jak powstrzymywane parsknięcie śmiechem. Nie winię go za to.

– Nie chciałem go przestraszyć, więc schowałem broń i pojechałem do domu – tłumaczę.

– Dobrze zrobiłeś – mówi Wiktoria.

– Tak myślisz?

Sięgam do czerwonej skrzyni ze wskazówkami, wydaję glocka i podnoszę go.

Wiktoria, Tymon i Daniel cofają się przestraszeni.

Wydaję magazynek, wypada na moją dłoń. Pusty. Pociągam zamek, żeby sprawdzić, czy w komorze nie ma naboju. Jest pusta. Puszczam zamek, celuję w las i oddaję strzał kontrolny. Rozlega się tylko puste kliknięcie.

– Nie jest naładowana – stwierdzam, podając pistolet Wiktorii. – Nic z nią nie zrobimy.

– W porządku. – Wiktoria oddycha z ulgą. – Chodźmy stąd.

Nie ruszam się z miejsca. Klęczę nad rozkopanym dołem i myślę, że właściwie mógłbym tu już zostać. Jestem potwornie zmęczony, bolą mnie wszystkie mięśnie.

– Aleks? – odzywa się Tymon. – Chodź, musimy iść. Musimy znaleźć Lanę, ona pobiegła za tą wariatką. Może potrzebuje pomocy.

– Dajcie mi chwilę – proszę.

Straciłem wszystko. Agnieszkę. Marikę. Zawiodłem je i czuję, że już nigdy nie wyjdę z tego lasu. Nie mam siły wstać. Nie mam siły iść dalej. I wtedy, nagle w zasięgu wzroku pojawia się dłoń. I to dłoń ostatniej osoby, której bym się spodziewał.

– Chodź – odzywa się Daniel. – Musisz wstać. Idziemy znaleźć twoją dziewczynę.

Patrzę na niego z niedowierzaniem i niezrozumieniem, a potem podaję mu zdrową rękę. Daniel ciągnie mnie w górę i chwilę później stoimy już na tej samej wysokości.

Zaczynam iść przed siebie, w głąb lasu i z każdym krokiem czuję się coraz lepiej. Wyprzedzam wszystkich. Myślę o tym, że drużyna Zwiadowców jest znów razem, i to silniejsza niż kiedykolwiek. A co najważniejsze, wreszcie ufają mi tak, jak powinni. Dobrze, że nie poznali całego zakończenia tamtej historii.

\*\*\*

Tak naprawdę wcale stamtąd nie odjechałem. Siedziałem w samochodzie pod domem Agnieszki z lufą pistoletu przy skroni. Nie uratował mnie żaden osiedlowy bohater. Po prostu celowałem w swoją skroń i bardzo szybko oddychałem.

I wtedy usłyszałem ten głos w swojej głowie.

*Kiepski pomysł.*

Rozejrzałem się, ale przy samochodzie nikogo nie było.

*Naprawdę chcesz się zabić? Robert Grzała i jego koledzy już otwierają szampana. Skończyłeś za nich robotę, wygrali. Na dzielni się będą chwalić, że odjebali frajera. Moje gratulacje.*

Daj mi spokój, pomyślałem ze zmęczeniem. Chcę tylko, żeby to wszystko już się skończyło.

*A ta mała puszczańska, którą uważałeś za swoją narzeczoną? Myślisz, że po tobie zapłacze? Wyświadczysz jej tylko przysługę. Zapomni o tobie szybciej, niż myślisz. Nigdy nie odwiedzi twojego grobu.*

To co mam zrobić?

*A co chcesz zrobić, Aleks?*

Nie wiem.

*Wiesz. Nie ma sensu, żebyś mnie oszukiwał, jestem tobą.*

Wyszedłem z samochodu, poszedłem do monopolowego i kupiłem sobie flaszkę. Siedziałem w samochodzie przed domem Agnieszki całą noc i piłem, chcąc uciszyć ten natrętny głos w mojej głowie. Byłem przestraszony. Wcześniej unikałem wódki, ale teraz bardzo chciałem przestać czuć. Udało mi się zasnąć tylko na kilka godzin. Obudziłem się nad ranem, a wraz ze mną obudził się Nowy Aleks.

Zobaczyłem, jak Agnieszka i jej facet wychodzą z kamienicy. Pocałowali się na pożegnanie. On wsiadł do samochodu i odjechał, pewnie do pracy, ona ruszyła piechotą w kierunku skrzyżowania.

Nowy Aleks zapytał, co zamierzam z tym zrobić.

Poczekalem, az Agnieszka zniknie, wysiadlem z samochodu i ukrylem sie w ciemnej klatce schodowej. Poczulem zimno, ktore przyjemnie chodzilo moja rozgrzana glowe. Kiedy wchodzillem po schodach, zataczalem sie, wciaz bylem pijany. Wlozylem klucz do zamka i przekrecilem go. Otworzylem drzwi. Agnieszka nawet nie zmienila zamkow do mieszkania. Nie wpadla na to, ze mam juz prawo do zwolnienia warunkowego. Nic dziwnego, miala przeciez inne, wazniejsze sprawy na glowie.

Zamknałem drzwi na klucz, odruchowo, tak jak robilem to przez ostatnie piec lat. Chodzillem po jej mieszkaniu i wdychalem zapach, ktory zawsze napawal mnie szczesciem. Dotykalem znajomych przedmiotow i mebli. W miejscu naszych wspolnych zdjec wisialy teraz ich zdjecia, ale poza tym wszystko bylo takie samo. Balkon, na ktorym razem sie wylegiwalismy w cieple dni, lozko, w ktorym skrzypialy spruzyny, kiedy sie kochalismy, szafa, w ktorej trzymalem swoje ubrania.

Czulem sie jak duch i przez chwile zalowalem, ze nie umarlem. Moze gdyby tak sie stalo, Agnieszka oplakiwalaby mnie odrobine dluzej. Ale pewnie nie. Przeciez ona nie potrafila cierpiec zbyt dlugo.

Wszedlem do trzeciego pokoju, w ktorym zwykle trzymalismy niepotrzebne graty. Teraz stalo w nim dziecięce lozeczko pelne pluszakow. Wrócilem do kuchni i spojrzalem na zdjecie USG, ktore wisialo na lodowce. Wyciagnalem reke, zeby go dotknac, a potem ja opuscilem.

Nagle wszystko we mnie wezbralo. Zapragnałem zniszczyc to mieszkanie i wszystko, co w nim bylo. Poczulem, ze to da mi ulge. Przyjechalem tu, zeby zaproponowac Agnieszce nowy poczatek. A tymczasem przyszedlem, zeby wszystko zakonczyc.

Pierwszy byl regal z ksiazkami. Pociagnalem go i przewrocilem, upadl z pieknym hukiem. Podnioslem pompke do roweru i kilkoma uderzeniami rozwalilem telewizor. Rzucilem stolikiem do kawy w sciane. Kopalem w drzwi szafy tak dlugo, az odpadly.

Roztrzaskałem wszystkie zdjęcia, obrazki, szklane pamiątki. Na końcu rozwalilem łóżeczko dla dziecka. Zniszczyłem je kilkoma kopnięciami, zamieniłem w stertę drewna. Nigdy wcześniej ani później nie straciłem nad sobą kontroli do tego stopnia. Może w więzieniu odkryłem w sobie nową, mroczną stronę. A może, tak jak twierdziła Agnieszka, zło zawsze było we mnie, uśpione, czekające na okazję. Może dlatego strzeliłem temu kibolowi w plecy, zamiast strzelić w powietrze. Mogłem go oszczędzić, ale nie chciałem, bo zaatakował to, co było dla mnie najważniejsze.

A teraz nie miałem już nic do stracenia.

Nagle usłyszałem kroki na klatce schodowej i wyszedłem z pokoju. Trzymałem w ręku nogę od stołu, myślałem o nowym partnerze Agnieszki. O ojcu jej dziecka.

Nadszedł najwyższy już czas, żebyśmy się poznali.

Usłyszałem zgrzyt klucza przekręcanego w zamku i w drzwiach stanęła Agnieszka.

Kiedy mnie zobaczyła, momentalnie zbladła i otworzyła usta.

Pomyślałem, że zacznie krzyczeć, nawet chciałem, żeby to zrobiła, ale tak się nie stało. Po prostu stała, a jej oczy błyskawicznie przesuwały się po mojej twarzy i zniszczonym mieszkaniu. Wiedziałem, o czym myśli. Dzieliło nas tylko kilka metrów. Trzy kroki. Za mało czasu na ucieczkę, za mało czasu na uniknięcie tego, co mogło się stać.

Ze strachu wcisnęła się w ścianę, zasłaniając obronnym gestem brzuch.

– Nie rób mi krzywdy – powiedziała cicho. – Proszę.

Nie widziała już we mnie człowieka, który ją uratował i kochał przez sześć lat, widziała wściekłe zwierzę. Wtedy zrozumiałem, że kiedy będzie w popłochu szukała nowego mieszkania, pewnie na drugim końcu kraju albo za granicą, nie będzie myślała o wygodzie i okolicy z przedszkolem. Będzie myślała o mnie. I kiedy będzie kasowała konta w social mediach, nie będzie myślała o korporacjach

wykradających jej prywatność. Będzie myślała o mnie. I kiedy po raz drugi będzie składała ze swoim facetem łóżeczko, nie będzie myślała o dziecku. Będzie myślała o mnie. Może już zawsze będzie się mnie bała, może już zawsze będę jej złym snem. Koszmarem, który będzie budził ją w środku nocy. Nawracającym lękiem, echem przeszłości, wyrzutem sumienia. Może już nigdy nie będzie miała normalnego życia, o którym tak marzyła. Wiedziałem, że już zawsze będę jego częścią, czy ona tego chce, czy nie. I poczułem się z tym dobrze. Bo to oznaczało, że wygrałem. Więc tylko uśmiechnąłem się do niej i wyszedłem.

\*\*\*

Siedem lat później, kiedy już miałem dobrą pracę i mieszkanie, wciąż potrzebowałem miejsca, w którym mógłbym się ukryć przed światem. Problem w tym, że strzelnica już nie dawała mi wytchnienia. Całymi godzinami napierdalałem w tarczę, nie czując absolutnie nic. Ale kilka tygodni temu poczułem na sobie czyjś uważny wzrok. Wiedziałem, że Apacz mnie obserwuje. Nie znałem go, słyszałem tylko pogłoski. Na strzelnicy mówili, że Apacz jest byłym żołnierzem, snajperem, który niedawno wrócił z misji w Afganistanie. Pewnego dnia podszedł do mnie.

– Dobrze strzelasz – powiedział. – Potrzebujemy takich ludzi w Grupie. Dołącz do nas, rozerwiesz się trochę.

Zapytałem, o jaką rozrywkę mu chodzi, a on tylko się uśmiechnął. Powiedział, że w Grupie nie używają prawdziwych imion ani nazwisk, ale posługują się pseudonimami. Dla bezpieczeństwa. Zapytał, jak na mnie wołają. Powiedziałem: „Magister”. Chyba właśnie w tamtej chwili podpisałem niewidzialny kontrakt.

Apacz powiedział: „Przyjdź tu, na strzelnicę, w niedzielę po dwudziestej. Drzwi będą zamknięte, ale otworzysz je tą kartą”.

I tak dowiedziałem się o istnieniu Grupy.

Przyszedłem na strzelnicę w niedzielę wieczorem. Do terenu strzelnicy przylegała duża, zamknięta hala, która zawsze była w trakcie remontu – a przynajmniej tak myślałem. Kiedy się tam pojawiłem, okazało się, że hala i piętro powyżej są w świetnym stanie. To tam miałem pierwsze szkolenie z byłymi żołnierzami GROM-u.

Grupa nie była formalną organizacją, nie miała nazwy, struktury ani statusu prawnego. Ktoś finansował ten projekt w konkretnym celu. Chodziło o wyszkolenie grupy ludzi i wysyłanie ich na zorganizowane, nielegalne akcje, w których nie mogły uczestniczyć służby specjalne. Udział w akcjach był całkowicie dobrowolny, za to wypłaty za każdą z nich zapewniały od pięciu do dziesięciu lat bezpiecznego i wygodnego życia. Grupa była finansowana przez tak zwanych Sponsorów. Już pierwszego dnia powiedziałem Apaczowi, że mogę się szkolić, ale nie mam zamiaru brać udziału w nielegalnych akcjach, bo mam już jeden wyrok. Apacz stwierdził, że każdy tak mówi, dopóki nie zobaczy walizki pełnej pieniędzy. Dodał też, że nawet jeśli zostanę złapany na gorącym uczynku, nigdy żadna prokuratura nie będzie się domagała mojego skazania. Sponsorzy załatwią wszystko jednym telefonem.

„Będziesz nietykalny jak Kościół” – powiedział Apacz i mrugnął do mnie okiem.

Wtedy już wiedziałem, kim są Sponsorzy, i wiedziałem, że nie chcę dla nich pracować. Ale chciałem szkolić się za ich pieniądze. Żeby już nigdy nie przegrać. Żeby już nikt nigdy nie kopał mnie na ziemi.

\*\*\*

Teraz, prowadząc drużynę głębiej w las, uśmiecham się kątem ust.

*No cześć, Aleks, wróciłem. Już się ze mną pogodziłeś? Już zrozumiałeś, że to ja cię uratowałem? Zrozumiałeś, jak bardzo mnie potrzebujesz?*



Tak, zrozumiałem.

*No to witaj z powrotem. Pozwól, że od teraz ja przejmę kontrolę, dobra?*

Dobra.

Stary Aleks wciąż cierpi, wciąż oplakuje straty.

Ale Nowy Aleks nie rozpamiętuje starych spraw.

Nowy Aleks trenuje się w sztuce przetrwania.

Nowy Aleks trzyma w dłoni glocka i wie, że naboje do pistoletu mogą być ukryte gdzieś w lesie. Wystarczy szukać wskazówek.

Nowy Aleks czuje, że odzyskał swoją drużynę i że zostanie z nią do końca.

Do samego końca.



# ROZDZIAŁ X

## UKRYTY ŚWIAT

### WIKTORIA

Już to kiedyś widziałam. Już tu kiedyś byłam.

Odkąd zeszliśmy do kotliny i zobaczyłam skały w kształcie twarzy, ta myśl nie daje mi chwili spokoju.

Już to kiedyś widziałam, już tu kiedyś byłam.

Aleks prowadzi nas w głąb lasu, nawołujemy Lanę, szukamy jej. Mam nadzieję, że Gośka nie zrobiła jej krzywdy. Gdy uciekała, miała w oczach kompletne szaleństwo.

Kuśtykam, opierając się na ramieniu Daniela. Jestem mu wdzięczna za pomoc, bo na pewno nie zrobiłam nic, żeby na nią zasłużyć. Miękką ściółka ugina się pod moimi stopami, mam wrażenie, że las chce wessać mnie pod ziemię i już nie wypuścić. Powietrze jest gęste i ciężkie, zanoszą się na burzę. Wdycham zapach żywicy, wilgotnego mchu i myślę, że jeśli uda mi się stąd uciec, nigdy więcej nie wejdę do żadnego lasu.

Mgła trochę się przerzedziła, ale bez okularów i tak widzę tylko to, co znajduje się w pobliżu. Drzewa, krzewy i leśna gęstwina pozostają rozmyte. Przez wadę wzroku czuję się dziwnie oderwana od rzeczywistości, jakby wszystko dookoła było tylko dekoracją, mogącą zawalić się w każdej chwili.

Wciąż mam przy sobie zdjęcie, które znalazł Aleks. Musiałam je zabrać z tego upiornego domu, nie chciałam, żeby tam zostało. To zdjęcie latami stało na biurku mojego ojca i powinno tam wrócić. Teraz ukrywam je w wewnętrznej kieszeni kurtki jak talizman. I wciąż myślę o tym, kto je ukradł.

Po wielu kilometrach kuśtykania moja zdrowa noga jest przeciążona. Co chwila przeszywają ją skurcze. Potrzebuję chwili odpoczynku, ale nie potrafię o nią poprosić. Obawiam się, że reszta drużyny wkrótce zacznie postrzegać mnie jako obciążenie. Kontuzja nogi połączona z wadą wzroku sprawiła, że stałam się dla nich zupełnie bezużyteczna. Nie dostrzegę niebezpieczeństwa, nikogo nie obronię, opóźnię ewentualną ucieczkę. Wiem, że jeśli mnie tu porzucą, moja szansa na przeżycie drastycznie zmaleje. Co za ironia, całe życie próbowałam być niezależna od innych ludzi, a teraz jestem zdana na ich łaskę. Bez pomocy nie mogę nawet samodzielnie się poruszać. Moje ubranie jest brudne od błota, przesiąknięte wilgocią, przepecone, śmierdzące. Kiedy wchodziłam do tego lasu, byłam kimś innym. Byłam pewna siebie, silna, twarda. Niewiele z tego pozostało. Teraz nie jestem już hieną, tylko zaszczutą zwierzyną. Bez przerwy rozglądam się na boki, szukając zagrożenia. Gośka, Partyzanci, a może ktoś inny. Ktoś, kto mieszka w tym domu.

Gdy słyszę w pobliżu chrzęst deptanych liści, wyciągam z kieszeni paralizator. Nie jestem jedyna. W ciągu sekundy każde z nas trzyma w dłoni jakąś broń. Kastet, saperkę, gaz. W ciągu ostatniej doby wyćwiczyliśmy ten odruch do perfekcji.

Z krzaków wyłania się Lana. Jest spocona, zdyszana i wściekła. W dłoni trzyma otwarty scyzoryk Aleksa.

– Zwiła mi, suka – dyszy. – Goniałam ją przez pół godziny, już prawie ją miałam...

– Może lepiej, że jej nie znalazłaś – stwierdzam.

– Dla niej na pewno. – Lana składa z trzaskiem scyzoryk. – Ale gra się jeszcze nie skończyła.

Zastanawiam się, skąd w niej taka zaciekłość. Wcześniej nie dostrzegłam u niej żadnych oznak agresji, ale odkąd znaleźliśmy Gośkę, Lana zmieniła się w kogoś, kogo nie poznaję. I zaczynam się jej trochę bać.

Całe szczęście, że Raisy tu nie ma. Jeśli mam choć jeden powód do zadowolenia, to fakt, że uchroniłam ją przed tym koszmarem. Nie musiała patrzeć na zakrwawione włosy swojej siostry, nie musiała uciekać przed ostrzałem, ukrywać się pod ziemią, rozkopywać grobów. Ale dlaczego ktoś wysłał do niej zaproszenie? Czym ona mogła sobie zasłużyć na udział w tej grze? Całe życie tylko pomagała innym ludziom, nawet teraz, kiedy sama jest chora.

Zerkam na zegarek. Dochodzi czternasta. Jesteśmy w lesie od dwudziestu czterech godzin. Prawie doba bez snu i kontaktu ze światem.

Czy Raisa zaczęła się już niepokoić? Czy kogoś zawiadomiła? Wiem, że policja nie zacznie mnie szukać przed upływem czterdziestu ośmiu godzin. Zabawne, biorąc pod uwagę, że przy zaginięciu pierwsze trzy doby są zawsze kluczowe. Nikt z gazety nie wie, gdzie teraz jestem. Na reportaż o przeciwnikach szczepień wysłałam stażystę. Nikomu nie powiedziałam, dokąd jadę, nie chciałam, żeby ktoś ukradł mój pomysł. Gdy trafi się obiecujący temat, zwykle szarpiemy się o niego jak psy o kawałek mięsa.

Znajduję w wewnętrznej kieszeni kurtki czekoladowy batonik. Dzielę go na pięć części i częstuję towarzystwo. Wszyscy błyskawicznie połykają swoje kawałki i oblizują usta, tylko Aleks odmawia. Wygląda na chorego. Ma bladą twarz, spierzchnięte wargi i nieustannie dygocze z zimna, choć w lesie jest parno i duszno. Wiem, że ma objawy zakażenia i powinien jak najszybciej trafić do szpitala, ale nie jestem w stanie zrobić nic, żeby mu pomóc. Zmuszam go, żeby przyjął czekoladę, i gryzę swój kawałek. Słodcz

rozlewa się po języku i dodaje mi energii, a jednocześnie boleśnie zaostrza głód. Moje usta napełniają się śliną, żołądek błaga o więcej. W piwnicy domu były ukryte spore zapasy jedzenia, ale baliśmy się je tknąć, bo podejrzewaliśmy, że zostały zatrute. To mogło być morderstwo doskonałe, pięć trupów i brak winnego. Może właśnie w taki sposób zabito zaginionych maturzystów? Wyobrażam sobie, jak głodni i zmaltretowani docierają do tego dziwnego domu w poszukiwaniu schronienia. Jak wyjadają zapasy, a potem umierają w męczarniach w piwnicy. A wreszcie właściciel albo właścicielka domu schodzą na dół, aby posprzątać ciała. Wzdrygam się.

Czy Julię przetrzymywano w tej samej piwnicy co Goškę? Wciąż chcę ją odnaleźć, muszę zrobić to dla Raisy. I czuję, że jestem już bardzo blisko prawdy.

Myślę o zdjęciu ukrytym w wewnętrznej kieszeni mojej kurtki. Widziałam je tyle razy, że obraz na stałe zapisał się w mojej głowie. Na fotografii jestem małą dziewczynką i wtulam się w ojca, a on patrzy na mnie tak jak zwykle, z łagodnym, ciepłym zdziwieniem, jakby właśnie odkrył, że ma córkę. Pamiętam, kiedy zrobiono to zdjęcie. To były moje siódme urodziny, dzień, w którym ojciec zabrał mnie na wycieczkę do Puszczy Posoczyńskiej.

Pamiętam, jak po drodze do kotliny zbierałam kamienie i szyszki, a on opowiadał mi o starych obrządkach z mitologii słowiańskiej, o wężiorach i bajorkach, wieszanych na drzewach. Bajorki oznaczały wstążki proszalne, wieszając je, Słowianie wypowiadali swoje prośby do bogów. Jego opowieści rozpały moją wyobraźnię. Chciałam zawiesić na drzewie własną wstążkę, poprosić słowiańskich bogów o przychylność.

Pamiętam, jak ojciec pokazał mi tajne, kamienne przejście ukryte za bluszczem, pamiętam, jak schodziliśmy do kotliny po kamiennych schodach. Ojciec prowadził mnie za rękę, żebym nie spadła. Pamiętam, że dotykałam skał przypominających ludzkie twarze i przemoczyłam buty, przechodząc przez torfowisko.

Na drzewie powiewa czerwona wstążka, znak od Partyzantów. A więc gra wciąż się toczy.

Myślę o wycinkach z gazet wiszących na ścianie w tym upiornym pokoju. Zaginieni maturzyści, Michał Zieliński, Kamil Woźniak, Rafał Nowak, Łukasz Wójcik. Czterech młodych chłopaków o inteligentnych oczach i zadziornych uśmiechach. Wyglądali na ludzi z charakterem, których mogłabym polubić. Zwłaszcza jeden z nich, Łukasz, wyglądał dziwnie znajomo, ale nie potrafię sobie przypomnieć, skąd mogłabym go znać. Mój mózg działa bardzo powoli. Jak stary komputer, przeszukuje kolejne szuflady pełne informacji, imion i nazwisk. Nie potrafię dopasować jego twarzy do żadnej historii. Może pracując jako reporterka, poznałam zbyt wielu ludzi i wszyscy zaczęli wydawać mi się znajomi.

Myślę o czterech wesołych maturzystach świętujących koniec egzaminów w lesie. Wyobrażam sobie, jak rozpalają ognisko, śpiewają, wznoszą toasty za swoją przyszłość. I nagle z ciemności wyłania się ktoś... Mężczyzna? Kobieta? Starszy? Młody, w ich wieku? Siada z nimi przy ognisku, zaczynają rozmawiać, częstuje ich czymś...

Może było tak, a może zupełnie inaczej. Może po prostu upili się, zasnęli i obudzili się w zupełnie innym miejscu. Porwani i przerażeni.

Gdy maturzyści zaginęli w puszczy, miałam szesnaście lat, byłam tylko trochę młodsza od nich. Nie przejęłam się, bo w wieku szesnastu lat przejmowanie się czymkolwiek dłużej niż godzinę było niemożliwe. Zbyt wiele działo się w moim życiu. To była tylko mroczna historia, którą opowiadaliśmy sobie przy winie, siedząc przy ognisku i grając na gitarze utwory Metalliki. Ale ponieważ to zdarzyło się w sąsiedniej miejscowości, Posoczynie, wielu przesądnych ludzi w moim miasteczku obleciał strach. Plotkowano o morderczynie ukrywającej się w lesie. Niektórzy nawet mówili o wiedźmie, która powstała z grobu i mści się za to, że spalono ją na stosie wraz z córkami. Inni twierdzili, że widzieli duchy maturzystów

przemykające nocą po miasteczku. Puszcza Posoczyńska szybko stała się przeklętym miejscem, którego nikt nie chciał odwiedzać.

Czy mój ojciec powiedział policji o ukrytej kotlinie? Próbuję przypomnieć sobie, jak się zachowywał w czasie, gdy maturzyści zniknęli, ale mam w głowie kompletną pustkę. Gdy byłam szesnastolatką, miałam ważniejsze sprawy niż samopoczucie mojego ojca. Ale czy na poważnie biorę pod uwagę możliwość, że mógłby kogoś skrzywdzić? Porwać? Uwięzić? Zabić? A potem opisać wszystko w powieści i sprzedać ją w setkach tysięcy egzemplarzy?

Nie.

Mój ojciec nigdy nie miał skłonności do przemocy. Nigdy mnie nie uderzył, nigdy nawet nie podniósł na mnie głosu, choć bywałam naprawdę nieznośna. Nigdy zresztą nie słyszałam, żeby krzyczał na kogokolwiek. Gdy pewnego razu przypadkiem potrącił lisa, ze łzami w oczach niósł go do samochodu. Jechał z nim trzydzieści kilometrów do kliniki weterynaryjnej, bez mrugnięcia okiem zapłacił za operację i za leki. Lis przeżył.

Niezależnie od tego, jak brutalne i pełne przemocy są jego książki, mój ojciec nie skrzywdziłby nawet muchy. Nie mógłby uwięzić i zamordować czterech chłopaków. Nie zabiłby Julii.

To niemożliwe.

Gdy zarośla się kończą, docieramy do trzech dzikich, wydeptanych ścieżek. Na każdej z nich leży strzałka ułożona z pomalowanych na czerwono patyków. Zastygamy w bezruchu, zerkamy po sobie niepewnie, nie wiedząc, co robić dalej. Powietrze z chwili na chwilę staje się coraz bardziej duszne.

– Chyba mi nie powiecie, że dalej chcecie iść za ich wskazówkami? – Tymon podnosi jeden z czerwonych patyków i rzuca nim przed siebie.

– Nie mamy wyboru – stwierdza ponuro Aleks.



– Po tym, co widzieliście, dalej dajecie im się szantażować? – Tymon kręci głową z dezaprobatą. – Robią z wami, co chcą...

– A chcesz iść siedzieć za hakerstwo? – parska Lana. – Za to chyba jest osiem lat, nie? Zapytaj Aleksa, jak przetrwać w więzieniu, może da ci jakieś rady.

– Jakie więzienie? – Tymon unosi brwi. – Jak stąd wyjdziemy, jadę prosto na lotnisko i spierdalam z tego kraju.

Na poranionej twarzy Lany pojawia się zaskoczenie, a później złość. Z jakiegoś powodu jego słowa ją zaboląły.

– Fajnie, że masz pieniądze, ale nie wszyscy możemy to zrobić – syczy.

– A Marika? – pyta Aleks. – Zostawisz ją tu? Przecież oni ją zabiją.

– Ja nie jestem za nią odpowiedzialny – parska Tymon. – Znam ją jeden dzień, tak samo jak was wszystkich. Skąd mam wiedzieć, że ktoś z was za tym nie stoi?

– Co powiedziałaś? – pyta Aleks, ruszając w kierunku Tymona. Lana kładzie mu dłoń na piersi, powstrzymuje go. Ale sama łypie na Tymona spode łba.

– To czysta logika – stwierdza Tymon. – Jako jedyny tutaj nie kieruję się emocjami.

– Bo jako jedyny ich nie masz – prychna Lana.

– Tańcz sobie tak, jak Partyzanci ci zagrają, ja nie zamierzam.

– Oni mają mojego kota! – wydziera się Lana. – Jak przestanę grać, to go spalą!

– Naprawdę wierzysz, że po wszystkim tak po prostu ci go oddadzą?!

– A jaki mam wybór?!

– Spokój! – wołam uczepiona ramienia Daniela. – Przestańcie krzyczeć. Tracimy siły i czas na kłótnie, oni dokładnie tego chcą. Gapią się teraz na nas przez lornetki, drony czy co oni tam, kurwa, mają i się z nas śmieją. Tymon, sam mówiłeś, że każdą grę można wygrać.

– Tak, ale potem zobaczyłem dziewczynę, którą trzymali w piwnicy.  
– Tymon podchodzi do kolejnej strzałki i kopie w nią. – Mogę rozwiązywać zagadki, ale oni po prostu chcą nas wykończyć.

– Ciebie mogli zabić, ale tego nie zrobili – przypominam. – Mówiłeś, że trzymali ci broń przy głowie. Ale nie strzelili.

– Oni to szykowali od miesiący – wtrąca Aleks. – Wiesz, co się stanie, kiedy wyjdiesz z tej puszczy? W sekundzie, w której postawisz nogę na zewnątrz, wszystkie dowody, jakie na ciebie mają, lecą na policję i do prokuratury. Nie zdążysz wylecieć z kraju, zatrzymają cię jeszcze na lotnisku.

– My już podjęliśmy decyzję – mówię. – Teraz ty decyduj, Tymon. Odchodzisz czy zostajesz z nami do końca?

Tymon nerwowo postukuje zniszczonym trampkiem o ziemię. Wygląda jak znerwicowany królik próbujący ostrzec nas przed niebezpieczeństwem. Lana nieprzerwanie patrzy mu prosto w oczy. Tymon spogląda na nią i kręci głową z niedowierzaniem.

– No dobra. Zostaję – decyduje w końcu. – Ale jak mnie zabiją, przypilnujcie, żeby współlokator nie dostał mojego PlayStation.

– A ja mogę? – Lana uśmiecha się kątem ust.

– A bierz sobie. Byle Falkor go nie dostał.

– Osobiście tego dopilnuję – zapewnia Lana.

– Nikt tu nie zginie Tymon – mówię z przekonaniem. – To tylko gra i musimy ją wygrać.

– Trzeba się rozdzielić – stwierdza Aleks. – Niech każdy sprawdzi jedną ścieżkę, tak będzie szybciej. Ja pójdę z Wiktoria.

Wskazuje ścieżkę prowadzącą w prawo i posyła mi spojrzenie mówiące, że nie mam wyboru. Dochował mojej tajemnicy, nie wspominał nikomu o zdjęciu znalezionym w domu, więc jestem mu to winna. Kiwam głową na znak, że rozumiem.

– Ja pójdę sam – deklaruje Daniel.

Na jego twarzy nie widać strachu, raczej pogodzenie się z nieuchronnym losem.

– No to Lana i Tymon, idźcie razem. Spotkajmy się tu za piętnaście minut – proponuje Aleks.

– No to... uważajcie na siebie – żegnam się, myśląc o tym, że mogę już nie zobaczyć żadnego z nich. – Cieszę się, że was poznałam. Nie dajcie się zabić.

– I na pohybel królowi – dodaje Lana.

Przez chwilę nie rozumiem, o co jej chodzi, ale potem przypominam sobie, że to cytaty z ksiązek mojego ojca. Teraz żałuję, że nigdy ich nie przeczytałam, może znalazłabym w nich ukryte przesłanie, które mogłam zrozumieć tylko ja.

– Na pohybel – odpowiadają Aleks i Tymon.

Podnoszą pięści i stukają się nimi w pierś, a potem podnoszą dłonie do skroni w jakimś dziwnym geście przypominającym salut. Wiem, dlaczego to robią. Wyglupiają się, żeby odebrać tej chwili powagę. Ukrywają strach, stres, poczucie beznadziei, wyczerpania. Zachowują się, jakbyśmy wciąż byli w początkowej fazie gry, kiedy jeszcze wszystko wydawało się emocjonującą przygodą.

– Żebyśmy tylko nie skończyli jak buntownicy u króla Moravii – mówi Tymon.

– A jak oni skończyli? – pytam.

Tymon, Aleks i Lana spoglądają na mnie z niedowierzaniem.

– Przecież to pierwsza książka twojego ojca – odzywa się Lana. – Naprawdę jej nie czytałeś?

– Co się z nimi stało? – naciskam.

Lana milczy przez dłuższą chwilę i widać, że wypowiedzenie tych słów przychodzi jej z wyraźnym oporem.

– Wszyscy umierają.

\*\*\*

Niebo zaczyna błyskać i słyszę pierwszy grzmot. Mimo że niedawno minęła czternasta, jest ciemno, jak gdyby już nastąpiła noc. Powietrze

jest lepkie i gęste od tajemnic.

Opieram się na zdrowym ramieniu Aleksa, a on obejmuje mnie w talii. On idzie, ja kuśtykam, nasze nogi się o siebie ocierają. Jesteśmy blisko siebie, tak blisko, że kłamstwa wydają się niemożliwe.

– Przykro mi z powodu tego, co cię spotkało – odzywam się, spoglądając na niego. – Strzelanina, więzienie i to, co zrobiła twoja dziewczyna... Przeszedłeś piekło. Ja na twoim miejscu chyba bym zwariowała.

Aleks uśmiecha się bez żadnego wyraźnego powodu.

– To była częściowo moja wina – stwierdza po chwili. – Popełniłem błąd.

– Strzelając do tamtego gościa?

– Nie, kochając ją bardziej, niż na to zasługiwała.

– Myślisz, że twoja była dziewczyna ma coś wspólnego z grą?

– Agnieszka? – Aleks marszczy brwi i kręci głową. – Nie, nie sędzę. Nigdy nie przepadała za gramami. I naprawdę nienawidziła broni.

– Dzięki, że nie powiedziałaś im o zdjęciu. Naprawdę nie wiem, skąd się wzięło w tym domu...

– Nie chciałem, żeby cię zlinczowali – mówi Aleks. – Musimy się trzymać razem. Cokolwiek zrobił twój ojciec...

– On nic nie zrobił – przerywam mu.

– Sama powiedziałaś, że znał tę Julię, że przychodziła do was do domu. Może miał też powiązania z tymi chłopakami, którzy zaginęli.

– To nie ma żadnego sensu. Wszystko w tym pokoju było zainscenizowane. Na przykład ten papieros w popielniczce. Mój ojciec rzucił palenie pięć lat temu. Nie pije kawy, tylko herbatę, i nie trzyma w domu swoich książek. Po wydaniu nigdy ich nie czyta. Mówi, że nie warto wracać do własnych skończonych dzieł. Ktoś go wrabia.

– Wiesz to czy po prostu wolisz tak myśleć?

– Gdybym uważała, że mój ojciec naprawdę skrzywdził tych ludzi, pierwsza zadzwoniłabym po policję.

– Naprawdę? – Aleks spogląda na mnie z niedowierzaniem.

– Wiesz, że religijni ludzie zawsze stawiają na pierwszym miejscu Boga? Wyżej niż własną rodzinę, Bóg musi być najważniejszy. U mnie na pierwszym miejscu zawsze jest prawda. Więc tak. Zrobiłabym to.

– Wiesz, kto może stać za tą grą?

– Mam pewien pomysł.

– Mów.

– Pamiętasz tego chłopaka, który próbował mnie porwać, kiedy byłam dzieckiem? Nazywał się Jan Kowalski. Kiedy włamał się do naszego domu, był studentem pierwszego roku polonistyki. Mówiłam wam, że pisał do mnie listy, kiedy był w więzieniu. A kiedy wyszedł, zadzwonił do redakcji, w której byłam stażystką, i poprosił mnie o spotkanie. Poszłam, każdy dziennikarz zrobiłby to samo na moim miejscu. Wywiad z porywaczem przeprowadzony przez ofiarę? Świetny materiał, mój naczelny byłby zachwycony. Zapakowałam do torebki gaz łzawiący i spotkałam się z Janem w barze na rynku. Siedział przy stoliku i pił wodę. Pamiętam, że wyglądał tak niepozornie. Miał taką pospolitą twarz... nieważne. Zapytałam, skąd zna mojego ojca. Odpowiedział, że kiedy jeszcze mieszkaliśmy w Warszawie, był jego uczniem. Mój ojciec uczył go polskiego, a po lekcjach prowadził warsztaty literackie. Chłopak powiedział, że był nim zafascynowany i traktował go jak mentora. Mówił, że mój ojciec był jedynym człowiekiem na świecie, który w niego uwierzył i dostrzegł w nim talent. Twierdził, że poświęcał mu swój prywatny czas i po lekcjach przez rok pracowali nad jego opowiadaniem. Ale pewnego dnia Jan przyszedł do szkoły i dowiedział się, że jego ulubiony nauczyciel nagle złożył wypowiedzenie. Wtedy pomyślał, że może spotkała go jakaś tragedia, próbował się z nim skontaktować, ale nie udało się. Rok później, kiedy przechodził obok księgarni,

zobaczył w witrynie książkę, której tytuł znał bardzo dobrze, bo taki tytuł nosiło opowiadanie, nad którym pracował z moim ojcem. *Najemnicy z krwi i ognia*.

Aleks spogląda na mnie z niesmakiem.

– Twój ojciec splagiatował pomysł na sagę od własnego ucznia?

– Tak twierdził Kowalski. Powiedział mi, że nie chodziło mu o pieniądze ani o sławę, ale o zdradę człowieka, który był jego autorytetem i wzorem. Podobno mój ojciec nigdy nie odebrał od niego telefonu. W końcu chłopak nabawił się depresji, wyleciał z uczelni, stracił pracę i wpadł w długi. Wtedy zjawiał się w domu mojego ojca i poprosił go o pożyczkę. A właściwie go zaszantażował. Pieniądze w zamian za milczenie. Mój ojciec zagroził mu, że pójdzie na policję. Wtedy Jan postanowił włamać się do naszego domu i ukraść mu coś cennego, tak jak mój ojciec ukradł jego pomysł na książkę. Próbował porwać mnie.

Aleks kręci głową z niedowierzaniem.

– I co? Uwierzyłaś mu? Opublikowałaś ten wywiad w gazecie?

– Nie.

– Czemu?

Spoglądam na niego z uśmiechem.

– Bo wiedziałam, że kłamie. Wiesz, Aleks, to mój specjalny talent, zawsze wyczuwam kłamców. Mimo że Kowalski pokazał mi różne materiały, wydrukowane maile i screeny wiadomości wysłanych do ojca, ich wspólne zdjęcie z warsztatów literackich, wiedziałam, że coś tu nie gra. Przeszukałam archiwa i znalazłam stare wydanie „Fandomu”, gazety, która kiedyś publikowała opowiadania fantasy. Było tam opowiadanie o najemnikach z magicznymi mocami autorstwa mojego ojca. Opublikował je trzy lata przed tym, jak Kowalski został jego uczniem. Nie mógł go splagiatować od Kowalskiego, nie było takiej możliwości. To raczej Kowalski zainspirował się jego historią, a on przymknął na to oko. W każdym razie, kiedy zadzwoniłam do Kowalskiego i powiedziałam mu, że nie

opublikuję wywiadu, dostał szału. Zarzucił mi, że kryję tatusia i że zniszczy nas oboje. No i... zobacz, gdzie teraz jestem.

– No dobra, nawet jeśli chciał cię ukarać. Po co miałby tu ściągać nas?

– Żeby mieć publikę? Nie wiem. To wariat.

– Skąd wiedziałby o nas te wszystkie rzeczy?

– Na pewno nie działa sam. Pomyśl, komu się naraziłeś.

Aleks nagle się zatrzymuje i czuję, jak jego ramię sztywnieje.

– Aleks? Co jest?

Spoglądam na niego. Kładzie palec na ustach, a potem wskazuje na stare, umierające, zmurszałe drzewo. Podążam za jego wzrokiem i patrzę na suchą, zniszczoną korę, na której krzykliwą czerwienią wymalowany jest znak. Strzałka z potrójnym grotem.

– Wiesz, co to znaczy? – pytam.

– Oczywiście. To znak patrolowy harcerzy, sam go kiedyś używałem. To znaczy: „biegnij”.

Spoglądam w dół, na zapuchniętą kostkę.

– Ja raczej nie pobiegnę – stwierdzam. – Ale tam może być Marika. Jeśli chcesz jej poszukać, poczekam tu.

– Nie zostawię cię samej.

Spoglądam na niego z wdzięcznością. Bez trudu mogę go sobie wyobrazić jako harcerza. Przewodnika, instruktora, druha czy jak oni nazywają tych starszych stopniem. Pewnie był wesoły, honorowy, opiekuńczy i pełen entuzjazmu. Jeszcze nie wiedział, co szykuje dla niego życie w niedalekiej przyszłości.

Podchodzimy ostrożnie do drzewa. On idzie, ja kuśtykam, wczepiona w jego ramię. Aleks patrzy we wskazanym przez strzałkę kierunku. Tuż obok stado srok skubie coś na ziemi. Białe-czarne pióra furkoczą, ptaki zaciekle walczą o łup, wrywają go sobie z dziobów.

– Wiktoria? – odzywa się Aleks, wpatrując się w znak. – Coś mi się tu nie podoba.

Nie słucham go, patrzę na sroki. Próbuję dojrzeć, co je tak zainteresowało.

– Tymon miał rację, Partyzanci się z nami bawią. Powinniśmy zawrócić.

Nie odpowiadam mu, bo nie mogę znaleźć w sobie głosu, nagle zapomniałam, jak się go używa. Nie mogę oderwać wzroku od szarpiących się srok i ich zdobyczy.

– Wika? – Aleks podąża za moim wzrokiem.

Włosy. Ciemne, brązowe włosy zlepione krwią.

Ptaki walczą ze sobą o zakrwawiony warkocz Mariki.

W tej samej chwili rozlega się głośny, przeszywający wrzask, a stado srok zrywa się do lotu. Nie wiem, czyj to głos, nie potrafię go rozpoznać, ale wywołuje ciarki na ciele. Wrzask gwałtownie przybiera na sile. Wwierca się w uszy, mrozi krew. Jakby palili kogoś żywcem.

Aleks puszcza mnie i zaczyna biec za głosem wzywającym jego imię. Próbuję go dogonić, ale już po kilku krokach muszę przystanąć. Ból w kostce jest nie do zniesienia.

Wrzask wreszcie cichnie, Aleks znika mi z oczu i zostaję sama. Otaczający mnie las jest cichy, milczący. Dostrzegam, że wszystkie drzewa w pobliżu są chore. Na pniach widzę smugi żywicy, grzyby, brązowe trociny, larwy korników. Ten las jest chory. Czuję, że spomiędzy splątanych gałęzi obserwuje na mnie setka niewidocznych oczu. Znają moje sekrety.

Wszystko dookoła jest znajome, tak bardzo znajome.

Już tu kiedyś byłam.

## **TYMON**

Gdybym został w domu, nic z tego by się nie wydarzyło. Zimna lufa przy mojej głowie, ucieczka przez las, dziewczyna uwięziona



w piwnicy. Mogłem teraz pisać kod do Sellswordsów, palić skręty i grać w Counter-Strike'a.

Ale jestem tutaj, w zapomnianej, zarośniętej części puszczy, i w każdej chwili mogę zginąć. Powinienem się teraz bać, powinienem umierać ze strachu, mam ku temu wiele powodów. A więc dlaczego czuję się lepiej niż kiedykolwiek? Zniknął ból kręgosłupa, migrena, wszystkie dolegliwości, które latami zatruwały mi życie.

„Oto ja, wyzwolony, idę przez ciemny las w godzinie próby i nie oglądam się za siebie”. To drugie zdanie z książki Sadurskiego. Nigdy nie utożsamiałem się z nim bardziej.

Może chodzi o nią? O to, że ona jest tu ze mną?

Nie, bzdura. Zdmuchuję tę myśl jak kurz z klawiatury. Na pewno istnieje logiczne wytłumaczenie mojego dobrego samopoczucia. Może mózg chce przygotować mnie na śmierć, i dlatego hurtowo produkuje endorfiny.

Drzewa rosną tu bardzo gęsto, a plątaniny chaszczki i krzaków tworzą idealne miejsce na zasadzkę. Lana trzyma w dłoni otwarty scyzoryk i rozgląda się czujnie. Jej oczy lustrują przestrzeń. Nie wygląda jak ktoś, kto się boi, raczej jak ktoś, kto wybrał się na polowanie.

– Umiesz się tym posługiwać? – pytam, wskazując głową na scyzoryk.

– Byłam w poprawczaku, pamiętasz? – Lana uśmiecha się kątem ust. – Walka nożem to jedyna wartościowa umiejętność, którą stamtąd wyniosłam. Potrafię obronić się nawet naostrzoną szczoteczką do zębów.

– Przydatny talent.

Niechętnie przyznaję przed samym sobą, że imponuje mi to, ile przeszła. Buszując po Tinderze, poznałem różne dziewczyny, także wydziarane cosplayerki, które udawały twardzielki. Ale Lana niczego nie udaje, bo nie musi. Jest twarda, bo życie nie dało jej innego

wyboru. Przeszła przez piekło, kiedy ja chowałem się przed ekranem komputera i z wygodnego fotela anonimowo wymierzałem sprawiedliwość.

– Chyba nie będę musiał cię bronić – stwierdzam.

– Nie – przytakuje Lana. – Ale w razie czego ja obronię cię.

– Przed Partyzantami?

– Nie chodzi o nich. Chodzi o tę sukę z piwnicy.

– Gośkę?

– Tak. Gośkę. Mam dla ciebie radę, Tymon. Nie lituj się nad nią tylko dlatego, że jest dziewczyną. Ona wykorzysta twoją słabość i cię zabije. Tak jak próbowała zabić Aleksa.

Nagle rozlega się głośny szelest. Jakby ktoś w popłochu przedzierał się przez krzaki jeżyn. Pewnie to tylko spłoszona sarna, ale równie dobrze może to być też przestraszona, umykająca dziewczyna.

– Gośka... – woła Lana śpiewnie, unosząc scyzoryk. – Lepiej się dobrze schowaj, bo już szukam! I kogo pierwszego zobaczę, temu nigdy nie przebaczę!

– Naprawdę jesteś wiedźmą – stwierdzam, próbując dotrzymać jej kroku.

– Mówiłam ci.

Słyszę odległy grzmot. Wzdrygam się. Znosi się na burzę. Całe życie nienawidziłem burz, pewnie dlatego, że podczas jednej z nich straciłem rodziców. Kiedy zaczynały walić pioruny, zwykle zakładałem na uszy słuchawki i kładłem się pod łóżkiem albo zamykałem się w szafie.

– Zawsze radziłaś sobie sama? – pytam.

– Musiałam. – Lana wzrusza ramionami. – Moi starzy mieli mnie gdzieś, ludzie w szkole nie dawali mi spokoju, bo byłam inna.

A więc mamy ze sobą coś wspólnego.

– Nie miałaś nikogo?

– W liceum miałam chłopaka – przyznaje niechętnie Lana. – Miał na imię Maks. Dobrze się rozumieliśmy, bo on też miał ciężkie dzieciństwo. Postrzegał świat tak jak ja, zawsze mówił, że to zepsute miejsce, które trzeba naprawić. Tylko że sporo ćpał. Oboje za dużo ćpaliśmy. Włączyliśmy się razem po lesie i mieliśmy różne wizje, często kompletnie nam odbijało.

Wyobrażam sobie ją z jakimś przyćpanym hipisem i od razu czuję irytację, jakby ktoś wyrwał mi z rąk pada, gdy gra akurat dobrze mi szła. Nie żałuję gościa, na pewno skończył jako bezrobotny absolwent kulturoznawstwa.

– A tamtego dnia... on zaproponował, że odprowadzi mnie do domu, a ja powiedziałam, że pójdę sama. – Oczy Lany nagle stają się nieobecne. – I wpadłam na sąsiadów, którzy zabili mi kota. Stali razem pod klatką, pijani. Pobili mnie i próbowali udusić, a wtedy ja złapałam za rozbitą butelkę i uderzyłam. Ta dziewczyna miała po tym tylko parę szwów. Ale oni byli z dobrych rodzin, a ja nie, więc tylko ja trafiłam do poprawczaka. Taka sprawiedliwość.

Niebo rozjaśnia się od błyskawicy i uderza kolejny grom, tym razem bliżej nas. Przysuwam się do niej.

– Masz jeszcze kontakt z tym gościem? – pytam.

– Nie. – Lana kręci głową. – Po tym, co się stało, on zniknął. Dosłownie rozpląnął się w powietrzu. Nie przyszedł na proces, nigdy mnie nie odwiedził w poprawczaku, nigdy nawet nie napisał. Pewnie poszedł w tango. Wiesz, jak to jest, kiedy masz szesnaście lat, związki są tylko chwilowe.

Kiedy to mówi, w jej głosie słychać gorycz, choć z całych sił stara się to ukryć. Przez chwilę milczymy.

– A ty kiedyś z kim byłeś? – Lana spogląda na mnie. – W sensie dłużej niż jedną noc?

– A poznałaś mnie?

– No jasne – uśmiecha się. – Głupie pytanie.

Idziemy wolnym krokiem, nasze dłonie prawie się stykają. Czuję, jak jej palce muskają wnętrze mojej dłoni.

– Co myślisz o finałowej scenie egzekucji w *Najemnikach*? – pytam, zupełnie jakbyśmy nie szli przez las w czasie burzy, tylko siedzieli w barze z grami planszowymi. Albo w moim pokoju, na wygodnych pufach przed konsolą, z padami w rękach.

– Nie podobała mi się, trochę przereklamowana. – Lana marszczy brwi. – Król po powstaniu skazuje na śmierć wszystkich buntowników i nikt, naprawdę nikt, nie przychodzi im z pomocą? Jakie to niesie przesłanie dla nas wszystkich? Nie ma sensu się buntować?

Nigdy nie patrzyłem na to w ten sposób. Ale ja nie doszukuję się w książkach głębokich przesłań. Mnie po prostu naprawdę, ale to naprawdę podobała się krwawa scena rzezi na dziedzińcu.

Nie mogę przestać myśleć o jej dłoni muskającej moją dłoń.

Chcę wziąć ją za rękę, ale w tej samej chwili Lana zatrzymuje się w pół kroku i pochyla nad czymś leżącym na trawie pod drzewem. To martwy ptak, dzięcioł. Wygląda, jakby coś go zaatakowało. Ma zamknięte oczy, biało-czarne pióra sterczą w nieładzie, jeden szpon jest uniesiony w górę. Na złamanym skrzydle widać ślady krwi. Lana klęka przy nim, ma łzy w oczach.

– Biedaku – szepce, dotykając ptaka. – Tak mi przykro.

Wtedy zauważam czerwony znak namalowany na drzewie. Czerwone koło z małą kropką w środku. Wyciągam z kieszeni zniszczony telefon i włączam go, bez większych nadziei, że zadziała. Ku mojemu zaskoczeniu udaje się, ekran rozbłyska. Otwieram plik PDF, który przytomnie ściągnąłem dzień wcześniej, czując, że w lesie nie będzie zasięgu. Szukam symbolu na spisie znaków patrolowych używanych przez harcerzy.

– Ten znak mówi, że powinniśmy się tu zatrzymać i czekać – odzywam się.

– Namalowali go Partyzanci, więc raczej powinniśmy stąd spierdalać. – Lana podnosi się, zaalarmowana.

Słyszę dziwny dźwięk, przeciągłe miauczenie, i nagle jakieś zwierzę wyłania się z krzaków. Ma bure futerko, więc w pierwszej chwili myślę, że to jenot, ale gdy przyglądam się uważniej, widzę, że to kot. Bardzo brzydki, wyliniały, bury kocur łypie na nas demonicznymi, zielonymi ślepiami.

Niemożliwe, myślę. To halucynacja wywołana głodem i zmęczeniem. Ale wtedy spoglądam na Lanę i wiem, że ona też go widzi.

– Demon – szepce Lana i przez chwilę stoi w bezruchu, jak zaczarowana.

Kot kładzie uszy, jeży futerko i syczy, jakby nagle dostał wścieklizny. A potem zauważa coś w krzakach i biegnie w gęstwinę długimi susami.

– DEMON! – wrzeszczy Lana i rzuca się za nim, wołając jego imię. A potem słyszę tylko jej wrzask.

## **DANIEL**

Pamiętam ostatnie słowa, które powiedziała do mnie Marika.

„Myślę, że możesz nam bardzo pomóc. Oni też w końcu to zrozumieją”.

Szkoda, że jednak nie miała racji. Nie potrafiłem pomóc ani jej, ani nikomu innemu. Mimo to wciąż jej szukam. Wmawiam sobie, że jeśli uda mi się uratować życie Mariki, odkupię chociaż część moich win. Chociaż w głębi duszy wiem, że to nie działa w ten sposób. Moich grzechów nie da się odkupić. Nawet jeśli Bóg mi wybaczy, ja nigdy nie wybaczę sobie. Nie wszystkie rzeczy powinny i mogą zostać wybaczone.

Chwilami myślę, że już umarłem, a ten las to moje piekło.

Ale Marika? Taka piękna, niewinna dziewczyna, co ona mogła zrobić? Czym sobie na to zasłużyła?

Na dłoni mam kastet, którego miałem już nigdy nie użyć. Parzy skórę, ale jest mi potrzebny.

Spoglądam w ciemne, zachmurzone niebo. Gromy przetaczają się nad moją głową. Matka zawsze mówiła, że burze oznaczają gniew Boga.

Dotykam złamanego nosa, boli. Dotykam podpuchniętego oka, piecze. To niewielka cena za to, co zrobiłem. Aleks powiedział, że kryjąc morderców, niczym się od nich nie różnię, i teraz rozumiem, że miał rację.

Gdybym dał się złapać policji i powiedział całą prawdę o tym, co się stało, już pewnie bym nie żył. Trafiłbym do aresztu razem z byłymi kumplami, a tam błyskawicznie wykonano by na mnie wyrok. Wyrok za rozjebanie się na psach, sprzedanie kolegów, konfidenctwo. Tacy ludzie jak Aleks i Wiktoria tego nie rozumieją, bo w ich świecie załatwia się sprawy inaczej. Prawnikami, pismami, artykułami w gazetach. W moim świecie nie ma prawników, a wyroki wydaje ulica. Wszystko jest czarno-białe. Może lepiej byłoby urodzić się w ich świecie. Może byłbym wtedy kimś innym.

Kiedyś chciałem być dobry, ale się nie udało. Wciąż szukałem dla siebie wymówek. Bo ojciec, bo bieda w domu, bo koledzy. No i wrogowie, wszędzie wrogowie.

Ja, Daniel Chojnowski, oblężona twierdza, która musi się bronić przed wszystkimi. Może wcale nie musiałem się bronić. Może jedynym wrogiem, którego miałem od samego początku, byłem ja sam.

Wystarczyło znaleźć jakąś robotę, poznać kobietę, zbudować dom. Żyć. Po prostu zwyczajnie żyć. I być wdzięcznym za to, co jest.

Nie umiałem. No trudno.

Zastanawiam się, czego chcą ode mnie ludzie, którzy to wszystko zaplanowali. Mają taśmę, na której przyznają się do winy. Mieli ją od

samego początku, dostali ją od tego młodego chłopaka, który udawał księdza, spowiednika. Ta taśma wystarczy, aby zamknąć mnie na lata. Czego jeszcze mogą ode mnie chcieć?

Odpowiedź nadchodzi bardzo szybko. Dostrzegam coś w gęstwinie lasu i zatrzymuję się. Najpierw widzę drewniany krzyż wbity w ziemię, a pod nim kolorowe, zapalone znicze i tabliczkę nagrobną opartą o pień drzewa. Podchodzę bliżej i czytam napis na tabliczce.

DANIEL CHOJNOWSKI

Urodzony 10 lutego 1990, zmarł 14 marca 2021

Dziś jest 14 marca.

Zadzieram głowę. Na drzewie wisi sznur z pętlą, gotowy zestaw dla samobójcy.

Dotykam sznura, czuję pod palcami szorstką powierzchnię. Wyobrażam sobie, jak pętla zaciska się wokół mojej szyi. Kilka chwil i wszystko znika. Nie ma strachu, poczucia winy, nie ma wstydu i nienawiści do samego siebie. Rozwiązanie dla tchórzy, niepotrafiących przyjąć konsekwencji.

Morderstwo i samobójstwo, zbrodnia i kara. Jeden ciężki grzech prowadzi do kolejnego.

Wzywam Boga i modlę się w myślach. Potrzebuję Go bardziej niż kiedykolwiek, ale znów nie czuję Jego obecności, jestem zupełnie sam. Bóg się ode mnie odwrócił.

Proszę w myślach, żeby dał mi jakiś znak.

Czy Bóg jest teraz ze mną, czy tylko wołam w pustkę?

Muszę to wiedzieć. Muszę to wiedzieć w tej chwili.

Jeśli nie ma Boga, nie ma też grzechów ani pokuty, ani odkupienia. Jeśli przestanę wierzyć w Niego, wszystko się zmieni. Znów się rozglądam. Słyszę hałasy, jakby w moim kierunku zmierzała cała armia. Przez las przetacza się kolejny grzmot.

Pętla powoli obraca się na wietrze.

Skurwysyny, myślę. Chodźcie tu i się pokażcie. Zobaczymy, kto tu będzie wisiął.

Jeśli mam iść siedzieć za morderstwo, nie mam już nic do stracenia.

## WIKTORIA

Najpierw słyszę pojedynczy wystrzał. Ogłuszający, potworny. Potem rozlegają się kolejne. Wiem, że Partyzanci są blisko, strzelają i idą w moją stronę, a ja nie mogę uciec. Mogę spróbować się ukryć, ale mam mało czasu, oni zaraz tu będą. Porzucam wszelkie środki bezpieczeństwa i krzyczę. Wołam imię Aleksa, Tymona, Daniela, Lany, krzyczę, żeby uciekali. Nikt nie odpowiada.

I wtedy dopada mnie myśl, najgorsza ze wszystkich, myśl, od której cierpie mi skóra. Może oni wszyscy już nie żyją.

Oddycham głęboko.

Odzyskaj kontrolę, myślę. Odzyskaj kontrolę.

– Ej, Partyzanci! – wołam. – Wiem, że mnie słyszycie! Nie zabijajcie nas! Jeśli chcecie pieniędzy, możemy się dogadać! Dostaniecie tyle, ile będziecie chcieli!

Strzały nagle cichną. Słyszę śmiech. Dobiega z różnych stron, z północy, południa, zachodu, wschodu. Brzmi jak chichotanie setki hien.

I wtedy strzał przeszywa powietrze. Pocisk trafia w drzewo, tuż nad moją głową. Zaczynam uciekać. Każdy krok jest męczarnią, każde uderzenie skręconej nogi o ziemię oznacza kolejną porcję bólu, a mimo to biegnę, biegnę najszybciej, jak mogę, bo najważniejsze to przeżyć, z kulą w brzuchu nie będę miała żadnych szans. Nie widzę drogi, przeklinam własne oczy, wszystko jest tylko zamazaną ciemnozieloną plamą. Dostrzegam to dopiero, gdy jest już za późno. Wielki kopiec ziemi, jakby usypało go całe stado kretów. Wbiegam



w stertę liści i gałęzi, tracę grunt pod nogami i spadam w dół, do wilgotnej, głębokiej jamy. Uderzam głową o ziemię i na chwilę wszystko znika.

\*\*\*

Budzi mnie myśl, że leżę pod ciężką kołdrą, nie mogę się poruszyć. Może jestem w szpitalu? Ale nie, ten smród to nie jest chemiczny zapach szpitala. To zapach gnicia. Oblepia mnie coś ciężkiego, brudnego i mokrego. Już wiem, że nie mogę sobie pozwolić na luksus nieświadomości, i otwieram oczy.

Czuję, jak czarna, śmierdząca, wilgotna ziemia ląduje na mojej twarzy. Nie mogę się poruszyć, nie mogę zrobić nic, żeby temu zapobiec. Całe ciało jest przysypane ziemią, unieruchomione, jakby ktoś przykrył mnie trzema ciężkimi materacami. Mam związane nogi i ręce. Słyszę tylko swój chrapliwy oddech, czuję, jak serce łomocze w klatce piersiowej.

Leżę na plecach w prostokątnym, świeżo wykopanym grobie, głębokim na trzy metry. W prostokącie światła nad sobą widzę cztery postacie. Mają twarze osłonięte kominiarkami. W dłoniach trzymają łopaty.

– Czekajcie! – krzyczę, ale wtedy hałda ziemi leci na moją twarz i kilka grudek wpada mi do gardła. Zaczynam się krztusić i rzeźić, a oni sypią mi na głowę kolejne porcje piachu.

W mojej głowie zapętlone jest tylko jedno słowo: nie.

Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie.

Odmawiam umierania na ich warunkach.

Odmawiam umierania na jakichkolwiek warunkach.

Mam jeszcze za dużo do zrobienia.

Ziemia przysypuje mi głowę, więc unoszę związane ręce, osłaniam twarz. Staram się stworzyć przestrzeń do oddychania, miejsce, w którym zatrzymam tlen. Z góry to może wyglądać, jakbym się

poddawała, ale nie jestem na to gotowa. Chcę wytrzymać jak najdłużej, aż ktoś mnie znajdzie.

Leżę pod grubą, ciężką warstwą ziemi. Jestem ukryta, głucha, ślepa i niema. Przypominam sobie, co słyszałam o lawinach. Człowiek jest w stanie wytrzymać piętnaście minut pod śniegiem, a potem dusi się wydychanym dwutlenkiem węgla, zatruwa sam siebie. Ale tutaj, pod ziemią, gdzie nie ma żadnego tlenu, mam najwyżej pięć minut.

Niech ktoś to w końcu to przerwie! Niech ktoś powie: „To taki głupi żart, chcieliśmy cię tylko przestraszyć. Nie bój się, przecież to wszystko tylko zabawa, zaraz cię uwolnimy i pośmiejemy się z tego przy ognisku”. Ale w głębi serca wiem, że to nie nastąpi. To nie jest zabawa i nigdy nie była.

Będę umierać powoli, dusić się w bólu, samotności, potwornym strachu. Pewnie oszaleję, zanim to się stanie.

Chcę stracić przytomność, odlecieć, zasnąć. Niech to się okaże koszmarnym snem, przecież miewałam takie sny, właśnie takie, ktoś bez twarzy zakopywał mnie żywcem. Ale gdyby to był sen, już bym się obudziła.

To właśnie ten moment.

Połamane paznokcie uparcie ryją ziemię.

Moje ciało wciąż walczy, drży, poci się.

Myślę o niej.

Moje zniknięcie zburzy jej świat. Nigdy nie przestanie mnie szukać, wiem o tym, przyjdzie tutaj. Tak bardzo chciałabym ją ostrzec, powiedzieć, żeby nie zbliżała się do tego lasu.

To, kim jestem, zaprowadziło mnie właśnie tu, do grobu. Zaprosiłam Mrok do swojego życia. Zrobiłam to całkiem świadomie. Mrok miał ludzki kształt, wyglądał i pachniał jak człowiek, miał ludzki głos, nawet kilka głosów. A ja wpuściłam go do swojego życia, bo szukałam prawdy.

Nie mogę dłużej wstrzymać oddechu, otwieram usta, a wtedy trochę grudek ziemi wpada mi do gardła. Jeśli kiedyś mnie znajdą, wykryją je w moich płucach i powiedzą: „Żyła, kiedy ją zakopano”.

A potem znajdą więcej ciał i wszyscy wpadną w panikę.

Bo przecież moja śmierć nie będzie pierwsza, nie będzie też ostatnia.

Zabiją wszystkich. Co do jednego. Nie mogę już temu zapobiec.

Myślę o słowach „ciało” i „zakopana”, a potem widzę nagłówki na portalach internetowych „Pogrzebana żywcem”. I chyba przez słowo „pogrzebana” nagle dociera do mnie, że to się dzieje naprawdę. Z moich ust wyrywa się przytłumiony wrzask, którego nikt nie może usłyszeć.

*Raisa, słyszysz mnie? Jesteś ze mną?*

Słyszę w myślach łagodny głos Raisy, każe mi oszczędzać tlen i spokojnie oddychać. Mówi, że muszę poczekać, bo pomoc zaraz nadejdzie. Czuję jej dłoń na czole i słyszę jej słowa: „Wiktorio, nie ruszaj się, oddychaj spokojnie. Zaraz ci pomogą, są już w drodze”.

A może tak mówiła trzynaście lat temu, gdy leżałam na dziedzińcu szkoły. Próbowałam przejść po linie między oknami i ktoś w wojskowej masce rzucił we mnie butelką pełną wody. Spadłam na beton, łamiąc sobie wszystko, co było do złamania. Może wtedy tak do mnie mówiła. Nieważne. Chwytam się tej myśli, rozpaczliwie, desperacko. Pomoc zaraz nadejdzie. Ktoś usłyszał moje wołanie, ktoś mi pomoże.

Mówię Raisie, że ją kocham, może w jakiś sposób to usłyszy.

*W co ja się wpakowałam, tato?*

Zaczynam rozmawiać z ojcem. Mówię mu te wszystkie rzeczy, których nigdy nie potrafiłam mu powiedzieć, bo powstrzymywały mnie przed tym duma i upór.

Głosy, coraz więcej głosów, gdzieś nade mną.

A może po prostu chcę je słyszeć, żeby nie być zupełnie sama.

Liczę każdy oddech, każde uderzenie serca. Niedługo przestanę istnieć. Nie będzie mnie. Może już mnie nie ma. Czuję, że tracę świadomość, oddalam się od własnego ciała, odpływam.

Nagle ciemność nade mną się otwiera i pojawia się światło, dużo światła. Czas przyspiesza, ktoś jest obok mnie, ktoś łapie mnie pod pachami, wyciąga na powierzchnię. Kładzie mnie na miękkiej, trawiastej powierzchni.

Otwieram oczy i nagle ze wszystkich stron atakują mnie dźwięki, odgłosy, kolory, zapachy. Krztuszę się i biorę głębokie hausty powietrza. Z każdym kolejnym oddechem czuję, jak wraca do mnie życie. Ktoś pokrzykuje moje imię, zadaje pytania, żadnego nie rozumiem, nie mogę mówić. Nie wiem, czy otaczają mnie przyjaciele, czy wrogowie, nie widzę twarzy, wszystko jest zamazane.

Ktoś podtyka mi pod nos butelkę z wodą. A więc przyjaciele. Chyba. Kogo to zresztą obchodzi, jeśli będą chcieli, to mnie otrują, nie powstrzymam tego. Chwytam butelkę i piję łapczywie, aż wszystko podchodzi mi do gardła i wymiotuję na trawę. Wymiotuję wodą, grudkami ziemi i własnym strachem. Czuję ostre pieczenie w przełyku.

Mrugam, próbuję przypomnieć sobie imiona ludzi klęczących wokół mnie. Mój niedotleniony mózg z trudem wyszukuje informacje. Ten ze złamanym, krzywym nosem, uwalany ziemią aż po łokcie, to chyba Daniel, a ten obok niego, również brudny od ziemi i z oczami błyszczącymi jak w gorączce, to Aleks. Fioletowe włosy i poraniona, ładna twarz to Lana. A ten rozczochrany chłopak obok niej to Tymon. Zadaje mi tylko jedno, bardzo proste pytanie.

– Wika, żyjesz?

No, żyję, chyba jednak żyję. Przypominam sobie powoli, kim jestem i gdzie jestem. Pamiętam, że byłam bardzo bliska śmierci. To stresująca sytuacja, a w takich się pali.

– Dajcie mi papierosa – charczę.

– Na pewno?

– Dajcie mi, kurwa, zapalić.

Biorę od Lany papierosa, korzystam z jej zapalniczki i zaciągam się. Papieros smakuje paskudnie i rani moje gardło, ale też leczy, uspokaja drżące dłonie. Kiedyś paliłam nałogowo. Dlaczego to rzuciłam? To chyba miało coś wspólnego z chorobą Raisy i długością mojego życia, ale koniec końców okazało się, że to nie papierosy chcą mi je skrócić. Tylko Partyzanci.

No właśnie. Partyzanci. Ludzie w strojach moro uśmiechający się do mnie jak węże. Oni mi to zrobili. Oni zabili Julię i zamienili mnie w rozdygotany, uwalany ziemią, żaloszny strzęp człowieka. Moje puste wnętrze wypełnia dzika, niekontrolowana wściekłość.

– Zabiję ich – mówię.

I nagle zaczynam się śmiać, choć jednocześnie łzy ciekną mi po policzkach. Jeszcze nigdy nie wypowiedziałam tak głupiego zdania. Ale ono samo wydostało się z gardła, bez mojego udziału. Nigdy wcześniej nie myślałam o zrobieniu komukolwiek krzywdy. Gardziłam przemocą, uważałam ją za rozwiązanie dobre dla prymitywnych, ograniczonych ludzi. Ale teraz mam ziemię we włosach, w żołądku i za paznokciami i znów myślę z przeraźliwą jasnością: zabiję ich.

Biorę głęboki haust powietrza, aby się uspokoić. Powietrze pachnie dymem z ogniska, wakacjami, dziecięcą przygodą. Powietrze pachnie ogniem. Pożarem.

– O kurwa – woła Lana, zrywając się z ziemi i wskazując na niebo.

Wszyscy zrywają się na nogi, ale ja wciąż siedzę przy własnym niedoszłym grobie i palę papierosa. Nie obchodzi mnie szczególnie, co się zaraz stanie, nie mam siły biec, nie mam siły nawet iść. Chcę tylko tu siedzieć i palić, napawając się myślą, że jednak żyję, na przekór woli Partyzantów. Przeżyłam.

Lana i Tymon spoglądają na mnie z wahaniem. Są przerażeni.

– Uciekajcie – mówię obojętnie. – Ja sobie poradzę.

Nie wiem, czy to prawda, ale chcę, żeby byli bezpieczni. Chcę, żeby im się udało. Partyzanci nie mogą wygrać tej gry. Tymon i Lana biegną przed siebie, szybko znikają ze strefy, którą widzę wyraźnie, i stają się małymi, zamazanymi postaciami. Ale Daniel i Aleks zostają przy mnie. Aleks chwyta mnie i podnosi do pozycji stojącej, pokazuje mi jasną łunę nad czubkami drzew.

– Las się pali, musimy uciekać – mówi.

– Wy musicie uciekać. Ja nie dam rady – odpowiadam. – Opóźnię was.

Daniel i Aleks w milczeniu porozumiewają się wzrokiem.

– Ja to zrobię – mówi Daniel.

– Dasz radę? – upewnia się Aleks. – Samemu będzie ci ciężko. Mogę pomóc.

– Nie, sam sobie z nią poradzę.

Nagle przychodzi mi do głowy straszna myśl. Może oni chcą mnie zabić, tutaj, na miejscu, żeby nie spłonęła żywcem w pożarze lasu. Może chcą oszczędzić mi cierpień.

– Chłopaki? – pytam – Co wy?...

Zanim zdążę powiedzieć coś jeszcze, Daniel chwyta mnie mocno i unosi w powietrzu, a potem przyciska do siebie i zaczyna biec.

\*\*\*

Nie wiem jak długo biegnie, ale gdy w końcu odzyskuję przytomność i grunt pod nogami, powietrze wokół mnie jest świeże i rześkie. Stoimy przy wielkim głazie przypominającym pięść. Nie czuję już zapachu dymu, udało nam się uciec przed pożarem. Widzę na ziemi długi kij z rozdwojoną końcówką, podnoszę go i opieram się na nim.

– Za chwilę ktoś tutaj będzie. – Aleks ociera pot z czoła zakrwawionym rękawem bluzy. – Straż pożarna, ktokolwiek. Ten dym widać z daleka.

Widzę Tymona, który opiera dłonie o kolana i mocno dyszy. Lana zanosi się spazmatycznym kaszlem, po jej twarzy płyną łzy.

– Co się stało? – pytam.

– Mój kot. – Lana krztusi się własnym oddechem. – Mój kot nie żyje. Wypuścili go tu, w lesie. Próbowałam go złapać, ale uciekł mi w krzaki, polował... a tam palił się ten ogień... i już więcej go nie widziałam.

Tymon przytula ją, chowa jej twarz w swojej bluzie.

– Mnie próbowali powiesić – mówi ponuro Daniel. – Napadli mnie, ale się, kurwa, przeliczyli. Uciekłem im. Nie dam się zabić jakimś pierdolonym przebierańcom.

– A co z Mariką? – Spoglądam na Aleksa. – To ona krzyczała? Znalazłeś ją?

Aleks kręci głową z ponurą miną.

– Nie, to była Lana. Biegłem tam, ale kiedy usłyszałem strzały, zawróciłem i zacząłem cię szukać. Znalazłem ten... grób, a Partyzantów już wtedy nie było. Zostawili za sobą łopaty i czerwoną flagę wbitą w ziemię, tam gdzie cię pochowali. Zawołałem innych, żeby pomogli...

I wtedy znów rozlega się wrzask. Czyjś głos wykrzykuje imię Aleksa, wzywa go, dźwięk dobiega z bardzo bliska i tym razem wiem, bez cienia wątpliwości, że jest to głos Mariki.

\*\*\*

Na środku polany płonie drewniany stos. Płomienie trzaskają i wzbijają się na wysokość kilku metrów, jakby ktoś podlał je benzyną. Marika wisi nad ogniem, przywiązana za nadgarstki do gałęzi drzewa. Ma na sobie białą sukienkę, a włosy ucięte tuż przy brodzie. Wrzeszczy jak zarzynane zwierzę i wije się z bólu. Widzę jej oczy. Są wybałuszone ze strachu. Patrzy prosto na mnie. Błaga o pomoc.

Aleks pierwszy rzuca się w jej stronę, wspina się na drzewo i próbuje ją na nie wciągnąć.

Daniel, Tymon i Lana młóca ogień kurtkami, kopią w gałęzie, próbując rozwalić płonący stos. Nic nie przynosi skutku, ogień jest zbyt wysoki. Kuśtykam w stronę drzewa. Widzę pusty kanister po benzynie i zapalniczkę leżącą na ziemi obok ogniska. Myślę o wodzie, ale przecież nie mamy już żadnej wody.

Dziewczyna niedługo spali się na naszych oczach. Krzyki nie ustają.

Rozglądam się w panice. Muszę zrobić coś, żeby to powstrzymać.

Nagle sznur pęka, a Marika w wrzaskiem leci w dół. Spada na ziemię tuż obok ogniska. Jej sukienka wciąż płonie, więc zrywam z siebie bluzę i zarzucam na nią, próbując stłumić ogień. Marika tarza się po ziemi i wszystko jest już tylko jednym wielkim wrzaskiem, bólem i chaosem, wszystko jest zapachem palonej gumy, syntetycznego materiału, plastiku.

A potem, nagle, wszystko się kończy.

Marika leży na ziemi, krztusi się i jęczy z bólu. Aleks obejmuje ją ramieniem i próbuje uspokoić. Daniel siedzi na ziemi obok nich z pochyloną głową. Lana syczy z bólu, trzymając się za stopę. Jej trampek też zajął się ogniem. Tymon dyszy i wyrzuca z siebie długie, soczyste ciągi przekleństw. Nikt oprócz niego nic nie mówi, nikt nie jest w stanie.

Rozglądam się nieprzytomnie. Polanę otaczają dziwacznie zdeformowane sosny. Pnie drzew wyginają się ku ziemi w łukniczym szyje łabędzi. Nie mogę oderwać od nich wzroku. Wszystkie gałęzie są obwieszane czerwonymi wstążkami.

Marika wstaje jako pierwsza. Wysuwa się spod ramienia Aleksa i podnosi się, pocierając machinalnie posiniaczone nadgarstki. Ma świeżą, krwawą ranę na głowie, jakby ktoś uderzył ją kamieniem. Rozgląda się nerwowo, wyraźnie jest w szoku. Widzę w jej oczach strach i coś jeszcze, czego nie potrafię nazwać.



– Uratowaliście mnie – mówi cicho. – Dziękuję.

Jest coś dziwnego i sztucznego w jej głosie, zupełnie jakbym słuchała bota na infolinii.

– Musimy ci opatrzyć tę ranę – mówię uspokajająco, podchodząc do niej. – Mamy bandaż...

– Nie trzeba – odpowiada Marika. Jej głowa wciąż obraca się na boki w nerwowym tiklu.

Aleks zbliża się do niej, dotyka jej ramienia.

– Spokojnie, już po wszystkim – mówi łagodnie. – Już jesteś bezpieczna.

– Nie, zostawcie mnie. Idźcie stąd. Uciekajcie.

– Co?

W tej samej chwili spomiędzy drzew zaczynają wyłaniać się postaci. Są zbyt daleko, abym mogła dostrzec ich twarze, ale widzę broń w ich rękach. Pistolety, strzelby. Daniel, Tymon i Lana zrywają się z ziemi i przysuwają do mnie, Mariki i Aleksa. Opieramy się o siebie plecami, osłaniamy się nawzajem. Nie mamy dokąd uciec, Partyzanci otaczają polanę, odcinają nam wszystkie drogi ucieczki. Jest ich bardzo wielu. Co najmniej dwadzieścia osób. W końcu zacieśniają krąg na tyle, że widzę ich twarze, choć nie wszystkie. Niektórzy wciąż zasłaniają je kominiarkami i chustami.

Z kręgu występuje czterech chłopaków, zmierzają w naszym kierunku. Natychmiast rozpoznaję zarośniętą twarz tego, który idzie najszybciej. Chłopak o aparycji bezdomnego włóczęgi i charyzmie Jezusa, człowiek, który tłumaczył nam zasady gry. Ksawier.

– Dobra robota, Zwiadowcy – mówi, unosząc pistolet. – Gratuluję.

Spoglądam na jego trzech towarzyszy, oni też w nas celują. Rozpoznaję uśmiechnięte twarze z wycinków zawieszonych na ścianie. Zagubieni maturzyści.

Patrzę im prosto w oczy. Próbuję wyczytać, jakie mają wobec nas zamiary, ale widzę tylko rozbawienie, jak u dzieci, którym udał się świetny dowcip.

– Nie przedstawicie się nam? – pytam spokojnie.

– Jeśli byłeś w naszym domu, to wiesz, jak się nazywamy – stwierdza Ksawier.

– Michał Zieliński? – pytam, wskazując na nich kolejno. – Kamil Woźniak? Rafał Nowak? Nieuchwytni maturzyści z Posoczyna?

Partyzanci kiwają głowami i śmieją się, wyraźnie zadowoleni z siebie. Przenoszę wzrok na Ksawiera.

– Łukasz Wójcik? – upewniam się.

Ksawier kiwa głową. Nagle wszystko nabiera sensu. Ich dom ukryty w opuszczonej części puszczy. Zapasy wody i jedzenia, piętrowe prycze dla wielu osób. To oni nam to zrobili. Wariaci, którzy ukrywali się w lesie przez czternaście lat. Ale kim są pozostali ludzie? Przesuwam wzrokiem po kolejnych twarzach, staram się zapamiętać każdy szczegół, każdy charakterystyczny znak. Wyobrażam sobie chwilę, gdy wskażę ich wszystkich w sądzie. Ciekawe, czy wtedy też będą się tak uśmiechali.

– Miło mi was poznać – mówię spokojnie. – Wiktoria Sadurska, „Dziennik Powszechny”. Zapamiętajcie to nazwisko, bo sprawię, że znów będziecie sławni na całą Polskę.

– Mamy taką nadzieję, pani redaktor. – Uśmiech Ksawiera jest bardzo szeroki. – Właśnie po to cię tu ściągnęliśmy. Chcemy z tobą porozmawiać.

– Najpierw pogadacie z policją.

– Rozmowy z policją zwykle do niczego nie prowadzą. – Ksawier krzywi się lekko. – Ale skoro tak ci na tym zależy...

Odwraca się i wskazuje na dwóch mężczyzn opartych o drzewa. Obaj trzymają w dłoniach pistolety i przyglądają się tej scenie zupełnie beznamiętnie, niczym znudzeni ochroniarze na koncercie.

– Aspirant Marczyński, Komisariat Policji w Posoczynie, komisarz Waćkowiak, Komisariat Wrocław-Krzyki. Uczestnicy poprzedniej edycji gry – przedstawia ich Ksawier. – Panowie, czy dzieje się tu coś złego?

– Ja nic nie widzę – odzywa się ten wyższy, Waćkowiak, patrząc mi prosto w oczy.

– No to pogadane – podsumowuje Ksawier. – Nie powinnaś tak bardzo ufać służbom, Wiktoria, bo nigdy nie wiesz, komu tak naprawdę służą. Wszystko, co ważne, należy załatwiać samemu.

Znów się uśmiecha. Wie, że może wszystko, bo trzyma broń, a za plecami ma tłum opętanych ludzi, żywych zombie, którzy chętnie rozszarpiają mnie na strzępy, jeśli wyda im taki rozkaz.

– Mój ojciec – warczę, wodząc wzrokiem po ich twarzach. – Co mu zrobiliście?

– Twojemu tacie nic nie jest, nie martw się – odzywa się ten w środku, ciemnowłosa, o lekko skośnych oczach. Michał. – Włamaliśmy się do jego domu, ale zabraliśmy tylko wasze zdjęcie, bo było nam potrzebne.

– A ten pokój w waszym domu? – pytam.

– To nasz mały trybut dla Artura Sadurskiego – mówi wysoki, tyczkowaty blondyn. Rafał. – Jego książki mają dla nas szczególne znaczenie. To dzięki nim dowiedzieliśmy się o Kotlinie Kamiennych Twarzy.

– I nikt was tu nie znalazł?

– Przygotowaliśmy się – mówi rudy chłopak. Kamil. – Planowaliśmy ucieczkę od dłuższego czasu. Często włóczyliśmy się po tej puszczy, odkryliśmy Kotlinę Kamiennych Twarzy i im częściej tam przebywaliśmy, tym bardziej rozumieliśmy, że nic nas nie łączy z tym światem. Chcieliśmy stworzyć swój własny świat, własne prawa i zasady. Uznaliśmy, że po maturach przyjdzie czas na zmiany. Ukryliśmy się w kotlinie, zabarykadowaliśmy wejście kamieniami. Burza, która przyszła tamtej nocy, bardzo nam pomogła, zmyła wszystkie ślady. Przeczekaliśmy cały ten szum poszukiwań, wścibskich ludzi, psy tropiące. Kiedy słyszeliśmy helikopter, zawsze schodziliśmy do bunkra.

– Dobra, potem opowiecie jej całą historię – przerywa Ksawier.

– Co zrobiliście Julii? – pytam, patrząc mu w oczy.

– Na razie musi ci wystarczyć informacja, że już niedługo do niej dołączysz. – Ksawier puszcza do mnie oko. – A teraz chciałbym porozmawiać z Mariką.

Czuję, jak ramię Mariki drży. Ściskam lekko jej dłoń, aby dodać jej otuchy. Oczywiście, boję się tego, co się zaraz stanie, czuję, że musi to być coś bardzo złego.

– Marika, podejdź tu, proszę – mówi Ksawier łagodnie, jakby wabił nieufne zwierzę. Obiema dłońmi wciąż trzyma uniesiony pistolet.

Aleks zasłania Marikę.

– Chcesz kogoś zabić, sukinsynu, to strzelaj do mnie.

– Już raz to zrobiłem. – W głosie Ksawiera brzmi irytacja nauczyciela dyscyplinującego nieposłusznego ucznia. – A teraz odsuń się, bo obiecuję, że drugi raz zabolę bardziej.

– Pierdol się – mówi Aleks.

Marika kładzie dłoń na ramieniu Aleksa i skłania go, żeby się do niej odwrócił. Wygląda na skrajnie wyczerpaną.

– Aleks, już w porządku – mówi cicho, z rezygnacją. – To się musi stać. Pozwól mi na to.

– Nie!

– Muszę to zrobić. Chcę tylko, żeby to już się skończyło. Dla nas wszystkich.

– Co ty...

Marika wrywa się Aleksowi i szybkim krokiem podchodzi do Ksawiera i jego kolegów.

– Czy to już koniec? – pyta cicho.

– Tak. – Ksawier kiwa głową i opuszcza broń. – To już koniec.

– Mogę już to dostać?

– Oczywiście. Zasłużyłaś.

Marika wyciąga rękę. Ksawier podaje jej swój pistolet. Pistolet w rękach tej filigranowej dziewczyny wygląda absurdalnie,

karykaturalnie. Ale kiedy go podnosi i celuje nim w Aleksa, wygląda też bardzo prawdziwie.

Na chwilę wszyscy zastygamy, kurczymy się w sobie, wrastamy w ziemię. Czuję, jak Lana i Tymon zaczynają drżeć. Prawie słyszę wszystkie niewypowiedziane przekleństwa, najgorsze, jakie istnieją.

Jak mogłam tego nie zauważyć? Jak?

Nagle wszystkie dziwne zachowania Mariki nabierają sensu. Ta jej neurotyczność, nerwowość, uciekanie wzrokiem. Wszystkie dziwne zachowania, które zrzucałam na karb bycia ofiarą przemocy domowej.

A przecież ofiary przemocy często stają się sprawcami przemocy.

Przez chwilę trwa martwa cisza, aż wreszcie przerywa ją zachrypnięty głos Aleksa. Nie spuszcza wzroku z Mariki.

– Byłaś z nimi przez cały ten czas? – warczy. – Od samego początku?

– Wybacz mi, Aleks – mówi cicho Marika. – Mówiłam ci, że zrobiłam coś strasznego.

– Marika – próbuję ściągnąć na siebie jej uwagę – chyba nie chcesz nas zabić. Przecież nikt z nas nie zrobił ci krzywdy. Jesteśmy twoimi przyjaciółmi.

Kłamię, bo w tej chwili najchętniej rzuciłabym się na nią z pięściami. Ale muszę być dla niej miła, muszę zrobić wszystko, aby ochronić resztę. Marika nie odpowiada, nawet na mnie nie patrzy. Mam wrażenie, że nie dotarło do niej ani jedno moje słowo. Celuje do Aleksa, oboje nie odrywają od siebie wzroku. Aleks stoi nieruchomo, ale całe jego ciało jest napięte, gotowe do walki, mięśnie na policzkach drgają. Wściekłość w jego oczach mogłaby spalić cały las. Nie widzi już Ksawiera i pozostałych Partyzantów, patrzy tylko na nią.

– Udawałaś, że się topisz? – cedzi.

– Musiałam. – Marika kiwa głową. – Ksawier chciał, żebym was sprawdziła.

– Spałaś ze mną też dlatego, że ci kazał? – warczy Aleks, ruszając w jej stronę. – Dostałaś takie zadanie? Miałaś się ze mną pieprzyć, kiedy twoi kumple będą do nas strzelali?

– Nie zmuszaj mnie – Marika unosi broń wyżej – nie zmuszaj mnie, żebym do ciebie strzeliła.

Aleks się nie zatrzymuje, dalej idzie w jej kierunku.

– Marika, ja wiem, że spotkało cię wiele złego – mówię łagodnie, robiąc krok w jej stronę. – Jesteś ofiarą. Ci ludzie cię zmanipulowali, wykorzystali, zmusili do tego wszystkiego.

Marika powoli przenosi na mnie wzrok. Aż się wzdrygam, bo jej spojrzenie różni się od tego załęcznionego, które znam. Teraz jest chłodne, pozbawione emocji.

– Nie, Wiktoria – odpowiada. – Ci ludzie mnie uratowali.

A potem zaczyna mówić. Opowiada nam swoją historię.

## **MARIKA**

Aleks, pozwól, że wszystko ci wyjaśnię, bo jestem ci to winna.

Przede wszystkim musisz dowiedzieć się jednej rzeczy. Pokochałam cię w chwili, kiedy pierwszy raz cię zobaczyłam. Ale to nie zdarzyło się tutaj, w lesie, ale miesiąc temu, w biurowcu, w którym oboje pracowaliśmy.

Pamiętam tamtą chwilę i nigdy jej nie zapomnę. To był piątkowy wieczór, płakałam w firmowej toalecie przez pół dnia, bo Krystian powiedział, że jeśli spróbuję od niego odejść, zrobi mi coś tak złego, że żaden psychiatra mi nie pomoże. Wierzyłam mu. To miał być mój ostatni dzień w pracy. Zamierzałam popełnić samobójstwo. Siedziałam w kabinie do późna, tak żeby nikt w firmie nie zobaczył moich łez.

Gdy wyszłam z biura i stanęłam przy windzie, trzymałam w rękach tyle dokumentów, że część z nich wyleciała mi z rąk i wypadła na podłogę. Otarłam oczy z łez i wtedy zobaczyłam ciebie.

Spojrzałeś na mnie raz, a ja już wiedziałam.

– Zły dzień? – zapytałeś, schylając się.

Przytaknęłam, chociaż już wiedziałam, że to nie był zły dzień. To był dobry dzień, bo spotkałam ciebie. Pozbierałeś te kartki i podałeś mi je.

– Nie przejmuj się – powiedziałaś. – Kiedy dzisiaj na spotkaniu zobaczyłem nasze targety na ten miesiąc, też się popłakałem. Tylko nie mów ludziom z mojego zespołu.

Uśmiechnęłam się przez łzy. Rozbawiłeś mnie, choć nie sądziłam, że to możliwe.

Wtedy zawołał cię niecierpliwy kolega, który trzymał dla ciebie windę, a ty uśmiechnąłeś się do mnie i odszedłeś, podnosząc dłoń na pożegnanie.

Wtedy zrozumiałam, że skoro poczułam do ciebie coś tak silnego, to oznacza, że on nie zniszczył mojej duszy. Nie zniewolił mnie do końca. Dzięki tobie znalazłam powód, żeby codziennie wstawać z łóżka. Wiedziałam, że gdy przyjdę do pracy, znów cię zobaczę.

Widzisz, Aleks, ty, nawet o tym nie widząc, trzymałeś mnie przy życiu.

Gdy siedziałam w biurze, obsesyjnie przeglądałam twojego Facebooka i Instagrama, a ponieważ często publikowałeś posty, wiedziałam o tobie całkiem sporo. Wiedziałam, że sport pomaga ci radzić sobie z życiem. Wiedziałam, że lubisz wyzwania, i to mi imponowało. Strzelnica, ultramaratony, górskie wyprawy, biegi z przeszkodami. I nagrody, tyle nagród, tak często stałeś na podium. I nigdy nie opublikowałeś zdjęcia z żadną dziewczyną. Ani razu. To mnie zaskoczyło. Wyglądałeś przecież jak spełnienie fantazji, byłeś miły, inteligentny, troskliwy, miałeś pasje. Zaczęłam o ciebie wypytywać. Od kolegów w biurze wiedziałam, że odkąd cię znają, zawsze byłeś sam i choć wiele dziewczyn z twojej firmy próbowało cię poderwać, nie umówiłeś się z żadną. Powiedzieli, że jesteś typem samotnika. Przez moment nawet myślałam, że wolisz

chłopaków. Gdyby tak było, nie przeszkadzałoby mi to w najmniejszym stopniu. Wiedziałam, że żadna dziewczyna ani żaden chłopak nie pokocha cię tak jak ja. Wiedziałam, że jesteśmy sobie przeznaczeni, że kiedyś będziemy razem. Marzyłam o tym, fantazjowałam. Nic więcej nie mogłam zrobić, byłam przecież więźniem.

I w końcu nadarzyła się okazja, żeby spełnić marzenia. Okazja, aby za jednym razem uwolnić się od Krystiana i być blisko ciebie. Poznać cię. Prawdziwego ciebie, nie tę wersję, którą pokazywałeś światu. Ludzie zawsze udają kogoś innego, kogoś lepszego, bez przerwy kłamią, grają. Krystian też mnie oszukał, na początku przekonująco udawał, że mnie kocha.

I chociaż wiedziałam, że ty jesteś inny niż on, tym razem musiałam być ostrożna.

Już rozumiesz, Aleks?

Nie, chyba jeszcze nie.

W tym momencie muszę wspomnieć o czymś ważnym.

Ty utrzymywałeś mnie przy życiu, ale to oni je uratowali.

Moi Wybawiciele. Partyzanci.

To się wydarzyło tydzień temu. Tego dnia nie było cię w biurze, a ja płakałam w samochodzie, bo nie miałam siły wrócić do mieszkania. Wiedziałam, że jestem na skraju, że dłużej nie wytrzymam. Błagałam los o pomoc, o rozwiązanie.

I wtedy ktoś wsunął ulotkę za wycieraczkę mojego samochodu. W pierwszej chwili myślałam, że to reklama, ale potem zaczęłam czytać. Nadal pamiętam każde słowo.

*Wiem, co się dzieje w twoim domu. Chcę ci pomóc. Przyjdź jutro do parku w porze lunchu. Znajdziesz mnie przy placu zabaw. Z twojej pracy to tylko pięć minut piechotą. Krystian nigdy się o tym nie dowie.*

Ale potem przeczytałam dopisek na dole. I nagle poczułam zawroty głowy.



*Ali cię pozdrawia. Przeprasza za tę lalkę, którą wrzuciła do wody.*

Ali była moją najlepszą przyjaciółką z dzieciństwa. Gdy nagle zniknęła z mojego życia, pękło mi serce. Krystian nie miał pojęcia o jej istnieniu, więc wiedziałam, że to nie on napisał ten list. Pomyślałam, że może Ali wróciła do mnie, żeby mnie uratować. Ocalić.

Dzień był zimny i wietrzny. Pamiętam, że idąc do parku, mijałam ludzi z twarzami osłoniętymi chirurgicznymi maseczkami. Ich oczy były smutne, znękanе i przestraszone, tak jak moje. A mimo to zazdrościłam każdej mijanej osobie. Pamiętam, że idąc do parku, chowałam twarz pod szalikiem, wciąż się rozglądałam, czułam się śledzona.

On siedział na ławce naprzeciwko placu zabaw. Pił kawę w plastikowym kubku i obserwował bawiące się dzieci. Miał na sobie czarną bluzę z kapturem, wojskowe spodnie. Jego twarz częściowo zasłaniała długa broda. Był ubrany dokładnie tak jak wtedy, gdy zobaczyłam go pierwszy raz na spotkaniu grupy wsparcia. Uczył tam samoobrony. To on powiedział, że muszę nauczyć się głośno krzyczeć. Kiedy go zobaczyłam na tej ławce, pojawiła się we mnie iskierka nadziei.

Ksawier uśmiechnął się na mój widok.

– Cześć, Marika – przywitał się. – Miło cię znowu widzieć. Czemu przestałaś przychodzić na spotkania grupy wsparcia?

– To ty zostawiłeś mi ten list? – zapytałam.

– Tak, to ja. Kupiłem ci też kawę. – Wskazał na stojący na ławce plastikowy, parujący kubek ze Starbucksa. – Usiądziesz?

Rozejrzałam się niepewnie. Dzieci przerwały zabawę na drabinkach i miałam wrażenie, że obserwują nas z ciekawością. Po roku wspólnego życia z Krystianem nabawiłam się absolutnej paranoi, nawet dzieci wydały mi się podejrzane. Wreszcie usiadłam na ławce i zadałam mu pytanie, które najbardziej mnie nurtowało.

– Naprawdę znasz Ali?

– Ali chce ci pomóc. – Ksawier wypił łyk kawy. – I ja też.  
– Skąd ją znasz?  
– To długa historia.  
– Dlaczego ona nie przyszła tu razem z tobą?  
– Niestety z pewnych powodów nie może pokazywać się publicznie.

– Dlaczego dopiero teraz się do mnie odezwała? Nie widziałam jej od osiemnastu lat.

– Ali szukała cię bardzo długo.

Po tym, co się stało nad jeziorem, rodzice Ali byli przekonani, że próbowała mnie utopić, że opętał ją diabeł. Słyszałam, jak moi rodzice rozmawiają o tym cicho w salonie. Byłam zrozpaczona. Ali nie chciała zrobić nic złego, próbowała mnie tylko przekonać, abyśmy weszły razem na głębszą wodę. Dlatego rzuciła na głębinę moją lalkę. Nie zamierzała zrobić mi krzywdy, nie wiedziała, że nie umiem pływać. To był zwykły wypadek.

– Nie rozumiem, co ona ma z tym wspólnego...

– Ja i Ali właśnie tym się zajmujemy. Pomagamy ludziom w trudnych sytuacjach.

– Dlaczego chcecie pomóc akurat mnie?

– Bo cię wybraliśmy.

Jak ci to opisać, Aleks? Poczucie, że mogę na kogoś liczyć, że jestem dla kogoś ważna, że ktoś się o mnie troszczy... nigdy wcześniej tego nie doświadczyłam. Nigdy.

– Krystian ma nagranie, na którym uprawiamy seks, i grozi, że roześle je do wszystkich znajomych z mojej pracy, a potem wrzuci je do sieci. Wylecę z roboty i nie znajdę nowej pracy w marketingu jako dziwka z internetu. Nie będę mogła go nawet oskarżyć, on jest na aplikacji prokuratorskiej, pochodzi z prawniczej rodziny. Zniszczy mnie.

Ksawier odstawił kubek z kawą na ławkę i spojrzał mi w oczy.

– A kto powiedział, że chcemy iść z nim do sądu?

Przez chwilę wpatrywaliśmy się w siebie w milczeniu. Poczułam, że moje serce gwałtownie przyśpiesza. Poczułam przyływ nadziei, który szybko został zduszony przez strach.

– Dzięki za chęć pomocy, ale muszę już iść.

Wstałam z ławki i ruszyłam w kierunku przystanku autobusowego.

– Może chcesz oddać Krystianowi jego telefon? – zawołał za mną Ksawier.

Zatrzymałam się w pół kroku i obróciłam się przez ramię.

– Co? – zapytałam.

Ksawier wyjął z kieszeni iPhone z charakterystyczną białoniebieską nalepką. Patrzyłam na niego z niedowierzaniem.

– Skąd... Jak... Przecież on nosi go cały czas przy sobie... nawet w pracy...

– Powiedzmy, że koledzy Krystiana z kancelarii za nim nie przepadają i szukają okazji, żeby się go pozbyć – uśmiechnął się Ksawier. – Zawartość telefonu może okazać się pomocna. Ma śmieszny PIN, odkrycie go zajęło mi minutę. W każdym razie przejrzałem zawartość karty SIM i powiem ci, że znalazłem tam dużo ciekawych rzeczy. Powiedz, Marika, czemu nigdy nie wspomniałaś na grupie wsparcia, że twój przyszły mąż lubi kokainę, orgie i seks, w którym jest dominowany?

– Raz w tygodniu jeździ za miasto na partię pokera z kolegami ze studiów. Nie wnikałam, co tam robi...

– No tak, szlachta lubi się bawić. – Ksawier kiwnął głową. – Ale wiedziałaś, że nagrywa wszystko na telefon? Można by pomyśleć, że przyszły prokurator będzie bardziej ostrożny. Ach, te fetysze... ludzkie słabości. Naprawdę uśmiełem się na nagraniu, na którym był zakneblowany czerwoną piłeczką, a jakaś profesjonalistka biła go skórzanym pejczem. Jak myślisz, jakie szkody wizerunkowe mogłoby mu zrobić ujawnienie tych nagrań w internecie? No wiesz, biorąc pod uwagę, że stara się o członkostwo w ultrakonserwatywnej partii?

– Skąd o tym wiesz?

– Wiem o nim dużo rzeczy. Posłuchaj, Marika, do naszego stowarzyszenia należy haker, który zainstalował na jego telefonie wirus. Oprogramowanie typu malware, zresztą nie musisz znać szczegółów. Wirus będzie działał nawet wtedy, kiedy telefon będzie wyłączony. Od tej chwili jego komórka to praktycznie nasza zabawka. Krystian wrzucił filmik z tobą w chmurę. Pewnie myśli, że to bezpieczna baza danych, ale myli się, nie jest bezpieczna. Mój utalentowany kolega wykradnie wasz filmik z chmury i go zniszczy. A potem, w ramach małego rewanżu za to, co ci zrobił, upubliczni wszystkie kompromitujące nagrania i screeny wiadomości, w których groził ci śmiercią. Możemy cię od niego uwolnić. Mało tego, możemy upokorzyć go tak, że nigdy się z tego nie podniesie. Ale potrzebujemy najpierw czegoś od ciebie.

W tym miejscu muszę przerwać, Aleks. Muszę ci coś wytłumaczyć, tak żebyś dobrze zrozumiał. Wirus zła, który miał w sobie Krystian, stopniowo przeszedł na mnie. Stopniowo zaczęłam obojętnieć na cierpienie, swoje i innych. Nie próbuję się usprawiedliwiać. Chciałabym opowiedzieć ci o narastającym przerażeniu i gniewie. O bezradności przegradzającej się stopniowo w nienawiść. Chciałabym ci o tym opowiedzieć, ale nie mam tylu słów. Chciałam po prostu odzyskać swoje dawne życie. Pamiętaj o tym, zanim powiem ci, co było dalej.

– Chcecie pieniędzy? – zapytałam. – Mam oszczędności, jakieś dziesięć tysięcy, jeszcze dzisiaj mogą być wasze.

– Nie chcemy twoich pieniędzy, Marika. – Ksawier pokręcił głową.  
– Chcemy, żebyś nam pomogła.

– W czym?

– Pytanie, jak daleko jesteś w stanie się posunąć, żeby się od niego uwolnić. Będiesz w stanie złamać dla nas prawo? Popełnić przestępstwo?

– Tak.

- Dotrzymasz tajemnicy, nawet jeśli będzie ci groziło więzienie?
- Tak.
- Będziesz kłamać i oszukiwać?
- Tak.
- Będziesz w stanie złamać komuś rękę, jeśli cię o to poprosimy?
- Tak.

Ksawier uniósł brwi z uznaniem i się roześmiał.

– To ostatnie pytanie dodałem dla zabawy, w stylu Orwella, nie planujemy nikomu łamać kości. Ale podziwiam twoją lojalność, Marika. Ali miała co do ciebie rację, dokładnie takich ludzi potrzebujemy.

– Powiedz, co mam zrobić – poprosiłam.

– To dość proste. Ja i Ali organizujemy grę terenową, a ty weźmiesz w niej udział. Odegrasz w grze szczególną rolę. Najważniejszą. Chcemy, żebyś pomogła nam testować uczestników. Zdobędziesz ich sympatię i wystawisz ich na próbę. Na początku upozoruj wypadek, coś niebezpiecznego. Musimy sprawdzić, jak uczestnicy gry odnajdą się w tej sytuacji. Następne zadania będą trudne i stresujące, więc pewnie pojawią się między wami spięcia. W przypadku konfliktu musisz wziąć stronę tego, kogo będą chcieli wyeliminować z drużyny. Zawsze chcą kogoś wyeliminować, co roku, taka jest ludzka natura. Dlatego wprowadziliśmy zasadę weta. Nie chcemy stracić nikogo przed końcem gry. Kiedy robi się już naprawdę gorąco i wszyscy zaczną sobie skakać do gardeł, a przyjdzie taki moment, zasugeruj im, że powinniście przerwać grę i wrócić do domu. Sprawdź, kto się z tobą zgodzi. Zawsze najpierw odpadają naj słabsi. Obserwuj reakcje i zachowania, zapamiętuj wszystko. Do plecaka dostaniesz minidyktafon i oczywiście będziemy was obserwować, ale nie zawsze uda nam się wszystko zobaczyć i usłyszeć. Nie będziemy też ingerować, dopóki to nie będzie konieczne. Według naszych obliczeń twoja drużyna będzie grała przez dwadzieścia cztery godziny, może trochę krócej. Ale dla

ciebie gra skończy się wcześniej. W nocy po pierwszym dniu będziemy chcieli omówić z tobą zachowania poszczególnych uczestników. Oczywiście twoje zniknięcie może się wydać podejrzanym, więc zrobimy małą szopkę z porwaniem. Jeśli akurat będą przy tym świadkowie, to będzie wyglądało brutalnie, za co z góry przepraszam, ale nie zrobimy ci żadnej krzywdy. Musimy po prostu trochę ich przestraszyć. Sprawdzimy, czy będą próbowali ci pomóc, czy uciekną, ratując siebie.

– Czemu chcecie sprawdzać tych ludzi?

– Bo są dla nas ważni. Tak jak ty. I musimy ich lepiej poznać.

– Ale dlaczego?

– Jeden dzień w ekstremalnych warunkach mówi o tobie więcej niż całe życie spędzone w bezpieczeństwie. To będzie sprawdzian także dla ciebie. Deklaracje to jedno, ale musimy sprawdzić, czy nie stracisz zimnej krwi.

– W co będziemy grali?

Ksawier uśmiechnął się szeroko.

– W podchody. Ali mówiła, że w dzieciństwie to była twoja ulubiona gra.

To była prawda. Zawsze lubiłam rozwiązywanie zagadek. Gorzej szło mi wykonywanie zadań, miałam zbyt wiele lęków. Ale w tamtej chwili z Ksawierem nie czułam już cienia strachu.

Właściwie nic już nie czułam. Byłam gotowa na wszystko.

– Jest jeszcze jedna kwestia – powiedział Ksawier. – Z tobą mamy już pięciu uczestników, ale chcielibyśmy, żebyś ty też zaprosiła kogoś do gry.

– Mogę wybrać, kogo chcę? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Tak. Ale dobrze się zastanów. Ludzie, których zaprosiliśmy do gry, nie mają doświadczenia w terenie. Potrzebujemy kogoś silnego, z dobrą kondycją, kto poprowadzi drużynę, zadba o nich. Kogoś, kto poradzi sobie z presją.

I właśnie wtedy pomyślałam o tobie, Aleks. Wiedziałam, co robisz w wolnym czasie. Wiedziałam, że twój zespół uważa cię za świetnego lidera. Pomyślałam, że jesteś człowiekiem, który chętnie wzięłoby udział w takiej grze. A ja mogłabym cię lepiej poznać. Może nawet mogłabym sprawić, żebyś mnie pokochał, tak jak ja pokochałam ciebie.

– Marika? – zapytał jeszcze raz Ksawier. – Znasz kogoś takiego?  
Podniosłam wzrok i lekko się uśmiechnęłam.

## WIKTORIA

Gdy Marika kończy mówić, Aleks podchodzi do niej tak blisko, że lufa jej pistoletu dotyka jego piersi.

– Mówiłaś, że strzelisz, jeśli do ciebie podejdem. Więc strzelaj – mówi.

Widzę, że mięśnie na twarzy Mariki drgają, a w jej oczach pojawiają się łzy. Pistolet, który ściska oburącz, drży.

– Strzelaj – powtarza Aleks.

Marika z wahaniem opuszcza broń. Może sobie na to pozwolić, bo w tej chwili wszyscy Partyzanci celują w Aleksa. On może nie być tego świadomy, bo od dłuższego czasu patrzy tylko na nią. A może wie, ale już go to nie obchodzi.

Nie mogę zrobić nic, żeby go powstrzymać. Absolutnie nic. Gdy Aleks łapie Marikę za ramiona, chcę krzyknąć, ale wtedy on robi coś nieprawdopodobnego – przyciąga ją do siebie i zaczyna całować. A Marika, nie wypuszczając broni, zamyka oczy i oddaje pocałunek.

Obserwuję to z mieszaniną odrazy i niepokoju. Czuję, że zachowanie Aleksa nie jest podyktowane wyłącznie chęcią przetrwania. Wiele razy widziałam w nim coś mrocznego, coś, co przyprawiało mnie o dreszcz. Zrozumiałam to, gdy opowiedział nam swoją historię. Tamte wydarzenia go naznaczyły. Tak bardzo, że

Aleks zakochał się w wyrachowanej kolaborantce, która z miłości do niego postanowiła poświęcić nas wszystkich.

Ksawier podchodzi do Aleksa i klepie go w ramię.

– Witaj po właściwej stronie – mówi. – I wybacz mi ten strzał. Nie planowaliśmy zrobić ci krzywdy, ale rzuciłeś się na nas. Marika była na mnie naprawdę wściekła, kiedy do ciebie strzeliłem. Sam słyszałeś, jak wrzeszczała, prawie wydrapała mi oczy. Chyba naprawdę cię kocha. Ale niedobrze, że ta rana nadal krwawi. Idźcie do kwatery, nasz lekarz zszyje ci rękę, dostaniesz leki.

– O co ci chodziło wtedy, przy rzece? – pyta Aleks. – Kiedy mówiłeś, że znalazłeś coś, czego mi bardzo brakowało?

– Myślałem, że to oczywiste. – Ksawier wskazuje głową na Marikę.  
– Zanim wziąłem cię do gry, trochę się o tobie dowiedziałem. Wiem, co cię spotkało, to bardzo smutna historia. Pewnie teraz myślisz, że wszystkie rzeczy powstają z nienawiści, ale to nieprawda, niektóre rzeczy powstają z miłości. Przekonasz się sam. A teraz idź do kwatery, Marika cię tam zaprowadzi. Powinieneś się przespać i odpocząć. I jeszcze jedno. Powiedziłeś Marice, że należysz do pewnej Grupy. Może powinieneś sprowadzić tu swoich kolegów. Przydałoby nam się trochę przeszkolonych chłopaków.

Marika z uśmiechem oddaje pistolet Ksawierowi. Aleks spogląda na niego z wahaniem, a potem przenosi wzrok na nas.

– Nie zrobicie im krzywdy? – upewnia się.

– Po co mielibyśmy krzywdzić ludzi, których tak długo szukaliśmy?  
– pyta ciepło Ksawier, a w jego głosie jest cała miłość świata.

Aleks znów spogląda na nas.

– Wrócę – mówi z naciskiem.

– Nie, Aleks, lepiej już tu nie wracaj – odzywam się.

Marika bierze go za rękę i też na nas spogląda.

– Mam nadzieję, że kiedyś mi wybaczycie – mówi cicho.

Odpowiada jej tylko zimna cisza. Mimo wszystko potrafię wykrzesać z siebie nieco współczucia dla nich obojga. Współczuję



im tego, co ich spotkało, i tego, kim się stali. Wiem, że wyrządzono im ogromną krzywdę, wiem, że już nigdy nie wrócą do normalności. I że ewentualne szczęście, które dadzą sobie nawzajem, będzie okaleczone, a miłość szybko przerodzi się w toksyczną relację.

Marika prowadzi Aleksa w kierunku kwatery Partyzantów. Domu, w którym jeszcze niedawno jej szukaliśmy. Ani razu nie ogląda się przez ramię.

Zostajemy więc we czwórkę i jeszcze bardziej zbliżamy się do siebie. Zdrada Mariki i odejście Aleksa w pewien sposób nas osłabiają. Wzajemne zaufanie zostało zachwiane, wiara, że wyjdziemy z tej przygody cało, również. Ksawier spaceruje przed nami z bronią skierowaną ku ziemi. Jest spokojny i opanowany, jakby prowadził wykład.

– Wiecie, ukrywanie się jest bardzo zabawne – mówi swobodnym tonem. – Po roku od naszego zniknięcia ludzie przestali o nas mówić, przestali o nas pamiętać. Przyjęli, że umarliśmy. Wtedy zaczęliśmy kolejno wychodzić z puszczy. Najpierw urządzaliśmy sobie nocne spacerunki po miasteczku. Ci, którzy nas widzieli, myśleli, że jesteśmy duchami. Po dwóch latach poczuliśmy się tak bezpiecznie, że postanowiliśmy wyjść w ciągu dnia. Pamiętam dzień, gdy szedłem ulicą Posoczyna w pełnym słońcu i nikt mnie nie poznał. Wystarczyła broda i kaptur na głowie. Na pewien czas opuściliśmy naszą kryjówkę. Znaleźliśmy dorywcze prace w ośrodkach odwykowych, szpitalach, w schroniskach dla bezdomnych. Wszędzie tam, gdzie ludzie potrzebowali pomocy. W takich miejscach łatwo o pracę, umowy śmieciowe, brak weryfikacji danych. No i nie ma chętnych. Kogo obchodzi potrzebujący, prawda? Dzięki pracom, które wykonywaliśmy, poznaliśmy ludzi i otwieraliśmy przed nimi nowe możliwości.

– Jakie możliwości? – pytam.

– O tym zaraz ci opowiem. Ale jeszcze nie teraz. Teraz chciałbym porozmawiać z Laną.

Lana występuje odważnie naprzód i choć cała dygocze, w jej oczach nie ma cienia strachu.

– Mój kot – warczy. – Zabiliście mojego kota.

– Lana – Ksawier kręci głową – za kogo ty nas masz? Nie jesteśmy potworami. Twój kot na ciebie czeka.

Ksawier daje znak uzbrojonemu tłumowi, jakby kierował orkiestrą. Jedna z dziewczyn, ta, która na początku gry poczęstowała mnie herbatą, przynosi na środek polany transporter przykryty kocem. Ksawier odkrywa koc. Zachowuje się jak iluzjonista, wykonujący magiczną sztuczkę. Słyszę, jak Lana wstrzymuje oddech. W środku coś się porusza, kotłuje. Lana wydaje okrzyk i biegnie do transportera. Otwiera drzwiczki i wyciąga kota. Bierze go na ręce, przytula jak dziecko, całuje po głowie. Ksawier przygląda się temu z ciepłym uśmiechem.

– Lubię szczęśliwe zakończenia – wyznaje, spoglądając na nas. – Ale możemy zrobić jeszcze szczęśliwsze. Lana, chcesz się przywitać ze starym przyjacielem?

Wskazuje na długowłosego chłopaka wyłaniającego się z grupy bezimiennych postaci. Chłopak zdejmuje czerwoną bandankę i odsłania zarośniętą twarz. Hipisowski styl dziwnie kontrastuje ze strzelbą, którą trzyma w dłoni.

Lana sztywnieje.

– Maks – mówi cicho.

Rusza w jego stronę z kotem w ramionach. Wpatruje się w jego twarz jak zahipnotyzowana. Wreszcie zatrzymuje się przed nim, wyciąga rękę i dotyka jego ramienia, jakby nie dowierzała w jego istnienie. Nie zwraca uwagi na broń w jego dłoni.

– Podobała ci się moja iluzja optyczna? – pyta Maks. Ma niski, mocny głos bluesowego wokalisty. – Zawsze lubiłaś moje szkice.

– Gdzie ty byłeś przez te wszystkie lata?! – Głos Lany się trzęsie. Cofa rękę. – Nie przyszedłeś nawet na proces. Zniknąłeś. Zostawiłeś mnie.

Maks kiwa ponuro głową.

– Ale nigdy o tobie nie zapomniałem. Nie mogłem sobie wybaczyć, że pozwoliłem ci wtedy wrócić samej do domu. Kiedy się dowiedziałem, co się stało, nałykałem się prochów, przedawkowałem i trafiłem do szpitala. Ze szpitala poszedłem na odwyk, a tam poznałem Ksawiera. Opowiedziałem mu twoją historię, powiedziałem, że chcę się zemścić na gnojach, którzy ci to zrobili. A on podpowiedział mi jak to zrobić. I pomógł mi rzucić ćpanie.

– Kiedy dołączasz do Partyzantów, życie staje się tak ciekawe, że już nie musisz ćpać – wtrąca Michał.

Ale Lana go nie słucha, wciąż wpatruje się w Maksa, trzymając kota.

– Zamknęli mnie na cztery lata, przez cały ten czas nie odezwałeś się nawet słowem...

– Wysłałem ci wiersz Szymborskiej. Nie mogłem napisać wprost, co zamierzam zrobić, wiedziałem, że w poprawczaku czytają waszą pocztę. Myślałem, że zrozumiesz. Kiedy byliśmy razem, tyle razy rozmawialiśmy o tym wierszu. To była moja obietnica. Obiecałem ci, że ich dorwę i ukarzę za to, co ci zrobili. Potrzebowałem tylko pomocy. Partyzanci mi pomogli.

Widzę, jak rysy twarzy Lany zaczynają się zmieniać. Szok wyraźnie mija i zaczyna się przeradzać w dziką wściekłość.

– Nie wspomnieliście, że porwiecie też mojego kota! – krzyczy w kierunku tłumu. – Czy was popierdoliło, do kurwy nędzy? To tylko bezbronne zwierzę!

– Musieliśmy mieć jakąś gwarancję, na wypadek gdybyś się wycofała – tłumaczy Ksawier. – Dużo dla ciebie zrobiliśmy. Porwaliśmy trzy osoby i przetrzymywaliśmy je w lesie. Nie mówię, że nie mieliśmy przy tym zabawy, ale...

Zupełnie jakby ktoś znieuważa uderzył mnie w żołądek.

– Jakie trzy osoby?! – wołam do Lany. – Gośka?!... Wiedziałaś o tym? Zgodziłaś się na to?

– Gośka, Paweł i Dagmara zabili mojego kota – mówi Lana. – I nigdy nie ponieśli za to żadnej kary. Szukałam ich bardzo długo, ale to Partyzanci ich znaleźli. Napisali mi, że jeśli zagram w ich grę, będę mogła ich ukarać. Nic więcej mnie nie interesowało.

– Dziewczyno, co ty zrobiłaś... – szepczę. – Przecież ty pójdziesz za to siedzieć.

– Ja już za to siedziałam, nie pamiętasz? – Lana wzrusza ramionami. – Zabrali mi cztery lata życia.

– Ale przecież wyszłaś na wolność. Nie mogłaś po prostu o tym zapomnieć? – pytam. – Nie mogłaś żyć dalej?

– Próbowałam – stwierdza Lana. – Nie udało się. Ale teraz, kiedy zostali ukarani...

– Jeszcze nie wszyscy – wtrąca Maks. – Jeszcze nie do końca.

– No właśnie. – Lana spogląda na niego z nagłym ożywieniem. – Pawła i Gośkę już spotkałam, ale gdzie jest trzecia? Gdzie jest Dagmara?

– Chodź, to cię do niej zaprowadzę.

Lana znów całuje swojego kota w głowę. Delikatnie, z miłością. A potem ostrożnie wkłada go do transportera. Dotyka kratki, szepcząc: „Wróć”. Potem prostuje się i nasze spojrzenia się spotykają. Przez chwilę patrzymy na siebie w milczeniu. Jej oczy są nieustępliwe. Moje współczujące. Nie potrafię jej winić za to, co się stało. Mimo wszystko żal mi tej biednej, poturbowanej dziewczyny.

Lana spogląda pytająco na Ksawiera.

– Nie zrobicie im krzywdy, prawda? – upewnia się.

Ksawier uśmiecha się do niej.

– A czy skrzywdziliśmy twojego kota?

Lana kiwa głową, podaje dłoń Maksowi i idzie za nim w głąb lasu. Widzę, że Tymon patrzy za nią z niedowierzaniem, czeka, aż się odwróci, da mu znak. A może zachęci, żeby poszedł razem z nimi. Ale Lana już się nie odwraca. Tymon przeklina cicho. Kładę mu dłoń na ramieniu, złamane serce to teraz najmniejszy z jego problemów.

Została nas już tylko trójka, więc przysuwamy się do siebie, aby zniknęło puste miejsce, które zostawiła po sobie Lana.

– Tymon – odzywa się Ksawier.

Tymon wzdryga się, jakby ktoś poraził go prądem.

– Od dawna chciałem cię poznać – stwierdza Ksawier, świdrując go wzrokiem. – Muszę ci powiedzieć, że jestem fanem twojej pracy.

– Ja nie powiem ci tego samego – odpowiada zimno Tymon.

– Szkoda. – Ksawier kiwa głową. – Liczę na to, że z czasem zmienisz zdanie.

– Co to za haker, który pomagał Marice? – warczy Tymon. – Może daj mi do niego kontakt, wymienimy się wiedzą.

– Już masz do niego kontakt, ale chętnie ci go przedstawię.

Z tłumu wyłania się kolejna postać, chudy, wysoki chłopak w zielonej bluzie z kapturem i wojskowych spodniach. W przeciwieństwie do innych, on nie ma przy sobie broni. Ksawier wskazuje na niego dłonią.

– Falkor, uczestnik zeszłorocznej edycji gry w podchody. Chyba już się znacie.

Tymon porusza bezgłośnie ustami. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby coś tak nim wstrząsnęło.

– Pamiętasz, jak zawsze mówiłeś, że hakera może przechytryć tylko lepszy haker? – Falkor uśmiecha się i puszcza do niego oko. – Właśnie to zrobiłem.

– Skąd wiedziałeś?...

Falkor przewraca oczami.

– Tymon, chyba nie sądziłeś, że jesteś jedynym członkiem kolektywu Innominates w Polsce? Zacznijmy od tego, że gdyby nie ja, w ogóle byś do nas nie trafił. To ja cię poleciłem, ale uznałem, że będzie lepiej, jeśli zostaniemy współlokatorami. Wspólna praca przy grach to był tylko pretekst. Chciałem mieć na ciebie oko. Problem w tym, że ostatnio była fala aresztowań wśród naszych ludzi, a ty zacząłeś świrować. Uznałem, że warto sprawdzić twoją lojalność

wobec kolektywu. Ale przeszedłeś próbę śpiewająco, nie podałeś ani jednego nazwiska. Gratuluję.

– Więc o to chodziło? – warczy Tymon. – Pierdolona próba?

– Osobiście wolę określenie rekrutacja – wtrąca Ksawier.

– Rekrutacja do czego? – pytam, zupełnie zdezorientowana.

– Do Stowarzyszenia Partyzantów – mówi Ksawier. – Innominates współpracuje z nami już od roku. Łączy nas potrzeba społecznej sprawiedliwości. Nasze stowarzyszenie jest na razie dość kameralne, ale szybko się rozrasta. Potrzebujemy utalentowanych, silnych ludzi, którzy potrafią radzić sobie w trudnych warunkach. Potrzebujemy właśnie takich osób jak ty, Tymon. Ludzi, którzy nie boją się łamać prawa w obronie sprawiedliwości.

– Uprzedzałem cię, pamiętasz? – Falkor podchodzi do Tymona. – To ja rozmawiałem z tobą na czacie, musiałem tylko użyć programu zmieniającego głos. Mówiłem ci, że gra, do której cię zapraszam, będzie brutalna. Dostałeś to, czego chciałeś.

– Pozwoliłeś mu trzymać broń przy mojej głowie – mówi Tymon, wskazując na Ksawiera.

– Magazynek był pusty, nic ci nie groziło – stwierdza lekceważąco Falkor.

Kłamie. Widzę to w jego oczach. Ale Tymon tego nie dostrzega. Jego twarz się rozluźnia, uśmiecha się z ulgą.

– Tak właśnie myślałem – mówi. – No nieźle, Falkor. Nie wiem, co zaskoczyło mnie bardziej. Fakt, że też jesteś hakerem, to, że należysz do jakiejś paramilitarnej, leśnej bojówki, czy może jednak to, że naprawdę umiesz grać w Counter-Strike'a.

Falkor uśmiecha się szeroko.

– Tak długo pracujemy przy grach i nie mamy z tego żadnej satysfakcji. Pomyśl, jak ciekawie byłoby pracować przy organizacji takiej gry jak ta. Tylko to sobie wyobraź. Żadnych szefów, żadnych terminów i nieograniczone możliwości. Czysta kreatywność. Tylko pomyśl.

Widzę, jak w oczach Tymona pojawia się żywe zainteresowanie. Łapię go za ramię i nachylam się do jego ucha.

– Tymon, on kłamie – szepczę. – Magazynek nie był pusty.

– To mój kumpel – odpowiada cicho Tymon. – Znamy się od sześciu lat. Ciebie znam jeden dzień.

– Tymon, nie rób tego – proszę. – Nie przyłączaj się do nich.

– Wyluzuj, Wiktoria. Oni nic ci nie zrobią. To tylko gra.

Tymon podchodzi do Falkora. Bez oporów przekracza niewidzialną granicę, która dzieli nas i ich. Razem podchodzą do pozostałych Partyzantów, gdzie zamaskowani ludzie witają Tymona śmiechem i poklepywaniem po ramieniu. Słyszę gratulacje i słowa uznania. Ktoś podaje mu odpalonego papierosa. Próbuję złapać wzrok Tymona, czekam na znak, że to tylko sprytne zagranie, że nie zamierza zostawić mnie i Daniela na pastwę tych ludzi. Ale on już się nie ogląda. Razem z Falkorem rusza tą samą ścieżką, którą odeszli Marika i Aleks. Dla niego to naprawdę była tylko gra. Gra, która już się skończyła.

Przełykam ślinę i tłumaczę sobie, że nie powinnam czuć się zdradzona, bo ludzie z mojej drużyny nie byli mi nic winni. Zналиśmy się przecież tylko jedną dobę. Przez chwilę byliśmy sobie potrzebni, ale już nie jesteśmy. To, co razem przeżyliśmy, nie ma żadnego znaczenia, teraz znów każdy troszczy się tylko o siebie.

Myślę gorączkowo. Wiem, że próba pozyskania sympatii Partyzantów nie ma najmniejszego sensu. Ci ludzie nas znają. Wykorzystali naszych bliskich, aby wyciągnąć informacje na nasz temat. Wiedzą, kim jesteśmy, znają naszą przeszłość i słabe punkty. Wiedzą, jak z nami rozmawiać. Jakakolwiek próba blefu, kłamstwa czy przekupstwa jest z góry skazana na porażkę. Próba negocjacji też, bo nie zależy im na pieniądzech.

– No to została tylko dwójka – mówi Ksawier, spoglądając na mnie i na Daniela. Celuje pistoletem we mnie, w Daniela i znów we mnie.

– Ona albo on. Był kiedyś taki wierszyk, znacie go?

*Sześciu śmiałków weszło do lasu i zgubiło drogę,  
została tylko dwójka, czterech dało nogę.  
Zapytali wilka, czy puści ich stąd,  
odpowiedział krótko: ona albo on.*

Nagle lufa zatrzymuje się na Danielu. Słyszę trzask odbezpieczonego pistoletu i wstrzymuję oddech. Po kilku sekundach głuchej ciszy Ksawier opuszcza broń.

– No chyba nie myśleliście, że strzelę? – śmieje się. – Tak sobie testuję broń. W razie czego dobrze wiedzieć, że działa.

Daniel robi krok w jego stronę.

– Skończ już to. Strzelaj do mnie, a jej pozwól odejść – mówi.

– Daniel, wyklęty chłopaku, nie bardzo możesz stawiać nam warunki – stwierdza lekceważąco Ksawier. – Naprawdę powinieneś uważać na to, komu się spowiadasz. Przecież w konfesjonale może ukrywać się każdy. Może nagrywać to, co słyszy, a potem szantażować ludzi ich własnymi tajemnicami. Mój kolega Kamil bardzo lubi to robić.

Ksawier wskazuje na jednego z Partyzantów. Rudy chłopak wykonuje gest, jakby chciał się przeżegnać. Dotyka czoła i piersi, ale na koniec przesuwając dłoń po szyi, w geście podcinania gardła. A potem uśmiecha się do Daniela.

– Masz szczęście, że my, Partyzanci, jesteśmy wyrozumiali – ciągnie Ksawier. – Możemy wybaczyć ci to, co zrobiłeś, możemy przyjąć cię do stowarzyszenia, bo okazałeś odwagę. Jest tylko jeden warunek. Musisz się wyrzec Boga. Nie możemy brać na poważnie ludzi, którzy wierzą w cuda i modlą się do zaczarowanych przedmiotów. My nie wierzymy w żadnych bogów ani siły wyższe. To my jesteśmy siłą wyższą. Bóg mówi, żebyś był nikim za życia, a po śmierci dostaniesz nagrodę. My mówimy ci, żebyś odebrał nagrodę już teraz. Widzisz, Daniel, świat już cię skreślił. Świat cię nie chce, ale my cię chcemy. Zależy nam na tobie. Dlatego dajemy ci wybór.



Wiara i dożywocie w więzieniu czy wolność i całe życie w prawdzie, z nami. Wybieraj.

Jestem tak pewna decyzji Daniela, że nawet na niego nie patrzę. Dopiero kiedy jego milczenie się przedłuża, spoglądam na niego z nagłym niepokojem.

– Daniel?

Twarz Daniela jest nieruchoma jak maska. Szarpię go za ramię.

– Daniel, co z tobą? Chyba się nie zastanawiasz?!... Oni właśnie powiedzieli, żebyś wyrzekł się dla nich własnej tożsamości. Wiara jest częścią ciebie.

– Na pewno? – pyta.

Jego oczy są zupełnie puste, pod jednym rysuje się wyraźnie siniak od pięści Aleksa. Nos jest złamany, pokryty strupami zaschniętej krwi.

– Modliłem się do Boga, odkąd jestem w tej puszczy, ani razu nie poczułem Jego obecności – mówi Daniel. – Zacząłem myśleć, że może po prostu chcemy, żeby On istniał, bo chcemy czuć, że komuś zależy.

– Brawo, Daniel – chwali go Ksawier. – Spędziłeś z nami tylko kilka chwil i już wyciągasz prawidłowe wnioski.

– Myślałem, że Bóg jest wszędzie, ale nie było Go na tej ustawce – ciągnie Daniel, wciąż patrząc mi w oczy. – Nie było Go w kościele, kiedy chciałem się wyspowiadać. I nie ma Go ze mną teraz.

Nie wiem, co mu odpowiedzieć. Nie wiem, czy Bóg jest z nami w tej puszczy, ale wiem, że my tu jesteśmy i otaczają nas szaleni, uzbrojeni ludzie.

– Daniel, proszę cię, nie rób tego. Nie przyłączaj się do nich. Oni cię zniszczą.

Daniel nie mówi już nic. Ciężkim krokiem przechodzi na stronę Partyzantów. Gdy zbliża się do Ksawiera, on klepie go po ramieniu jak wiernego psa.

– Co mam zrobić? – pyta Daniel.

– Na początek sprawdź, czy dobrze zgasiliśmy wszystkie ogniska  
– mówi Ksawier. – Ogień był dobry, żeby zaprowadzić was we właściwe miejsce, ale nie chcemy tu pożaru. To nasz dom.

Daniel odchodzi, a wraz z nim ulatnia się część zamaskowanych, uzbrojonych osób. Na polanie zostaje tylko Ksawier i jego najbliżsi przyjaciele. Nie potrzebują już wsparcia, jest ich czterech, a ja jestem sama.

Lekko drzę, ale myśl o Raisie dodaje mi sił. W przeciwieństwie do innych Zwiadowców ja mam kogoś, kto czeka na mnie po drugiej stronie. I dla niej będę się bronić i walczyć z całym światem. Do samego końca.

Ksawier robi krok w moją stronę.

– No więc, pani redaktor...

– Nawet, kurwa, nie próbuj – przerywam mu.

– Dlaczego? – śmieje się Ksawier. – Z twoimi kolegami z drużyny Zwiadowców poszło zaskakująco łatwo. Zwykle trwa to o wiele dłużej. Wyjątkowo podatna grupa.

– Z nimi poszło wam łatwo, bo są ranni, wykończeni i mają syndrom sztokholmski – cedzę. – Jutro otrząsną się z tego jak ze złego snu i wrócą do swojego życia.

Ksawier tylko się uśmiecha.

– Jesteś pewna?

W tej samej chwili przeszywa mnie wątpliwość. I ja, i on wiemy, że Partyzanci zgotowali im piekło, a oni i tak przeszli na ich stronę. Co się stanie, kiedy zaczną dobrze ich traktować?

– Łukasz, słuchaj... – mówię, bo wiem, że go tym rozdrażnię i strącę z piedestału.

– Ksawier – poprawia mnie, marszcząc brwi. – Łukasz to moje stare imię. Już go nie używam.

– Widzisz, Łukasz, mnie nie będzie łatwo przekabacić. Przez miesiąc należałam do sekty i codziennie słuchałam takiego nawiedzonego pierdolenia. Uodporniłam się.

– Nie obrażaj nas – krzywi się Ksawier. – Nie porównuj nas do religijnych oszołomów. Sekty odcinają ludzi od przyjaciół i rodzin dla własnych korzyści, a my wyciągamy rękę do ludzi, którzy nie mają nikogo i nie widzą już dla siebie wyjścia. Do tych, którzy gniją na odwykach, w więzieniach, szpitalach psychiatrycznych. Dajemy im poczucie sensu i celu. Ratujemy ich.

– Jesteście zwykłą sektą, która żeruje na wykluczonych, strauumatyzowanych i zaburzonych ludziach. Chodzi wam tylko o władzę nad nimi. Rzygać mi się chce, kiedy na was patrzę.

Koledzy Ksawiera słuchają uważnie moich słów, nie okazując najmniejszych emocji. Przesuwam wzrokiem po ich twarzach. Michał Zieliński, Kamil Woźniak, Rafał Nowak, Łukasz Wójcik, założycie sekretne go Stowarzyszenia Partyzantów.

– Kierujesz swój gniew w niewłaściwą stronę, Wiktoria – stwierdza Ksawier. – Nie jesteśmy twoimi wrogami.

– Ja o tym decyduję. Nie ty.

Mierzymy się spojrzeniami, ani na chwilę nie opuszczam wzroku. Ksawier przygląda mi się w milczeniu, pocierając palcem usta. Wygląda, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał. Już wie, że w przeciwieństwie do innych nie pozwolę mu się zdominować. Nie dam sobie wlać do głowy jego obłąkanej retoryki, nie zagłaska mnie, nie zastraszy, nie zmanipuluje. Nic na mnie nie ma. Absolutnie nic.

– Podziwiam twoją siłę, Wiktoria. – W głosie Ksawiera brzmi szczere uznanie. – Ale teraz ktoś inny chce z tobą porozmawiać.

– Kto? – pryham. – Kolejny zaginiony maturzysta?

– Nie. Ona.

Za wygiętych drzew w kształcie łabędzich szyj wyłania się zjawa. Postać jest drobna i smukła, ale karabin w jej dłoniach sprawia, że błyskawicznie rośnie do gigantycznych rozmiarów. Góruje nad nami wszystkimi. Zjawa ma na sobie wojskową kurtkę i czarne spodnie. Jasne włosy są ogolone do skóry, na skroni widzę krwawą ranę. Jasnoniebieskie oczy przypominają dwa lodowce.

Usiłuję zrozumieć, co się dzieje, i mój umysł rozpaczliwie próbuje wszystko ze sobą połączyć. Ale nie potrafi, elementy rzeczywistości po prostu nie chcą do siebie pasować.

Do ostatniej chwili miałam nadzieję, że już nigdy więcej jej nie zobaczę.

Julię otacza jasna poświata. Jej skóra migocze. Brokatowy makijaż na twarzy skrzy.

– Podoba ci się, Wika? – odzywa się Julia, unosząc karabin. – Ukradłam go mojemu chłopakowi z sejfu. Nawet nie ustawił porządnej kombinacji. Chyba miał do mnie za dużo zaufania. Tak jak ty.

Mogę wykrztusić siebie tylko dwa słowa.

– Ty suko.

– Ja też się za tobą stęskniłam, Wika. – Dziewczyna uśmiecha się drwiąco. – Poznaj moich niewidzialnych przyjaciół.

Zatacza dłonią, wskazując na Ksawiera i jego kumpli.

Zaczynam drzeć. W pewien sposób cieszę się, że celuje we mnie pięć sztuk broni, bo w innym wypadku mogłabym ją zabić na miejscu. Gołymi rękami.

Julia dostrzega to w moich oczach. Podchodzi bliżej, czuję słodki zapach jej perfum.

– No, śmiało – syczy. – Spróbuj coś zrobić. Zobaczysz, co się stanie.

Mam wrażenie, że zaraz wykona swój słynny taniec radości, jak wtedy, gdy wygrała ze mną w planszówki.

– Jesteś zdziwiona, co, Wiktoria? – Szafirowe oczy świdrują mnie nieprzerwanie.

– Myślałam, że nie żyjesz.

– Myślałaś czy miałaś nadzieję? – Julia przekręca głowę jak ciekawski kot.

– Nigdy nie życzyłam ci śmierci.

Aż do teraz, dodaję w myślach.

– Ale odetchnęłaś z ulgą, kiedy zniknęłam, co? – dopytuje Julia. – No już, Wika, powiedz prawdę. Prawda cię wyzwoli.

Myślę o tym, jak Raisa i Julia u mnie zamieszkały, gdy ich mieszkanie spłonęło. Teraz myślę, że to Julia je podpaliła, ale wtedy na to nie wpadłam. Chciałam pomóc przyjaciółce w potrzebie. Zaczęło się całkiem zwyczajnie, co wieczór grałyśmy razem w gry i oglądałyśmy seriale, chodziłyśmy razem do knajp i na koncerty. Ale potem Raisa zaczęła więcej pracować. Znikała z domu na dwunastogodzinne dyżury, wracała nad ranem blada ze zmęczenia i kładła się spać. Wtedy Julia zaczęła oplatać mnie niczym trujący bluszcz. Na początku była naprawdę urocza, robiła obiady, paliła ze mną papierosy na balkonie, odebrała mój samochód z warsztatu, dawała mi małe, pomysłowe prezenty. Ale z czasem zaczęła zajmować coraz więcej miejsca, nie tylko w moim mieszkaniu, ale także w moim życiu. Wciąż chciała ze mną rozmawiać, dzwoniła tak często, że w pracy musiałam wyłączać telefon. Gdy nie było mnie w domu, spała w moim łóżku. Wiedziałam o tym, bo co wieczór pościel pachniała jej perfumami. To wszystko było na tyle upiorne, że wreszcie zaczęłam uciekać z własnego mieszkania. Którejś nocy wróciłam po redakcyjnej imprezie i zastałam Julię siedzącą nieruchomo w kuchni. Blond włosy miała związane w warkocz, na jej powiekach błyszczał brokat.

– Chciałabym, żebyś była moją siostrą – oznajmiła.

Poczułam mdłości, ale nie wiedziałam, czy winić za to alkohol, czy jej wyznanie.

– Teraz, kiedy z tobą mieszkam, lepiej rozumiem, czemu jesteś taka ważna dla Raisy – dodała. – Jesteś wyjątkowa, tak jak ona i ja. Chciałabym tu zostać. Powinniśmy być rodziną. Ja, ty i Raisa.

Właśnie w ten sposób Julia pożerała ludzi. Dosłownie. Najpierw się do nich przymilała, wdzięczyła i czarowała. A kiedy już podbiła ich serca, co z jej wyglądem nie było trudne, domagała się więcej

i więcej. Wiedziałam o tym i nie zamierzałam jej na to pozwolić. Moje życie należało tylko do mnie.

– Nie jesteśmy rodziną – powiedziałam ostrożnie. – Bardzo cię lubię, ale...

– Nie chcesz tego?

– Julka, nie mam siły o tym gadać, jest późno, ja trochę wypłam, chodźmy spać, a rano...

– Raisa i ja mamy tę samą krew. – Julia nie spuszczała ze mnie wzroku. – Dzielimy te same geny. Czemu kochasz moją siostrę, a mnie nie?

– Bo nie jesteś nią.

Słowa uciekły z moich ust szybciej, niż zdążyłam je powstrzymać. Gdybym była trzeźwa, pewnie ujęłabym to inaczej, mniej brutalnie. Twarz Julii momentalnie znieruchomiła. Wiedziałam, że odebrała te słowa jak niewyobrażalną zniewagę.

Patrzyła na mnie długo w zupełnym milczeniu, nawet nie mrugając. To było bardziej przerażające niż jakikolwiek atak wściekłości. Mruknęłam jakieś „dobranoc” i dyskretnie wycofałam się z kuchni. A ona wciąż siedziała nieruchomo przy stole i nie spuszczała ze mnie wzroku. Tylko palce jej dłoni wygrywały na blacie cichy rytm. Teraz myślę, że właśnie w tamtej chwili postanowiła odebrać mi wszystko.

– Halo, Wika? Wracaj do mnie.

Julia pstryka mi palcami przed twarzą.

Mrugam i spoglądam na nią z nienawiścią. Znów znajduję się na polanie, otoczona uzbrojonymi ludźmi.

– Pytałam, jak ci się podobało zadanie, które dla ciebie przygotowałam – powtarza Julia. – Przejdźcie po pniu drzewa. Zawsze lubiłaś takie rzeczy. Pamiętasz, jak w szkole przechodziłaś po linie między oknami? Gdybym nie rzuciła w ciebie butelką, kto wie, może nawet by ci się udało.

– To byłaś ty?!

– Oczywiście. – Julia kiwa głową. – Nie przepadałam za tobą, ukradłaś mi siostrę.

– Nie ukradłam ci siostry, psychopatko.

– Spędzała z tobą cały swój czas, a ja potrzebowałam jej bardziej niż ty. Nasi rodzice, jak wiesz, od zawsze lubili się nad nami pastwić, a ona była jedyną osobą, która mnie przed nimi chroniła. Oczywiście, nie zawsze jej się udawało.

– Chciałam jej pomóc w przejęciu opieki nad tobą! Próbowaliśmy wam pomóc, rozumiesz?

– No cóż, wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam. – Julia wzrusza ramionami, jakby chodziło o jakąś drobnostkę. – W każdym razie zaraz po twoim małym wypadku mój ojciec zauważył, że ukradłam mu maskę wojskową. Kiedy dowiedział się, co cię spotkało, od razu domyślił się, że to byłam ja. Rodzice zaczęli szantażować Raisę. Powiedzieli jej, że jeśli spróbuje odebrać im opiekę nade mną, oni ujawnią, że to ja cię zaatakowałam, a wtedy trafię do psychiatryka. Muszę przyznać, że nieźle to rozegrali. Raisa była przerażona. Bała się, że kiedy się dowiesz, co zrobiłam, za jednym razem straci i siostrę, i najlepszą przyjaciółkę. Więc obiecała im, że nic nie zrobi. Nie oceniaj jej zbyt surowo za to, że nie powiedziała ci prawdy. Próbowала mnie chronić.

Mój umysł produkuje taśmowo przekleństwa, gotuje się z nienawiści. Muszę powoli, spokojnie oddychać, aby go schłodzić. Muszę mocno gryźć wargi, żeby te wszystkie obelgi nie wytrysnęły z moich ust i nie pozbawiły mnie życia.

– Zakopałaś mnie żywcem – cedzę. – Ty i twoi koledzy.

– Ach, tak. – Julia macha ręką. – Każdy czasem potrzebuje przypomnienia, że życie nie jest dane nikomu raz na zawsze. Ty też. Ja sama przeszłam tę próbę. Kiedy przygotowaliśmy tegoroczną grę, testowałam na sobie każde zadanie. Wiesz, kiedy leżałam tam, pod ziemią, i wyobrażałam sobie, co mogłabyś czuć... tak naprawdę nic nie czułam.

– To chore. – Staram się brzmieć spokojnie. – Jesteś chora. Wiesz o tym?

Ale Julia już mnie nie słucha. Tanecznym krokiem lawiruje pomiędzy Ksawierem i jego kolegami. Dotyka każdego, ociera się o nich jak kot. Chce mi pokazać, że oni należą do niej i zrobią wszystko, czego będzie sobie życzyła.

Odwracam wzrok, wbijam go w przestrzeń. Nie chcę dłużej patrzeć jej w oczy. Nie chcę słuchać niczego, co mówi. Nie chcę, żeby miała nade mną jakąkolwiek władzę.

– Chcesz wiedzieć, jak poznałam Ksawiera i resztę? – Rozbawiony głos Julii wdziera się do mojej głowy. – Gdy Raisa zaczęła spędzać czas z tobą, poczułam się samotna. Ona jedyna mnie rozumiała. Wszyscy ludzie w moim wieku byli tacy głupi, ograniczeni i tacy... przeciętni. Nie rozumieli nawet tych banalnych bzdur, których uczyli nas w szkole. Jak mogli zrozumieć mnie? No jak? Udawanie, że jestem taka jak oni, było dla mnie obrzydliwe. Niegodne. Potrzebowałam mojej mądrej siostry, a ty mi ją odebrałaś. Więc musiałam znaleźć sobie nowych przyjaciół. Któregoś dnia uciekłam ze szkoły i wybrałam się na wycieczkę do Puszczy Posoczyńskiej. Oczywiście nie spodziewałam się, że znajdę tam coś wyjątkowego. Chciałam po prostu uciec od otaczającej mnie głupoty. Kiedy tak chodziłam po lesie, nagle zobaczyłam czerwony znak na drzewie. Czułam, że ktoś namalował go specjalnie dla mnie. A potem zobaczyłam na gałęzi piękną, czerwoną wstążkę. Szłam dalej za czerwonymi znakami, aż znalazłam pierwszą zagadkę. Rozwiązałam ją, a potem dotarłam do kolejnej. Moi Niewidzialni Przyjaciele chcieli mieć pewność, że trafi do nich ktoś naprawdę wyjątkowy. I tak się stało. Gdy rozwiązałam wszystkie zagadki, znalazłam Kotlinę Kamiennych Twarzy. A oni tam na mnie czekali. Cztery duchy. Zaginieni, poszukiwani w całym województwie, siedzieli przy ognisku i czekali na mnie. Do tej pory pamiętam pierwsze słowa, które



powiedział do mnie Ksawier. Podszedł bliżej i powiedział: „Nie bój się”.

Spoglądam na Ksawiera, który słucha jej opowieści z wyraźną przyjemnością. Próbuję to sobie wyobrazić. Czterech osiemnastoletnich uciekinierów i trzynastoletnia dziewczynka, która w końcu znalazła kogoś, kto dorównuje jej intelektem i poziomem szaleństwa. Musiała poczuć się, jakby trafiła do nieba. Niewidzialni przyjaciele, sekretne stowarzyszenie, porozumienie dusz. Próbuję sobie wyobrazić, co działo się w tym lesie, gdy się po raz pierwszy spotkali. Próbuję – ale nie jestem w stanie.

– Powiedziałaś, że będę im pomagać – ciągnie Julia. – Że dochoвам ich tajemnicy. Od tamtej pory moje życie nabrało prawdziwego sensu. Raz w tygodniu, w nocy, wymykałam się z domu i przychodziłam do nich, do ukrytego świata. I świetnie się razem bawiliśmy. Oni nauczyli mnie bardzo wielu rzeczy. Raisa nazywała ich moimi Niewidzialnymi Przyjaciółmi. Myślała, że ich wymyśliłam, uwierzysz? Oni byli jedynymi ludźmi na świecie, którzy mnie rozumieli. Tylko oni wiedzieli, kim naprawdę jestem.

Przestaję słuchać jej urojeń. Wracam myślami do tego koszmarnego dnia, który nastąpił zaraz po naszej nocnej rozmowie. Gdy wróciłam do domu po pracy, zastałam Julię w moim pokoju. Był całkowicie zdemolowany, cała podłoga była zasypana kawałkami materiału, plastikiem, stłuczonym szkłem. Julia poczerwieniała z wysiłku, dygotała i trzymała w dłoni młotek.

– Dlaczego mnie unikasz? – zapytała. – Przyjaciele nie powinni tak robić.

Przed nią leżał mój dysk zewnętrzny. Wiedziała, co na nim jest. Wszystkie teksty, które napisałam przez ostatnie pięć lat. Setki artykułów, reportaży, wywiadów, pomysłów. Nie mogłam wydać z siebie głosu. Julia podniosła młotek i na moich oczach rozbiła dysk na drobne kawałeczki.

– A teraz mnie widzisz, Wika? – wydyszała.

W tamtej chwili straciłam nad sobą kontrolę. Wrzasnęłam, rzuciłam się na nią, przewróciłam ją na ziemię i wyrwałam jej młotek. Złapałam ją za włosy i wysyczałam jej do ucha, że ma zniknąć z mojego życia, a jeśli zbliży się do mnie jeszcze raz, to ją zabiję. Najgorsze było to, że nie zobaczyłam w jej oczach strachu ani poczucia winy. Tylko złośliwą radość. W tamtej chwili podsunęłam jej świetny pomysł.

Teraz już o tym wiem.

– Marika? – pytam krótko.

– Och, tak, Marika, moja najlepsza przyjaciółka z dzieciństwa – chichocze Julia. – Była cudowna, robiła wszystko, co jej kazałam. Ale ja też jej pomagałam. Wzmacniałam ją. Dzięki mnie przekraczała własne granice. Kiedyś prawie utonęła, ale to akurat był wypadek. Ona zawsze była taka strachliwa, chciałam tylko, żeby weszła ze mną na głęboką wodę. Ale Raisa usłyszała jej krzyki, popłynęła po nią i ją uratowała. Rodzicom powiedziała, że to była jej wina, bo spuściła nas z oczu. Ale oni wiedzieli. Nie wiem skąd, ale wiedzieli. Sprzedali dom i przenieśli się razem z nami do sąsiedniego miasteczka. Tam już nie miałam żadnej przyjaciółki, z którą mogłabym się bawić. Nie pozwolili mi się z nikim spotykać po szkole. Zresztą nawet mi na tym nie zależało. Wszyscy byli tacy przeciętni. Odnalazłam Marikę dopiero po osiemnastu latach. A właściwie to Ksawier ją odnalazł, zupełnym przypadkiem. Uczył samoobrony na grupie wsparcia dla ofiar przemocy. Okazało się, że Marika wplątała się w zły związek. Musiałam jej pomóc. Musiałam sprawić, żeby znów przekroczyła własną granicę. Poradziła sobie. Jestem z niej dumna.

Kątem oka zauważam, jak Julia tańczy na polanie. Wygląda jak mała, roztańczona wróżka. Zawsze gdy na nią patrzyłam wszystko dookoła znikało. A potem wracało, ale mniej ważne, pokryte szarością. A ona błyszczała i skrzyła się jak diament. Zauroczyła mnie tak bardzo, że długo nie potrafiłam dostrzec, jakim jest

potworem. Ale teraz już na nią nie patrzę. Teraz szukam wzrokiem drogi ucieczki.

Tej nocy, gdy wyrzuciłam Julię z domu, Raisa miała dyżur w szpitalu, a ja leżałam na kanapie z dłonią zaciśniętą na kiju bejsbolowym. Spodziewałam się, że Julia wróci po swoje rzeczy, ale nic takiego się nie stało. Nad ranem udało mi się na chwilę zasnąć. Obudził mnie telefon Raisy, zadzwoniła z pytaniem, czy wiem, gdzie podziła się jej siostra, bo podobno pojechała z chłopakiem pod namiot, a teraz nie odbiera telefonu. I tak zaczęła się historia zaginięcia Julii Płomyk.

Nigdy nie powiedziałam Raisie o naszej kłótni. Byłam pewna, że Julia uciekła przede mną, a Raisa z każdym dniem rozpaczała coraz bardziej. Bałam się powiedzieć jej prawdę. Bałam się, że wyrzuci mnie ze swojego życia, tak jak robiła ze wszystkimi, którzy krzywdzili jej siostrę. Nie powiedziałam też prawdy policji, nie chciałam skończyć jako główna podejrzana.

Zaangażowałam się w poszukiwania Julii głównie z poczucia winy.

– Już rozumiesz, Wiktoria? – Julia posyła mi słodki uśmiech. – Musisz uważać, czego sobie życzysz. Powiedziałaś mi, żebym zniknęła. Więc zniknęłam.

Julia wykonuje zgrabny piruet, unosząc karabin w powietrze.

– Najbardziej na świecie zależało ci zawsze na dziennikarskiej karierze. Więc postanowiłam przygotować dla ciebie zagadkę. Moje zaginięcie. Wiedziałaś, że gdy wyślę wskazówkę do siostry, pojawisz się ty. Nie przyszłaś tu dla niej ani dla mnie. Wywęszyłaś dobry temat, co?

– Po co mnie tu ściągnęłaś? – warczę.

Julia podaje karabin Ksawierowi i rusza w moją stronę z wyciągniętymi rękami.

– No, Wiktoria, już czas się pogodzić, nie uważasz?

Czuję, że zaraz zacznę krzyczeć, więc zagryzam wargi, wbijam paznokcie we wnętrze dłoni, tłumię krzyk w sobie.

Nie, nie, nie, tylko mnie nie dotykaj.

Julia kładzie mi dłoń na policzku. Jej skóra jest zimna. Wzdrygam się. W tym geście jest czysta dominacja i muszę tłumić odruch, aby ją od siebie odepchnąć. Wiem, że gdybym to zrobiła, wystrzelona kula przeszłaby mi ramię albo nogę. Więc tylko stoję, dygocząc z obrzydzenia. Wyobrażam sobie, jak Julia kładzie drugą dłoń na mojej twarzy i nie przestając się uśmiechać, skręca mi kark.

– Po co mnie tu ściągnęłaś? – powtarzam pytanie. – Czego ode mnie chcesz?

– Masz pewien talent, który nam się przyda – mówi Julia. – Umiesz rozpoznawać kłamców i potrafisz dobrze pisać. Potrzebujemy kogoś takiego jak ty, Wiktoria.

– Chcesz, żebym tworzyła waszą propagandę? – pytam z niedowierzaniem.

– Skoro tak chcesz to ująć. – Wzrusza ramionami. – Naprawdę powinnaś zostać moją siostrą. Jestem w stanie wszystko ci wybaczyć. Groźby, że mnie zabijesz. To, że milczałaś, kiedy zniknęłam. W rodzinie zdarzają się kłótnie. Wiem, że Raisa cię kocha. Ja też mogę cię pokochać.

Głaszczesz mnie po policzku.

Nie, to nie do wytrzymania, tresuje mnie jak nieposłuszne zwierzę.

Uderzyć i pogłaskać, kij i marchewka.

Odpycham jej rękę.

– Nie dotykaj mnie.

Julia próbuje złowić moje spojrzenie. Demonstracyjnie odwracam wzrok. Wiem, że tego nienawidzi. Jak każdy narcyz dostaje szału, gdy ktoś nie poświęca jej należytej uwagi. Wiem, że ryzykuję, ale satysfakcja, którą teraz odczuwam, jest tego warta. Wbijam wzrok w przestrzeń. Julia zaczyna krążyć wokół mnie jak rekin polujący na ofiarę.

– Porozmawiajmy teraz o tobie, Wiktoria. – Jej głos sączy się do mojego ucha niczym jad. – Wiem, że jesteś w tarapatach. Sekta,

o której napisałaś reportaż, nie daje ci spokoju. Wydrukowali twoje zdjęcie, podpisali imieniem i nazwiskiem i wożą je na furgonetkach po całym kraju. Piszą o tobie różne kłamstwa, kręcą nagonkę w internecie.

– Nie obchodzi mnie to.

– A powinno. Oni liczą na to, że ktoś cię zabije albo przynajmniej chluśnie na ciebie kwasem i zrobi robotę za nich. Ich prawnicy złożyli pozew do sądu. Naruszenie dóbr osobistych, zniesławienie. Chcą, żebyś im zapłaciła milion złotych odszkodowania. Chcą cię zniszczyć, pogrzebać żywcem. Wybacz dobór słów.

Julia chichocze.

– Musisz zrozumieć, to, co my ci zrobiliśmy, to tylko preludium – mówi Ksawier. – Byłaś pod ziemią tylko kilka minut. Wyobraź sobie teraz, że tak będzie wyglądała reszta twojego życia. My chcemy cię przed tym obronić. Możemy cię uratować, ale żeby tak się stało, musisz stać się jedną z nas.

Przecieram spierzchnięte usta dłonią. Myślę bardzo szybko.

– A co będzie dalej? – pytam. – Kiedy już zbierzecie wystarczająco dużo ludzi? Jaki macie plan?

– Zbudujemy struktury – mówi Ksawier. – Zajmiemy pustostany. Zaczniemy od Posoczyna, tam jest wiele opuszczonych budynków. I wielu bezrobotnych ludzi, którzy nie mają celu w życiu.

– A jeśli nie będą chcieli się przyłączyć do waszego ruchu?

– Czemu mieliby nie chcieć? – dziwi się Ksawier. – Damy im wszystko to, czego świat im nie dał i nie da. Miłość, przyjaźń, akceptację, poczucie przynależności.

– A jeśli mimo to nie będą chcieli?

Julia unosi brew i przebiega palcami po karabinie.

– To niech się mają, kurwa, na baczości.

– Każdy z nas zrobił coś, czego żałuje – tłumaczy Ksawier. – Coś, co mogłoby zaszkodzić jemu albo jego bliskim. Takie informacje naprawdę łatwo zdobyć, jeśli komuś zapłacisz. Każdy dostanie

wybór. Może przyłączyć się do nas albo zachować neutralny status. Nie może tylko nam przeszkadzać. Kiedy napiszesz o nas tekst...

– Nie będzie żadnego tekstu – przerywam mu. – Nie napiszę o was ani słowa.

– Co?

– Zastraszanie to jedna rzecz, której my, dziennikarze, naprawdę nie lubimy – mówię spokojnie. – Ostrzegę przed wami wszystkich w środowisku. Nikt tu nie przyjdzie. Nikt nie napisze o was słowa. Całkowicie wykluczemy was z przestrzeni publicznej. Znikniecie szybciej, niż wam się wydaje. Jedyne, na co zasługujecie, to na gnicie w samotności i zapomnieniu, w swoim ukrytym świecie.

– Wika, spójrz na mnie – mówi rozkazująco Julia.

Ignoruję ją. Nie widzę wyrazu jej twarzy, ale słyszę w jej głosie wściekłość, która sprawia mi ogromną przyjemność. Za to Ksawier jest zupełnie spokojny. Kładzie dłoń na ramieniu Julii i zaciska ją, jakby wyczuwał nadchodzący atak szału i chciał mu zapobiec.

– Popelniasz błąd, Wiktoria – mówi Ksawier z pewnym smutkiem.

– Ale pozwalamy ci na to. Wbrew temu, co mówisz, wcale nie chcemy zabrać ci wolnej woli. Chcieliśmy tylko pokazać ci możliwości. A ponieważ gra się skończyła, możesz już odejść. Odgruzowałem przejście w skale. Mam nawet dla ciebie prezent pożegnalny. Mówiłem przecież, że każdy z was dostanie nagrody. A ja zawsze dotrzymuję słowa.

Sztywnieję, gdy Ksawier podchodzi do ciemnego worka ukrytego przy drzewie. Przestaję oddychać, kiedy zaczyna w nim grzebać. Myślę o moim ojcu, o Raisie. Julia, Michał, Rafał i Kamil przyglądają mi się w milczeniu. Wreszcie Ksawier wyciąga coś z worka. To dwa podłużne, czarne kije. Dwie czarne kule ortopedyczne. Podchodzi bliżej i wyciąga je w moją stronę.

– Proszę. Nadal uważasz, że nie jesteśmy twoimi przyjaciółmi? – pyta cicho, a w jego głosie słyszę łagodny wyrzut.

Zalewa mnie gwałtowna ulga. Chwytam kule, opieram je o ziemię. Moje serce wali, cała się trzęsę. Zaczynam wolno iść przed siebie, czuję się jak w jakiejś dziecinnej zabawie. Jeśli postawię krzywo krok, ktoś strzeli mi w plecy. Ale nic takiego się nie dzieje. Oglądam się przez ramię, choć wiem, że nie powinnam. Julia, Ksawier i reszta ich szalonych przyjaciół stoją z opuszczoną bronią i śledzą mnie nieruchomym, pustym wzrokiem.

\*\*\*

Kule wbijają się w mokrą ziemię, nogi niemrawo przesuwiają się za nimi. Adrenalina już opadła i teraz jestem zmęczona, potwornie zmęczona. Skupiam się na tym, aby iść przed siebie i się nie przewrócić. Moje ciało już nie chce mnie słuchać. Po tym, co mu zgotowałam, nie ma do mnie zaufania. Mimo to zmuszam je do posłuszeństwa. Próbuję dopingować samą siebie. Mówię do siebie głupie rzeczy w rodzaju: „Dajesz, dziewczyno” albo „Dasz radę, tylko się trzymaj”.

Moja głowa też szwankuje, myśli przeskakują jak kanały w telewizji, chwilami się zawieszam i nie myślę już o niczym.

Wygrałam w tej grze dalsze życie i prawdę, na której mi zależało.

Zawsze kiedy poznawałam człowieka, chciałam najpierw poznać jego historię. Bo każdy człowiek nosi w sobie co najmniej jedną opowieść. Poznałam wiele historii, dobrych i złych, ale tej jednej nie chcę nigdzie utrwalić. Chcę tylko zapomnieć.

Mijam rozwidlone ścieżki i rozkopany grób, w którym jeszcze niedawno leżałam. Tłumię mdłości, omijam go szerokim łukiem. Gdy docieram do torfowiska, klękam przy nim, nabieram wody do ust i piję łąpczywie.

A potem szybko wstaję. Nie pozwalam sobie na odpoczynek, bo wiem, że jeśli usiądę na ziemi, zasnę i będę spać przez czternaście

godzin. Gdy moje powieki opadają, przed oczami staje mi Julia, więc wolę nie zamykać oczu.

Chwytam kule. Idę przed siebie. Mijam skały w kształcie twarzy i wielki dąb, na którym Partyzanci powiesili swoje upiorne kukły. Teraz kukły zniknęły, a wiata wygląda tak gościnnie, jak ją zapamiętałam.

Myślę o moim samochodzie, o starym, dobrym fordzie focusie. Już niedługo do niego wsiądę i zostawię ten las za sobą. Pojadę prosto do domu ojca i opowiem mu wszystko od początku do końca. Powiem mu także rzeczy, na które zwykle nie pozwalała mi duma. Bo nigdy nie potrafiłam mówić wprost o miłości. Potem spotkam się z Raisą, powiem jej prawdę i przytulę ją, kiedy będzie płakała. Nie będę jej mówić, że dziewczyny nie płaczą, bo wszyscy mamy prawo płakać, gdy tego potrzebujemy.

Gdy stoję u podnóża kamiennych schodów i spoglądam w górę, opadam z sił. Jestem wyczerpana i wiem, że wspinaczka o kulach będzie wymagała ode mnie nadludzkiego wysiłku. Ale wiem też, że to jedyny sposób, aby się stąd wydostać. Więc muszę to zrobić.

Zaciskam zęby, opieram kule o pierwszy kamienny stopień i powoli, mozolnie zaczynam gramolić się w górę. Gdy kilkanaście minut później docieram do szczytu, jestem złana potem i wykończona, ale powtarzam sobie, że wolność jest już blisko, tak blisko.

Spoglądam w dół i przekonuję się, że wyjście z kotliny rzeczywiście zostało odgruzowane. Naprawdę mnie uwolnili.

Zaczynam schodzić po schodach, ostrożnie stawiam kule. Muszę uważać, aby nie spaść, nie uderzyć głową o kamień. Nie teraz, gdy jestem już tak blisko.

Schodzę z ostatniego stopnia i kuśtykam przez kamienne przejście w skale. Do ostatniej chwili boję się, że coś stanie mi na drodze, ale nic się nie dzieje. Wychodzę z kotliny.

Tak po prostu, jestem wolna.



Wszystko co najgorsze już za mną, teraz muszę po prostu iść, iść przed siebie, aż w końcu na kogoś trafię. Ktoś mnie znajdzie i wezwie pomoc.

(Szmer za moimi plecami, może lis albo inne zwierzę).

Pójdę na policję i zgłoszę, co wyprawia się w tym lesie, a potem roześle wiadomości do wszystkich znajomych dziennikarzy...

Nagle czuję ukłucie, jakby coś mnie użądliło w plecy.

Las rozbłyska oślepiającym blaskiem. I szybko gaśnie.

Błyskawica?

Tracę władzę w nogach, upadam, moje kolana uderzają o skałę.

Nic nie rozumiem, nie wiem, co się dzieje.

Przewracam się na twarz, uderzam nosem o kamień, przygryzam język.

Czuję, że moje plecy są mokre i wilgotne.

Deszcz? Pot?

Dotykam pleców, spoglądam na dłonie.

Moje palce pokrywa coś ciemnoczerwonego. Krew.

Ale dlaczego? Jak?

Moje palce badają plecy i natrafiają na twarde, podłużny kształt.

Nagle czuję znajomy zapach. Słodki, a jednocześnie ostry.

I wtedy rozumiem już wszystko.

Ona nigdy nie zamierzała mnie stąd wypuścić. Ale nie strzeliła mi w plecy, użyła noża.

– Nie – dyszę.

– Tak! – odpowiada Julia.

Czuję, jak nóż opuszcza moje ciało. Jęczę. Chcę krzyknąć, ale nie mogę, ktoś wyłączył dźwięk, ktoś zabrał mój głos. Moje struny głosowe nie chcą wydać z siebie wrzasku. A głos jest wszystkim, co teraz mam. Mimo to nie zamierzam poddać się bez walki. Próbuję czołgać się jak najdalej od tego przeklętego miejsca, ale Julia łapie mnie za nogi i ciągnie z powrotem. Jest silniejsza, niż myślałam. Szoruję brzuchem po kamieniach, chwytam krawędzie skały, próbuję

kopać, wyrwać się, ale mam na to zbyt mało siły. Julia wciąga mnie z powrotem do kotliny.

Znów widzę kamienne wejście, którego miałam już nigdy nie zobaczyć. Julia przewraca mnie na plecy i pochyla się nade mną tak, że czuję jej oddech na twarzy.

– Uparta jesteś, Wika. Zawsze to w tobie lubiłam, wiesz? Nienawidzę słabych ludzi. Ale to, co jest twoją największą zaletą, bywa też twoją największą wadą. Uparłaś się, żeby działać przeciwko nam. Zmusiłaś mnie, żebym ci to zrobiła. Prosiłaś się o to. To wszystko twoja wina. Chciałaś być naszym wrogiem, a wrogów trzeba eliminować od razu. Ksawier i reszta tego nie rozumieją. Oni chcą ze wszystkimi rozmawiać. Nie byliby zadowoleni, gdyby mnie teraz widzieli. Ale ty chciałaś zniszczyć dzieło mojego życia. Pracowałam nad nim od lat, to tak jak układać puzzle z tysiąca elementów. A ty teraz zjawiasz się i próbujesz przewrócić planszę. Ale nie martw się. Wybaczam ci.

Jej twarz rozciąga się w uśmiechu.

Próbuję odwrócić od niej wzrok, próbuję patrzeć na ptaki kołujące na ciemniejącym niebie.

– Patrz na mnie, Wiktoria.

Las jest cichy i uśpiony. Nie słyszę żadnych dźwięków, a szkoda, chciałabym usłyszeć coś innego niż jej głos.

Charczę, z moich ust wydobywa się trochę krwi.

– Cśś... już dobrze – mówi cicho Julia i głaszcze mnie po twarzy. – Wiem, że były między nami nieporozumienia, ale chcę, żebyśmy rozstały się w przyjaźni. W końcu to właśnie ja daję ci to, czego zawsze chciałaś. Wieczną sławę. Gazety w całym kraju będą pisać o twoim zaginięciu, a ludzie cię pokochają. Bo bądźmy szczerzy, nie potrafiłaś sprawić, żeby cię polubili. Ale teraz zostaniesz zapamiętana jako bohaterka walcząca o prawdę. W końcu staniesz się bardziej znana od własnego ojca. Przecież tego właśnie chciałaś, prawda? Już dobrze. Już cicho. Później zabiorę cię w jakieś ładne

miejsce i dostaniesz swój własny kamień. Ale to później. Na razie tu sobie posiedzimy i porozmawiamy, tylko ty i ja. Nie licz, że ktoś się nagle tutaj zjawi i cię uratuje. Nie licz na Aleksa. Właśnie zakochał się po raz drugi w swoim życiu. Nie wiem, jakie to uczucie, ale z tego, co opowiadała Marika, to jak rzucić się z klifu na głęboką wodę. Ja nigdy tego do nikogo nie czułam. Moje serce zawsze bije w tym samym tempie. No i nie licz też na Daniela. Uczy się właśnie, jak żyć bez religii. W końcu wstaje z kolan i uczy się żyć na własnych warunkach. Nie czekaj też na Lanę. W końcu dostała to, czego potrzebowała. Akceptację. Już nigdy nikt jej nie skrzywdzi, będziemy jej bronić. No i jest jeszcze Tymon. Sam przez całe życie, musiał ukrywać to, kim jest, ukrywać, do czego jest zdolny. No to już nie musi. Żadne z nich nie musi wiedzieć o naszym pożegnaniu. Niech lepiej myślą, że bezpiecznie dojechałaś do domu i o nich zapomniałaś, zgoda? Po co ich martwić? To będzie nasz mały sekret. Obiecuję, zadbam o nich wszystkich. Wydobędę cały ich potencjał i doprowadzę ich do całkowitego wyzwolenia. Odnajdą w sobie siłę, jakiej nigdy się nie spodziewali. Będą wielcy. Doskonali. Razem z innymi pomogą mi tworzyć Nowy Porządek Świata. Zmienię ten świat również w twoim imieniu. Wiem, że tego chcesz, nawet jeśli nie potrafisz tego przyznać. Oczywiście są osoby, które będą za tobą tęskniły. Raisa. Twój ojciec. On może się nam bardzo przydać, już zdecydowaliśmy, że zaprosimy go do kolejnej gry. Oczywiście będzie potrzebował motywacji, więc wyślemy mu coś, co należało do ciebie. Zmusimy go, żeby przekonał do nas swoich fanów. Oni wszyscy muszą być po naszej stronie.

Moje usta układają się w pojedyncze słowa. Wypowiedzenie każdego z nich boli, ale i tak to robię, bo nagły strach jest silniejszy od bólu.

– Zostaw... go... w spokoju...

– Wiesz, Wika, zawsze myślałam, że pisarze są bezużyteczni. Nieszkodliwi i bezbronni, nieprzystosowani do walki. Zupełnie jak

zwierzęta pozbawione kłów i pazurów. Ale Ksawier przekonał mnie, że czasem słowa mają moc. Potrzebujemy twojego ojca i jego fanów. No i jest jeszcze Raisa...

– Ona... ci nie wybaczy...

– Wybaczyła mi za pierwszym razem, gdy próbowałam cię zabić, wybaczy i za drugim. A nawet jeśli nie, jakoś się z tym uporam. Mam teraz bardzo wiele siostr i braci. A z tobą muszę się pożegnać.

Julia unosi nóż. Próbuję osłonić się ramieniem, nie chcę, żeby znowu bolało. I nie chcę umierać, mam jeszcze za dużo do zrobienia. Ręka z nożem opada.

Czuję zimno, niebo nade mną ciemnieje, ptaki znikają. Tracę wzrok. Nie jestem w stanie tego powstrzymać. A przecież muszę wszystkich ostrzec... muszę im powiedzieć... żeby nie podążali za czerwonymi znakami... żeby nie szukali Partyzantów...

Julia pochyla się i szepce mi do ucha:

– No już, Wiktoria, zaśnij. Gra skończona.



# PODZIĘKOWANIA

Ta książka nie mogłaby powstać w obecnym kształcie bez pomocy wielu niezwykłych osób. Bardzo dziękuję wszystkim, którzy doradzali mi podczas pracy nad powieścią i odpowiadali na moje pytania. Specjalne podziękowania należą się kilku osobom, które wykazały się ogromnym zaangażowaniem, specjalistyczną wiedzą i stoicką cierpliwością.

Darku, dziękuję za konsultacje prawne. I za nasze niekończące się dyskusje o istocie sprawiedliwości.

Adamie, dziękuję za informacje i wskazówki dotyczące samoobrony i militariów. Dziękuję też za odegranie wszystkich scen walki z książki.

Luigi, dziękuję za podzielenie się wiedzą i programistycznym doświadczeniem.

Sebek, dziękuję za wspólne sesje w Counter-Strike'a.

Julio, dziękuję za wszystko, co zrobiłaś dla tej książki i jej autorki.



# SPIS TREŚCI

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Cytaty](#)

[PROLOG](#)

[ROZDZIAŁ I. PARTYZANCI I ZWIADOWCY](#)

[ROZDZIAŁ II. JAK TU TRAFILIŚMY](#)

[ROZDZIAŁ III. OFIARA](#)

[ROZDZIAŁ IV. TEN DOBRY I TEN ZŁY](#)

[ROZDZIAŁ V. WIEDŹMA](#)

[ROZDZIAŁ VI. NA KRAWĘDZI](#)

[ROZDZIAŁ VII. PŁONĄCY STOS](#)

[ROZDZIAŁ VIII. GAMEBOY](#)

[ROZDZIAŁ IX. NAJLEPSZY CHŁOPAK NA ŚWIECIE](#)

[ROZDZIAŁ X. UKRYTY ŚWIAT](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

[Karta redakcyjna](#)



Copyright © by Sara Antczak, 2022  
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2022

Projekt okładki: Emotion Media

Zdjęcie na okładce: © Cosminxp / Adobe Stock  
Logo tytułowej gry zaprojektowała: Julia Nędzyńska

Redakcja i korekta: Sylwia Chojecka | Od słowa do słowa  
Skład i łamanie: Tomasz Chojecki | Od słowa do słowa

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:  
„DARKHART”  
Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-361-7

**FILIA**

Wydawnictwo Filia  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona  
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.